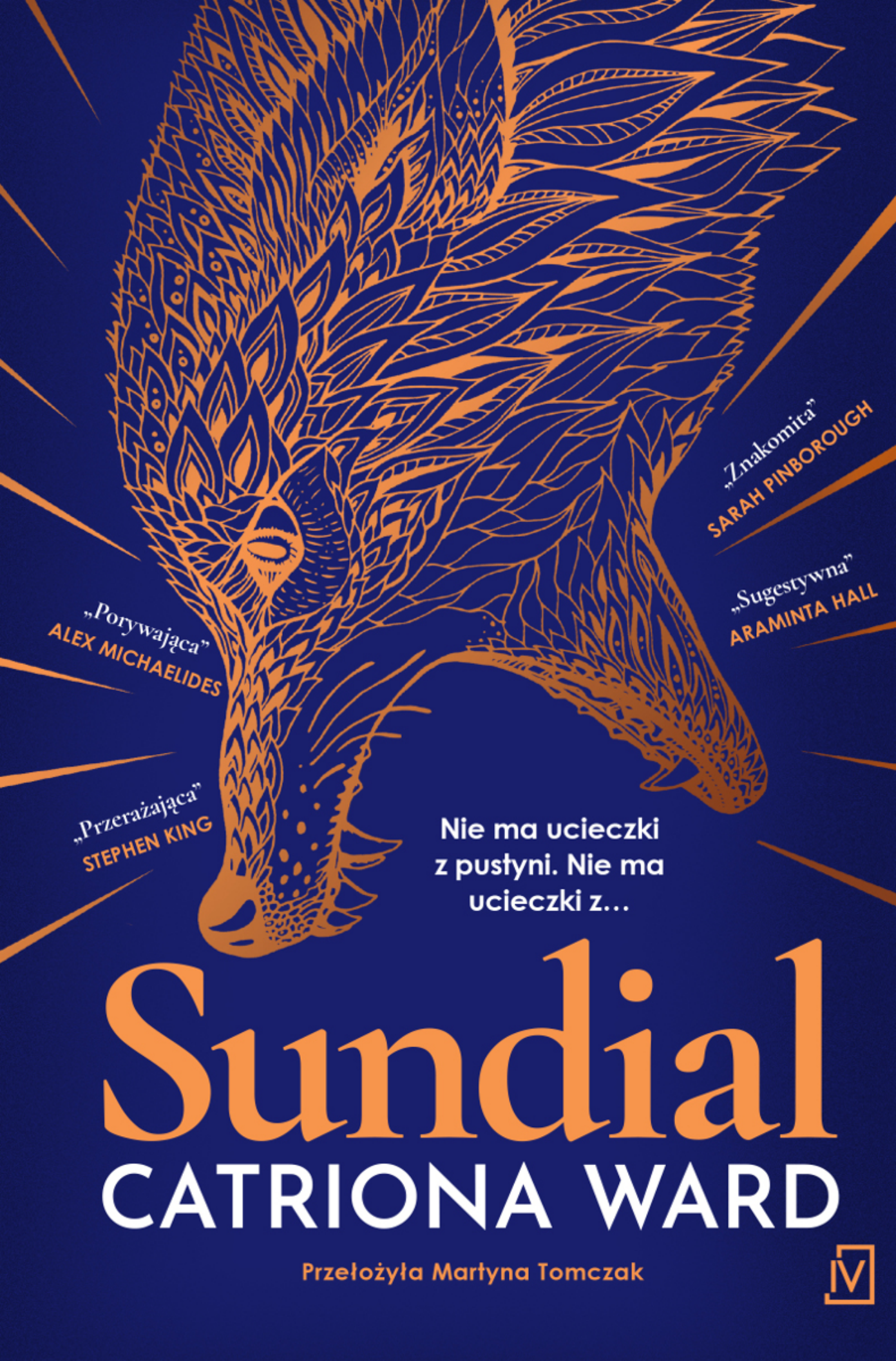
„Znakomita”
SARAH PINBOROUGH
„Sugestywna”
ARAMINTA HALL
„Porywająca”
ALEX MICHAELIDES
„Przerażająca”
STEPHEN KING
Nie ma ucieczki z pustyni. Nie ma ucieczki z…
Sundial
CATRIONA WARD
Przełożyła Martyna Tomczak
IV

Sundial

Sundial

CATRIONA WARD

Przełożyła Martyna Tomczak

CZWARTA STRONA

Tytuł oryginału: *Sundial*
Copyright © Catriona Ward, 2022
The moral right of the author has been asserted.
Copyright © for the Polish translation
by Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2022
Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2022

Redaktorka inicjująca: Paulina Surniak
Redaktorka prowadząca: Anna Rychlicka-Karbowska
Marketing i promocja: Joanna Zalewska
Redakcja: Karolina Borowiec-Pieniak
Korekta: Joanna Pawłowska, Anna Nowak
Projekt typograficzny, skład i łamanie: Stanisław Tuchołka | panbook.pl
Adaptacja okładki i projekt stron tytułowych: Magda Bloch
Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.
eISBN 978-83-67324-61-8

CZWARTA STRONA
Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.
ul. Fredry 8, 61-701 Poznań
tel.: 61 853-99-10
redakcja@czwartastrona.pl
www.czwartastrona.pl

Dla Agnes Matildy Cavendish Gibbons
i Jacksona Blaira Millera,
najmądrzejszych i najcudowniejszych chrześniaków,
jakich mogłam sobie wymarzyć.

Rob

To ospa sprawia, że nabieram pewności – mój mąż znów ma romans.

Pierwszy bąbel odkrywam u Annie rankiem w dzień przyjęcia u Goodwinów. W okienku nad wanną jaśnieje błękit zimowego nieba. Na białych kaflach kładą się ostrymi kreskami cienie jaworowych gałęzi. Annie siedzi po turecku w letniej wodzie. Porusza ustami, nucąc bezgłośnie słowa tajemniczej piosenki przeznaczonej dla plastikowych zwierzątek dryfujących wokół.

Annie nie wchodzi do wanny, jeśli woda jest cieplejsza niż krew. Nie lubi niczego, co zbyt słone, słodkie lub kwaśne, a jej ulubione bajki to te, w których nic się nie dzieje. Podchodzi nieufnie do wszelkich skrajności. Boję się o nią, tę moją kruchą młodszą córkę. Annie jest mała jak na swoje dziewięć lat i ludzie często biorą ją za młodszą. U Callie martwią mnie inne rzeczy.

Przyjęcie to styczniowa tradycja Goodwinów. Nazywają je „seansem odpędzania smutków". Goodwinowie to wesoła para mieszkająca w domu po naszej lewej stronie. Mają dwóch bystrych synków, Sama i Nathana, mniej więcej w wieku Callie, a także grono ciekawych znajomych i są koneserami wina, jedzenia oraz sztuki. Przyjęcie to jedyny dzień w roku, na który wszyscy czekamy. I zawsze wspaniale się bawimy.

Annie szepcze coś, pochylona nad gumową kaczuszką. Delikatny kręgosłup, ciemne smugi włosów przyklejone do karku – na ten widok żar podchodzi mi do ściśniętego gardła. Nie wiem, jak u innych, ale u mnie miłość i mdłości dają identyczne objawy.

– Ręce do góry – mówię.

Wtedy go dostrzegam: czerwony wyprysk na ramieniu. Natychmiast orientuję się, co to. Dotykam jej czoła i pleców. Są ciepłe, za ciepłe.

Annie drapie wysypkę. Kładę rękę na jej dłoni.

– Przestań – mówię łagodnie. – Nie drap, bo będzie gorzej, buraczku.

Mała stęka z niezadowoleniem.

– Nie jestem buraczkiem – protestuje.

– To kalafiorku.

– Nie!

– Brukiewko?

– Nie, mamo! – woła, ale przestaje drapać. Jest potulnym dzieckiem.

Nieświadomie sama drapię się w ramię. Czasem ciała moich dzieci mylą mi się z własnym.

Kładę Annie do łóżka i zaglądam do szafki w łazience. Półki są ciasno zastawione, jak to u rodziny z dwójką dzieci, w której zawsze coś się dzieje. Odsuwam stary syrop na kaszel, jednorazowe maszynki do golenia, nożyczki do paznokci, leki na cukrzycę należące do Irvinga, swoje tabletki antykoncepcyjne, nieużywany irygator do zębów, środki przeciwbólowe i popękany puder w kamieniu. Muszę tu posprzątać, kiedy tylko znajdę chwilę. Z tyłu odnajduję wreszcie buteleczkę kalaminy z zaskorupiałą szyjką, ale zawartość jest zdatna do użycia. Kupiłam ją kilka miesięcy temu na egzemę Callie.

Annie ma temperaturę trzydzieści osiem i sześć, a wzrok jeszcze bardziej błędny niż zwykle. Naprawdę powinnam była wcześniej się domyślić. Poczucie winy pali mnie jak zgaga. Mała drapie się po ramieniu.

– Nie, kochanie – mówię. Wyciągam z komody rękawiczki bez palców, a ze skrzynki z narzędziami Irvinga taśmę izolacyjną, i przyklejam rękawiczki do mankietów jej piżamy. Daję małej paracetamol i smaruję ją kalaminą.

– Rob, owsianka gotowa! – woła z dołu Irving zachrypniętym porannym głosem. Charczy, odkasłuje i dodaje: – I kawa.

Siadam obok Annie, na moment poddając się zmęczeniu. Obecność młodszej córki zawsze mnie uspokaja i skłania do refleksji. Kręcimy się z Irvingiem na tej karuzeli już od tylu lat.

Szybko przepowiadam sobie możliwe scenariusze. Potem schodzę na dół, przekazać mu nowinę.

W kuchni rozgorączkowana Callie peroruje wysokim głosem:

– No i go złapali. Dzięki nagraniu monitoringu na stacji benzynowej. Bo on tam kupił ten cement.

– Gdzie o tym usłyszałaś, kochanie? – pyta lekko poirytowany Irving. Prawie mi go szkoda. Callie lubi przy śniadaniu pogawędzić sobie o morderstwach.

– A nie wiem, gdzieś tam – odpowiada. – Kobietę oczyścili z zarzutów. Takie rzeczy trudno udowodnić. Wstrzyknęli mu powietrze, zwykłe powietrze! To powoduje za…torowość płucną. Zatortowość? Nie, zatorowość.

Podchodzę do Irvinga, który stoi przy ekspresie.

– Annie ma ospę – mówię cicho. – Nie rozumiem, jak to możliwe. Kiedy się zaraziła? Zresztą przecież jest szczepiona.

– Szczepienia są skuteczne w osiemdziesięciu pięciu procentach, czy coś koło tego. – Irving ma ciemne wory pod oczami lśniącymi od tajemnic. Wczorajsza noc należała do tych złych.

– A my oczywiście jesteśmy w pozostałych piętnastu – wzdycham.

Mój mąż uśmiecha się sztywno i nakłada owsiankę do miseczki Callie. Pod wewnętrznym brzegiem, tuż nad bladą ziarnistą papką, biegają rysunkowe jelonki. Irving dorzuca cztery plastry truskawki i zalewa całość mdląco słodkim syropem, za którym tak przepada nasza córka. Ostrzegawczo kładę mu dłoń na ramieniu. „Nie za dużo”. Organizm Callie nie podpowiada jej, że już się nasycił. Jeśli ktoś jej delikatnie nie pilnuje, potrafi jeść aż do skrętu żołądka, dopóki nie zwymiotuje. Nie mam dziś siły zajmować się dwójką chorych dzieci.

Irving strąca moją rękę jak koń muchę i dalej leje syrop. Uwielbia słodycze, choć nie może ich jeść. Napycha córkę tym, za czym sam tęskni. Ale to nie on siedzi z nią potem po nocach.

Callie obserwuje nas od stołu. Na pewno zauważyła, że próbowałam go powstrzymać przed dolaniem syropu. Czuję wzbierający niepokój. Nigdy nie wiem, co jej chodzi po głowie.

– Annie jest chora? – pyta, obgryzając paznokieć, i dodaje: – Smutna buźka. – Ostatnio weszło jej w nawyk rozmawianie obrazkami z wiadomości tekstowych. To jednocześnie denerwujące i zabawne.

Irving stawia przed nią owsiankę. Callie jest duża na swój wiek, ma złocistą skórę, szeroką twarz o ostrych rysach i zielone, pełne żaru oczy. Mówi zawsze jakby z wysiłkiem, głos wydobywa się z niej jak ze ściśniętego akordeonu.

– Mama zajmie się Annie. A my, tato, pójdziemy sobie sami do Goodwinów. – Nabiera palcem owsianki i zlizuje ją, nie spuszczając ze mnie wzroku. – Papierowy kapelusik, kieliszek wina – dodaje. Tworzą z Irvingiem paczkę, w której dla nikogo więcej nie ma miejsca.

Irving spogląda na mnie z uniesioną brwią. Tak samo jak wtedy w barze, gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy. Kiedyś to spojrzenie przyprawiało mnie o mocniejsze bicie serca. Jakby było przeznaczone tylko dla mnie. Nieme pytanie, na które ja jedna znam odpowiedź.

– Weź łyżkę – zwracam się do Callie. – Nie, kochanie, przykro mi. Musimy zostać w domu. Ospa przenosi się na ubraniach. A tam będzie masa dzieci, nie chcemy ich zarazić.

– Rob. Pozwól jej – odzywa się Irving.

Wiem, że ma ochotę brylować w towarzystwie, grać przystojnego naukowca, spoglądać z uniesioną brwią na ludzi, którzy nie widzieli tego jeszcze setki razy. A przede wszystkim chce być z nią: wymieniać spojrzenia w tłumie, zostawiać ślady dłoni na kieliszkach, gdy pragnienie rozciąga się między nimi niczym złoty drucik. To nie byłby pierwszy i na pewno nie ostatni raz.

– Chcę się zobaczyć z Nathanem i Samem – mówi Callie.

– Możesz się z nimi zobaczyć w każdej chwili. Mieszkają obok.

– Nie, jeśli połamię sobie żebra – odpowiada. – Nie, jeśli dostanę żółtaczki. Nie, jeśli napiję się wybielacza i umrę.

– Callie, proszę cię. Tam będą niemowlęta, kobiety w ciąży, starsi ludzie. Może nieszczepione dzieci. Chcesz, żeby przez ciebie się rozchorowały? Poważnie mówię. Nigdzie nie idziemy. Dobrze wiem, jak szybko roznoszą się wirusy. Wystarczy, że jeden z czwartoklasistów łapie grypę, i w ciągu tygodnia cała reszta jest chora.

Krzyk Callie wychodzi z głębi brzucha, niczym pomruk dzikiego kota. Potem strzela w górę jak rakieta, przenikliwy i ogłuszający. Tak głośny, że jest jak cios pięścią, jak gwiazdy, które stają przed oczami. Irving się pochyla, mówi jej coś do ucha. Krzyk Callie osiąga coraz wyższe tony. Łapię spojrzenie męża i pozwalam sobie na to, by delikatnie unieść kącik ust. „No dalej, sprzeciw mi się jeszcze raz. Spróbuj. Powiedz Callie, że pójdziecie tam razem" – myślę.

Irving opuszcza wzrok i gładzi Callie po ramieniu, mamrocząc coś o naleśnikach. Krzyk ustaje i przechodzi w stłumiony chichot. Teraz patrzą na mnie oboje z identycznym skrywanym uśmiechem. Mają takie same usta. Wyprowadza mnie to z równowagi, choć wiem, że nie powinno.

– Dosyć tego! Idź posprzątać pokój. I zmień pościel. Może wreszcie przestanie tam tak dziwnie pachnieć.

Callie przykrywa usta dłonią i parska zduszonym śmiechem. Irving zabiera się do mycia naczyń, jakby nie miał z tym wszystkim nic wspólnego. Wpatruję się w tył jego głowy, czerwony ślad po maszynce nieuważnego barbera, i mam ochotę czymś rzucić, tak jak on. Ale nie mam tutaj żadnej władzy.

Zabieram na górę miskę z niezjedzoną przez Callie, zimną już owsianką. Nabieram kilka garści i okładam nimi wysypkę Annie. Mała przytula rozpalony policzek do mojej dłoni. To trochę pomaga.

Piszę do Hannah Goodwin. „Wybacz! Mamy w domu ospę. Lepiej, jeśli zostaniemy. Smutna buźka". Z irytacją kasuję ostatnie zdanie. Zwyczaj Callie zaczął mi się udzielać. „Bawcie się dobrze, a w przyszłym tygodniu wpadnijcie na drinka na tarasie. R."

Jeszcze raz uważnie czytam wiadomość i poprawiam „R." na „Buziaki, Rob". Teraz lepiej. To wygląda normalnie.

– Będzie fajnie, zobaczycie – zapewniam Irvinga i Callie. – Zrobimy sobie dzień w rodzinnym gronie. Obejrzymy film, pogramy w coś, zjemy chińszczyznę…

Jeśli chodzi o film, każde z nas ma zastrzeżenia do wyborów pozostałej dwójki. W ramach kompromisu włączamy taki, którego nikt

nie chce oglądać: opowieść o człowieku śledzonym przez wielkiego królika, będącego lub nie wytworem jego wyobraźni. Irving siedzi pośrodku, otaczając nas ramionami. Co pół godziny zaglądam do Annie. Tuż po jedenastej przed południem w sąsiedztwie rozbrzmiewa muzyka. Śmiechy i pełne ekscytacji rozmowy przybierają coraz wyższe tony. Raz czy dwa słychać brzęk tłuczonej szklanki. Irving pogłaśnia telewizor, film jest jednak tak głupi, że nie sposób skupić się na fabule.

– Skoczę do sklepu po owsiankę i kalaminę – mówi Irving.

Wiem, co to oznacza, dostrzegam to w lekko napiętej linii jego szczęki. Pójdzie do sklepu, a w drodze powrotnej naturalnie wstąpi na drinka. Tylko jednego, a w każdym razie od jednego się zacznie. Ledwo widzę na oczy z wściekłości. Pole widzenia przesłaniają ciemne plamki.

– Mamy owsiankę i kalaminę – odpowiadam.

– Możesz zarażać, tak jak powiedziała mama. Możesz zarazić jakieś dziecko – wtóruje mi Callie z powagą. Słysząc to, czuję rzadki przypływ miłości i wdzięczności, choć podejrzewam, że Callie po prostu nie chce zostać ze mną sama.

Nastrój Irvinga zwęża się w ostrą szpilę. Za mężczyzną na ekranie podąża wyimaginowany królik. Nikt się nie odzywa. W domu obok przez radosne wrzaski przebija się jazz.

Wreszcie mówię: „Dość”, i wyłączam film. Tak właśnie wygląda życie w moim domu. Każda próba naśladowania rodzin z telewizji czy kolorowych magazynów kończy się sromotną klęską.

Prawdę mówiąc, telewizja to nie moja bajka. Kiedy pierwszy raz obejrzałam film akcji, omal nie umarłam z ekscytacji, a przynajmniej takie miałam wrażenie. Dziś nie umiem zrozumieć, po co ludziom opery mydlane czy chodzenie do kina. Nie czytam nawet gazet ani nie oglądam wiadomości. I bez tego życie jest wystarczająco intensywne i pełne bólu.

Choć za każdym razem wymagało to wielomiesięcznych próśb i szantażów, ostatecznie złamałam opór Irvinga i najpierw dokończyłam studia, później zatrudniłam się w szkole, a po narodzinach Annie wróciłam do pracy. Mój mąż jest wyznawcą tradycyjnych wartości. Przeważyło to, że znalazłam wakat w szkole naszych dzieci, dzięki

czemu cały dzień spędzamy w jednym budynku. To i brak pieniędzy. Ojciec Irvinga sporo stracił podczas kryzysu.

Kocham swoją pracę. W szkole mówią o mnie: zaklinaczka dzieci. Żartują, ale to nie zmienia faktu, że mam na uczniów magiczny wpływ. Pod moją pieczą wycofane dzieci rozkwitają nieśmiało. Te nadaktywne uspokajają się i potulnieją w mojej obecności. Czwartoklasistka kiedyś nazywana żółwiem wodnym, bo zdarzało jej się gryźć z nudów, dziś pisze dla mnie pełne żaru wypracowania o twórczości Mayi Angelou. Za to wobec własnych dzieci jestem bezsilna.

Kocham też swój dom: niski, szeroki budynek w stylu Cape Cod, z opadającym trawnikiem o rozsądnej powierzchni pięciuset metrów kwadratowych. To kobieta nadaje domowi energię i styl – tak mówią, prawda? Po obu stronach drzwi rosną dęby. Z tyłu jest taras z sosnowych desek, ocieniony klonami od ulicy. Zbudowałam go w trzy weekendy, według projektu znalezionego w książce z biblioteki. Okazało się, że to nic trudnego. Zamówiłam deski i poskładałam je jak puzzle (to jedna z niewielu rzeczy, które łączą mnie i Callie – większość naszej życiowej wiedzy pochodzi z biblioteki). Cudownie się tu siedzi o zachodzie słońca albo w upalne dni, wśród zieleni klonów. Mam wtedy poczucie, jakbym znalazła się w koronie drzewa. Wspólnota sąsiedzka nigdy nie musi nam przypominać o skoszeniu trawy, okopcowaniu klombów czy zamieceniu ścieżki z wapienia zakręcającej ku białemu frontowemu gankowi. Sama utrzymuję tu porządek. Kocham ten ogród za jego prostotę i niewielki rozmiar. Tak bardzo się różni od miejsca, w którym dorastałam, gdzie jak okiem sięgnąć rozciągają się gorący martwy piach i skały. Patrząc dzień w dzień na tak wielką przestrzeń, człowiek zaczyna się czuć jak w pułapce.

Tu, wśród równiutkich zabudowań, czuję się bezpieczna. Gdzieniegdzie można dostrzec indywidualny akcent: poidełko dla ptaków, niewielki basen, ściany w śmiałym odcieniu różu. Witrażowe szyby, rozmaite style kołatek, ścieżki z różnych rodzajów kamienia – oto granice naszej wolności wyboru. Ale mają znaczenie. W ten sposób odciskamy swój ślad.

Powiedziałam, że czuję się tu bezpieczna. Chyba miałam na myśli to, że moje dzieci są bezpieczne. Jedno z drugim nie zawsze idzie w parze.

Może w pewnym momencie każdy z nas musi wybrać. Lepiej być częścią drużyny – rodziny Cussenów – niż jednostką. Dzięki temu człowiek mniej się rzuca w oczy.

Irving znika w gabinecie i zamyka za sobą drzwi. Callie wyciąga kredki. Zawsze umie zająć się sobą i nigdy nie trzeba jej gonić do lekcji. Jej charakter daje chwile wytchnienia w najmniej spodziewanych momentach. Teraz siedzi przy sekretarzyku w salonie, zgarbiona nad kartką. Kredka monotonnie skrobie o papier. Callie zaczyna śpiewać pod nosem, fałszując. To irytujące i mam ochotę kazać jej przestać i włożyć okulary, ale powstrzymuję oba impulsy. Od dawna trzymam się zasady, by nie wszczynać kłótni o byle co.

Do pierwszej po południu wysypka Annie się powiększa. Mała leży z dłońmi stulonymi pod brodą, ciemne kosmyki włosów opadają na policzek, unosząc się z każdym oddechem. Sprawdzam, czy rękawiczki dobrze się trzymają, i odgarniam jej włosy z ust.

– Za jasno – mruczy Annie, więc zasłaniam okno i sypialnia tonie w srebrzystym półmroku.

– Włączyć ci gwiazdkę? – pytam szeptem.

– Tak – odpowiada również szeptem, nie otwierając oczu.

Zapalam nocną lampkę na parapecie. Ma kształt gwiazdy i mży w ciemności delikatnym różem waty cukrowej lub wnętrza płatków piwonii, kolorem, jakim zabarwione są sny małych dziewczynek. Mam wrażenie, że w świetle lampki Annie jest bezpieczniejsza. Wiem, że to bez sensu.

Gdy podnoszę wzrok, Irving stoi w progu. Nie słyszałam, jak wszedł. Zawsze umiał zastygać bez jednego drgnienia, jakby jego ciałem nie poruszał nawet oddech. To niepokojące u żywej istoty.

– Jak Annie? – pyta.

– Śpi.

– Nie wyżywaj się na dzieciach, Rob. Callie bardzo chce iść na przyjęcie. Pozwól jej. Nie możesz tylko z powodu Annie trzy tygodnie trzymać jej w domu.

Annie otwiera jedno oko.

– Wody – prosi cichutko.

– Jasne, skarbie. Mama zaraz ci przyniesie. Z drogi – cedzę przez zęby, mijając Irvinga. – To twoja wina.

Odwraca się z wściekłością i rusza do łazienki, zażyć leki na cukrzycę. Trochę się ich naszuka. Specjalnie przestawiłam buteleczkę na tył szafki, za starą tubkę wazeliny. Drobna złośliwość, ale ostatnimi czasy na niewiele więcej mogę sobie pozwolić.

Każda kłótnia zaczyna się inaczej, a kończy tak samo. Syczymy jak dwa węże – ja przy zmywarce lub składając pranie, on znad prac studentów, z długopisem w dłoni – świadomi, że na górze śpią dzieci. Tak jest od lat. Ostatecznie padamy do łóżka, osłabieni zżerającym nas od środka jadem.

Wczoraj wieczorem zaczęło się od elektrycznych szczoteczek do zębów. Obie były podłączone do ładowarek, ale ktoś wyłączył gniazdka w łazience. Annie ma okropny nawyk bawienia się włącznikami.

Zaczęło się więc od szczoteczek, ale wkrótce zeszło na Katherine, techniczkę z laboratorium. Irving pracuje do późna. To akurat mi nie przeszkadza. Techniczka też pracuje do późna. Katie, jak nazywa ją mój mąż, używa perfum Sentient. Wiem, bo jego garnitur jest nimi przesiąknięty. Cuchnie od nich cała szafa.

Syczałam, zaciskając pięści, z gardłem zwężonym tak mocno, że słowa sączyły się jak żółć, i z płonącymi oczami.

Irving wyciągnął palec. Nigdy mnie nie dotyka, tylko wymachuje nim w powietrzu. Trzyma drgający palec tuż przed moją twarzą, zaznaczając ruchem każde słowo. „To był twój pomysł" – mówił. „Twoje marzenie, odkąd się poznaliśmy. Dostałaś, czego chciałaś, a teraz nic tylko jęczysz".

Dorosłe życie to bagno, w którym człowiek tkwi po uszy, gobelin wzajemnych pretensji tkany tak ciasno, że nie sposób go rozplątać.

Próbuję czytać, kiedy z góry dochodzi mnie płacz Annie. „Nie! Nie, nie!" Otwieram drzwi. Ona i Callie wyrywają sobie z rąk jakiś przedmiot, ciągnąc każda w swoją stronę. To różowa lampka w kształcie gwiazdy.

Annie odchyliła głowę do tyłu, buzię ma otwartą w wyrazie rozpaczy. Callie minę ma jak zwykle nijaką, ale przygryza dolną wargę.

– Dawaj to – mówi tym swoim zduszonym głosem. – Dawaj albo ktoś umrze.

– Nienawidzę cię, Callie. Bóg cię nienawidzi. – Annie bierze zamach pięścią w rękawiczce.

Rzucam się je rozdzielić. Różowa lampka jakimś cudem jest nienaruszona. Wyrywam ją z wilgotnych dłoni starszej córki i odstawiam w bezpieczne miejsce na parapecie. Bóg raczy wiedzieć, po co jej ona.

– Mamo, zabierz jej to! – woła Callie.

– Ona jest dla mnie niedobra! – przekrzykuje ją Annie.

– Na miłość boską! – wybucham. – Spokój, ale już! Poczytajcie lepiej jakąś książkę.

Irving siedzi przy wyspie kuchennej z nogami na krześle. Powstrzymuję przypływ irytacji. Dobrze wie, że nienawidzę, gdy ktoś kładzie brudne nogi na moich pięknych krzesłach.

Kuchnię kocham najbardziej z całego domu. Długo wybierałam rodzaj drewna na wyspę i teraz olejuję ją co niedziela. Sama zaprojektowałam spiralny wzór płytek podłogowych z szaroniebieskiej szkliwionej terakoty. Sama też skonstruowałam wieszak na ścianie, podobnie jak taras – jeśli człowiek się nie spieszy, stolarka to naprawdę nic trudnego. Starannie rozwiesiłam na nim garnki z miedzianym dnem, od najmniejszego do największego.

W centralnym punkcie wyspy stoi miska wypełniona jakąś białawą, nakrapianą substancją.

– Co to? – pytam, podchodząc do szafki, żeby poszukać aspiryny. Nie dla Annie, dla siebie.

– Robię spotted dicka – odpowiada Irving. Mój mąż nie gotuje, za to szczyci się swoimi deserami, angielskimi specjałami bez smaku, które przyrządza na parze. Uważa, że to kuchnia ludzi z klasą. – Hej, Rob. Spróbuj i powiedz, czy dać więcej porzeczek.

Wcale nie mam na to ochoty, ale nie chcę się kłócić, sięgam więc po łyżkę, pogrążona w smutnych myślach. Moje córki były kiedyś

nierozłączne i całymi dniami bawiły się razem. Zmianę, która między nimi zaszła, można by przypisać trudnemu wiekowi Callie, tyle że ona zawsze była w trudnym wieku.

Dopiero zanurzywszy łyżkę w masie, orientuję się, co to takiego. Mimowolnie wydaję z siebie krótki wrzask, chociaż wiem, że Irving tylko na to czekał.

On tymczasem zwija się ze śmiechu, zgięty wpół, z trudem łapiąc powietrze.

– Ale masz minę!

– To obrzydliwe – rzucam drżącym głosem. – Jak można zrobić komuś coś tak wstrętnego?

– Muszę je podgrzać – odpowiada spokojnie. – Jedziemy jutro z Johnem na ryby.

Teraz już czuję smród robaków, ich kwaśny, amoniakowy odór. Irving trzyma zamrożone kostki przynęty w lodówce w garażu. Powinnam była się spodziewać zemsty za to, że nie puściłam go na przyjęcie. Ciepłe robaki poruszają obłymi główkami. Ich ciała są czerwone jak krew.

Myślę, że każdy nosi w sobie opowieść, która go definiuje. Oto moja:

Callie miała dwa lata. Wciąż jeszcze nie mówiła i była trudnym dzieckiem, pełnym bezgłośnej furii. Wiecznie patrzyła spode łba – z wyjątkiem chwil, gdy obok był jej ojciec. Uśmiechała się wtedy nieśmiało, a ja widziałam, że naprawdę jest tylko małą dziewczynką.

Poza tym była mistrzynią ucieczek. Otwierała drzwi, szafki i szuflady, bez trudu radząc sobie z klamkami i zasuwkami, które powinny stanowić zaporę dla jej małych rączek.

Tamtego popołudnia Irving miał wrócić z konferencji. Callie całą noc nie zmrużyła oka. Nigdy, przenigdy nie spała, kiedy ojciec wyjeżdżał. Byłam tak zmęczona, że powietrze zdawało się gęste i wełniste. Posadziłam Callie w krzesełku i wyszłam do łazienki. Przysięgam, że nie było mnie najwyżej pół minuty. Gdy wróciłam, mała, wywieszona z krzesełka, jedną rączkę trzymała w zlewie, zanurzoną po łokieć w odpływie z młynkiem do odpadków. Drugą, z determinacją w oczach, wyciągała w stronę włącznika.

Rzuciłam się do niej z wrzaskiem i mocno przytuliłam ją do piersi.

– Nigdy, ale to nigdy więcej tego nie rób! – zawołałam. Najpierw spojrzała na mnie ze zdziwieniem, a potem szeroko otworzyła usta. Jej wysoki, ostry krzyk wbijał mi się w mózg niczym igła.

Dopiero po paru godzinach zdołałam położyć ją do łóżka. Ściany i meble zdawały się drgać, jakby były ulepione z galaretki. Padłam na kanapę i natychmiast zasnęłam.

Obudził mnie dotyk dłoni na głowie. Irving patrzył na mnie z góry ciemnymi, nieruchomymi oczami.

– Callie strasznie dała mi w kość – jęknęłam.

– U mnie wszystko w porządku, dzięki, że pytasz. Konferencja znakomicie się udała – odparł zgryźliwie Irving.

– Nie sądziłam, że tak to będzie wyglądało. Ona mnie chyba nie lubi. – Usłyszałam, jak marudnie to zabrzmiało, i mój własny ton napełnił mnie wstrętem.

– Jest tylko dzieckiem. Weź to pod uwagę.

W głosie Irvinga pobrzmiewała nieznana mi melodia. Serce zamarło mi w piersi. A więc znowu. Irving zawsze we wczesnej fazie zakochania bezwiednie przejmował sposób mówienia obiektu swoich westchnień.

Usiadłam i zbliżyłam twarz do jego twarzy, jakbym chciała go pocałować. Śmierdział whisky.

– Była w ogóle jakaś konferencja? – spytałam, zaskoczona własną bezpośredniością.

Irving chwycił w dwa palce kosmyk moich włosów i pociągnął tak mocno, że oczy zaszły mi łzami.

– Lepiej sprawdź, czy twoja córka śpi. Chryste… – Puścił mnie i strzepnął dłonie z obrzydzeniem.

Wstałam, ale nie poszłam do Callie. Coś buzowało we mnie z taką zajadłością, że omal nie wybuchło.

– Dłużej tego nie wytrzymam – oznajmiłam, zaskoczona swoim rzeczowym tonem. – Odchodzę, Irving. Nie musimy przecież być małżeństwem. – Te słowa były jak odkrycie, niespodziewana iluminacja. Ale gdy zobaczyłam, co czai się w jego oczach, rzuciłam się do ucieczki.

Irving zamarł na sekundę, po czym ruszył za mną. Framugi drzwi wymykały mi się z palców. A potem nastąpiło coś strasznego. Moje ciało przypomniało sobie bieg i strach, i ciężki oddech na karku.

Wspomnienie przyszło nagle i chwyciło mnie za gardło. Chcę wierzyć, że dlatego zrobiłam, co zrobiłam. Otworzyłam frontowe drzwi. Powietrze było jak powiew wolności. Ale nie wybiegłam na zewnątrz. Zaczekałam, aż Irving mnie dogoni, przekroczyłam próg i zatrzasnęłam drzwi na jego wyciągniętej dłoni. Rozległ się chrzęst, a potem krzyk bólu. Odwróciłam się. „Już nigdy nikt mnie do tego nie zmusi" – pomyślałam.

Przecięłam trawnik, który wówczas był jeszcze kawałkiem gołej ziemi ciągnącej się aż do ulicy – nie znaleźliśmy czasu, żeby się nim zająć. Co teraz? Nie miałam pracy, nie miałam przyjaciół.

Przy krawężniku, u stóp ziemnego zbocza, dostrzegłam jakiś kształt. W pierwszej chwili wydał mi się poduszką albo starym pufem, który ktoś wystawił na chodnik, co zdarza się nawet w tak eleganckich dzielnicach jak nasza. Ale to była Callie. Kucała na skraju chodnika, ubrana w szare śpioszki w różowe słoniki.

Podbiegłam do niej, czując pulsujący w żyłach strach. Callie podniosła na mnie wielkie oczy, wciąż podpuchnięte ze strachu.

– Blade – powiedziała, głaszcząc sterczący spomiędzy płyt chodnika zbrązowiały chwast, zwieńczony wyschniętym kwiatkiem. Zmęczenie wzięło nade mną górę i usiadłam obok niej na krawężniku.

– Przepraszam, kochanie – powiedziałam. – Przepraszam.

Wtedy zrozumiałam, że nie odejdę. To przecież nie była jej wina.

Wzięłam ją na ręce. Wyjątkowo nie zaczęła się szarpać, tylko przytuliła głowę do mojego ramienia. Powoli weszłam do domu i zaniosłam ją do łóżka.

– Zrobię ci ogródek – obiecałam i pocałowałam ją w głowę. Może nie pozwoli mi się kochać, pomyślałam, ale mogę się nią opiekować.

Dłoń Irvinga była cała w sińcach, ale nie złamana, więc obłożyłam mu ją lodem i usiedliśmy razem przy krzywej, pokrytej laminatem kuchennej wyspie, milczący i zmęczeni walką. „Trzeba zrobić coś z tą kuchnią" – pomyślałam. Była prawie pusta, tanio wykończona, z popękanym linoleum i cieknącym kranem. Wyobraziłam sobie porządne garnki o miedzianych dnach, zioła w doniczkach na parapecie, może nawet półkę na przyprawy.

– Nigdy więcej nie pracuj do późna. Zgoda? – Nie chodziło o pracę do późna. Chodziło o powroty nad ranem i mówienie do mnie głosem innej

kobiety.

Irving zmierzył mnie wzrokiem.

– Nie masz prawa o nic mnie prosić – odparł, wskazując skinięciem głowy na posiniaczoną rękę.

Musiałam spróbować jakoś to rozwiązać, żeby nasze stosunki stały się choćby znośne. Z wahaniem dotknęłam jego zdrowej dłoni.

– Callie powiedziała dziś pierwsze słowo.

Opowiedziałam mu, co się stało, ze śmiechem, a chwilami przez łzy. Irving uśmiechnął się nieznacznie, a ja omal nie zemdlałam z ulgi, że mi wybaczono. Towarzyszyło temu lekkie ukłucie dumy – to właśnie do mnie Callie skierowała pierwsze słowo. Nagle zrozumiałam, czego nam potrzeba.

– Zróbmy sobie drugie – powiedziałam. – Drugie dziecko.

– Zróbmy – odpowiedział. Na myśl o tym, że wróciłam do łask, chciało mi się płakać. A do tego, jeśli będzie ich dwoje, może i mnie dostanie się odrobina miłości.

Do dziś nie jestem pewna, czemu Irving się zgodził. Jego ojciec nie stracił wtedy jeszcze całej fortuny i myślę, że mój mąż liczył na syna. Na to, że stary okaże się hojniejszy, jeśli damy mu wnuka. Co do mnie, to przyznaję, że pragnęłam dziecka, które będzie tylko moje. Callie zawsze należała do Irvinga. Ludzie, decydując się na dziecko, powinni robić to z mniej egoistycznych pobudek.

Dostałam, czego chciałam. Gdy tylko Annie przyszła na świat, od razu to poczułam – otworzyła swoje głębokie niebieskie oczy, a mnie zalała fala ciepła. Od pierwszej chwili była łatwym dzieckiem i od pierwszej chwili była moja. Łączy nas naturalna więź, której nigdy nie zdołałam zadzierzgnąć z Callie.

Ale nie wszystko się udało. Przy dzieciach Irving zszedł na drugi plan, a on bardzo źle znosi stanie z boku. No i nie ma syna, na którego jego ojciec mógłby wypisywać czeki. Mimo to się trzymam, żeby moje dzieci miały dwoje rodziców, jasny dom pełen kwiatów i pachnący ogród z miękkim trawnikiem. I nawet kiedy Irving znów zaczyna spędzać wieczory w pracy, nie daję za wygraną. Robię to dla nich, ale i dla siebie. Sundial, Falcon, Mia, sprawa z Jack – to wszystko odizolowało mnie od ludzi i wciąż mam wielką potrzebę dopasowania się. Pragnę

zniknąć w tłumie zwykłych kobiet, które mają rodziny, domy na przedmieściach, posady w szkole i niewielkie ambicje. Co do Callie – jest moją córką i kocham ją. Nigdy, przenigdy nie okażę jej, że czasem jej nie lubię. Ani że czasem bardzo trudno mi ją kochać.

No więc taką właśnie jestem osobą. Przynajmniej obecnie. Są też inne, starsze opowieści, ale tamtej Rob już dawno nie ma. Odgrodziłam ją, zamurowałam w ciemności. Może umarła z głodu. Pełne nadziei dziecko pogrzebane w piasku pustyni. Może to i dobrze. W tej rodzinie nie ma dla niej miejsca.

Dużo później przypomniałam sobie to słowo, tak dziwne w ustach dwulatki: „Blade". Czasem się nad nim zastanawiam.

Z zadumy wyrywa mnie dźwięk dzwonka, przenikliwy i ostry. Siedzę na kanapie w salonie z otwartym notesem na kolanach. Miałam planować lekcję o Marku Twainie (jakich koszmarów uczymy nasze dzieci!), ale teraz widzę, że zamiast tego pisałam *Arrowood*. Callie rysuje w kącie. Jak długo już tak siedzimy? Dysocjacja. Tak nazywa ten stan June, moja terapeutka. Sama wolę o nim myśleć jak o chwili wytchnienia. Znów ten dzwonek.

– Otworzysz wreszcie? – pyta cierpko Callie, nie podnosząc wzroku znad kartki.

Zrywam się, skołowana. Notes spada na podłogę. Podnoszę go szybko i chowam do kieszeni. Biegnąc do drzwi, słyszę skrzypienie otworu na listy. Trzeba go naoliwić.

– Halo? – odzywa się ktoś z zewnątrz.

Wnętrzności skręcają mi się na kształt mysich embrionów, ale choć dzielą nas drzwi, na wszelki wypadek się uśmiecham. Ludzie poznają brak uśmiechu po głosie.

– Cześć, Hannah. Jak przyjęcie?

Błękitne oczy Hannah Goodwin przypominają dwa księżyce okolone ciemnorudymi rzęsami. Na mój widok zwężają się w kącikach. Nie tylko ja przybrałam sztuczny uśmiech.

Staję jakieś pół metra od drzwi.

– Wybacz, że nie podejdę bliżej. Lepiej dmuchać na zimne – wołam, uświadamiając sobie, że wciąż jestem w szlafroku. W tym całym zamieszaniu nie miałam czasu się ubrać.

– Jak się czujesz? – pyta Hannah.

– Całkiem dobrze. Na razie tylko Annie jest chora, ale wolimy nie ryzykować.

– Biedna Annie! Wszyscy żałują, że was nie ma. Słuchaj, kiedy tu szłam, coś leżało na ścieżce. Coś zdechłego, podejrzewam, że goffer. Pewnie dopadł go kot. Wrzuciłam go do śmieci, ale została paskudna plama. Złotko, szepnij może później Irvingowi, żeby chwycił za szlauch. – Czasem, w ramach żartu, wymieniamy czułe zwroty, przybierając staroświecki akcent, jak gwiazdy filmowe z lat czterdziestych.

– Dzięki – odpowiadam.

– Wszystko gra? Musimy się spotkać na drinka i pogadać, Rob. – W oczach Hannah widać troskę. Z sąsiedztwa płyną jazgotliwe dźwięki puzonu. – Umówmy się, że wyjedziemy gdzieś na weekend. Chłopcy do dziś wspominają Dzień Pamięci na pustyni…

Pozwalam sobie na lekki uśmiech triumfu. Od tamtego razu, kiedy byli z nami w Sundial, Hannah wciąż się przymawia o kolejne zaproszenie. Goodwinowie mają letni domek na Florydzie. To coś w sam raz dla Nicka, ale Hannah ma bardziej wyrafinowany gust. Wolałaby opowiadać koleżankom z jogi o pustyni. „Mojave to takie magiczne miejsce. Można tam naprawdę odnaleźć siebie”.

– Rob?

– Wybacz, zamyśliłam się – mówię.

– Potrzebujesz czegoś? Mogę skoczyć do sklepu…

– Jesteś aniołem. Niczego nam nie trzeba. Wczoraj był kurier z zakupami, więc mamy dość zapasów.

Oczy Hannah znów się zwężają.

– W razie czego masz mój numer. Powiedz tylko słówko. Sam chorował w zeszłym miesiącu, to był koszmar.

– Pamiętam.

W zeszłym miesiącu. Dokładnie dwadzieścia dwa dni temu Goodwinowie wrócili z Australii. Następnego dnia Sam dostał ospy. To

dlatego długo nie widzieliśmy się z Hannah. A raczej ja się z nią nie widziałam.

– Przyniosłam ci coś, zostawię na schodkach. Pa, laleczko!

– Pa, kochana.

– Zadzwoń.

Zwykle rozmawiamy z Hannah wieczorami, raz albo dwa razy w tygodniu. Nie sądzę, byśmy się zaprzyjaźniły, gdyby nie bliskie sąsiedztwo i dzieci w podobnym wieku. Bardzo się od siebie różnimy. Ale w nieustannym zmęczeniu rodzicielstwem – w ciągłych przeskokach między śmiechem i łzami, w nużącej miłości do dzieci, sięgającej tak głęboko, że nie zostawia miejsca na nic innego – jest coś, co łączy ludzi. Z czasem Hannah i ja zbliżyłyśmy się do siebie. Lubię ją. Jest przyjaciółką, o której fantazjowałam w młodości, zanim jeszcze zrozumiałam, czym jest przyjaźń.

Gdy siedzimy na ganku, a ona zerka na mnie kpiąco z ukosa, noc jest ciepła, a dzieci śpią, wtedy jestem skłonna uwierzyć, że to całe moje życie – jestem Rob, nauczycielka z przedmieść, mam przystojnego męża naukowca i wreszcie znalazłam przyjaciółkę, która mnie rozumie.

Nie wiem, czy Hannah zasługuje na te wredne myśli, które mam na jej temat. Była wyraźnie zachwycona Sundial. To miejsce ma na ludzi magnetyczny wpływ. Wielu to czuje, niewielu rozumie. I dobrze.

Upewniwszy się, że sobie poszła, ostrożnie otwieram drzwi. Na drzewie przed domem Goodwinów powiewają serpentyny. Od strony ogródka na tyłach dochodzi coraz większy rejwach wesołego pijaństwa. W zimnym powietrzu unosi się lekki zapach cygar.

Na schodku u moich stóp stoi placek cytrynowy z bezą. Dalej, w połowie ścieżki, widzę śliski, lepki ślad po zwłokach goffera. Mam wrażenie, że ze śmietnika dochodzi woń gnijącego mięsa.

Miesiącami szukałam czarnego wapienia na ścieżkę w cenie, która byłaby dla nas osiągalna. Uwielbiam jego szorstką fakturę, to, jak oddaje ciepło, kiedy chodzisz po nim na bosaka. Na moją prośbę projektant wyznaczył ścieżkę tak, by zamiast biec prosto, zataczała miękki łuk. Latem obrastają ją krzaczki rozmarynu, tymianku, lawendy

i niebieskiej szałwii, tu i ówdzie przetykane ostrą czerwienią lobelii. Bardzo starannie dobierałam kolory.

A teraz patrzę na moją piękną ścieżkę i widzę tylko śmierć i lśniącą krew.

Ktoś staje za moimi plecami. Bez odwracania się wiem, że to Callie. Ma szósty zmysł, jeśli chodzi o cukier. Schylam się i podnoszę placek.

– Najpierw lunch – mówię, zamykając drzwi.

– Tata wyszedł właśnie tylnymi drzwiami.

No jasne, że tak. Nagle wszystko mnie przerasta. Osuwam się na podłogę, plecami do drzwi. Po policzkach ciekną mi gorące strugi łez. Wkrótce z trudem usiłuję złapać oddech. Czuję się, jakbym miała w nosie beton. Skóra na opuchniętej twarzy jest napięta jak u plastikowej lalki. Mimo to łzy płyną dalej.

– Mamo?

Boże, Callie. Muszę się opanować. Próbuję uspokoić oddech, sprawić, żeby troszkę mniej się bała. Choć nie mam pojęcia, czy Callie wie, co to strach. Na pewno nie odczuwa go jak inni ludzie. Dziwne myśli przychodzą człowiekowi do głowy, kiedy siedzi w przedpokoju z wyciągniętymi nogami jak niezgrabna sarenka i szlocha w obecności dwunastoletniej córki.

– Nie płacz, mamo – mówi Callie. – Czekaj… Czekaj chwilę.

Wstaje, a po chwili z kuchni słychać szuranie i trzaski. Głowa ciąży mi tak, że z trudem trzymam ją w dłoniach.

– Masz.

Coś zawisa przede mną w powietrzu. Wpatruję się w to coś dłuższą chwilę. Widelec, a na nim kawałek cytrynowego ciasta z bezą. Z gardła wyrywa mi się dźwięk – wysoki, głośny, krótki. Przerażający, nawet w moich własnych uszach. Callie ani drgnie. Spogląda na mnie nieruchomo.

– Lepiej się poczujesz – mówi.

Zjadam go więc. Cierpki cytrynowy krem osiada na języku, beza rozpuszcza się fontanną słodyczy. I rzeczywiście jest mi lepiej, chociaż trochę.

– Dzięki – mówię.

Chce mi się śmiać, bo to takie wzruszające, że dostałam od niej ciasto na poprawę humoru. Ale jednocześnie znów zbiera mi się na płacz, bo tak właśnie wygląda pocieszenie w ubogim słowniczku emocjonalnym mojej córki: ubite białka, krem cytrynowy i cukier, a wszystko upieczone ręką kobiety, z którą jej ojciec… Cóż, nieważne.

– Już w porządku. Dziękuję ci, kochanie. – Zjadam jeszcze kęs na dowód, że naprawdę wszystko gra.

Callie przez chwilę patrzy na mnie z przekrzywioną głową, a potem kiwa nią zadowolona. Prawie widzę, jak skreśla mnie z listy spraw do załatwienia. Rozwiązała mój problem i więcej nie musi się o mnie martwić. Wraca do rysowania. Znów zaczyna nucić.

A ja jem dalej. Bo to dobre ciasto.

Już od dłuższego czasu miałam podejrzenia co do Hannah i Irvinga. Kilka razy zdarzyło się, że w nocy cichy szczęk tylnych drzwi wyrywał mnie z miękkich odmętów snu. Do tego dochodziły jego długie prysznice i oznaki niewyspania na twarzy. Pachnący winem oddech w środku dnia. Poza tym Irving wydawał się szczęśliwy, a źródło tego szczęścia musiało bić poza naszym małżeństwem.

Widok bąbla na ramieniu Annie był jak moment odblokowania zapadek w staroświeckim sejfie albo jak piłka golfowa, która toczy się powoli, żeby gładko wylądować w dołku. Wystarczyło spojrzeć i po prostu wiedziałam. Nikt z naszej rodziny nie odwiedzał Goodwinów w czasie choroby Sama. A w każdym razie nikt nie powinien. Podejrzewam, że tych dwoje nie umiało się powstrzymać. Może Irving zabrał tam Annie ze sobą, kiedy miał się nią opiekować? Nieważne, co dokładnie się stało. Ważne, że mój mąż zaraził moją córeczkę. A tego nigdy mu nie wybaczę. Myślę o flakach goffera wylewających się na rozgrzany kamień.

Irving wie, że wszystko się wydało. Widziałam to w jego oczach, kiedy powiedziałam mu o chorobie Annie. Spoglądam na placek z wydłubanymi kraterami i widelcem sterczącym z warstw kremu, bezy i ciasta. Ciekawe, czy to zaplanowali – ona odwróci moją uwagę przy frontowych drzwiach, by on mógł wymknąć się od tyłu. Żeby mogli się spotkać – tylko gdzie? W tej kępie krzaków parę przecznic dalej,

w której latem zawsze jest pełno zaskrońców? A może pojechali dokądś samochodem?

Zauważyłam, że Nick Goodwin nigdy nie patrzy na Irvinga ani nie zwraca się do niego po imieniu. Mówi „chłopie" albo „kolego" – brzmi to przyjaźnie, ale w taki sposób przemawia się do dziecka. Zawsze błądzi wzrokiem gdzieś nad jego ramieniem. On też wie, choć może jeszcze nie jest tego świadomy.

Nie sądzę, by był w stanie dłużej to ignorować. Czy jest typem człowieka, który wypiera prawdę, czy raczej dąży do konfrontacji? Podejrzewam raczej wyparcie. Jest agentem nieruchomości, a tacy doskonale umieją pudrować rzeczywistość. Ja sama wybieram trzecią drogę: wewnątrz spalam się z furii, jednocześnie prezentując światu nieskazitelną powłokę. Kiepski sposób, nie polecam.

O jednym nie mogę przestać myśleć: lubię Hannah. Czasem dużo bardziej niż Irvinga. Świadomość utraty tej przyjaźni przypomina fizyczny ból, tępy i uciążliwy. Taki jak na przykład przy okresie. Mam ochotę jej powiedzieć: wybierz mnie, nie wiesz, jaki on jest naprawdę. Najwyraźniej do niczego nie jestem w stanie podejść normalnie, nawet do romansu męża.

Annie je ciasto ostrożnie, palcami. Często naśladuje siostrę, tyle że z dwukrotnie większym zapałem. Po tym, jak Callie kilka razy odmówiła widelca, Annie całkiem wyrzekła się sztućców.

– Kochanie – upominam ją, ale później daję sobie spokój. Niech robi, co chce.

– Kłócicie się z tatą? – pyta Annie.

– Dlaczego? – Wyrzuty sumienia ściskają mnie za serce.

– Kiedy na siebie patrzycie, robicie się tacy czarni i rozmyci.

Dzieci tyle rozumieją. Czasem to aż przerażające.

– Czasem dorośli muszą się pokłócić – odpowiadam. – Wyrzucić z siebie to, co boli, żeby potem znów żyć w przyjaźni.

– A wy się przyjaźnicie z tatą? – pyta, patrząc na mnie oczami wielkimi jak u lemura.

– Jesteśmy najlepszymi przyjaciółmi. Takimi jak ty i Maria.

– Maria już mnie nie lubi – mówi Annie, obracając w palcach okruch bezy. Zaciska usta w niepokojąco dorosłym wyrazie żalu. – W szkole jest dla mnie niedobra. Nie jemy już razem lunchu. To takie smutne, że aż mam ochotę umrzeć.

– Nie mów tak, skarbie – proszę i przytulam ją.

To strasznie przykre. Maria jest piękną dziewczynką o ciemnych, gładkich jak jedwab włosach. Wygląda jak lalka i zawsze wypowiada się pełnymi zdaniami. „Pani Cussen, bardzo proszę, już skończyłam swoją porcję ciasta". Ona i Annie zawsze bawiły się w ciszy i skupieniu. Uważałam Marię za idealną przyjaciółkę dla mojego dziecka.

– Podejrzewam, że jest jej teraz ciężko – tłumaczę. – Przecież wiesz, że została sama z mamą. Rodzice Marii się rozwodzą.

W tym momencie przenika mnie ponury dreszczyk triumfu. W naszej rodzinie jest jak jest, ale ja i Irving nie zgotowaliśmy dzieciom podobnego losu. Przynajmniej tyle zdołaliśmy zrobić. Wstyd mi, że przez moment źle życzyłam małej Marii, która zraniła delikatną duszę mojej córki. Tulę Annie i wdycham zapach jej włosów.

Strumień wody tryska na kamienną kostkę, poluzowując sczerniałe, zaschnięte wnętrzności. Gdybym czekała, aż Irving się tym zajmie, ścieżka jeszcze długo byłaby usmarowana resztkami goffera. Zresztą kto powiedział, że to robota dla mężczyzny? Bo krew, bo smród? Każdy, kto rodził dziecko, ma za sobą gorsze przeżycia. To zabawne, jak wiele zapominamy z porodu – ból, odgłos rozrywanego ciała. To rodzaj samoobrony. Ciało życzliwie koryguje wspomnienia po to, by chronić umysł.

Czasem, gdy jestem wystraszona albo zła, mam w ustach dziwny smak – mdląco słodki, jak po wypiciu zwietrzałej oranżady. Nawiedza mnie nawet w snach. Teraz też go czuję i mam ochotę splunąć, ale nie mogę, jeszcze ktoś zobaczy.

Nie pierwszy raz natykam się na martwe zwierzę. Hannah twierdzi, że goffera dopadł kot, ale tutejsi mieszkańcy trzymają swoje koty w domach. Wygląda na to, że krąży tu jakiś drapieżnik. Może kojot albo lis. Borsuk, ewentualnie szop. Słyszałam, że one wszystkie zabijają dla przyjemności. Cokolwiek to jest, traktuje moją ścieżkę z czarnego

wapienia niczym stół jadalny. Często znajduję na niej charakterystyczne plamy. W innych częściach dzielnicy widuję czasem truchła – wypatroszone, porzucone na schodkach, chodnikach czy gankach. Zwoje jelit lśnią w porannym słońcu. Drobne łapki, sztywne i zaciśnięte, niebieskie półksiężyce białek wyzierające spod przymkniętych powiek. Nieodwołalnie martwe. To okropne uczucie, kiedy wszystko wokół zdaje się metaforą twojego życia.

Otoczona długimi styczniowymi cieniami czekam na Irvinga przy tylnych drzwiach domu.

– Rob – odzywa się na mój widok. Jest zawiany. – Wyskoczyłem do sklepu – dodaje, wymachując torbą na zakupy.

– Kupiłeś wszystko, co chciałeś?

Słysząc mój ton, Irving się uśmiecha.

– Kupiłem – odpowiada powoli.

– To dobrze. Chodź do środka – mówię, a gdy wchodzi, zamykam za nim drzwi na zasuwkę. – Nie będzie więcej chodzenia po zakupy. Mam twoje klucze. Wyjdź jeszcze raz, to już nie wejdziesz.

– Zwariowałaś? – pyta spokojnie Irving. Ale ja nie daję się zbić z tropu.

– Poszukaj lepiej Callie, pytała o ciebie.

Nagle przystaje, garbiąc się lekko z zażenowania. Znam tę pozę. Potrzebuje czegoś. Proszenie mnie o cokolwiek zawsze stawało mu ością w gardle.

– Nie mogłem dzisiaj znaleźć swoich leków – mówi. – Wiesz, że muszę je brać codziennie o tej samej porze. Czy przypadkiem…

– Schowałam je za dużą tubką wazeliny w łazience – przerywam mu. – Mam nadzieję, że je znajdziesz.

Nim zdążę się zorientować, zachodzi mnie od tyłu. Jego przedramię jak wąż oplata moją szyję, ale nie blokuje ruchów, skóra ledwo styka się ze skórą w geście obietnicy. Druga dłoń odcina dopływ światła. Przez sekundę myślę, że zasłoni mi oczy, jak dziecko, które podkrada się do ciebie za plecami. Potem ogarnia mnie strach, że wsunie mi palce w oczodół, chwyci gałkę między kciuk a palec wskazujący i delikatnie wyciągnie. Stękam cicho i zaczynam okładać go po rękach. Zamiast

krzyku z gardła wyrywa mi się zduszone chrypienie. Ale stulona dłoń Irvinga wciąż tylko wisi w powietrzu przed moją twarzą. Czuję w uchu jego śmierdzący alkoholem oddech.

– Ja też mam nadzieję, że je znajdę – mówi. Nie dotyka mnie, od tamtego dnia ani razu mnie nie dotknął, ale lubi podchodzić bardzo blisko.

Callie miała dziewięć lat, Annie sześć. Irving i ja kłóciliśmy się jak nigdy wcześniej. Awantura trwała już od paru dni. Syczeliśmy na siebie, gdy sądziliśmy, że dzieci nas nie słyszą. Nocą, kiedy spały, zaczynały się krzyki, łkania i rzucanie przedmiotami. Czasem dziewczynki się budziły. Annie płakała. Szybko jednak zasypiała z powrotem, za mała, by zrozumieć, co się dzieje. Callie zawsze była bystra, rozumiała na pewno. Ale ona nigdy nie płakała i nigdy nic nie mówiła.

Pewnego wieczoru, kiedy Callie oglądała telewizję w salonie, weszłam do kuchni. Irving czekał za drzwiami, nieruchomy jak słup. Rzuciłam szeptem kilka przykrych słów, dając upust zebranej żółci. Wtedy on wyciągnął rękę i uszczypnął mnie w grzbiet nosa, tak mocno, że aż rozległ się chrzęst. Ból rozlał się palącym strumieniem. Otworzyłam usta, ale wtedy przypomniałam sobie, że Callie jest za ścianą. Więc tylko stałam tam ze łzami w oczach i niemym krzykiem w zaciśniętym gardle. Krwi było niedużo, ale przez następnych kilka dni nos miałam spuchnięty i wrażliwy jak dojrzała śliwka. Annie co chwila wyciągała do niego rączkę, powtarzając: „Kuku”.

Następnego dnia, jak w każde sobotnie popołudnie, spotykaliśmy się z Goodwinami w kręgielni. Akurat przypadła ich kolej, by się napić, wzięliśmy więc z Irvingiem dwa samochody, żeby obie rodziny się zmieściły. Wsiadałam właśnie z Annie do SUV-a. Callie czekała na schodkach na Irvinga. Ilekroć wychodzimy z domu na ostatnią chwilę, mój mąż znajduje sobie jakieś zajęcie: nagle musi wyładować zmywarkę, zawiesić obrazek na ścianie albo gdzieś zadzwonić. Pokazuje mi w ten sposób, że jest górą, każe czekać, wiedząc, że stres narasta we mnie z każdą minutą spóźnienia. Sądzę też, że spowodowana pośpiechem adrenalina jest niezbędna, by w ogóle do czegokolwiek się zabrał.

Annie zawsze jeździła ze mną, Callie z Irvingiem – to był nasz naturalny układ. Tym razem jednak przystanęłam i zawołałam do siebie starszą córkę.

Kiedy Irving wyszedł z domu, obie dziewczynki siedziały już w SUV-ie: Annie w swoim foteliku, a Callie przypięta pasem z tyłu.

– Na razie, Irving – rzuciłam i wycofałam auto z podjazdu. Na jego twarzy malowało się przerażenie. Sądził, że zabiorę mu córki. „Bardzo dobrze" – pomyślałam. „Teraz widzisz, jak to jest".

– Czemu nie jadę z tatą? – zapytała Callie.

– Miałam ochotę trochę z tobą pobyć – odparłam.

Przez całą drogę Irving jechał jeepem tuż za nami. Widziałam go w lusterku, pochylonego nad kierownicą, w otoczeniu roześmianych Goodwinów. W jego przymrużonych oczach błyszczał gniew.

W kręgielni, jak to w sobotę, było gwarno i roiło się od rodzin z dziećmi. Poczekałam, aż Goodwinowie zajmą się wkładaniem butów, i wyszeptałam Irvingowi do ucha:

– Nigdy więcej nie waż się mnie dotknąć.

Skinął głową, a jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć. Ze zdumieniem uświadomiłam sobie, że wygrałam.

Po powrocie do domu i uśpieniu dzieci leżałam i słuchałam, jak Irving hałasuje w przyległej łazience. Sama nigdy z niej nie korzystam. Nie rozumiem tego: kto chciałby się załatwiać tuż obok miejsca, w którym śpi? Jeśli o mnie chodzi, te dwie czynności powinno dzielić przynajmniej jedno pomieszczenie. To jeden z powodów, dla których lubię przedmieścia. Tutaj ledwie się dostrzega, że mamy ciała.

Kiedy Irving wszedł do pokoju, usiadłam na łóżku. Zaczęłam żałować, że się położyłam. Nie podobało mi się, że patrzy na mnie z góry.

Irving uśmiechnął się smutno i uniósł brew. Z ulgą odwzajemniłam uśmiech.

– Zamierzam poczekać – powiedział. – Aż przestaniemy się kłócić i znów będziemy szczęśliwi. Zaczniemy chodzić do francuskich restauracji, jak kiedyś. Tak zakochani, że myśl o rozstaniu będzie palić żywym ogniem. I wtedy, pewnego dnia, może przy śniadaniu, a może podczas oglądania filmu, w jakiejś zwykłej, codziennej chwili, odwrócisz się, żeby zażartować albo o coś zapytać, a mnie nie będzie. Zaczniesz

szukać Callie i jej też nie znajdziesz. Odejdę, kiedy będziesz się tego najmniej spodziewała. I zabiorę ją ze sobą. – Nachylił się i złożył mi na czole pocałunek, lekki jak suchy liść. – Jestem od ciebie sprytniejszy – dodał. – I dużo potrafię wytrzymać. Zaczekam wystarczająco długo, żeby naprawdę bolało.

Zdjął szklankę wody ze swojego stolika i rzucił nią o ścianę. Trzasnęło, jakby pękła ziemia. Drobiny szkła rozprysnęły się niczym diamenty. Irving spojrzał na mnie z uśmiechem. A potem położył się do łóżka i chwilę później już spał.

Leżałam obok, patrząc, jak woda spływa po ścianie barwy ochry. Sama wybrałam kolor, który podobno działa uspokajająco. Kojarzył mi się z toskańską willą w promieniach zachodzącego słońca.

Irving dotrzymał obietnicy – od tamtego dnia nigdy nie dotknął mnie w złości. Wyżywa się na kuchennych naczyniach. A ja codziennie się zastanawiam: czy to dziś? Czy to dziś zamiast talerza lub szklanki o ścianę rozbije się moja głowa?

Annie nie chce zupy, którą dla niej zrobiłam, ani pomarańczy, ani kanapki.

Więc co mi tam, daję jej ciasteczko, które zostało z Bożego Narodzenia. Z jaskraworóżowym lukrem. Po tym placku cytrynowym nie powinna już jeść cukru, ale do diabła z tym. Wygłodniała rzuca się na ciastko, po czym od razu zasypia.

A teraz czas dla Rob.

Wchodzę do swojego gabinetu, który sąsiaduje z jadalnią. Zawsze najpierw siadam na krześle i biorę kilka głębokich wdechów. Staram się być tu i teraz. Nie da się pisać, kiedy w głowie kłębią się ospa, cudzołóstwo i niepokój o starszą córkę. Piszę ręcznie, bo tylko wtedy mogę jednocześnie myśleć.

Serię o Arrowood zaczęłam kilka lat temu, nocami, kiedy Irving do późna siedział w pracy. Wtedy chodziło o szefową kuchni restauracji w Escondido. Musiała być dobra w swoim fachu, bo tamtego roku sporo przybrał na wadze. Miejscem akcji jest ekskluzywna szkoła z internatem znajdująca się u wybrzeży Nowej Anglii. Jako nastolatka chyba ze sto razy przeczytałam *Semestr letni w Bingley Hall*. W tym

wieku książki mocno zapuszczają w człowieku korzenie. Gdy postanowiłam zostać nauczycielką, marzyłam w sekrecie, że moja szkoła okaże się podobna do Bingley Hall. Wystarczyło jedno seminarium, żeby pozbyć się wszelkich złudzeń. Może takie miejsca istnieją gdzieś na świecie, może w Anglii, ale ja ich nigdy nie widziałam. Może istniały w przeszłości, ale już zniknęły. Może to lepiej, że żyją teraz tylko w naszej wyobraźni.

Ale jak mówią, wyobraźnia jest za darmo. Narratorką mojej historii jest szkolna miłośniczka sportu. Ma wiele tajemnic. Myślę, że tym razem zrobię z niej złodziejkę. W każdej części serii ma miejsce jakiś skandal. Jej nastoletnie bohaterki przeżywają wiele życiowych trudności.

To dobry sposób na zajęcie myśli. A nawet coś więcej. Inny świat, w który mogę się przenieść. Mam gotowe już cztery historie o Arrowood. Chyba dość długie, żeby nazwać je powieściami. Nigdy ich nikomu nie pokazywałam. Bo i po co? Są tylko moje.

Piszę ołówkiem, żeby zawsze po postawieniu ostatniej kropki móc się cofnąć i zmienić imiona wszystkich postaci. Pisząc, używam imion prawdziwych osób. Głównie z rodziny. W każdej kolejnej książce Rob, Irving, Callie, Annie, Jack, Mia i Falcon zdradzają się, zawierają przyjaźnie i szepczą sobie do ucha sekrety. Chodzą razem korytarzami Arrowood, udają się z książkami na lekcje i kłócą o to, kto z kim pójdzie na wiosenny bal organizowany wspólnie z pobliską szkołą dla chłopców.

Oczywiście nic z tego nie wydarzyło się naprawdę, a jednak jest to rodzaj wspomnienia. Możecie to nazwać terapią.

Przyjęcie kończy się około północy. Muzyka się urywa, cichną rozmowy. Trzaskają drzwi samochodów i ktoś się chyba przewraca, bo słyszę plaśnięcie ciała o beton. Zirytowana kręcę głową. Pobudzą mi dzieci. Do tego naczelna prefektka miała właśnie zrobić coś szczególnie nikczemnego, a teraz straciłam wątek.

Oddycham i znów łapię za ołówek. Wszystkie dźwięki gasną. To cudowne, jak znikanie.

Arrowood

Callie zeszła stromą ścieżką do morza, z podręcznikiem do gramatyki pisma klinowego pod pachą. Miała zaległości i zamierzała pouczyć się, siedząc w cieniu klifów, z palcami stóp zanurzonymi w piasku. Panna Grainger będzie dumna, gdy zobaczy, że dogoniła resztę klasy, choć w zeszłym semestrze poświęciła zbyt dużo czasu na hokeja. Callie podkochiwała się w pannie Grainger, inteligentnej kobiecie o włosach przyciętych w eleganckiego boba.

Dotarłszy na plażę, dziewczyna zorientowała się, że nie jest sama. Przez szum wiatru przebijały podniesione głosy. Nie chcąc wydać się wścibską, wiedziona odruchem kucnęła za zasłoną rozkołysanych szuwarów. Natychmiast przyszło jej do głowy, że jeśli ją nakryją, będzie wyglądać żałośnie, jakby podsłuchiwała.

Zza szuwarów dobiegał znajomy głos. Należał do jej najlepszej przyjaciółki, Jack. A właściwie Jacqueline, ale Jack nie znosiła swojego pełnego imienia. Nie używali go nawet nauczyciele. Callie i Jack wszystko robiły razem. No dobrze, prawie wszystko.

– Dziękuję, że mogłyśmy się tu spotkać – powiedziała Jack. – Nie chcę roznosić plotek.

– O co chodzi, Jack? Za dwadzieścia minut mam lekcję dmuchania szkła – odparł ktoś.

Callie omal nie krzyknęła. Głos należał do panny Grainger. Jakie to zdumiewające, że Callie właśnie o niej myślała!

– Muszę z panią porozmawiać o czymś bardzo poważnym.

– Ojej. Proszę, mów.

– To Callie okrada inne dziewczęta – powiedziała Jack. – Miałam w szafce przy łóżku czterdzieści dolarów, prezent od cioci. Zamierzałam kupić sobie za nie nowe korki do piłki nożnej! Ale dziś rano pieniądze zniknęły.

– Szukałaś pod rzeczami w szafce? – zapytała panna Grainger. – Często właśnie pod spodem człowiek znajduje coś, czego się nie spodziewał.

– Szukałam, panno Grainger, naprawdę! Ale moje czterdzieści dolarów przepadło. Jestem pewna, że to Callie je wzięła. Tylko ona zna szyfr.

Callie stęknęła cicho. Zaczerwieniła się, mimo że nikt nie widział jej, schowanej w wysokiej trzcinie. Jakie to upokarzające, że Jack wzięła ją za złodziejkę – a teraz panna Grainger również tak o niej myśli!

– Dobrze zrobiłaś, przychodząc z tym do mnie. Kradzież to wstrętny uczynek. W pokoju nauczycielskim już od pewnego czasu podejrzewaliśmy, że to Callie. Teraz musimy zacząć działać.

– Skoro ją podejrzewaliście, czemu nikt nic nie zrobił? – zdenerwowała się Jack.

– Powinnam była – odparła ze smutkiem panna Grainger. – Łudziłam się, że to nieprawda. Wiele lat temu, przed śmiercią Rob, matki Callie, złożyłam jej obietnicę. Przyrzekłam chronić jej córkę. Ja i Rob byłyśmy kiedyś blisko, tak blisko, jak ty i Callie. Ale sprawy zaszły za daleko. Trzeba będzie usunąć ją ze szkoły. Jej zachowanie ma wpływ na pozostałe dziewczęta. Rob była wiedźmą. Podejrzewam Callie o to samo. Wiedźmy kradną, to pierwsza oznaka. Wkrótce potem robią się złe i nie wolno ich dopuszczać do innych dziewcząt.

– Wiedźmy nie istnieją – zaprotestowała Jack.

– Już prawie koniec przerwy. Wracaj lepiej do szkoły. – Ton panny Grainger uległ zmianie. Stał się zimny, pozbawiony życzliwości. – Jeszcze jedno, Jack…

– Tak, panno Grainger?

– Obiecaj, że nie powiesz o Callie pozostałym dziewczętom. Ani nauczycielom. Chciałabym sama to załatwić.

– W porządku, panno Grainger.

Serce Callie biło szybko. Skąd panna Grainger znała jej matkę? Nie miała jednak czasu się nad tym zastanawiać. Nie może wylecieć ze szkoły, nie teraz – ojciec nigdy by jej tego nie wybaczył. Musiała działać szybko, tak by nie było śladów.

Wysunęła ze skarpetki brzytwę. Lekko przejechała palcem po ostrzu, które zostawiło cieniuteńki karmazynowy ślad na opuszce. Załatwi to szybko. Tyle jest winna pannie Grainger.

Ale kiedy wydostała się z szuwarów, na plaży były już tylko mewy. Panna Grainger zniknęła. Callie odwróciła się i spojrzała na podskakujący w oddali kucyk Jack wspinającej się stromą ścieżką ku szkole. Na dziewięciu kamiennych wieżach powiewały zielone chorągwie.

Rob

Wreszcie szykuję się do pójścia spać, kiedy Irving woła mnie po imieniu. W jego głosie jest coś niepokojącego. Zimny dreszcz przebiega mi po plecach. Biegnę.

Annie, drobna i blada, niemal ginie w pościeli. Cała się trzęsie. Na podłodze leży mała kałuża wymiocin. Irving trzyma ręce nad córką. Jakby bał się jej dotknąć.

– Coś jest nie tak.

Szukam pod kołdrą małych rączek. Rękawiczki się trzymają. Ale wyczuwam pod palcami coś jeszcze. Chwytam buteleczkę i podstawiam pod światło.

– Na miłość boską, Rob – oburza się Irving. Myśli, że schowałam tu tabletki, że to moja wina. Pusta buteleczka po lekach na cukrzycę nie ma zakrętki. Nagle uświadamiam sobie kilka rzeczy jednocześnie.

– Zadzwonię po karetkę – mówi Irving.

– Nie – rzucam. – Nie dotykaj telefonu.

Czuję na sobie jego wzrok, ale nie mam teraz na to czasu.

– Dawno je połknęłaś, maleńka? – pytam Annie. – Jak dawno?

– Dopiero co – odpowiada.

Biorę ją na ręce i niosę do łazienki. Zdecydowanym ruchem wpycham jej palce do gardła. Annie wymiotuje raz, potem drugi i trzeci. Widzę dużo niebieskiego – tabletki. Potem jeszcze różowy lukier. Nie przestaję, póki nie nabieram pewności, że żołądek ma pusty, póki nie zaczynają się suche torsje.

Wtedy sadzam ją na podłodze.

– Jak się czujesz, kochanie?

– Lepiej – odpowiada. Rzeczywiście wygląda lepiej. – Niedobre cukierki.

– Bardzo niedobre. Kto ci je dał, skarbie? Mnie możesz powiedzieć.

– Sama sobie wzięłam – odpowiada i zaczyna płakać.

Ale Annie nie mogła sama ich otworzyć. Wciąż ma na dłoniach rękawiczki, a odkręcenie specjalnie zabezpieczonej przed dziećmi buteleczki wymaga siły i zręczności. No i gdzie jest zakrętka? Ktoś ją zdjął i nakarmił Annie tabletkami.

Przeszukuję jej pokój. Przekopuję szafy i nie zważając na jej senne protesty, starannie obmacuję prześcieradło. Zakrętki nigdzie nie ma.

Irving z głową w dłoniach siedzi przy kuchennym stole. Pierwsza oznaka kaca.

– Musisz jej lepiej pilnować, Rob.

Pośrodku stołu pracowicie wiją się robaki. Kilka z wahaniem pełznie po ściance szklanej miski, niczym maleńkie palce. Budzą się, coraz bardziej ożywione. Może to wyobraźnia płata mi figle, ale mam wrażenie, że ich czerwone ciała, ocierając się o siebie, wydają jakby suchy szelest. W miarę jak nabierają ciepła, fetor staje się ostrzejszy. Znów chce mi się wymiotować. Ale nie ma na to czasu.

– Skąd ona wytrzasnęła te tabletki?

– Nie mam pojęcia. Wziąłem jedną i odstawiłem resztę do szafki. Tam gdzie zawsze, na najwyższą półkę. Jakim cudem do niej sięgnęła? Może przysunęła stołek…

– To od ciebie je dostała? Te tabletki? – Słowa wyrywają mi się, zanim zdążę pomyśleć. Tu, w miękko oświetlonej kuchni pełnej stojaków na wino i drogich, wytwarzanych ręcznie garnków o miedzianych dnach, ta myśl zdaje się prawie nierealna. Prawie.

Źrenice Irvinga kurczą się tak, że niemal znikają. Czuję leciutkie muśnięcie strachu.

– Pomyślałam, że dostała je od ciebie do zabawy… – Nadaję głosowi pytający ton, jakbym szukała aprobaty. Ale już za późno. Pytanie zieje między nami niczym otwarta rana. Są rzeczy, które raz wypowiedziane, zmieniają małżeństwo na zawsze.

Irving odchrząkuje groźnie. Żyły na szyi wychodzą mu na wierzch.

– Nie wygaduj głupot, Rob. Dobrze wiesz, że czasem ci odbija.

– Przysięgnij na życie Callie.

Wzrusza ramionami.

– W porządku, przysięgam.

Ulga jest tak wielka, że ciało odmawia mi posłuszeństwa. Osuwam się na podłogę. Świat wiruje wokół, zbyt szybko. Wierzę Irvingowi. Po dwunastu latach małżeństwa z facetem, który kompulsywnie cię zdradza, chcąc nie chcąc, potrafisz wyczuć prawdę.

– Jak to dobrze – powtarzam. – Jak to dobrze.

– Kurczę, Rob – odzywa się słabo Irving. – Ty naprawdę potrzebujesz pomocy.

– Żebyś wiedział. – Jak mogłam podejrzewać, że otruł moje dziecko tylko po to, żeby zrobić mi na złość? – Ciekawe, co powie June, kiedy wyznamy na terapii, że oskarżyłam cię o usiłowanie morderstwa.

Przez chwilę patrzymy na siebie bez słowa.

– I co w związku z tym czujesz? – dodaję, a Irving w tym samym momencie mówi: „I jak się z tym czujesz?". Oboje parskamy cichym śmiechem i napięcie między nami słabnie, odrobinę.

Mimo to w głowie dźwięczy mi zimny, obłąkany głos: „Może byłoby lepiej, gdyby ją otruł". Towarzyszy mu kiełkujące powoli ziarno czegoś jeszcze straszniejszego.

– Gdzie Callie, Irving?

– W swoim pokoju.

Ziarno wypuszcza obrzydliwe pędy.

– Co Callie robi w swoim pokoju?

– Śpi, a co ma robić? – odpowiada Irving, siląc się na cierpliwość. Zastanawiałam się dotąd, jak może być tak ślepy, ale zaczynam rozumieć, że nie jest. Pod tą protekcjonalną pozą kryje się niepokój.

Callie ma lekki sen. Musiała się obudzić. A jednak wciąż jej tu nie ma, mojej starszej córki, zawsze głodnej zamieszania, która z równą fascynacją przygląda się kłótniom i wypadkom samochodowym. Normalnie dawno już zajęłaby miejsce w pierwszym rzędzie. Tymczasem nigdzie jej nie widać.

Gdy mówimy o czymś „nie do pomyślenia", zazwyczaj chodzi nam o to, że nie chcemy o tym myśleć. Sama idea budzi w nas opór. Ale ten

zwrot oznacza co innego. Teraz to rozumiem. Oznacza konfrontację z czymś tak wielkim, mrocznym i potwornym, że nie mieści się w żadnych myślowych schematach. To trucizna i obłęd rozkwitające w głębi czaszki. Odkasłuję, żeby pozbyć się z ust smaku zwietrzałej oranżady. Co najgorsze, nie jestem nawet aż tak zaskoczona, jak powinnam.

Zazwyczaj staram się tym zbytnio nie przejmować. Wiem, jak trudna bywa relacja między siostrami, zwłaszcza gdy są w podobnym wieku. Żarliwa, na granicy furii. Dotąd powtarzałam sobie, że z tego się wyrasta.

Callie ściska w garści kłąb włosów Annie, szepcząc jej coś do ucha. Głowa Annie odciągnięta do tyłu, otwarte usta, załzawione z bólu oczy. Czerwone ślady palców na drobnym ramieniu. Parę siniaków, których nie umiała wyjaśnić. „Bawcie się trochę spokojniej, dziewczynki".

Czy nie reagowałam, bo tak bardzo chciałam ukryć, że to Annie jest moją ulubienicą? A jeśli tak, to jak zdołam z tym żyć?

Callie siedzi przy biurku w swoim pokoju. Ma przed sobą kartkę i kredki, ale nie rysuje. Po prostu siedzi. Na ścianach wiszą szkice anatomiczne, piękne schematy szkieletów. Ptaki, coś, co przypomina wiewiórkę, i coś, co wygląda jak świeżo narodzony szczeniak. Staranne szkice naturalnych rozmiarów. Callie sama oprawiła je w głębokie szare ramy. Efekt robi wrażenie. Moja córka jest bardzo zdolna, ale nie ma talentu do życia. Na półkach stoją podręczniki do psychologii i biografie seryjnych morderców. Na grzbietach widać numery katalogowe – książki pochodzą z biblioteki. Z doświadczenia wiem, że większość jest dawno po terminie zwrotu.

– Wstań, proszę, Callie – mówię.

Mała spełnia polecenie, nie zadając pytań. Złe przeczucia narastają. W szufladach biurka panuje porządek. Kredki, kreda, gumki do ścierania, kartki, metalowy nożyk. Kilka zaczytanych podręczników do anatomii.

– Co robisz, mamo? – W głosie Callie słychać raczej ciekawość niż złość.

– Szukam czegoś. Domyślasz się czego?

Callie patrzy w podłogę, ale raz po raz mimowolnie zerka w kąt pokoju, w którym leży wielka poducha.

Starannie obmacuję siedzisko, szukając czegoś twardego. Bez skutku. Dywan pod spodem lekko się wywija, niczym brzeg starej kanapki. Podnoszę go i jest – obluzowana klepka w podłodze. Kiedy podważam ją palcami, nie stawia oporu. Pod spodem jest spora przestrzeń, jakieś sześćdziesiąt na sześćdziesiąt centymetrów. Zajmuje ją niemal w całości podniszczony niebieski plecak, którego Callie używała w czwartej klasie. Podnoszę go, rozpinam i ostrożnie zanurzam w nim rękę, spodziewając się czegoś ostrego. Odkładam na podłogę kolejne przedmioty: butelkę wybielacza, plastikowy pojemnik na żywność. Gdy go otwieram, z wnętrza bucha obłok pleśni. Na dnie, zamknięte szczelnie w strunowej torebce, leżą zwłoki wiewiórki. Pod rzadką sierścią poruszają się białawe larwy. Mam na dziś serdecznie dość robactwa. Mdłości nadchodzą falą. Zasłaniam usta ręką i cofają się nieznacznie. W plecaku zostało jeszcze trochę rzeczy. Tubka super glue. Foliowa koszulka, a w niej szkic szkieletu wykonany na ciężkim arkuszu kremowego papieru. Nie, to nie żaden szkic. Do papieru przyklejone są prawdziwe kości.

Przyglądam się temu kolażowi przez dłuższą chwilę. Potem wstaję. Podchodzę do ściany i zdejmuję z niej obrazek przedstawiający szkielet małego węża. Obracam ramkę.

Przyklejone z tyłu arkusza kości są idealnym odbiciem szkicu. Każde żebro tkwi dokładnie w tym samym miejscu. Odwracam rysunek myszy. Jest, kolejne odbicie ze zbielałych kostek. Na każde martwe zwierzę znalezione w okolicy przypadało wiele innych, których nikt nie znalazł.

– One już tak leżały – zapewnia nieprzekonująco Callie. Potem mówi: – Ja nie chciałam.

– Callie – zaczynam, ale nie wiem, co powiedzieć. – Dlaczego?

– Nie wiem, mamo – odpowiada szeptem. – Wszystko się jakby wypłaszcza i błyszczy.

W plecaku został ostatni przedmiot, w zapiętej przedniej kieszonce. Nakrętka z zabezpieczeniem przed dziećmi od buteleczki leków Irvinga. Wstaję. Oddycham coraz szybciej, a skraj pola widzenia zasnuwa się

szarością. Wspieram się na brzegu biurka Callie. Mój wzrok pada na dzisiejszy rysunek. Jest na nim układ kostny dziecięcej dłoni, mniej więcej wielkości rączki Annie.

Moja dłoń z trzaskiem ląduje na policzku Callie. Na złotej skórze zostaje czerwony ślad. Callie dotyka go z wahaniem, jakby parzył. Wyraz jej oczu pozostaje nieodgadniony, jakby prowadziła z kimś osobną, niesłyszalną rozmowę.

Nigdy wcześniej nie podniosłam ręki na żadne z moich dzieci. Teraz to nie ona płacze, tylko ja. Serce rozdziera mi niemal fizyczny ból.

– Mamo. – Dotyk jej dłoni na moich plecach jest lekki niczym drewienko wyrzucone na brzeg. Callie już drugi raz dzisiaj mnie pociesza. Biorę się w garść, a przynajmniej próbuję.

– Widzę, że to trwa od dawna. Tyle ich tutaj… – Sama się dziwię, jak rzeczowo to zabrzmiało. Jakbym mówiła o rysunkach na plastykę. Ocieram oczy i wydmuchuję nos. Zawsze noszę przy sobie paczkę chusteczek.

Callie spuszcza wzrok i wykręca palce. Odzywa się tak cicho, że prawie jej nie słyszę.

– Od zawsze.

– A to do czego? – pytam, pokazując jej wybielacz.

– Do wybielania kości – odpowiada.

Wszystko nabiera sensu, jak to w chwilach kryzysu – z ponurą nieuchronnością. Dziwny zapach w pokoju, wybielacz, plastikowy pojemnik. Z drżeniem nabieram powietrza, ale nie ma we mnie już odrazy ani strachu. Ich miejsce zajmuje poczucie dziwnej bliskości. Po raz pierwszy od lat Callie i ja jesteśmy ze sobą szczere.

– Ja to zawsze robiłam. Jeszcze zanim zaczęłam, czułam, że chcę to robić. Wiem, kim jestem. Tak samo jak wiem, że ludzie mnie nie lubią – mówi Callie. – Nawet ty.

– Ja cię lubię, kochanie – odpowiadam. – Jestem twoją matką. Kocham cię.

Czy na pewno?

– Wiem, że to złe – ciągnie Callie beznamiętnym tonem. – Nie wiem, co robić. Jestem taka… Chrrr, śpiąca buźka.

– Rozumiem – odpowiadam zgodnie z prawdą i wyciągam ręce.

Callie wtula się we mnie, oplatając ramionami w pasie. Na myśl o jej drobnych, silnych palcach robi mi się zimno. Ale się nie odsuwam. Obejmuję ją. Tyle mogę zrobić.

– Boję się – mamrocze w moją bluzkę, a ja głaszczę ją po plecach.

– Coś wymyślimy, zgoda?

Callie spogląda na mnie tymi swoimi głębokimi zielonymi oczami, moimi oczami, i mówi:

– Przepraszam, mamo.

Nagle czuję rzadki przypływ niepohamowanej miłości. Fala dociera do najgłębszych zakamarków i wypełnia wszystkie puste miejsca.

Siedzę przy Annie. Mała oddycha nieregularnie, powoli. Nawet gdy śpi, jej obecność jest niewyobrażalnie kojąca. Myśli śmigają niczym rybki w akwarium. Rozpaczliwie próbuję skierować je na logiczne tory. Może jedyną przypadłością Callie jest nadmierna ciekawość. W końcu czy dziewiętnastowieczni przyrodnicy nie postępowali dokładnie tak samo? Czy jej podejście do zwierząt na pewno jest bardziej bezduszne od codziennego zjadania mięsa? Sama staram się kupować je organiczne, ekologiczne i ze zwierząt z wolnego chowu, naprawdę się staram, ale w codziennej bieganinie to wcale nie jest takie łatwe i…

Oddycham głęboko. Muszę się teraz skupić. Annie już nie śpi, obserwuje mnie w milczeniu.

– Chcę się pomodlić – mówi. – Pomodlisz się ze mną, mamo?

Nie mam pojęcia, skąd wytrzasnęła Boga. Pewnego wieczoru kilka miesięcy temu zastałam ją klęczącą ze złożonymi dłońmi przy łóżku. Wyglądała jak z obrazka w jakiejś książce. Nasz dom zawsze był całkowicie świecki. Osobiście uważam, że nie można zajmować się badaniami naukowymi ani pracować w szkole, nie porzuciwszy całkowicie wszelkiej wiary w dobrotliwego stwórcę wszechświata.

– Oczywiście – zgadzam się. – Ale tym razem pomódl się w łóżku, zgoda? Lepiej, żebyś teraz nie wstawała.

Annie zamyka oczy i gorączkowo porusza ustami. Przyglądam jej się z coraz większym poczuciem zamętu i porażki. Każde z moich dzieci jest dla mnie nieprzeniknioną zagadką. Po wyjściu z pokoju przystaję z ręką na klamce. Gwałtownie łapię powietrze. Rozdarcie w sercu się pogłębia,

rozszerza w krwawą dziurę. Wrażenie jest tak sugestywne, że jestem zaskoczona, gdy opuściwszy wzrok na pierś, widzę szary kaszmirowy kardigan z rogowymi guzikami.

Moja własna kuchnia wydaje mi się obca. Nie wiem, co sobie myślałam, wypełniając ją surowym drewnem, miedzią i chromem, masą kosztownych wytworów rzemieślniczych stojących teraz na blatach, zlewie, półkach i wiszących w równym rządku nad grubą deską do krojenia mięsa. Na ostatnie urodziny zażyczyłam sobie od Irvinga półki na pięćdziesiąt przypraw. Po co komu tyle przypraw?

Irving jest spocony. Unosi szklankę whisky, grzechocząc kostkami lodu. Czuję ostry przypływ rozdrażnienia. Nawet w tej sytuacji nie uznał za stosowne wytrzeźwieć. Ciemne włosy kleją mu się do czoła.

– Dziewczynki pewnie bawiły się butelką i nakrętka spadła – mówi.

– Nie bądź głupi.

– Coś ty powiedziała? – W jego głosie wiją się obłe czerwone kształty. Normalnie bym się przejęła. Ale nie mam czasu.

– To nie była zabawa. Muszę zabrać stąd Callie.

Irving tylko na mnie patrzy i powoli kręci głową. Robi mi się zimno. Znam to spojrzenie.

Szybko rysuję sobie w głowie drzewo decyzyjne. Jak rozdzielić dziewczynki i dokąd wywieźć Callie?

To rodzaj ćwiczenia, które zadaję zwykle swoim trzecioklasistom, by pomóc im w nauce logicznego myślenia i rozwiązywania problemów. Wizualizuję sobie pytania i odpowiedzi jako rozrastające się gałęzie. Podążam za każdą po kolei, póki nie uformuje się wniosek. A to wszystko w ułamku sekundy, bo myśli pędzą jak płomienie ognia pożerające las.

I nagle mam – wiem, dokąd pojedziemy. Pozostaje mi jeszcze przekonać Irvinga. Czuję na sobie jego wzrok, sięgam więc po słoiczek kardamonu i obracam go w palcach, udając, że właśnie o nim myślę.

– Nie pozwolę ci nigdzie wywieźć mojej córki – odzywa się spokojnie Irving. – Cokolwiek ci chodzi po głowie, Callie to nie Jack. Zresztą ty chyba po prostu chcesz mnie wkurzyć.

– To dość narcystyczne podejście – odpowiadam bez zastanowienia.

Wtedy on delikatnie wyjmuje mi słoiczek z ręki i ciska nim o ścianę. Szkło rozpryskuje się w chmurę migoczącego pyłu. Powietrze wypełnia głęboka korzenna woń. Czuję pulsowanie w całym ciele. Irving sięga szczupłymi palcami ku półce na przyprawy i chwyta słoik suszonej szałwii. Oczy ma ciemne i nieprzeniknione. Jak zwykle w takich chwilach zastanawiam się, czy po szałwii przyjdzie pora na mnie.

Czasem można go powstrzymać, ale trzeba działać szybko. Wóz albo przewóz, jak mówią.

Stanowczym ruchem odbieram mu słoik.

– Zabieram Callie do Sundial. Potrzebne nam babskie wakacje. Wy dwoje tworzycie zgraną paczkę. Może ona zachowuje się tak z mojego powodu? Wiem, że bywam nerwowa. A córki wyczuwają takie rzeczy u swoich matek.

Irving wyraźnie się waha. Prawie go przekonałam. Jest spokojniejszy, ale wzmianka o Sundial to pewne ryzyko. Sprawy mogą pójść dowolnym torem.

– Okej – mówi wreszcie i podnosi ręce. Wchodzi w rolę pokonanego męża. – Nie potrafię się z tobą kłócić, kiedy jesteś taka. Zostanę tu i zajmę się twoją chorą córką. Może Hannah zgodzi się mi pomóc.

Wiem, że powinnam dać spokój. Ale ta ostatnia uwaga jest jak dźgnięcie w brzuch rozgrzaną włócznią. Sama chciałabym upijać się i romansować, tyle że nie mogę, bo ktoś musi zajmować się tymi kruchymi istotkami powierzonymi naszej opiece, i zawsze pada na mnie, tylko na mnie, więc teraz fala urazy pali mnie od środka niczym kwas, choć przecież odniosłam właśnie ważne zwycięstwo. Mimo to nie umiem się powstrzymać. Sięgam po miskę z robakami. Całkiem już odtajały i kłębią się teraz niczym mały, wzburzony ocean. Przecinam kuchnię, trzymając miskę na odległość ramienia. Otwieram okno i rzucam robaki w ciemność, prosto na klomb pod parapetem. Wzdrygam się lekko, gdy jedna z larw muska w locie mój nadgarstek. Nie jest wilgotna, jak się spodziewałam, lecz sucha, niemal łuskowata.

– I co, lepiej ci? – pyta Irving z tłumionym uśmiechem. – Zachowujesz się nieracjonalnie.

Furia przechodzi. Zostaje chłód i poczucie wielkiej samotności. Głupio zrobiłam. Mogłam wszystko zaprzepaścić tylko dlatego, że nie umiem

trzymać nerwów na wodzy. Zresztą Irving ma rację, wcale nie zrobiło mi się lepiej.

– Jedna z naszych córek właśnie próbowała zabić drugą – mówię. Realność tego stwierdzenia przenika mnie mroźnym dreszczem.

– Pewne cechy są dziedziczne, prawda? – odpowiada cicho Irving. – Pomyśl o wszystkich tajemnicach, których dla ciebie dochowałem.

– Wyjeżdżamy jutro z samego rana. – Widzę, jak zastanawia się nad reakcją. Nie chce nas puścić, ale z drugiej strony miałby dom tylko dla siebie. Dla siebie i dla niej.

Dzwonię do Hannah. W jej głosie słychać zaskoczenie. Jest po drugiej w nocy.

– Cześć, Rob. Poczekaj chwilę, właśnie sprzątam po imprezie…

– Wyjeżdżam na kilka dni – przerywam jej. – Może na dłużej, jeszcze nie wiem. Zabieram ze sobą Callie. Chciałam, żebyś wiedziała. Irving może potrzebować pomocy, bo Annie ma ospę. Do tego zjadła coś… Nieważne. Nic jej nie będzie, ale gdyby pojawił się problem, wpadniesz, prawda? Chciałabym to od ciebie usłyszeć.

Po drugiej stronie linii jest tylko przerażona cisza.

– A Irving… Irving wie, że…

– Jezu, Hannah. Chyba powiedziałabym ci, gdybym postanowiła odejść od męża? Nie wyjeżdżamy na zawsze. Nie zostaniesz wspólniczką porwania ani nic takiego.

– Okej – odpowiada po chwili. Wargi ma zdrętwiałe, słyszę to. – Co się dzieje, Rob? Może to ty potrzebujesz pomocy?

– Nie masz już prawa o to pytać. Takie pytania zadają przyjaciółki. Ty i ja nimi nie jesteśmy.

Zatrzymuję się w progu pokoju Callie. Nie chcę wchodzić do środka, nie chcę znaleźć się wśród szkieletów. Callie nie śpi, siedzi na łóżku z rękami na kolanach, zapatrzona w pustą ścianę. Czeka na mnie. Jak wyobraża sobie moje zamiary? Patrząc na córkę, mam wrażenie, że dzieli nas przepaść, że siedzimy na skraju wielkiej szczeliny w ziemi i będę musiała użyć wszystkich sił, żebyśmy nie wpadły do środka.

– Spakuj plecak – nakazuję jej. – Tak jak na weekend. Jutro z samego rana jedziemy na pustynię. Tylko ty i ja.

– A Annie i tata?

– Zostaną tu. Annie jest chora.

– Pojadę tylko, jeśli Annie pojedzie.

Przecinam pokój kilkoma dużymi krokami i chwytam jej twarz w dłonie. Kiedy się wzdryga, rozluźniam uścisk.

– Popatrz na mnie. Nie zbliżysz się do siostry, póki my dwie nie odbędziemy poważnej rozmowy.

– Nigdzie z tobą nie jadę! – woła Callie. Krzyk przybiera na sile.

„Uspokój ją, musi być spokojna" – podpowiada mi zimny głos.

– Ćśśś – szepczę gorączkowo, poklepując ją po plecach. – Cicho, kochanie. Nie bój się. Mama nie chciała cię przestraszyć. Zrobimy sobie specjalną wycieczkę. Będzie wspaniale, zobaczysz.

Callie przestaje krzyczeć. Oddycha szybko, krótkimi seriami.

– No dobrze – mówi wreszcie swoim zwykłym cichym, zduszonym głosem. – Niech tata zajmie się Annie. Może naprawdę będzie fajnie. Tu mam dużo nerwów. Wybuchająca główka.

– Grzeczna dziewczynka – odpowiadam, ściskając ją za ramię. W drodze jakoś dam sobie z nią radę. Ale co potem?

Kiedy rano wchodzę do pokoju Annie, zasłony są zaciągnięte, a mała wciąż śpi. To dobrze. Chyba nie zniosłabym widoku jej miny na wieść, że wyjeżdżam. Różowa lampka obejmuje ją miękkim światłem, rzęsy kładą się długimi cieniami na policzku. „To dla ciebie, kochanie" – myślę. „Dla ciebie i dla nas wszystkich".

Callie

Mama zatrzymuje się na stacji i wysiada. Patrzę na kaskadę jej jasnych włosów i wdycham metaliczną woń z dystrybutorów. Uwielbiam wszystkie szkodliwe zapachy. Kleju, benzyny, spreju na owady. Kiedy mama wraca, ma napięte usta.

Piesek Śmietnikowy kwili i trąca mnie łebkiem w dłoń. Przez jego przezroczyste uszy widać pas bezpieczeństwa. *Nie wiadomo, gdzie nas wiezie. Lepiej uważajmy* – mówi.

– Wiezie nas do Sundial – rzucam lekceważąco. – Nigdy tam nie byłeś, ale ja tak. Uspokój się.

Piesek Śmietnikowy jest pesymistą. Pesymista to ktoś, kto wie, jak wygląda rzeczywistość. Ale lubię jego towarzystwo, bo możemy rozmawiać bez słów. Zresztą ma rację. Coś się szykuje. Powietrze trzeszczy jak naelektryzowane.

Dobrze, że mama pozwoliła mi zabrać ze sobą kości Pieska Śmietnikowego, ale szkoda, że nie mam przy sobie pozostałych bladych. Będzie im smutno beze mnie. Zazwyczaj układają się wygodnie w moich kieszeniach, a nocą śpią wtulone we mnie. A teraz zostały same. Tata i Annie nie umieją z nimi rozmawiać.

Blada Callie siedzi obok mnie i wygląda przez okno, nucąc pod nosem. Wie, czym jest Sundial. Już tam była. Nie mam kości Bladej Callie. Nawet nie wiem, kim właściwie jest. Jedynie tyle, że wszędzie za mną chodzi i była przy mnie, odkąd pamiętam.

Obserwuję tył głowy mamy. Myślę o tym, co powiedział tata, przytulając mnie na pożegnanie. Mama go nie słyszała, bo pakowała

torby do bagażnika.

– Uważaj tam na siebie, kumpelko – szepnął mi ciepło do ucha. Jesteśmy z tatą najlepszymi kumplami. – Jeśli się będziesz bała, zadzwoń.

– Czemu miałabym się bać?

– Twoja mama… Jest trochę niestabilna.

Przestraszyłam się wtedy. Wiedziałam, co ma na myśli. Płacze, krzyki w środku nocy. Mama ciągle krzyczy na tatę. I kłamie. Zawsze wyczuwam od niej kłamstwo, nawet kiedy ona sama nie zdaje sobie z tego sprawy. Na przykład: mama mnie nie lubi, choć upiera się, że jest inaczej.

Zastanawiała się, czy mu powiem, że mnie uderzyła. Nie zrobiłam tego, sama nie wiem czemu. Może dlatego, że chociaż przez sekundę wydała mi się podobna do mnie. I dlatego, że tajemnice dają władzę.

Do Sundial jedzie się długo, a jeszcze nawet nie wyjechałyśmy z miasta. Gramy z Bladą Callie w „ciepłe czy blade". To znaczy ja zgaduję, czy ludzie za oknem są duchami, a potem Blada Callie mówi mi, czy miałam rację.

Wskazuję dziewczynkę na wrotkach, trzymającą za rękę swoją mamę.

Ciepła – mówi Callie.

Mężczyzna śpiący pod mostem jest blady. Ale to była łatwizna. Wygląda blado.

Przez chwilę stoimy na czerwonym świetle. Mama odgarnia włosy. Patrzę na jej smukły kark. To aż dziwne, jaka jest piękna. Jakby nic nas nie łączyło. Blada Callie ziewa i pokazuje mi faceta na chodniku.

Prawie blady – mówi. *Rak. Nie dociągnie do końca roku.*

– Smutna buźka – szepczę.

Rob

Zatrzymujemy się, by obejrzeć największy kłębek sznurka na świecie. Jest mniejszy, niż się spodziewałam. I brudny. Dawniej zielony, spłowiał w słońcu i deszczu do odcienia khaki. Otacza go niski płot z poziomych sztachet, a po bliższym przyjrzeniu się dostrzegam na sznurku plamki pleśni. Powinni go trzymać w jakimś pomieszczeniu albo przynajmniej pod dachem. Zresztą sznurek nie jest zbyt wytrzymałym tworzywem. Pewnie go wymieniają co parę lat. Nie wszystko musi trwać wiecznie. Staram się nie myśleć o biletach za dwadzieścia dolarów. To absurdalna cena, ale zapłaciłam i teraz nic już z tym nie zrobię.

Te wszystkie myśli kłębią mi się w głowie, śliskie jak węgorze. Kusi mnie, by coś powiedzieć, ale milczę, bo Callie wydaje się zachwycona, niemal drży z radości.

– Wygląda jak wielka głowa – szepcze nie do mnie, lecz do siebie.

Potem łapie mnie za rękę – zapomniała, że od dawna już tego nie robi. Jej ciepły dotyk wywołuje szok, przenika całe ciało osobliwym elektrycznym impulsem miłości. „Tutaj nie chodzi o mnie" – przypominam sobie znowu. „To wszystko jest dla Annie; i dla Callie". Próbuję wczuć się w jej ekscytację, poczuć przyjemność, którą Callie czerpie z tego dnia, z widoku ogromnego brudnego kłębka na suchej ziemi, z życia.

Przez dziesięć minut stoimy obok siebie, trzymając się za ręce. Wreszcie przenoszę na nią wzrok i pytam:

– W porządku?

Callie przygląda się biedronce, która wylądowała jej na rękawie i maszeruje teraz w stronę odsłoniętego przedramienia. Moja córka

patrzy na nią jak zaczarowana, w absolutnym bezruchu, bojąc się choćby mrugnąć.

– Chodźmy już, skarbie – mówię. Zgarniam biedronkę na czubek palca i delikatnie zdmuchuję na ziemię.

– Dlaczego to zrobiłaś? – Callie patrzy na mnie wielkimi oczami. – Chciałam ją zatrzymać.

– Musimy iść – tłumaczę i dodaję: – Na ciacho!

Przez moment wszystko wisi na włosku, ale potem Callie się uśmiecha.

– Może na gofry?

– Nie ma sprawy – odpowiadam, starając się nie myśleć o tym, ile w nich cukru. W drodze do samochodu pytam: – I jak tam? Jest wspaniale, prawda?

– Wspaniale! – Mimo wszystkiego, co zaszło, na dźwięk tych słów robi mi się ciepło na sercu. Zwykle dobrze się bawi tylko z Irvingiem.

To bardzo ważne, żeby była spokojna i żeby mi ufała. Wiem, że to nie będzie łatwe, więc zamierzam pozwolić jej zjeść wszystko, na co będzie miała ochotę. Choćby szyszki z masłem orzechowym, jeśli taka przyjdzie jej chęć. Chcę, by ostatnie godziny podróży upłynęły jej radośnie. Choć ani trochę nie ułatwi mi to tego, co być może będę musiała zrobić.

Callie pożera gofry wielkimi kęsami. Bita śmietana i syrop spływają jej po brodzie. Na stoliku przede mną paruje wielki kubek gorącej wody z cytryną.

– Nie spiesz się tak. Mamy całkiem niezły czas – mówię. – Dotrzemy na miejsce przed zmrokiem.

Callie kiwa głową, ale nie zwalnia tempa. Gryzie z zapałem, nie zamykając ust. W ciemnym otworze biała śmietana miesza się z przeżutymi resztkami gofra.

Kelnerka musiała być kiedyś piękna. Dziś ma pobrużdżoną, spaloną twarz typową dla mieszkańców południowej Kalifornii, twarz kogoś, kto dorastał w słońcu, ale o kremie z filtrem usłyszał dopiero, kiedy było już za późno. Uśmiecha się do Callie.

– Może dokładkę? – pyta.

– Nie – odpowiadam. Obiecałam sobie, że pozwolę Callie wziąć, co zechce, i zamierzam się tego trzymać. Ale jej organizm nie mówi „stop”, muszę więc kontrolować ilość.

Kelnerka spogląda na mnie i przez chwilę widzę się jej oczami. Gładkie włosy, grzeczna fryzura, mokasyny, luźne spodnie, delikatny srebrny łańcuszek wyzierający z kołnierzyka białej koszuli z perłowymi guzikami. Subtelny makijaż, ładna skóra, ciało wyrzeźbione dzięki wieloletniej samokontroli.

Wiem, że kelnerka mnie nienawidzi, i na moment udziela mi się ta nienawiść – gardzę maską, którą tak starannie tworzyłam sobie rok po roku, aż się z nią zrosłam i już sama nie wiem, kto się za nią kryje; nie wiem, czy jestem w stanie zrzucić ją na dobre, ani nawet czy powinnam.

Potem ogarnia mnie złość. Mam ochotę powiedzieć: „Odwal się, nie wiesz, ile mnie to kosztowało”. Ale milczę. Uśmiecham się i zostawiam dwudziestoprocentowy napiwek.

Podkręcam klimatyzację – tanie obrzynki mięsa, które kupiłam wcześniej w supermarkecie, zaczynają pokrywać się wilgocią. Są szczelnie zamknięte w folii, a mimo to mam wrażenie, że czuję zapach siniejącego mięsa na granicy zepsucia.

Za moimi plecami Callie nuci i mamrocze coś pod nosem. Martwi mnie ten jej nowy zwyczaj prowadzenia długich rozmów z samą sobą. Czasem wyłapuję pojedyncze zdanie. Chyba ma przyjaciółkę na niby. Wprawdzie ma już dwanaście lat, o wiele za dużo, ale z drugiej strony to by miało sens – w kwestii emocji zawsze była ostrożna, wręcz opóźniona. Callie, jak to Callie, nadała niewidzialnej przyjaciółce swoje własne imię. Do dziś nie wiem, jakim cudem wychowałam takie dziecko. Ale nawet te męczące rozważania nie odwracają uwagi od uczucia, które mnie ogarnia, w miarę jak zbliżamy się do Sundial.

Kontury autostrady zacierają się w nadchodzącym zmierzchu. Nad górami wschodzą pierwsze gwiazdy. Robi się zimno i świat zasnuwa się ciemnością. Zamykamy okna i włączamy ogrzewanie, ale mimo to przenika nas chłód. To druga broń z arsenału Mojave – zimno, które cię zabije, jeśli nie zmoże cię dzienny skwar. Zawsze w tej chwili ogarnia

mnie dreszcz ekscytacji na myśl o cieple i schronieniu, i nawet czując na karku zimny palec śmierci, wiem, że nas nie dopadnie. Mknąc przez pustynię, zbliżamy się do domu.

Dom tak naprawdę nie nazywa się Sundial. W papierach jest oznaczony numerem z czterema zerami. Ale mój ojciec, gdy go zbudował, nadał mu właśnie taką nazwę. Sundial, czyli zegar słoneczny. Tutaj dorastałam.

Pewnego lata próbowaliśmy wynajmować dom grupkom dziewczyn w krótkich spódniczkach z wystrzępionego dżinsu. Przybywały tu na festiwale muzyczne, sesje medytacyjne przy dźwiękach mis i gongów, może po odrobinę pejotlu, gotowe zapłacić sumę, która mnie wydawała się zbrodnią. Ale zawsze wyjeżdżały przed czasem. Wszędzie stąd daleko, mówiły, a opuszczone budynki i wysokie płoty sprawiają upiorne wrażenie. Nocą jakieś pustynne zwierzę porwało im pranie ze sznura i buty z ganku. Przez okna i drzwi dobiegał dźwięk jego oddechu. Czy jesteśmy pewni, że dom nie jest nawiedzony? W końcu tu niedaleko, u stóp gór Cottonwood, stoi stara posesja Graingerów – ferma szczeniąt, chyba tak ją nazywali? Tak czy inaczej zatrzymaliśmy kaucję.

Gdy dorastałyśmy, Paweł straszył nas opowieściami o Linie i Burcie, właścicielach fermy. Callie rzecz jasna o wszystkim wie. Próbowałam sobie wmówić, że jej przejdzie. „Dzieci lubią straszne historie. Ja też je lubiłam" – myślałam.

Już nie wierzę, że z tego wyrośnie.

Przyjeżdżamy tu tylko od czasu do czasu. Irving mówi, że pustynia dziwnie na niego działa. Ale co w tym złego? – pytam, żeby go zdenerwować. (Ma rację. Pustynia tak właśnie działa na człowieka). Pewnie mogłabym zamontować w domu telewizor, ale pomysł wydaje się równie niedorzeczny, jak pomalowanie rzęs tygrysowi. Tak czy inaczej wiem, dlaczego Irving nie chce tu przyjeżdżać, i nie chodzi o brak telewizora. Nie lubi tego miejsca, bo nie lubi pamiętać.

Wolałby je sprzedać i jest to jedna z nielicznych spraw, w których mam odwagę wnieść kategoryczny sprzeciw. Dom należał do mnie,

zanim się pobraliśmy, moje nazwisko jest na akcie własności, więc, jak powiedziałaby Callie, Irving może mi skoczyć.

Sundial pojawia się na horyzoncie, gdy dzieli nas od niego jeszcze spora odległość. Przybliża się powoli z każdym odcinkiem szosy, i to znika za zakrętem albo stertą skał, to wychyla się na nowo, coraz bliższy, jak we śnie, gdy ktoś cię goni, a ty nie możesz uciec. Bo Sundial jest jak sen, i to pod wieloma względami.

Callie ciągnie mnie za rękaw.

– Przestań, to jedwab – rzucam ostro.

– Zatrzymaj się! – W jej zduszonym głosie słychać oburzenie. – Jesteśmy w Honesty. Zapomniałaś!

– Nie zapomniałam – protestuję, chociaż Callie ma rację. Odpłynęłam gdzieś w przeszłość, a może w przyszłość, trudno powiedzieć.

Po obu stronach drogi wyrastają widmowe szkielety Honesty. Zawsze zatrzymujemy się tu przed przyjazdem do Sundial. To taka nasza tradycja. Parkuję i wysiadamy. Z ziemi sterczą zardzewiałe pozostałości budynków i maszyn, rzucając długie cienie w krótkim zimowym zmierzchu. Powietrze jest zimne. Resztki światła padają ukośnie na upstrzony rdzą metal.

Miasteczko Honesty powstało w 1870 roku. Kiedyś mieszkały tu trzy tysiące ludzi. Osada umarła, kiedy zlikwidowano tutejszą trasę kolejową, odbijając w stronę Palm Springs. Teraz z miasteczka została tylko przecinająca je stara droga. Stosy popękanych prętów, wgniecione blaszane dachy. Belki stropowe i dźwigary tworzą rachityczne konstrukcje na tle czerwieniejącego wieczornego nieba.

– Niczego nie dotykaj – mówię jak zawsze. Callie nie ma krzty instynktu samozachowawczego. – I trzymaj się z dala od budynków.

Większość się zawaliła, pozostałym niewiele brakuje. Callie krzyczy coś do mnie i pędem rusza ku ruinom. Kocha to miejsce.

Callie

– Podoba ci się? – szepczę do Bladej Callie.

Może być – odpowiada, ale wiem, że jest zachwycona. Jej sylwetka pulsuje i lśni z rozkoszy. Przez jej głowę przeziera gwiazda. Piesek Śmietnikowy węszy i merda ogonem. Potem rusza galopem ku majaczącym w słabym świetle ruinom. Gwiżdżę na znak, że ma się nie oddalać – nie chcę, żeby przypadkiem tu został. Mam w plecaku jego kości, ale nie wiem, co się stanie, jeśli odjedziemy bez niego. Nie mogę ryzykować.

Oglądam się, żeby sprawdzić, czy mama na pewno nie widziała, jak gwiżdżę na niewidzialnego psa. Ostatnio ma na mnie oko. Ale nie, stoi tylko, przygryzając wargę, zapatrzona w pustkę.

Błąkam się po Honesty. Mijam kominek bez ścian, na wpół zagrzebany w piasku. Coś, co wygląda jak przewrócony słup telegraficzny, pęknięty i spłowiały od naporu żywiołów. Schody donikąd o przegniłych poręczach przypominających misterną koronkę. Ale najbardziej interesuje mnie coś schowanego za dużą kępą łobody.

Podkradam się cichutko, jakby mogło mnie usłyszeć, i wreszcie jest. Szyb kopalniany. Dość mały, niecałe dwa na dwa metry. Ciemny wlot zieje na dnie niewielkiego krateru w kształcie lejka. Wygląda tak, jakby wsysał otaczające go drobiny żwiru i kamienie. Osypisko jest strome i niezbyt zwarte – kto podejdzie za blisko, może się ześliznąć. Kopię kamyk, który podskakując, spada w głąb leja, po czym znika w ciemnościach. W myślach nazywam wlot szybu portalem. Tak, to właściwe słowo.

Wokół leży dużo świeżych kup. Coś tu mieszka. Ciepłe czy blade? I czy blade robią kupę? Bo Piesek Śmietnikowy chyba nie.

– Jeszcze tylko minuta, ciemno się robi! – woła mama. Rzeczywiście. Rozejrzawszy się, uświadamiam sobie, że nigdzie nie widać Pieska Śmietnikowego ani Bladej Callie. Wtopili się w krajobraz, jakby tu było ich miejsce. Ogarnia mnie przerażenie. A jeśli postanowią tutaj zostać? Jeśli właśnie o to od początku im chodziło? To dla nich idealny dom, nawet ja to wiem. A jeśli zeszli do portalu i są teraz w zupełnie innym miejscu?

Blada Callie, Blada Callie – mówię bezgłośnie. Nikt mi nie odpowiada.

– Blada Callie – powtarzam szeptem.

– Callie! – woła mama. – Chcę dotrzeć na miejsce przed zmrokiem.

– Jeszcze chwilę! – Emocje atakują wszystkie naraz. Zbiera mi się na płacz, bo jeśli Blada Callie i Piesek Śmietnikowy nie wrócą, zostanę całkiem sama.

Mama zbliża się zamaszystym krokiem. W zapadającym zmroku jej twarz nie wygląda normalnie. Przypomina kiepski szkic przyklejonych na odwrocie kości.

– Nie! – krzyczę. – Jeszcze nie, jeszcze nie!

Uciekam i chowam się za wielką stertą metalu, która wygląda jak rozerwany wybuchem pająk. Rozglądam się po zatartym w szarości terenie, gorączkowo wypatrując srebrnych błysków. Nie mogę ich tu zostawić. Po cichu wracam okrężną drogą do kępy łobody. Słyszę, jak mama potyka się w półmroku, wykrzykując moje imię. Ale ja nie zamierzam stąd odjeżdżać bez Bladej Callie i Pieska Śmietnikowego.

Portal majaczy czernią w zapadającym zmierzchu. Ruszam w tamtą stronę. Wylot zdaje się stworzony z jakiejś substancji podobnej do czarnego aksamitu. Skradam się na palcach. Stoję teraz na krawędzi leja, ale portal jest jakby bliżej, niż zapamiętałam. Mam wrażenie, że starczyłoby sięgnąć ręką, żeby go dotknąć. Gdzieś w oddali mama woła mnie po imieniu. Czarny aksamit delikatnie unosi się i opada, poruszany wiatrem albo może oddechem jakiejś wielkiej istoty uśpionej głęboko pod ziemią. Jeśli Blada Callie i Piesek Śmietnikowy naprawdę zniknęli, to ja też chcę zniknąć. Teraz, gdy zostałam w nim sama, ciepły świat jest zbyt samotnym miejscem. Czy mi się wydaje, czy z tunelu

dolatuje jakiś dźwięk? Swędzą mnie dłonie. Jaka jest w dotyku ciemność?

Wyciągam obie ręce w stronę portalu. Naprawdę dobiega z niego jakiś dźwięk. Muzyka, ale taka, jakiej nigdy w życiu nie słyszałam. Jak stukot zimnych kamieni i pękanie długich lodowych słupów…

Ostry ból przeszywa mi kostkę. Piesek Śmietnikowy dyszy u moich stóp, a jego język przypomina srebrną łyżeczkę między drobnymi igiełkami zębów.

Au – mówię z pretensją. Nie wiedziałam, że potrafi gryźć.

Blada Callie mówi: *Wróć. Nie powinno cię tu być, jeszcze nie teraz.*

Zza sterty gruzu wychodzi mama – powietrze jest zjeżone i kłujące od jej gniewu. Odciąga mnie od szybu. Widzę ślady swoich pięt w warstwie żwiru.

Potem mocno chwyta mnie za ramiona i spogląda na mnie. Uścisk ma jak stal.

– Mogłaś zginąć. Rozumiesz? – Przez sekundę w oczach lśni jej coś żółtego. Coś jakby żal. Rzeczywiście nie wygląda na stabilną. Jak gdyby żałowała, że nie wpadłam w ciemność i nie zostawiłam jej w spokoju. Co jest groźniejsze, portal czy moja własna matka?

– Puść! – krzyczę.

Ona jednak zamiast puścić, mocno mnie przytula. Otacza ciepłem, chucha w kark gorącym oddechem.

– Marsz do samochodu – mówi, a potem mnie puszcza. – Nigdy więcej tego nie rób. Ja nie żartuję, Callie.

Jej twarz jest już normalna, umęczona jak zwykle, a w głosie słychać tylko stres.

Jak dobrze siedzieć znów w ciepłym, rozwibrowanym wnętrzu auta. Cieszy mnie nawet dotyk ciasno zapiętego pasa bezpieczeństwa. *Gdzie się podziewaliście? Tak się bałam* – mówię do Bladej Callie i Pieska Śmietnikowego.

Tam było pełno psów – odpowiada Piesek. *Chciałem się z nimi przywitać.*

A więc w Honesty mieszkają blade. Psy. Ciekawe, czy je kiedyś zobaczę. Myślę o nich, podczas gdy za oknem słońce zwęża się w pomarańczową smugę. O duchach psów pierwszych osadników i tych późniejszych, dzikich, porzuconych, kiedy ludzie opuścili miasteczko.

Poszłam po niego, bo to jeszcze nie czas – tłumaczy Blada Callie.

Przewracam oczami, bo znam ten przemądrzały ton. Blada Callie znowu wpadła w dziwny nastrój. Kiedyś na tydzień schowała się w szafie i wisiała tam jak stara koszula, powtarzając w kółko jedno słowo: „Zatorowość, zatorowość, zatorowość". Później znów było normalnie, chodziła ze mną do szkoły i schowana w plecaku wyzłośliwiała się na nauczycieli.

Teraz śpiewa piosenkę, do której sama ułożyła melodię:

Niechaj umrę, jeśli kłamię,
Kłamstwo ością w gardle stanie,
Niech wnętrzności mi przegniją,
Niech mi w oko igłę wbiją.

W dawnych czasach to był sposób, żeby sprawdzić, czy na pewno nie żyjesz... Fajnie dla odmiany czegoś ją nauczyć. Blada Callie bywa straszną mądralą. Teraz, co dla niej typowe, nie pozwala mi nawet skończyć zdania.

Zobacz – mówi. *Jesteśmy.*

Rob

Serce wciąż dudni mi z przestrachu po wybryku Callie. Wystarczyło, że zerknęłam na telefon, i już jej nie było. Wciąż umie znikać jak mało kto – jakby wymykała się z rzeczywistości. Znalazłam ją wreszcie koło tego cholernego szybu. Wyciągała do niego rękę jak do kucyka w minizoo. Zrobiła coś niebezpiecznego, dokładnie to, czego jej zabroniłam. Tak niewiele brakowało, żeby się ześliznęła i wpadła do środka. Straciłam panowanie i nakrzyczałam na nią – wciąż widzę przed sobą jej wystraszone oczy, pełne jakiejś tajemnej wiedzy. Stopa jej się osunęła, zachrzęściło i na moment Callie straciła równowagę. Złapałam ją i odciągnęłam od tej mrocznej dziury. Wciąż czuję w ustach zwietrzały, mdląco słodki smak przerażenia. Ale obok wciąż kiełkuje tamta druga myśl, choć z całych sił próbuję wypchnąć ją z głowy. Prędzej czy później Callie znów spróbuje skrzywdzić siostrę.

A jeśli zdołam ocalić tylko jedno z dzieci? Jeśli będę musiała wybrać?

– Mamo – odzywa się Callie, a ja z wściekłością szarpię kierownicę, bo jechałam krzywo, przy samej krawędzi drogi. Skup się.

Zatrzymuję samochód.

– Jesteśmy – oznajmia z zadowoleniem Callie. Na tle zmierzchu majaczy wysoka brama.

– Otworzysz? – Cieszę się, że mój głos zabrzmiał normalnie. Nie czuję się normalnie.

Callie zamyka za nami bramę i wskakuje do samochodu. Świadomość, że otacza nas płot, odrobinę podnosi mnie na duchu. Dobrze znaleźć się poza otwartą pustynią. Cała ta przestrzeń mąci człowiekowi w głowie. Tak, to było właśnie to. Pustynne myśli.

Sundial jest ogrodzone kilometrami siatki. Z zewnątrz przypomina rządowy kompleks z jakiegoś serialu. Są tu nawet duże czerwone tablice z napisem WSTĘP WZBRONIONY. Albo były. Większość pewnie zardzewiała i się przewróciła. Mijamy szopy na narzędzia, stare szklarnie, składnice i budki z generatorami. Im bliżej serca posesji, tym sylwetki budynków są większe: pomieszczenia gospodarcze, stajnia dawno temu przerobiona na pokoje dla gości, dziś już nieużywane. Widzę długą, ciemną wiatę, a pod nią trójkąt granatowego wieczornego nieba. To altana, w której siadało się na krzesłach wyciętych z pnia sekwoi i spoglądało na pustynię aż do podnóża gór w oddali. Chłodne miejsce, dobre do myślenia lub pracy, nawet podczas gorącego dnia. Mia i Falcon chcieli, by w Sundial można było odnaleźć natchnienie.

Dawno zniszczyłam zagrody dla psów, ale boczne słupki były zabetonowane i nie dało się ich usunąć. Od strony drogi wyglądają jak samotni wartownicy na tle ciemniejącego nieba. Za to laboratoria są miłosiernie ukryte w kępach ogromnych kaktusów. Gdybym mogła, zrównałabym je z ziemią, ale to zaskakująco drogie przedsięwzięcie, zwłaszcza tutaj. Wybebeszyłam je więc, zabezpieczyłam łańcuchami, zamknęłam na kłódkę i zostawiłam, by zgniły. Zielona farba odłazi od ścian, odsłaniając suszoną cegłę pod spodem. Czasem przychodzę na nie popatrzeć. Nie wchodzę do środka. Chcę się tylko upewnić, że nie mieszkają w nich żadne duchy.

Zegar słoneczny, od którego dom wziął swoją nazwę, znajduje się daleko od drogi, w cieniu wielkiego kamiennego kurhanu. To prywatne miejsce, nieprzeznaczone dla oczu przejezdnych.

Mijamy ostatni zakręt i już widać dom, przybliżający się w wieczornym świetle. Oto znalazłyśmy się w samym sercu Sundial.

Na pierwszy rzut oka dom wygląda jak ruina – pod betonową fasadą zalegają sterty kamieni. Jej górna część jest nierówna, popękana, jak mur średniowiecznego zamku, który przetrwał oblężenie. Wokół sterczą potargane krzaczki i kaktusy przypominające starych mężczyzn pozginanych wiatrem, który hula po tutejszych równinach. Dom jest okrągły, dwupoziomowy, zbudowany z dużych skalnych bloków dających schronienie przed
skwarem.

Gdy ja mocuję się z zamkiem, Callie obrysowuje palcem starą tabliczkę przy wejściu. Jest wyrzeźbiona w drewnie, przytwierdzona do ściany na lewo od frontowych drzwi. NIE WPUSZCZAĆ PSÓW DO DOMU.

– Mówiłaś, że nie mieliście tu zwierząt domowych. To po co ten napis? – pyta Callie.

– Mieliśmy psy – przypominam jej. – Ale nie były udomowione. Powinniśmy sprawić ci jakieś zwierzątko – dodaję nagle, bez zastanowienia. – Może kociaka?

– Ja już mam pieska, mamo – odpowiada znudzona. – Możemy wreszcie wejść?

Po otwarciu drzwi wita nas znajomy zapach nagrzanego drewna i stojącego powietrza. Ale ja nie mogę się ruszyć. Żołądek podchodzi mi do gardła na wspomnienie tego, co dziś rano znalazłam w jej plecaku. Mały obrazek z kości. Gdy kazałam jej go zostawić, wrzasnęła: „Piesek Śmietnikowy jedzie ze mną!".

Wtedy chciałam tylko wsadzić ją do samochodu. Pozwoliłam, by wsunęła obrazek z powrotem do plecaka, bo nie miałam ochoty go dotykać. Pomyślałam: „Czy tak to się właśnie kończy, kiedy dzieci uczą się od ciebie tłumić krzyk?".

Dopiero teraz, we wszystkich krwawych szczegółach, dociera do mnie, co zrobiła moja córka. Zabiła żywą istotę. Schwytała ciepłego, ruchliwego szczeniaka – i co? Podniosła drobne ciałko wysoko nad głowę i rzuciła na pokryty gnijącymi liśćmi beton uliczki za domem? Objęła dłońmi delikatną szyję i ścisnęła, nie zważając na to, że szczenię skamle, odsłania okrągły brzuszek i drapie powietrze szerokimi łapami, do których nigdy nie dorośnie? A może dodała trucizny do miseczki z rozmoczonym w mleku chlebem i wywabiła malucha spod śmietnika? Wyobrażam sobie szczenię, które chłepcze gwałtownie, rozlewając wszędzie mleko i merdając ogonkiem nie większym od małego palca. Wyobrażam sobie obojętną Callie, o zielonych oczach w kształcie migdałów, patrzącą, jak pod wpływem trucizny szczeniak zaczyna chorować i drapie łapkami brzuch. Ten ostatni scenariusz jest i tak najlepszy z możliwych.

Jak przez mgłę słyszę Callie, która mówi:

– Mamo… Mamo, drzwi?

Potem głos Jack: „W domu jest pies”.

Przed oczami stają mi czarne plamy. Opieram się o ścianę Sundial i oddycham głęboko.

Przekroczenie progu Sundial jest jak zanurzenie się w ciemnym wylocie jaskini, aby znaleźć się we wnętrzu katedry. Otwarty parter to jedno ogromne pomieszczenie, zwieńczone wysokim dachem. Drewniane schody wiodą na galerię z czerwonego cedru, od której sypialnie odchodzą niczym szprychy. Ojciec mawiał, że dom ma kształt koła, bo wszyscy jesteśmy tu ze sobą złączeni. Kocham to miejsce, ale wiem, jaką ma moc. Wspomnienia zalegają na kamiennej podłodze i skrzą się w rozedrganym upałem powietrzu. Falcon, Jack, Mia, Paweł. No i ja. Ta część mnie, która umarła tutaj dawno temu.

– Jestem głodna – mówi Callie.

– Może pójdziesz przywitać się z dziadkiem i Mią? – proponuję, walcząc z zawrotami głowy. Muszę zniknąć jej z oczu. – A ja zrobię pizzę.

Callie patrzy na mnie z wahaniem.

– Wszystko w porządku – zapewniam ją. – Naprawdę, skarbie. Chyba coś mi zaszkodziło.

– Ale przecież nie jadłaś dziś obiadu. – Callie marszczy czoło ze zmartwienia. Mimo wszystko to tylko dziecko. Cokolwiek by się działo, muszę o tym pamiętać.

Wyciągam pizzę z lodówki turystycznej, dodaję kupione po drodze papryczki, pieczarki i ser taleggio. Podjęłam twarde postanowienie, by wmusić w Callie chociaż trochę warzyw. Korek wyskakuje z radosnym pyknięciem. Kupiłam kilka butelek czerwonego wina. W ciągu najbliższych dni będę potrzebowała się napić.

Wkładam pizzę do piekarnika i piszę wiadomość do Irvinga. „Dojechałyśmy. Weź worek na śmieci, idź do pokoju Callie i wyrzuć wszystko, co wisi na ścianach”. Wyobrażam sobie jego minę, gdy odwróci pierwszy rysunek i zobaczy kości. Powinnam go ostrzec. Ale musi poczuć wstrząs, chcę – nie, potrzebuję tego – żeby bał się tak samo jak ja.

Otwieram tylne drzwi z siatką przeciw owadom i wychodzę na taras.

Grób matki przy zegarze słonecznym był kiedyś oznaczony krzakiem róży. W Kalifornii bez odpowiednich pozwoleń nie wolno grzebać ciał na prywatnych posesjach. Ojciec nigdy nie dbał o papiery. Nie był takim typem człowieka. To ja zajęłam się nimi wiele lat później. Sprawa okazała się prosta – wystarczy napisać do komisji planowania przestrzennego i gotowe. Oficjalnie cała posesja jest teraz rodzinnym cmentarzem. Dwa nagrobki przeniosłam bliżej domu, pod jakarandę, żeby widzieć je z kuchennego okna. Irving nie potrafi tego znieść. Może dlatego podjęłam taką decyzję. Tak naprawdę w grobie nie ma ciała mojej matki, ale to raczej bez znaczenia.

Wysilam wzrok i dostrzegam Callie obok nagrobków pod rozgwieżdżonym nocnym niebem. Jest tak samo nieruchoma jak one. Wyglądają jak trzy kamienne sylwetki – to, co żywe i co martwe, nie różni się od siebie. Zastanawiam się, ile znaczą dla niej te pomniki poświęcone pamięci ludzi, których nigdy nie znała. Zamówiłam obeliski z surowego kamienia, wyciosane przez rzeźbiarza z Ojai. Chyba już wtedy szykowałam się do tego, by powlec nas wszystkich glazurą normalności. Albo przynajmniej wyrobić nam opinię ekscentrycznych.

– Chodź do domu, kochanie! – wołam, a wtedy jeden z trzech cieni odrywa się od pozostałych i rusza w moją stronę. Wygląda, jakby płynął tuż nad żwirem i piaskiem. Przez moment nie jestem pewna, które z nich się zbliża. Potem z ciemności wyłania się twarz Callie. Wygląda tak dziecinnie, że jej widok przeszywa mnie gwałtownym bólem. Callie odpycha moje wyciągnięte ramiona.

– Pizza – mówi.

Gdy podczas kolacji ze znajomymi, zazwyczaj już przy kawie, zaczyna się wspominanie dzieciństwa, milczę. Imiona chomików, dni przyjazdu lodziarza, szkolni rywale, seriale o kosmitach, jakaś gra z akcją na szlaku oregońskim, szlabany w słoneczne dni za karę – to wszystko mnie nie dotyczy.

Jeśli ktoś zapyta wprost, odpowiadam żartobliwie: „Ja nie mam takich wspomnień. Wychowałam się na pustyni i zamiast chodzić do szkoły, miałam lekcje z ojcem – który, na marginesie, miał na imię

Falcon, czyli »sokół«. Hodowaliśmy własne warzywa, mieliśmy jaja od kur i mleko od krowy".

Słyszę wtedy: „To bardzo ciekawe". Czasem ktoś rzuci uprzejmy komentarz: „Na pewno świetnie było dorastać w takiej samowystarczalnej wspólnocie", „Ale super, wychowanie blisko natury". Na studiach, kiedy jeszcze myślałam, że jestem interesująca, reagowałam na to entuzjastycznie. Opowiadałam im, jak przygarnęliśmy szczenię kojota. Wspominałam rodziców, naukowców o hipisowskich duszach, i gniazdo grzechotników w położonej na wschód od domu jaskini ze sztuką naskalną. Wynajdywałam najróżniejsze sposoby, aby brzmiało to bardziej normalnie. Ofiarowanie przemianowałam na „cotygodniowe rodzinne opowieści przy ognisku". Nigdy nie mówiłam o Jack. Sądziłam, że dzięki temu uda mi się dopasować do reszty.

Potrzebowałam czasu, by zrozumieć, że ich skinięcia i życzliwe spojrzenia były wymuszone. Ludzie nie mieli ochoty na takie rozmowy. W końcu chodziło o to, by udawać, że mamy z sobą wiele wspólnego. Ja byłam inna i przez to psułam im zabawę.

Zadziwia mnie ta potrzeba szukania wspólnych doświadczeń z dzieciństwa. Co kogo obchodzi, czy ktoś miał kiedyś tego samego ulubionego żółwia z kreskówki? Ważniejsze są różnice. Jedno dziecko było bite, drugie nie. Jedno miało dysleksję, drugie nie. Ojciec jednego był seryjnym zabójcą, ojciec drugiego nie.

Dziś ignoruję takie rozmowy. Pamięć jest jak pętla na szyi. Czasem zaciska się tak mocno, że tracę oddech. Trudno stwierdzić, co ją obudzi. Zapach paczuli, promienie słońca, kobiecy głos, ogień w kominku. Dyszący w upale pies. Długie opalone nogi w szortach z kieszeniami, olej do konserwacji broni, woń krwistego mięsa prosto z lodówki, smak bakłażana i lekko przypalonego tofu. Wystarczy drobiazg i znów jestem w Sundial, spaceruję o zmierzchu z ojcem albo wiosną przyglądam się grzechotnikowi na ścieżce, ociężałemu po zimie i prostemu jak kawałek rury. Pulsująca w słońcu jezdnia, pobrzękiwanie prętów ogrodzenia. Chmury pyłu w powietrzu, kładące się cienką warstwą na języku.

Będąc tu, wyczuwam dawną Rob, ukrytą w barwach świtu i na skraju rzeczy – widmo osoby, którą kiedyś byłam. Czy zdołałabym na nowo ją odnaleźć? I czy chcę? Ten rodzaj zawieszenia między dwiema tożsamościami jest przerażającym uczuciem.

Tak bardzo tęsknię za Annie. Rozłąka z dzieckiem to doznanie niepodobne do żadnego innego. Człowiek ma wrażenie, że jest pusty w środku. Tyle że ja i Callie możemy załatwić swoje sprawy tylko tutaj. W Sundial pogrzebałam dawną siebie. Teraz pora zostawić tu także cząstkę Callie.

Dzwonię do Irvinga.

– Hej – rzuca swobodnym tonem.

– Dojechałyśmy na miejsce – mówię.

– Świetnie. Już rozpakowane? – Słychać, że się stara. Zwykle nie interesują go takie rzeczy.

– Jestem padnięta, zrobię to rano. Jak Annie? Mogę z nią pogadać?

– Annie śpi.

– Dobrze, to jej nie budź. Byłeś u Callie, jak prosiłam?

– Tak, tak – rzuca beztrosko. – Wszystko wyrzuciłem.

Wzdrygam się na te słowa. Wiem, że kłamie. W jego głosie nie słychać napięcia. Może już się zdążył napić. Jestem pewna, że nie widział kości.

W tle rozlega się jakiś dźwięk. Nic takiego, ledwie szelest, może zakłócenie na linii.

– Co to? – pytam, ale w tej samej chwili dociera do mnie, co albo raczej kogo słyszałam.

Irving podnosi głos, nagle rozzłoszczony.

– Rob, długo byłem cierpliwy, ale mam chyba prawo wiedzieć, co takiego wyprawiasz z moją córką…

– Daj mi Hannah – przerywam mu.

Irving zaczyna długi, bełkotliwy wywód o tym, że wpadła sprawdzić, czy czegoś nie potrzebują.

– Tak, poprosiłam, żeby zajrzała do was na wszelki wypadek.

Teraz Irving zastanawia się, jak zareagować. Chyba nie wie, jak odwrócić kota ogonem, bo mówi tylko:

– Okej, już ci ją daję.

– Rob? – rzuca Hannah lekko zdyszanym głosem. Co oni tam robili? Nie. Nie ma sensu teraz o tym myśleć.

– Jak Annie?

– Rano miała trzydzieści osiem stopni. Zjadła trochę zupy i truskawki. Dałam jej paracetamol. Głównie śpi.

– Dzięki.

To była relacja matki. Dziwne, że to właśnie Hannah daje mi pocieszenie i łagodzi strach, który niczym drut kolczasty zaciska mi się wokół serca. Zastanawiam się, czy nie poprosić jej o zrobienie porządku u Callie. Zgodziłaby się. W tej chwili jest gotowa zrobić dla mnie wszystko. Ale nie potrafię. Wiem, że na to nie zasłużyła. Ta kara jest zarezerwowana dla mojego męża.

– Jak tam chłopcy? – Za to, że czuwa nad moją córką, jestem jej winna choć to jedno uprzejme pytanie.

– Wszystko gra. Nick zabiera ich na weekend pod namiot.

Przez chwilę obie myślimy o tym, że oni dwoje niby przypadkiem zostali sami, każde w swoim domu.

– Chcesz jeszcze Irvinga? – pyta Hannah.

– Nie, właściwie to nie.

Czekam jeszcze moment, ale żadna z nas się nie odzywa, więc po prostu się rozłączam.

Czasem gdy siedzimy na ganku w upalny wieczór, popijając zimne chardonnay lub w chwilach szaleństwa margaritę, spoglądam na piękną twarz Hannah i staram się zobaczyć ją oczami Jack. To drobny nawyk, który wykształciłam z biegiem lat: wyobrażanie sobie, co Jack sądziłaby o różnych rzeczach.

„Za cienkie brwi" – orzeka Jack w mojej głowie. „To jeden z tych kretyńskich trendów z naszej młodości, kiedy wszystkie laski nosiły chokery i skubały sobie brwi, tak że wyglądały jak narysowane ołówkiem. Założę się, że Hannah była kiedyś gotką. Nick na pewno przez rok czy dwa zgrywał niegrzecznego chłopca, słychać to między wierszami jego tijuańskich opowieści. Hannah ma kremową bluzkę, samoopalacz równo nałożony. Ręce i nogi szczupłe, ale ta bluzka jakaś luźna. Może ukrywa brzuch? Po dwóch porodach to normalne. Bluzka

raczej nowa, w domu z dwójką dzieci na takim jasnym ciuchu zawsze będą plamy. Poobgryzane paznokcie".

Wmawiam sobie, że to sposób, by zatrzymać wspomnienie o siostrze i jej ciętym języku. Ale Jack nigdy nie powiedziałaby tego o Hannah. Nie miała pojęcia o chokerach, trendach ani macierzyństwie. To po prostu ja sama daję sobie przyzwolenie na bycie zołzą.

Idę powiedzieć Callie dobranoc.

Nie słyszała, jak weszłam do pokoju. Klęczy przy oknie, nucąc cicho pod nosem. Potem wskazuje palcem pustynną ciemność za szybą i mamrocze do siebie. Nagle uświadamiam sobie, że Callie liczy gwiazdy, jak każde normalne dziecko.

Callie

Blada Callie wyrywa mnie ze snu. Lubi rozmawiać nocą, kiedy większość istot śpi w łóżkach albo w ziemi, na drzewach lub pod wodą.

Teraz słuchaj, Ciepła Callie, to ważne.

Budzę się z jękiem.

– Co jest?

Czasem dowiaduję się od niej dobrych rzeczy. Kiedyś powiedziała mi na przykład, gdzie znaleźć Pieska Śmietnikowego. Wiedziała, że zrobię z niego naszego przyjaciela. I zrobiłam, zabrałam jego kości. Teraz Piesek wierci się obok i łapie zębami niewidzialne komary. Merda ogonem w stronę ciemnych kątów, piszczy i wyciąga się do gwiazd za oknem. Piesek Śmietnikowy widzi nawet to, czego nie widzi Blada Callie. Jego ciemne oczy są pełne tajemnic.

– Czego chcesz? – szepczę znowu.

Twoja matka. Wiem, czemu nas tu przywiozła. Z powodu kości.

– Co ty nie powiesz – prycham. – Wiedziałam, że spanikuje na ich widok. Pewnie zastanawia się teraz, do którego poprawczaka mnie wysłać.

Tutaj chodzi o coś jeszcze innego. Coś dziwnego.

– Dla ciebie wszystko jest dziwne. – To prawda. Blada Callie nie rozumie świata ciepłych ludzi.

Pozwala ci jeść wszystko, na co masz ochotę.

– I co z tego?

Słyszałaś kiedyś o ostatnim posiłku skazańca? Dają więźniowi to, czego sobie zażyczy, a potem go zabijają.

Serce lekko trzepocze mi w piersi. Coś w tym jest. Mama nigdy wcześniej tego nie robiła. Jedyna sensowna odpowiedź jest taka, że przestało jej zależeć. Nie obchodzi jej, co jem, bo spisała mnie na straty. Nigdy nie sądziłam, że zatęsknię za naszymi utarczkami, a jednak zbiera mi się na płacz.

Lepiej miej ją na oku – radzi mi Blada Callie. *Wiem, że to twoja mama, ale nie jest normalna. Pamiętasz, co znalazłyśmy w jej gabinecie?*

– Pamiętam.

Blada Callie i ja widzimy wszystko, co dzieje się w domu (detektyw i lupa!). Nocami przeglądamy odcinki z książeczek czekowych, notatniki, szafki z lekami. Zawsze wiemy, kiedy tata robi brzydkie rzeczy z jakąś panią. Zawsze da się wychwycić objawy. Oczywiście trzymam jego stronę. Ja i tata jesteśmy najlepszymi kumplami. Mama to wściekła czerwona buźka.

Całe szczęście, że pisze ręcznie, nie ma komputera ani haseł. Kiedy czytam jej sekretne opowiastki, robi mi się dziwnie. Nigdy bym się po niej czegoś takiego nie spodziewała. Krew, rozcięte brzuchy, noże wbite w serca. Jest drobna, złocista i schludna, ale w środku ma różne dziwactwa.

W samochodzie myślała o tym, że musi wybrać między tobą i Annie. Myślała o twojej śmierci.

Na ramiona wyskakuje mi gęsia skórka. Przypomina mi się, jak tata powiedział, że mama jest niestabilna.

– Źle zrozumiałaś – rzucam, próbując nadać tonowi więcej pewności. Bladą Callie czasem ponosi.

Może byłoby fajnie, gdybyś też była blada – mówi.

– Może. Ale ja chyba nie chcę umrzeć – odpowiadam ostrożnie, żeby jej nie urazić. – Naprawdę muszę już spać.

Sen jest jedną z rzeczy, których Blada Callie nie rozumie. Gdybym jej pozwoliła, gadałaby do rana albo póki nie doprowadziłaby mnie do łez. Bywa strasznie męcząca. Ale jest przy mnie od zawsze. Nic na to nie poradzę.

Jestem tu, popilnuję cię – mówi. *Chcesz jakiś miły sen?*

– Pewnie – odpowiadam ostrożnie. Blada Callie nie zawsze rozumie, co znaczy „miły”. Ma dość osobliwy gust. Ale nie chcę jej obrazić. Bo to też się przyjemnie nie skończy.

Tym razem trafia w dziesiątkę. Śni mi się, że unoszę się w ciemnej wodzie. Po powierzchni dryfują mokre białe płatki jabłoni. Pachnie gruszkami nagrzanymi w misce na słonecznym parapecie. Przez morze galopuje młody byczek o gładkiej sierści w intensywnym odcieniu miedzi, rozchlapując wodę, która skrzy się diamentowymi kroplami w czystym powietrzu. To nie moje wspomnienie – więc czyje? Przez chwilę zastanawiam się, gdzie słyszałam o krowach barwy miedzianych monet, ale potem sen mnie otula i odpływam.

Wstaję wcześnie i idę popatrzeć na zegary. Są wszędzie, tylko trzeba umieć je rozpoznać. Mlecz to zegar, wiadomo. Sypane do miski ziarna ryżu, z których każde zaznacza upływ czasu. Lekcje do odrobienia, gnijące jabłko, drzewo, które czeka na wiosnę. Każde z nich odmierza chwile, które zostały do śmierci. Tik-tak.

Myślę o tym, co mówiła w nocy Blada Callie. Czasem się myli, ale to z pewnością dziwne, że tu przyjechałyśmy. I że mama jest dla mnie taka miła. Zwykle patrzy na mnie jak na dywan, który miałaby ochotę wygładzić. Albo – co gorsza – w jej oczach widać błysk zaskoczenia, jakby właśnie przypomniała sobie o moim istnieniu.

Wychodzę na czerwony świt. Tu na pustyni zegary są z piasku i wiatru. Osiadają na ścianach domu albo jak okiem sięgnąć tworzą wydmy. Pustynne zegary odmierzają odległość, jaką zdołałabym przebyć w skwarze lub lodowatym chłodzie nocy, zanimbym umarła. Odpowiedź brzmi: nie zaszłabym daleko. Od najbliższego sklepu dzieli nas ponad trzydzieści kilometrów. Moje kości spoczęłyby na pustyni, a samotny duch miałby za towarzystwo jedynie sępy i węże. Może nie byłoby tak źle. A może mama zakopałaby mnie obok Falcona i Mii, a potem powiedziała wszystkim, że wyszłam w nocy i nie wróciłam. Albo że wyskoczyłam z auta na stacji benzynowej i uciekłam w pustkę.

Jedno jest pewne: stąd, z Sundial, nie ma dokąd pójść. Patrzę, jak słońce zabarwia czerwienią piasek i dwa nagrobki. Nie chcę leżeć, zimna i blada, w dziurze w piachu obok Falcona i Mii.

Na zachód, nad górami Cottonwood, wciąż jest ciemno. To tam była ferma szczeniąt. Zapytałam kiedyś mamę, czy możemy pojechać ją obejrzeć, ale ona tylko zbladła i zacisnęła usta. Graingerowie. Dreszcz mnie przechodzi, a w ciele buzuje żar na myśl o tym, co robili szczeniakom. W końcu Burt zamordował Linę, a potem przedawkował i umarł. Myślę, że gdy przyzwyczaisz się do zabijania, możesz zabić każdego, nawet własnego męża. Pisali o tym w gazetach. Fermy już nie ma, ale wszyscy o niej wiedzą; to jak mieszkanie w sąsiedztwie sławnej osoby.

Chłodny dotyk dłoni na karku. Z wrzaskiem rzucam się do ucieczki, ale czuję na ramieniu stalowy uścisk.

Twarz mamy jest kawałkiem ciemności. W żółtych włosach połyskuje czerwień świtu.

– Co chcesz na śniadanie, ranny ptaszku?

Naleśniki są pyszne, chrupiące na krawędziach i złote w środku, a mama pozwala mi polać je syropem, a nawet dodać lodów. Przechodzi mnie lekki dreszcz, takie „O-o!". Ale kurka wodna, to tylko syrop i lody (lubię mówić „kurka wodna", to takie skryte przekleństwo). Przez Bladą Callie mam dziwne myśli. Teraz, w ciepłej kuchni, do której słońce wlewa się przez szklane drzwi, mama wygląda na bardzo zmęczoną.

Postanawiam przeprowadzić test.

– Mogę dostać kubek kawy?

Mama nie parska śmiechem ani nie rzuca kąśliwej uwagi spod uniesionej brwi. Normalnie tak by zareagowała. W ogóle nic nie mówi. Sięga po kubek i napełnia go do połowy. Dodaje wprawdzie dużo mleka, ale pozwala mi napić się kawy.

– Wszystko w porządku, mamo? – pytam.

– Tak – odpowiada. – Spędzamy razem za mało czasu, prawda, kochanie? Trzeba było to zrobić dawno temu. Wyjechać gdzieś i naprawdę sobie pogadać, tylko we dwie.

– Przewracanie oczami – mówię i przewracam oczami. Ale czuję wielką ulgę. To po prostu kolejny odcinek programu *Najlepsza matka świata*. Raz na jakiś czas mama próbuje się do mnie zbliżyć, udaje, że mnie lubi. Nic z tego nie wychodzi, ale przynajmniej w ten sposób sobie

wmawia, że to nie jej wina, i może później opowiadać ludziom, jaki mam trudny charakter.

Aż nie wierzę, że omal nie potraktowałam poważnie słów Bladej Callie. Ona nie rozumie tylu rzeczy. Kiedyś próbowała mi tłumaczyć, że łosie i łososie są spokrewnione, i dlatego się podobnie nazywają. Serio? Buźka klauna.

Rob

Budzę się w przedświtowej szarości. Mam do odbycia pielgrzymkę nieprzeznaczoną dla oczu Callie.

W kuchni wyciągam z szuflady latarkę. Biorę gumowe rękawiczki i zarzucam na ramię worek na śmieci pełen tanich skrawków mięsa z lodówki. Pustynia rozbrzmiewa swoją własną muzyką – stuki i szelesty nocy ustępują pod naporem dnia. Dotarłszy do zachodniej strony ogrodzenia, wkładam rękawiczki i wyjmuję z worka garść mięsa. Biorę mocny zamach i mięso z zimnym plaśnięciem ląduje po drugiej stronie siatki. Powtarzam tę czynność co sto metrów. Można to nazwać składaniem ofiary.

Wreszcie zgniatam pusty worek i chowam go do kieszeni. Cały czas oświetlając sobie ziemię pod nogami, ruszam tam, skąd dobiega cichy szmer wody. Nocą na pustyni grasują skorpiony i węże.

Z ciemności wyłania się kamienny kurhan. Wewnątrz rozbrzmiewa echem chlupot niewidzialnego strumienia. Źródło rzadko wysycha, nawet podczas największych upałów i najsuchszej zimy. Z przodu, na ziemi, ułożone w półkole kamienie z nazwami miesięcy otacza większy krąg kamieni z wyrytymi cyframi. Pojedynczy kamień w centrum wyznacza miejsce, w którym człowiek staje się wskazówką. To właśnie zegar słoneczny, od którego dom wziął swoją nazwę. Zbudował go Falcon. Chciał nas uczynić częścią tego miejsca, tej ziemi i upływu czasu. Tutaj stajemy się punktem, w którym one wszystkie się stykają.

Niebo nad górami różowieje, a ja ostrożnie staję w centrum okręgu. W miarę jak się przejaśnia, cień nabiera ostrości i kamienny krąg przecina chuda jak szkielet widmowa sylwetka drugiej Rob. Jest

dwudziesty trzeci stycznia, mówi. Jak zawsze na widok tego drobnego cudu, z ust wyrywa mi się cichy okrzyk. Jestem częścią ruchu gwiazd, precyzyjnie wyznaczonym punktem w układzie słonecznym. To właśnie musieli czuć pierwsi ludzie, ilekroć słońce rozpraszało mrok. Zadziwienie.

Ale nie po to tu przyszłam.

– Przepraszam – szepczę. – Tęsknię. Kocham cię.

Nagle tama zbudowana ze wszystkich elementów mojego nowego życia – półki na przyprawy, moich córek, rabatek w ogrodzie, drinków z sąsiadami i zebrań komitetu rodzicielskiego – pęka i uwalnia tłumiony dotąd smutek. Poddaję się tej fali. Płaczę aż do ochrypnięcia, póki w spuchniętych, piekących oczach nie zabraknie łez.

Zbliżam się do domu w czerwonawym świetle poranka. Callie stoi wpatrzona w groby Falcona i Mii. Jej ciało rzuca długi cień. Porusza ustami, za szybko, żebym mogła coś wyczytać, jak na przyspieszonym filmie. Spojrzenie ma puste.

Daję sobie chwilę, żeby zapanować nad twarzą, a potem ruszam w jej stronę.

– Co chcesz na śniadanie, ranny ptaszku?

„Kocham obie moje córki. Potrafię chronić je obie” – powtarzam te słowa w myślach raz za razem, niczym zaklęcie.

Arrowood

W oborze panowała cisza. Callie dotknęła gładkiego krowiego karku w intensywnym odcieniu miedzi. Krowa opuściła długie rzęsy i przywarła do jej dłoni. „Nie wiesz, kim jestem" – pomyślała Callie. Krowa wzięła ją za dobrą osobę, więc obecność zwierzęcia zadziałała krzepiąco, choćby tylko przez chwilę.

Callie podniosła głowę i napotkała wzrok panny Grainger.

– Koleżanki nie chcą z tobą rozmawiać – odezwała się nauczycielka. – Dobrze wiem, jakie to trudne.

– Skąd pani zna moją matkę?

– Rob? Przyjaźniłyśmy się dawno temu. Kiedy byłyśmy w twoim wieku, tu, w Arrowood, należałyśmy do drużyny Elegantek z Jedenastej. Tak się składa, że właśnie myślałam o twojej matce, i dlatego przyszłam. To tu się poznałyśmy, prawie dokładnie w miejscu, w którym teraz stoisz. Rob i Irv, zawsze razem. Bo widzisz, mam na imię Irving. Irving Grainger.

„Jakie to dziwne" – pomyślała Callie, próbując wyobrazić sobie pannę Grainger w młodości. Nie pamiętała matki, która zniknęła dawno temu, a w domu nigdy się o niej nie mówiło. Zwłaszcza nikt nie ważył się wypowiedzieć słowa „wiedźma".

– Zawsze zaglądaj pod spód, a możliwe, że znajdziesz coś, czego się nie spodziewałaś – powiedziała panna Grainger. Krowa poruszyła się nieznacznie. Pod jej prawym kopytem leżał jakiś rulonik. Callie przyjrzała mu się bliżej. Okazał się zwitkiem banknotów.

– Wygląda na to, że leżały tutaj od początku – powiedziała panna Grainger. Ale minę miała poważną. – A może to ty je tu ukryłaś?

– Nie – wyszeptała Callie. Schyliła się i wzięła banknoty do ręki. – Musimy zaraz oddać je Jack.

Panna Grainger postawiła jej na karku stopę obutą w jedwabny pantofelek. Choć Callie wytężała wszystkie siły, nie była w stanie się podnieść. Nagle powiał zimny wiatr. Krowa ryknęła i zerwała się do ucieczki. Callie słyszała, jak rozpaczliwie bodzie drewniane ściany boksu, usiłując się wydostać.

– Kłamiesz – stwierdziła ze smutkiem panna Grainger. – To wstrętne, kiedy młoda dama kłamie. Sprawiłaś zawód swojej matce. Spójrz tylko na jej twarz.

Odsunęła stopę i czubkiem pantofla uniosła podbródek Callie. Wtedy dziewczyna dostrzegła to, co przyniosło ze sobą świszczący strumień wiatru.

To coś zwisało z łańcucha pośrodku obory. Przypominało podłużny szary kokon, mniej więcej ludzkiego wzrostu, mieniący się srebrzyście przy brzegach. Kokon obracał się powoli. Callie pisnęła cicho. W prążkowanym świetle obory dostrzegła to, czego najbardziej się bała – na szarej powierzchni kokonu majaczyła niewyraźna twarz. Była to twarz krzyczącej kobiety. Twarz jej matki.

– Znalazła sposób, by utrzymać się przy życiu – oznajmiła ponuro panna Grainger. – I obserwuje cię, radzę ci w to uwierzyć. Rob i Irv, zawsze razem.

Twarz otworzyła wąskie, jakby naszkicowane usta. Callie krzyknęła i w oborze zapadła ciemność. Kokon mżył, obracając się powoli, jak wisielec.

– Czas uciekać – powiedziała panna Grainger i Callie złapała ją za rękę.

Callie

Mama myśli, że nie lubimy się z Annie, ale mama nic nie rozumie. Ja i Blada Callie zrobimy wszystko, żeby chronić moją siostrę. Jeśli zdarzy nam się krzyknąć albo ją uderzyć, to tylko dla jej dobra. Annie w rzeczywistości jest okropnym dzieckiem. Potrzebuje dyscypliny. Mama jej tego nie da, bo Annie to jej pupilka, więc ja muszę.

Mama oczywiście o niczym nie wie. Wściekłaby się, gdyby wiedziała. Annie jest wiecznie zaspana i chodzi z głową w chmurach. Blada Callie i ja jesteśmy realistkami. Wiemy, że życie to nie bajka i nie da się przez nie płynąć z nadzieją, że jeśli się rozpłaczesz lub popatrzysz słodko, ludzie zaraz wszystko ci wybaczą. Annie próbuje czasem ze mną tych numerów i bardzo się dziwi, że nie działają. Mimo to dogadujemy się nie najgorzej, a przynajmniej dogadywałyśmy – aż do tamtego z Marią. Uch, Maria.

W szkole Annie i ja zawsze jemy razem lunch. To taki nasz zwyczaj. Lubię widywać ją w środku dnia. Nie żebym ją sprawdzała, po prostu jeśli to możliwe, wolę wiedzieć, gdzie jest. Właściwie nie mam wielu koleżanek. Więc to miłe spotkania dla nas obu. Na skraju boiska stoi ławka, prawie schowana w żywopłocie. Nie widać jej z głównego budynku szkoły. Lubimy ją, bo możemy się tam schować przed mamą. Mama uczy w naszej szkole, na szczęście nie nas, ale to i tak denerwujące. W ciągu dnia próbuje mieć nas na oku. Straszna żenada. Czasem czeka na mnie, kiedy wychodzę z lekcji matematyki. Więc lubimy tamtą ławkę, bo tam nas nie widzi.

Pewnego dnia Annie nie przyszła. Minęło dziesięć minut, potem dwadzieścia, zbliżał się koniec dużej przerwy. Szalałam z niepokoju.

Może się pochorowała? Może nauczycielka zatrzymała ją w klasie? Na myśl o tym, co Annie mogłaby jej powiedzieć, zaczęłam się naprawdę martwić. Przerażona buźka!

Potem usłyszałam jej śmiech. Ten cichy chichot, bardzo charakterystyczny. Spojrzałam w tamtą stronę i zobaczyłam ją na murku dziesięć metrów dalej, jedzącą kanapkę na spółę z jakąś dziewczynką podobną do porcelanowej lalki. Właściwie to obie przypominały lalki. Gładka skóra, lśniące włosy, twarze w kształcie serca. Dwie idealne lalki, machające nogami na murku.

– Hej! – zawołałam.

Annie uśmiechnęła się na mój widok.

– Hej, Callie.

Pomachała do mnie, jak gdyby nigdy nic, jakby nie przeraziła mnie właśnie na śmierć, jakbyśmy wcale przez ostatni rok nie spotykały się na naszej ławce. Nie do wiary.

Odmachałam.

Od tamtego dnia Annie spędzała z Marią wszystkie przerwy. Plotły sobie nawzajem warkocze i robiły bransoletki przyjaźni z kolorowej włóczki. Wyglądało to całkiem nieszkodliwie. Jeśli Annie śni na jawie, to Maria jest chyba w wiecznej śpiączce. W końcu zaczęła przychodzić do nas do domu, zamykały się u Annie i coś sobie szeptały. Zapominały o całym świecie. Kiedy odzywałam się do Annie przy Marii, siostra spoglądała na mnie nieprzytomnym wzrokiem, jakby się dopiero obudziła. Obie sprawiały wrażenie zamkniętych w szklanej kuli, takiej, w której po potrząśnięciu pada śnieg. Zawsze głowa przy głowie. Ciemne, błyszczące włosy. Były do siebie podobne jak siostry. Wciąż wymieniały się ubraniami. Annie pożyczała od Marii nawet majtki.

Jedynym, czego Maria nigdy jej nie pożyczała, była fioletowa opaska. Zwykłe plastikowe badziewie, do kupienia w każdej drogerii. Ciekawiło mnie, dlaczego jest dla niej takie cenne. Czasem podsłuchiwałam ich szeptane rozmowy. Nie widziały mnie, chyba nawet nie wiedziały, że jestem w pobliżu. Były za bardzo zajęte sobą, przynajmniej tyle dobrego.

– To prezent od taty – powiedziała raz Maria tym swoim wątłym głosem. – Dał mi ją, żebym wiedziała, że o mnie myśli, nawet kiedy jest daleko.

One się naprawdę zatracały w tej przyjaźni. A ja wiem z doświadczenia, że kiedy człowiek się zatraca, robi czasem głupie rzeczy. Rozmawiałyśmy o tym z Bladą Callie całą noc, aż wreszcie ustaliłyśmy, co robić.

Maria jak zwykle odwiedziła nas w sobotę rano. Przywiozła ją matka, kobieta z wiecznie wytrzeszczonymi oczami. Pewnie ma sporo zmartwień z tym rozwodem i w ogóle. Nic dziwnego, że jest zbyt zmęczona, żeby pilnować jeszcze swojej durnej córeczki.

Było gorąco, więc mama rozłożyła ślizgawkę wodną na trawniku za domem, tak żeby było ją widać z kuchennego okna. Dziewczyny zostawiły rzeczy w pokoju Annie. Kiedy po paru godzinach weszły do domu, były całe mokre i pomarszczone od wody, a oczy miały wielkie jak u małych myszek. Idąc się przebrać, zostawiły mokre ślady na dywanie. Dostały za to ochrzan od mamy, więc Maria dopiero po dłuższej chwili zauważyła, że nie ma opaski. Mama nie znosi, kiedy coś ginie, nawet opaska, więc przewróciła do góry nogami cały dom.

– Pewnie zapomniałaś ją zdjąć i leży gdzieś na trawniku – powtarzała.

– Nie zapomniałam! – Maria nawet łzy miała śliczne.

Opaski nie było na trawniku. W końcu ktoś wpadł na to, żeby zajrzeć do plecaków – oczywiście mama, zawsze gotowa rozwiązać każdy problem.

– Musiałaś ją włożyć do plecaka Annie przez pomyłkę – powiedziała. – Zobacz, skleimy super glue i będzie jak nowa.

– Dziękuję – odparła Maria, ale kiedy spojrzała na Annie, wiedziałam, że to koniec. Mama nic nie zauważyła. Jak dobrze, że dorośli są tak mało bystrzy.

– Wszystko powiem – odezwała się ciemna sylwetka w progu mojego pokoju. Zapaliłam lampkę. Annie musiała być naprawdę wściekła, bo nie znosi wychodzić z łóżka po ciemku. Twarz miała czerwoną i nieszczęśliwą, całą w smarkach i mokrą od łez. Ciekawe, że dla odmiany wyglądała jak człowiek. – Jesteś strasznie wredna, Callie. Nie chcesz, żebym miała koleżanki. Mam tego dosyć. Naskarżę, naskarżę na ciebie! Mama każe Marii dalej się ze mną bawić, a ciebie wyśle do szkoły specjalnej albo do więzienia dla dzieci.

– Nie wyśle – powiedziałam, ale serce zabiło mi głucho, a to sygnał, że zbliża się niebezpieczeństwo.

– Właśnie że wyśle – szlochała Annie. – Pokażę jej, co robisz ze zwierzętami.

Kara musi być odpowiednia do winy, tak podpowiada rozsądek, musiałam więc wymyślić coś wyjątkowego. I to szybko, zanim Annie się połapie. Sięgnęłam po leżący na biurku metalowy nożyk. Wcześniej wycinałam nim figury do szkolnej dioramy przedstawiającej losy pierwszych osadników.

– Nie! – zawołała Annie. Chwilę później już nic nie wołała, bo trzymałam jej język między kciukiem a palcem wskazującym. Zawsze pilnuję, żeby nożyk był dość ostry, by jednym dotknięciem przeciąć skórę. Teraz przyłożyłam go Annie do języka. Wiedziałam, że to dobra kara, bo cała jakby buzowałam kolorami. To zawsze znak, że zrobiłam coś dobrze. Uczucie jest intensywne, jak gdyby pożerało mnie żywcem. Sama nie wiem, czy jest przyjemne, czy straszne, ale przynajmniej daje mi pewność, że podjęłam dobrą decyzję.

Musiałam dać Annie nauczkę, choć wcale nie miałam ochoty.

– Czemu mnie zmuszasz, żebym ci robiła krzywdę? – zapytałam.

Annie zaczęła płakać, a ja z nią. Odsunęłam ostrze od jej języka i delikatnie położyłam nożyk z powrotem na biurku. Wiedziałam, że jestem złą siostrą. Gdybym ją kochała, miałabym odwagę ją ukarać. Do tego barwne eksplozje zgasły i znów wszystko było płaskie.

– Uciekaj – powiedziałam.

Wybiegła. Myślałam, że naskarży, ale nie. Chyba czuła, że zasłużyła.

To skomplikowane, kiedy patrzysz na młodszą siostrę i widzisz mniejszą wersję swojej matki. Annie nie jest wprawdzie blondynką, ale oprócz tego są naprawdę podobne. Nigdy jednak nie pozwalam, żeby to wpłynęło na moją miłość do niej. W niczym przecież nie zawiniła. Annie jest najmłodsza w rodzinie, a najmłodszymi trzeba się opiekować, nawet jeśli czasem człowiek musi być surowy.

Teraz jest przy niej tata, to dobrze. Zawsze się martwię, że pod moją nieobecność Annie wytnie jakiś numer. To strasznie męczące, ciągle trzymać ją w ryzach i wiecznie zacierać ślady, ale cóż, na tym polega rola starszej siostry. Czerwone serduszko.

Rob

Po śniadaniu wybieram się na spacer poranną trasą wzdłuż płotu po zachodniej stronie. Mięso zniknęło. Nigdy nie wiem, co je zabrało, więc mogę udawać, że to one, choćby tylko przed sobą.

Później wchodzę na górę rozpakować rzeczy, bo wczoraj nie miałam na to siły. Nakazuję Callie zrobić to samo. Znika w swoim pokoju – przynajmniej tyle, choć nie mam pojęcia, co tam robi. Zastanawiam się, co dalej. Nie możemy siedzieć tu wiecznie. Nie możemy zostać nawet przez tydzień, Irving nam na to nie pozwoli.

Uwielbiam rozpakowywać walizki. Dzięki temu każde miejsce staje się moje, zaprowadzam w nim własne porządki. Mam tu w pokoju stojak na ubrania schowany za białą zasłoną. Nie lubię szaf. Wieszam teraz na nim swoje chinosy, czerwoną bawełnianą bluzkę i luźny T-shirt, który noszę w niedziele. Wzięłam ze sobą ulubione rzeczy: egzemplarz *Dumy i uprzedzenia* kupiony za pierwszą nauczycielską wypłatę, kremowy jedwabny szlafrok i olejek do kąpieli o zapachu słonecznego wiosennego popołudnia. Kocham słoneczne wiosenne popołudnia, wolę je od bardziej efektownych poranków, za którymi przepada większość ludzi. Rozkładam na toaletce kosmetyki do makijażu. Nie będziemy się tu z nikim spotykać, ale ja maluję się dla siebie.

Odpływam myślami, układając w głowie kolejne sceny z Arrowood. Jeśli dojdzie do ostatecznej potyczki z panną Grainger, muszę dopilnować, by Callie skutecznie zatarła ślady. Może ukryje szczątki w morskiej jaskini. Może spali martwe ciało w ognisku. Czarne kłęby dymu na tle czystego błękitu nieba… Ale może lepiej, żeby panna

Grainger nie zginęła. Może ucieknie. Nie. To nierealistyczne. Nikomu nigdy nie udaje się uciec.

Lubię obmyślać niezwykłe przygody swojej nastoletniej bohaterki. Pozwalają zapomnieć o tym, czego przyjdzie mi dokonać tu, w prawdziwym świecie, jeśli moje przypuszczenia co do Callie się sprawdzą. Powinnam zabrać się do dzieła, ale nie potrafię. Mogłabym teraz zrobić sobie kąpiel, przebrać się w szlafrok, poczytać książkę. Na myśl o oderwaniu się od wszystkiego na godzinę czuję dreszcz rozkoszy.

Chowam skarpetki i bieliznę do komody, ustawiam buty na półeczce w ukrytej za zasłoną wnęce. Na ceramicznej półce w łazience układam szczoteczkę do zębów, kremy, balsam, pachnące mydło i nić dentystyczną. Z każdym kolejnym przedmiotem świat nabiera trochę więcej sensu. Tęsknię za domem. Pustynia jest zbyt obojętna.

Na samym dnie walizki został jedwabny szlafrok. Zawsze owijam go bibułą, żeby się nie pogniótł. „Jednak się wykąpię" – myślę. Gorąca woda, czysty szlafrok, herbatka ziołowa…

Kiedy podnoszę szlafrok, wysypują się z jego fałd setkami, czerwone i ślepe. Spadają na podłogę, na moje dłonie i twarz. Tłuste larwy w kolorze żywego mięsa. Nozdrza wypełnia mi smród amoniaku. Robaki wiją się na bibule, uderzają obłymi główkami o biały jedwab. Przed oczami staje mi lekko uśmiechnięta twarz Irvinga. Jest jak żywa, jakby był obok mnie. To dlatego wczoraj pytał, czy już się rozpakowałam.

– Uśmiech! – odzywa się czyjś głos. Podnoszę wzrok. W progu stoi Callie. Pokój rozjaśnia błysk flesza i dźwięk przewijanej kliszy. Aparat to mała jednorazówka, jaką kupuje się w drogerii.

– Co robisz?

– Tata kazał mi zrobić zdjęcie twojej miny. To część dowcipu.

– Jak możesz? – pytam, bo naprawdę chcę wiedzieć. – Jak możesz być tak okrutna?

– Ale to śmieszne. – W jej zdyszanym głosie brzmi rozczarowanie. Nie jestem wystarczająco zabawna.

Wyrywam jej aparat. Rzucam go na ziemię i rozdeptuję na kawałki. Łapię Callie za ramiona, sama nie wiem kiedy, i zaczynam nią potrząsać.

Mała wydaje z siebie cichy pisk przestrachu.

– Nie! – woła, dzwoniąc zębami. – Mamo, przestań.

Przestaję. Ogarnia mnie groza. Chciałam zrobić jej krzywdę. Dłoń łaskocze mnie na wspomnienie tego, jak ją uderzyłam, gdy znalazłam kości.

Callie zbiega na dół. Powinnam ruszyć za nią, ale ciągle jeszcze jestem wściekła. Gardło wypełnia mi ten mdlący, słodki smak – zwietrzałej oranżady i furii.

Obracam torebkę do góry dnem i cała zawartość z grzechotem wysypuje się na podłogę. Chwytam telefon i drżącymi palcami wybieram numer. To błąd, dobrze wiem, że robię błąd. Straciłam nad sobą kontrolę i Irving dostanie, czego chciał.

Odbiera po pierwszym dzwonku, jakby na niego czekał.

– Co tam u moich pustynnych dziewczyn?

– Jak mogłeś? – rzucam drżącym głosem.

– Ale co?

Czyli tak chce to rozegrać.

– W mojej walizce były robaki. – Po policzku spływa mi piekąca łza, nic na to nie poradzę. – Oblazły mi wszystkie rzeczy.

– A to pech. – W jego głosie dźwięczą ciepło i troska. – To pewnie Callie robi sobie żarty. Niepotrzebnie jej pokazałem, gdzie trzymam przynętę. Widziałem, jak na nią patrzy, znasz to spojrzenie… Wiesz co, Rob, chyba miałaś rację. Dobrze wam zrobi ten wyjazd. Będziecie miały czas się do siebie zbliżyć.

– To ty je tam włożyłeś – mówię, uważając na słowa. – Albo kazałeś jej to zrobić. Wszystko jedno. Wszystko chcesz mi zabrać…

– Hej, Rob. Proszę cię, nie tym tonem. – Jego słowa brzmią chłodno i uprzejmie.

– Chcę rozwodu – wypalam roztrzęsiona. Nie planowałam tego.

– Nie próbuj mi grozić. Umawialiśmy się.

Milczę.

– Odpowiedz, Rob. Żadnych rozwodów. Potwierdź, że rozumiesz.

– Słyszałeś.

Rozłączam się. Wiem, że za to zapłacę, Irving tego dopilnuje. Co ja narobiłam?

Przypominam sobie pewien weekend w Monterey. Poszłam z Callie na spacer po plaży. Później, gdy spałam, wycięła mi kilka garści włosów. To Irving dał jej nożyczki. Zawsze udaje mu się nas skłócić.

Mój piękny szlafrok lepi się od dotyku setek larw. W tkaninie widać wąskie prześwity, prawdopodobnie wyjedzone. Wrzucam go do śmieci i szczelnie zawiązuję worek. Uczucie, które mnie ogarnia, przypomina żałobę. Niby to tylko szlafrok, ale dla mnie był czymś więcej. Był mój.

Sprzątanie zajmuje mi godzinę. Dokładnie szoruję podłogę i wnętrze walizki silnym środkiem czyszczącym. Biorę prysznic i nacieram skórę płynem antybakteryjnym.

Przez cały ten czas dręczą mnie następujące pytania:

1. Jak długo wytrzymam w tym małżeństwie, zanim całkiem zwariuję?
2. A może już zwariowałam?
3. Czy Irving mnie zabije?

I ostatnie, które zadawałam sobie każdego ranka, budząc się z nim w łóżku:

4. Czy to dziś?

Czuję je – kotłujące się w nim pragnienie, żeby zrobić mi krzywdę. Pewnego dnia znów puszczą mu hamulce i robaki wypełzną na powierzchnię. Może rzucę jakąś kąśliwą uwagę, posunę się o krok za daleko i reakcja będzie natychmiastowa. Wtedy to nie słoik z kardamonem się rozpryśnie. Pięść, którą mój mąż tak często wymachuje mi przed twarzą, zada śmiertelny cios. Roztrzaska mój mózg o ścianę.

Czasem myślę, że właśnie tak będzie. Kiedy indziej wydaje mi się, że skurczymy się i zżółkniemy razem w sączącym się z nas wolno jadzie – czekanie będzie mnie zżerać, aż nie zostanie nic oprócz kości. Może o to właśnie mu chodzi.

Cokolwiek drzemie w Callie, Irving tylko pogarsza sprawę.

Staję przed szopą z narzędziami. Wewnątrz połyskuje łopata z jaskrawoczerwonym trzonkiem. Nowa, nieużywana.

Callie jest w swoim pokoju. Nie reaguje na pukanie, ale czuję za drzwiami jej obecność. Mój mały duch. Znów zaczęła wyciągać mi z torebki cukierki. Nie wie, że wiem. Cynamonowe – jedyne, których sobie nie odmawiam.

Przyglądam się łopacie. W jednym miejscu z trzonka zszedł płatek czerwonej farby. Cholera. Będę musiała oddać ją do sklepu i zażądać zwrotu pieniędzy. Chociaż kupiłam ją latem, więc może już za późno? Oczywiście zachowałam paragon w specjalnej teczce z datowanymi przegródkami, powinnam go z łatwością odnaleźć. To chyba było w lipcu… Z wysiłkiem powstrzymuję te myśli. Przecież i tak nie zamierzam zwracać tej łopaty do sklepu, prawda?

Nie, to nie ma sensu. Nie dam rady.

Po prostu wszystko jej opowiem. „To się może udać” – myślę. Możliwe, że zrozumie i przestanie, i nie będzie potrzeby sięgać po lśniącą łopatę z jaskrawoczerwonym trzonkiem.

Myśl o przeżywaniu wszystkiego na nowo sprawia, że mam ochotę się rozpłakać. Do gardła podchodzi mdląca słodycz. Ale muszę chociaż spróbować.

Jeśli prawda nie zadziała – wtedy zostanie łopata i to drugie, jeszcze gorsze.

Wezmę Callie na wycieczkę i pogadam z nią. Tutaj ściany są pełne duchów. Może przejdziemy się do kamiennego ogrodu. Wiatr, powietrze, czyste kamienie. Czyste miejsce, starsze niż przeszłość zalegająca w każdym kącie Sundial.

Callie

Mama ciągnie mnie w góry.

– Póki jeszcze jest słońce – mówi.

Nie cierpię wysiłku fizycznego. Przyspieszony puls zawsze wywołuje we mnie uczucie smutku i zagrożenia. Ale nie mam wyboru, bo dziś rano mama cała była krzyczącą buźką. Z wielką czarną dziurą ust.

– Chodźmy do kamiennego ogrodu – proponuje. Mam ochotę jęknąć, że to daleko i stromo, i nawet zimą w słońcu jest straszny upał.

O-o – mówi Blada Callie. *Może zamierza cię tam zostawić.*

Mama pakuje plecak. Dwie butelki wody. Batony energetyczne. Krem z filtrem.

– W porządku, spakowała się na dwie osoby – odpowiadam Bladej Callie. – Po co brałaby dla mnie baton, gdyby chciała zostawić mnie na pustyni?

Możliwe, że to podstęp.

– No chodź! – woła mama. – Zobaczysz, będzie wspaniale.

Patrzę na nią bez słowa.

Krajobraz przypomina wygłodniałe zwierzę o sterczących kościach. Żebra, kręgosłup i rzepki wystające spod cienkiej skóry. Głodna pustynia. Skręcamy za dom i ruszamy na wschód, kanionem z czerwonymi smugami. W górze piętrzą się skały. Spoglądają na nas surowo.

– Uważaj! – woła mama. O tej porze roku jest za zimno dla węży, ale zawsze zostają kojoty.

Schody kryją się w wąskiej szczelinie między dwoma czerwonymi wzgórzami. Są stare. Ludzie, którzy je wyciosali, zbledli dawno temu. Stopnie są płaskie i wyślizgane. Gdy się wejdzie dość wysoko, widać stąd równinę, dom i szosę rozciągniętą w słońcu niczym martwy węgorz. Długo by się stąd spadało. Wspinamy się na czworakach, jak kozy.

Gdy docieramy na szczyt, słońce jest już płonącą kulą. Zimny wiatr przenika mi przez kurtkę, ale jednocześnie czuję, że spaliłam sobie nos. Mama to zauważa i podaje mi krem z filtrem. Idziemy dalej, granią w stronę kamiennego ogrodu.

Słowo „ogród" ładnie brzmi. Ale tutaj nie pasuje. To dziwne miejsce, w którym wiatr lub nie wiem co wyrzeźbiło w skale niespodziewane tunele i powykręcane kształty. Wicher gwiżdże i wyje w otworach. Zapomniałam, jak tu jest strasznie.

Czasem znajdujemy tu skorupy naczyń zostawione przez ludzi, którzy zbledli wieki temu. Może członków starych plemion, Czemiwejów albo Mohawów. Już ich nie ma. Nie wiem, dokąd odchodzą blade, gdy nie mają już nic do załatwienia.

Jeśli pokopiesz w ziemi u stóp urwiska, znajdziesz kości – szepcze Blada Callie. Wicher rozwiał jej kontury i Callie unosi się teraz na tle nieba migotliwymi plamkami światła. *Kiedyś zrzucali tu ciepłe ze skał, składali je w ofierze.*

Na przykład kogo?

Zające, bizony, małe dziewczynki o imieniu Callie.

Ha, ha. Choć silę się na sarkazm, to naprawdę jestem wystraszona. Czasem żarty Bladej Callie w ogóle mnie nie bawią.

Mama siada na kamieniu i poklepuje miejsce obok siebie. Przydałoby się pozachwycać widokiem, skoro wspięłyśmy się aż tu.

– To tam była ferma szczeniąt? – pytam, wskazując palcem na zachód. W *arroyo* widać jakiś cień. *Arroyo* to inaczej wąwóz. A cień to pozostałości starej posesji Graingerów. Domu Liny i Burta.

Mama wygląda, jakby ją zemdliło.

– Jeśli naprawdę nie możemy porozmawiać o czymś miłym…

Mama nie lubi słuchać o morderstwach ani innych ciekawych rzeczach. Chyba nawet nie wie, czym naprawdę była ferma szczeniąt, dla niej wszystko musi być „miłe".

– W porządku – odpowiadam.

Upijamy po kilka łyków wody, a ja odliczam minuty do momentu, kiedy będę mogła powiedzieć: „Chodźmy stąd".

– Pamiętasz, jak tu przychodziłyśmy, kiedy byłaś mała? – pyta mama.

– Pewnie.

– Nie poznałaś swojego dziadka – ciągnie. – Ani Mii. Twój tata i ja… No cóż. Może to był błąd, że tak bardzo się starałam zrobić z nas normalną rodzinę. Sama takiej nie miałam, może po prostu nie umiałam się do tego zabrać.

Znam na pamięć wszystkie opowieści o Sundial, o krowach, zbieraniu warzyw, tamburynie przy ognisku, o oswojonym szczenięciu kojota i długim stole pod drzewem, gdzie wszyscy zbierali się na posiłki. O tym całym hipisowskim życiu. Dziś nie ma już stołu ani szklarni, ani krów.

– Musimy porozmawiać o tym, co robisz ze zwierzętami, Callie. Musimy porozmawiać o kościach.

Nagle mam w piersi balon, który szybko wypełnia się powietrzem.

– Nie. To moje sprawy – protestuję.

– Musisz mi powiedzieć, kochanie.

– Ale ty wcale nie chcesz mi pomóc. – Patrzę jej prosto w oczy, co nie zdarza się często. – Potrzebujesz wymówki, żeby lubić Annie bardziej niż mnie. Chcesz, żeby wszyscy mieli cię za ideał. Ale tak naprawdę jesteś wredna.

Mama łapie mnie za rękę i przykłada ją sobie do piersi, w miejscu, gdzie bije serce.

– To się musi skończyć.

Próbuję się wyrwać, ale ona trzyma mocno. Nagle zaczynam się bać.

– Puszczaj!

– Nie mogę – odpowiada smutnym głosem. Jej dłoń zaciska się niczym imadło, a oczy znów nabierają żółtego połysku, jak wtedy, kiedy odciągnęła mnie od szybu. Jakby miała ochotę pozwolić, żebym pogrążyła się w ciemności. Głos taty w głowie: „Twoja mama jest trochę

niestabilna, Callie". Już rozumiem, czemu przyszłyśmy na to wysokie, samotne urwisko. Mam być złożona w ofierze.

Przysięgam, że nie wiem, jak to się dzieje. Przysięgam, że jej nie popycham. Ale nagle mama przechyla się do tyłu, uderza o skały i turla się w dół osypiska. Ląduje na plecach, z rękoma i nogami rozrzuconymi na wszystkie strony. Myślę o różowej gwiazdce w pokoju Annie i robi mi się niedobrze. Obserwuję mamę przez chwilę, ale się nie porusza i nie wydaje żadnego dźwięku.

Zastanawiam się, czy ją zabiłam. Wyobrażam sobie wielki szkic, naturalnych rozmiarów, każda kość na właściwym miejscu. Byłby naprawdę piękny. Mama zostałaby ze mną, bo byłaby już blada i miałabym jej kości. Może nawet zrobiłaby się dla mnie milsza. Blada Callie mówi, że to zmienia ludzi. Ale czuję na twarzy coś mokrego. Oblizuję wargi, jest słone. Łzy. Więc chyba tak naprawdę wcale tego nie chcę.

Podchodzę i dotykam jej – jest ciepła. Jeszcze nie zbladła. Serce bije. Odciągam do góry powiekę, u dołu białej gałki ocznej wystaje niewyraźny brzeg tęczówki, jak mały błękitny księżyc wschodzący nad pagórkiem. Ale mamy tam nie ma.

– Mamusiu, wróć. – Wiatr zabiera moje szepty i szlochy i unosi hen, daleko. – Ja nie chciałam.

Powieki mamy drgają. Z ust dobywa się ciche westchnienie, jakby śniło jej się coś dobrego. Dłoń otwiera się i zamyka niczym kwiat.

– Callie? – mówi mama, a ja mimo wszystko cała się rozpromieniam, bo nie powiedziała: „Annie".

– Jestem, mamuśka. – Ale dziwne. Już od bardzo dawna nie używam tego durnego słowa.

– Uderzyłam się w głowę. – Mama ma rozmarzony głos. – Chyba przez to, że nic nie zjadłam.

– Tak – potwierdzam stanowczo, bo to z pewnością prawda, a do tego zdejmuje ze mnie trochę poczucia winy.

Ale ona już sobie przypomina, widzę to w jej oczach.

– Popchnęłaś mnie – mówi.

Mam ochotę protestować, zapewniać, że nie chciałam, ale wychodzi z tego tylko:

– Bałam się.

Mama zamyka oczy i przez chwilę leży nieruchomo, jakby zbladła.

– Mamo? Mamo? Gdzie masz telefon? – Nagle mój strach przed nią nie ma już znaczenia. Nie mogę pozwolić jej umrzeć.

– Nie – odpowiada. – Załatwimy to, ty i ja.

Gdzie Blada Callie i Piesek Śmietnikowy? Zniknęli. Nawet duchy boją się mojej matki.

– Przyszłyśmy tu dlatego, że próbowałaś skrzywdzić Annie – mówi, a ja milczę. Nie mam nic do powiedzenia. – Jesteś taka podobna do Jack, zwłaszcza gdy się złościsz. Czasem myślę, że jeśli będę dla ciebie dostatecznie surowa, zdołam zmienić jakoś to, co jej się przydarzyło. Wiem, że to bez sensu. Ale nasza przeszłość zawsze trzyma nas w szachu, prawda?

– Nie wiem – odpowiadam szeptem, bo mam dwanaście lat, nie mam jeszcze przeszłości. Mama odgarnia mi włosy z policzka. – Kto to jest Jack? – pytam.

– Moja siostra.

– Ty nie masz siostry.

– Ale miałam.

– Byłyście blisko?

– Najbliżej, jak tylko można, bez stania się jedną osobą.

Dziwne. Zawsze wydawała mi się najsamotniejszą istotą we wszechświecie.

– Jaka ona była?

Mama sprawia wrażenie zaskoczonej.

– Właściwie to nie wiem – mówi. – Zwłaszcza pod koniec oddaliłyśmy się od siebie.

– Co się z nią stało?

– Sundial się stało.

Kiwam głową, bo wiem, że Sundial to ogromny zegar, na którym rozgrywają się historie ludzkich istnień. To niebezpieczne mieszkać w miejscu, które tak dobrze rozumie życie i śmierć.

– Nie wiem, co mam robić – odzywa się mama. – To, co zrobiłaś Annie… To jakby jakaś część ciebie była już martwa.

– Tak – odpowiadam, prawie z wdzięcznością, bo tak właśnie czuję się przez cały czas.

– Może nie wszystkie córki lubią swoje matki. Nie wiem. Ja swojej nie znałam. – Urywa, a potem dodaje: – Ale ważne są czyny. Chciałaś skrzywdzić Annie. Swoją własną siostrę.

– Nieprawda.

Annie wściekłaby się na mnie, gdyby tu była. Zaraz by się popłakała i zaczęła przekonywać mamę tym swoim dziecięcym, cichym głosikiem, że nie chciałam jej okłamać. Bywa strasznie męczącym bachorem, ale i tak za nią tęsknię.

– Musisz zawsze, ale to zawsze chronić siostrę. – Mama już prawie płacze.

– Wiem.

Czuję się okropnie, bo ma rację, nie wywiązałam się z zadania.

– Powiedz, Callie – zaczyna mama, i wcale nie jest zła, tylko zamyślona, co przeraża mnie jeszcze bardziej. – To z lekami… Czy to się powtórzy?

Zaciskam powieki. Ale łzy płyną mimo to, parzą mnie w policzki. Rozmawiamy o rzeczach, które są głęboko ukryte. Czuję się, jakby włożyła mi rękę do środka i próbowała je wyciągnąć.

– Tak – odpowiadam szeptem. – Powtórzy się.

Mama kiwa głową.

– Dziękuję, że jesteś ze mną szczera. Grzeczna dziewczynka.

– I co teraz, mamo?

– Pomożesz mi wstać. A potem porozmawiamy.

W kubku mamy paruje herbata pokrzywowa. Przede mną stoi gorąca czekolada z piankami. Jest ciemno. Siedzimy razem na kanapie, bezpieczne za szybą, zapatrzone w zimną pustynną noc. Postronny obserwator nie zobaczyłby w tej scenie nic niezwykłego. Nikt by się nie domyślił, że dziś po południu prawie ją zamordowałam.

– Mamo. Zjedz coś, proszę – mówię.

– Powiem ci prawdę, Callie. Wytłumaczę, dlaczego musisz uważać na to, co czujesz, i na to, co robisz. Dużo bardziej niż inni ludzie.

Blada Callie szepcze: *Niech mi w oko igłę wbiją…*

Zamknij się – mówię do niej, a do mamy:

– Jestem gotowa.

Czasem mam wrażenie, że wewnątrz mnie wszystko dzieje się naraz, przeszłość miesza się z teraźniejszością i przyszłością, i dokładnie to czuję, słuchając jej opowieści.

Tamta Rob

To krowy pierwsze słyszą ducha. Prawie skończyłyśmy dojenie. Opieram się o bok mojej ulubienicy Nimue w ciemnawej, pachnącej sianem oborze. Nimue jest piękna, ma wielkie oczy łani, daje mleko o zapachu migdałów, a jej sierść ma barwę miedzi. Należy do rzadkiej rasy pochodzącej z zimnego klimatu. Wyjątkowo mocno błyszczy w słońcu, chyba z radości, że je widzi. Często się oddala, więc zawiesiliśmy jej u szyi dzwonek, który teraz pobrzękuje cicho, gdy Nimue zwraca łeb w moją
stronę.

Jack klnie pod nosem na Elsie, która wierci się i uderza racicą o ziemię. Mleko strzyka, uderzając miarowo o metal. Elsie ma zwyczaj kopać przy dojeniu. Niezbyt mocno, to coś w rodzaju energicznego pchnięcia, ale kilka razy wystarczyło, żebym podskoczyła i przewróciła wiadro. Od tego czasu to Jack ją doi.

Mamy po siedemnaście lat. Jack jest ode mnie tylko kilka minut starsza, ale podobno dojrzalsza, no i to ona rządzi, więc czasem mi się wydaje, że dzielą nas lata.

Nimue zadziera głowę, a jej dzwonek bije na alarm. Spłoszona Elsie szarpie się na sznurze, prężąc mięśnie karku.

– Stój spokojnie, głuptasie – mówi Jack i daje jej kuksańca. Tak naprawdę ją uwielbia. Elsie przestępuje z nogi na nogę, unosi je wysoko niczym kuc na pokazie jeździeckim, a Jack łapie wiadro, ratując mleko przed wylaniem. Ale Elsie się nie uspokaja. To robi krok do przodu, to się cofa, jakby myślała, że w ten sposób się uwolni.

– Czego się boisz? – pyta Jack, gdy nagle w ciszę wdziera się ten dźwięk, wysoka, samotna nuta. Przywodzi na myśl wraki statków, zimną mgłę i ocean. „Syrena” – to słowo przelatuje mi przez głowę wraz ze strofami poezji, aż robi mi się głupio. Skąd syrena na pustyni? Albo gdziekolwiek, przecież one nie istnieją.

Śpiew powraca, dłuższy i bardziej świdrujący, choć zdawało się to niemożliwe. To zew bezbrzeżnego smutku.

– Duch? – odzywa się Jack ledwie dosłyszalnym szeptem.

– Zamknij się.

Cieszę się, że nie wspomniałam na głos o syrenach. Ale potem dostrzegam jej przerażoną twarz, bezkrwistą w upalnym półcieniu obory.

– Byłoby super – stwierdzam, nadrabiając miną, bo obie mamy przecież bzika (bzika!) na punkcie duchów. Nakręcamy się, szepcząc straszne opowieści po zgaszeniu świateł i gładząc się nawzajem po ramionach, żeby włoski stanęły nam dęba. Kobiety bez głów, przeklęci kochankowie, zimna mgła, ręka szarpiąca kierownicę na ciemnej szosie. Obie jesteśmy przekonane o swojej wyjątkowej wrażliwości, pozwalającej nam widzieć duchy, i widywałybyśmy je na pewno cały czas, gdyby tylko tutaj były. Niedobrze mieć rację. Z zewnątrz dobiega szelest zarośli. Coś nadchodzi. Wyobrażam sobie to coś w rdzawym świetle późnego popołudnia – stąpa martwo przez pustynną trawę, wlekąc po ziemi przegniłe strzępy sukni, a z czarnej dziury ust dobywa się straszliwy, przeciągły jęk. Zjawa jest kobietą, nie wiem czemu, ale jestem tego pewna.

Skowyt rozlega się znowu, jakby w odpowiedzi. Zakrywam uszy i teraz słyszę dudnienie własnego serca. To wcale nie lepsze, więc opuszczam dłonie.

– Zbliża się – szepczę do Jack. – Myślisz, że przyszła po nas?

– Nikomu nie pozwolę cię skrzywdzić – odpowiada. Ale dłonie zaciska tak mocno, że aż bieleją jej kłykcie. Obie krowy panikują, rzucając łbami. Elsie z łoskotem kopie w wiadro i mleko gęstym strumieniem spływa po cemencie do kanału na gnojówkę. Jack prycha ze złością i podnosi wiadro. Na szczęście nie wylało się dużo.

Widmowy jęk urywa się i przechodzi w krótki, cichy szloch. Potem skomlenie.

– To chyba pies – mówi Jack.

– Niemożliwe. Mia wzięła je na zachodni wybieg.

Psom nie wolno włóczyć się po Sundial. To skomlenie owszem, brzmi jak psie, ale z pewnością nie pochodzi od żadnego znanego mi psa.

Kolejny skowyt przechodzi w warczenie. Nie mam pojęcia, czy pies jest duży czy mały, wściekły czy przestraszony. Może być dziesięć metrów albo trzy metry od nas. Pustynia robi z dźwiękiem dziwne rzeczy. Coś szeleści w krzakach pod ścianą obory. Może to ruch powietrza, a może wielkiego cielska skradającego się wokół budynku. Czy w deskach świszcze wiatr, czy to ciężki oddech potężnej węszącej paszczy?

– Pójdę sprawdzić – mówi Jack, gestem nakazując mi, bym została. Kręcę głową, a ona, zirytowana, sięga po oparte o ścianę grabie. Ostrożnie wychylamy się na zewnątrz. Panuje tu taki skwar, że nawet cykady umilkły.

Pierwsza dostrzegam płowożółtą plamę skrytą w kępie ciernistych krzewów za oborą. Ciągnę Jack za rękaw, na co ta obraca się tak gwałtownie, że prawie upada. Twarz ma białą i spiętą, gotowa na starcie, z czymkolwiek przyjdzie jej walczyć. Odsuwa mnie lekko i zasłania własnym ciałem. Czuję się bezpieczniej, choć nie jestem pewna, czy nawet ona da radę wyjącej zjawie.

– Zostań – szepcze do mnie. – Nie żartuję.

Podkrada się bliżej do źródła świdrującego dźwięku.

– To tylko szczenię – stwierdza, opuszczając grabie, stukające o ziemię w jej drżącej dłoni. – Szczenię kojota? Co ono tu robi?

– Pewnie wyczuło mleko – odpowiadam z taką ulgą, że mój głos wybrzmiewa donośnie.

– Nie podchodź za blisko – powtarza Jack. Ale to przecież takie maleństwo.

Szczenię zadziera głowę i wydobywa z siebie rozdzierający dźwięk. Przysuwam się ostrożnie. Teraz widzę, że różni się od psa. Gęste futro o nierównym kolorycie, lśniące, intensywnie złote ślepia. Wielkie, sterczące na boki uszy i brązowy pysk. Sierść jest na tyle krótka, że

widać kleszcze na całym ciele. Zwierzak warczy, odsłaniając ostre zęby barwy kości słoniowej.

Jack odciąga mnie delikatnie.

– Chcę tylko spojrzeć – mówię.

Skłamałam. Chcę wziąć puchatego szczeniaka na ręce i przytulić. Jest taki śliczny!

– Jego matka może być w pobliżu, Rob – mówi Jack, ale widzę, że też pragnie go dotknąć. Rysy wyostrzyły jej się niczym u wiedźmy, jak zawsze, gdy jest czymś bardzo zainteresowana. – Weźmy mleko i wracajmy.

Droga do domu wydaje się długa. Wyobrażamy sobie tupot potężnych łap, gorący oddech, szczęki zdolne łamać kości. Strach wzbiera w nas zimnym dreszczem, mleko chlupocze o ścianki wiadra z każdym pospiesznym krokiem.

W kuchni Falcon miesza zupę. Gar jest tak duży, że zmieściłoby się w nim dziecko. W Sundial zawsze jest tłumnie. Gotujemy na beczki, galony, kwarty i funty. Dopiero po latach dotrze do mnie, że jedzenie można przygotować dla jednej albo dwóch osób.

Jack i ja mówimy na wyścigi. Falcon słucha z przekrzywioną głową, mierząc nas bystrym spojrzeniem.

– Matka musiała go zostawić, może nie żyje…

– Jest całkiem sam!

– Potrzebuje nas!

Falcon podnosi ręce.

– Cierpliwości – mówi. – Jeśli do jutra po południu matka się nie zjawi, to… znajdziemy dla niego miejsce. Zgoda?

– Zgoda – odpowiadamy chórem. Z Falconem nie ma dyskusji.

Do kuchni wchodzi Mia. Nosi ręcznie farbowane, miękkie stroje i pachnie kwiatami i ziemią. Jej brwi przypominają ptaki na zimowym niebie, a oczy są lśniące, ciemne i pełne głębi. Gdziekolwiek się ruszy, towarzyszy jej świetlista aura. Kiedy lekko muska ręką moją głowę, później długo czuję na sobie ten dotyk.

Jack na jej widok odwraca się plecami. Zaciska usta i wbija wzrok w ścianę.

– Paweł cię potrzebuje – zwraca się Mia do ojca. – Jest w okrągłym pokoju.

Na twarzy Falcona odbija się ból.

– Znów go naszło – dodaje Mia. – Wspomnienia. Wiesz, że ze mną nie porozmawia. Kojot tu wlazł?

– Szczeniak – odpowiadam zmieszana, bo Jack dalej patrzy w ścianę.

– Pewnie gdzieś jest dziura w płocie. Do wieczora trzeba ją naprawić. Poślijcie Pawła, jak już się wypłacze – mówi Mia i wraca na słońce.

Jack i ja chwytamy Falcona za ręce. Ciągniemy na zmianę, każda w swoją stronę, jak w czasach, gdy byłyśmy dziećmi. Falcon kiwa się niczym bączek. Za duże już jesteśmy na tę zabawę, ale czasem miło wrócić do dzieciństwa.

– Możemy iść z tobą do Pawła? – pyta Jack.

– Możemy? – wtóruję jej.

– Możemy, możemy? – wołamy, teraz już chórem, szarpiąc go na wszystkie strony, aż nam się wyrywa i pokonany unosi ręce.

– W porządku! Dość tych tortur. Może wy go rozweselicie.

Idę za Jack i Falconem w stronę, z której dobiega szloch. Paweł często płacze. Nie rozumiem dlaczego. Jest dorosły, podejmuje własne decyzje. Jeśli nie chce, nie musi tu być.

Słońce wlewa się przez szklaną kopułę, przez co okrągły pokój przypomina cyrk ze świetlną areną (nigdy nie byłam w cyrku). Paweł siedzi twarzą do ściany. Jakby szukał kąta, w którym mógłby się skryć, tylko że tu nie ma kątów. Jack drży. Jej oczy robią się wielkie. Płacz trochę za bardzo przypomina skomlenie widmowego kojota.

Falcon dotyka ramienia Pawła, a ten rzuca mu się na szyję.

– Nie umiem sobie wybaczyć! – szlocha. – Nie mogę.

Jego twarz jest skrzywiona i błyszcząca od łez. Przytulamy go wszyscy, pocieszając cicho, póki nie przestaje płakać.

Sundial jest jak wioska zaprojektowana na planie rozchodzących się okręgów. Kwatery dla gości rozmieszczone wokół domu przywodzą na myśl układ krytych wozów w obozowiskach pierwszych osadników. Dalej stoją obory i szklarnie. Laboratoria tworzą zewnętrzny krąg,

ukryte wśród kaktusów, jakby mówiły: „Ani kroku dalej". Za nimi, samotne i wyrzucone poza szyk, znajdują się wybiegi dla psów.

Bycie „głodnym wiedzy" to komplement, który w ustach Falcona znaczy najwięcej. Przez ranczo wiecznie przetaczają się fale gości. Przyjeżdżają rozmawiać z Falconem i Mią. Falcon przez cały rok zawiaduje tu programem rezydencji naukowych. Studenci z Yale, Harvardu, Browna, Princeton i MIT przybywają pracować w szklarni lub nad elektroniką dla psów. Wszyscy są dorośli i nudni, przewijają się w tle. Mnie i Jack nie chce się nawet zapamiętywać ich imion. Dawniej goście głaskali nas po głowach i głośno wychwalali nasz dziecięcy urok. Już tego nie robią. Zauważyłam, że skończyło się to kilka lat temu. Zwłaszcza faceci omijają nas szerokim łukiem. I bardzo dobrze. To było denerwujące.

Falcon przez długi czas pracował dla rządu na wschodzie kraju. Przygnębiała go ilość smutku na świecie. Przyjechał więc tu, gdzie świeci słońce, i razem z moją matką zbudowali Sundial. Uczynili je miejscem dla wizjonerów, którzy potrzebują czasu na opracowanie swoich pomysłów. Matka zmarła, ale to nieważne, wciąż tu z nami jest, mówi Jack. Miała na imię Lily i pachniała liliami. Dziś żyje w kamiennych ścianach domu, we wszystkim, co uprawiamy, zjadamy i hodujemy.

Dziś wypada wieczór Ofiarowania, nasz ulubiony w całym tygodniu. Przede wszystkim dlatego, że w tej chwili fascynuje nas wszystko, co związane z ogniem. Stażystom i studentom nie wolno brać w nim udziału – to jedyna rzecz w Sundial zarezerwowana dla rodziny. Jack i ja uważamy zgodnie, że Mia nie powinna mieć tu wstępu – lepiej, gdybyśmy byli tylko we czwórkę: Falcon, Paweł i my. Ale i tak jest super.

Ogień płonie w palenisku o średnicy prawie dwóch metrów, okolonym kręgiem kamieni. Otacza go wysoki kamienny mur. Widzą nas tylko gwiazdy. Mówimy tu o prywatnych sprawach, sobie nawzajem i ogniowi.

Kulimy się na kamiennych ławkach, owinięci w koce. Dostajemy gorące mleko z miodem w fajansowych kubkach, które grzeją w dłonie. Jack i ja jemy razem jabłko. Biorę trzy gryzy w kształcie trójkątów i oddaję jabłko Jack. To nasz szyfr. Te trzy trójkąty oznaczają, że Mia

jest dziś głupio ubrana. Tak naprawdę podoba mi się jej spódnica, długa, ciemna, z miękkiego materiału, która trzepocze z każdym ruchem i plącze jej się pod nogami. Ale Jack się uśmiecha, gdy podaję jej jabłko, więc w zasadzie nieważne, że skłamałam.

Jack odgryza duży kawałek, potem mniejszy, po lewej stronie. To znaczy, że Mia ma w tej spódnicy wielki tyłek. Parskam śmiechem. Przekazujemy sobie jabłko, wymieniając pogardliwe uwagi na jej temat, i wykrzywiamy usta od kwaskowatego soku, grzejąc twarze w cieple ognia. Znad zielonej kuli owocu raz po raz zerkamy na Mię. W całej zabawie chodzi właśnie o to, żeby nabrała podejrzeń. Ona jednak dorzuca do ognia i uśmiecha się do nas przyjaźnie. Dziwne. Całkiem jakby wiedziała, ale miała to w nosie. A może postanowiła nam wybaczyć, co zdaje się jeszcze gorsze.

Mia dorzuca podpałki, aż ogień bucha wielką piramidą płomieni. Falcon pyta, jak nam minął tydzień. Jak tam lekcje klarnetu Jack? I moje malowanie z Pawłem? W porządku, odpowiadam. W porządku, odpowiada Jack.

Falcon wstaje. Zaczyna się.

– Wiecie, że chcemy, abyście żyły po swojemu – mówi. – Nasi rodzice dyktowali nam, kim mamy zostać i jacy być. Dusili nas, podcinali nam skrzydła. My chcemy dać wam wolność. Wolność wyboru. Chcemy, żebyście czuły, że możecie powiedzieć nam o wszystkim. Zamiast surowymi rodzicami, pragniemy być waszymi przyjaciółmi; kochać was i udzielać wam życiowych wskazówek. Wykorzystajcie więc te chwile, by podzielić się swoim gniewem i smutkiem. Podzielić się, pozbyć się ich i wrzucić je do ognia.

Zapada cisza. Przez moment nikt się nie porusza. A potem wstaje Paweł. Jakiś ciemny przedmiot wpada do ogniska. To figura szachowa – król.

– Rzucam w płomienie dawnego siebie – oznajmia z powagą. Znów zanosi się głębokim, bolesnym szlochem. Jack i ja przytulamy go. Kochamy Pawła. Jest szalony i ostatnio ciągle płacze, ale zawsze pokazuje nam ciekawe rzeczy, takie jak pełzające kaktusy albo wielka skóra grzechotnika, którą znalazł na zachodniej grani. Przez chwilę

siedzimy bez słowa, patrząc, jak szachowy król zmienia się w rozżarzony węgielek.

Falcon wstaje.

– Ofiaruję świetliki.

Sadowimy się wygodniej, zasłuchane. Zawsze nam smutno, kiedy Falcon ofiarowuje świetliki, ale zarazem to niesamowity widok.

– Kiedy byłem małym chłopcem, zawsze chodziliśmy głodni – mówi. – Ale nie wolno nam było dać po sobie tego poznać. To by świadczyło o słabości. A uwierzcie mi, przy moim ojcu nie chcielibyście jej okazać. Wieczorami siadywaliśmy z bratem na ganku i udawaliśmy, że zjadamy wszystko w zasięgu wzroku. Księżyc, chmury. Zastanawialiśmy się na głos, jak by smakowały. Księżyc jak cytryny i mleko, chmury jak lukier. Kilka razy próbowaliśmy zjadać korę z drzew. Pewnej nocy przyleciały świetliki. Bywa, że w Utah jest ich pełno. Nie chcielibyście dorastać w biedzie w tamtejszych górach. Złote światełka tańczyły w ciemności. Zapytałem Freda, czy sądzi, że w smaku przypominają miód lub landrynki. Miały lekko zielonkawy odcień, jak cukierki z oranżadką w słojach w sklepie. Fred stwierdził, że na pewno właśnie tak smakują, wyłapaliśmy je więc i zamknęliśmy w słoiku. Z bliska nie wyglądały już tak dobrze. Po ściankach słoika pełzały zwykłe robaczki. Zjedliśmy je szybko, bo źle smakowały. Dopiero gdy zdrętwiały nam języki, zrozumieliśmy, że są trujące. Fred krzyczał, szarpany torsjami. Kiedy ojciec wrócił rano z polowania, musiałem mu powiedzieć, co zrobiliśmy. I tutaj przerwę, bo nie muszę wam chyba mówić, co wydarzyło się potem. Nie chcę tej części siebie. Więc płońcie, świetliki. Płońcie.

Falcon wrzuca do ognia garść jakiegoś proszku. Nigdy nie dowiedziałyśmy się, co to. W każdym razie za jego sprawą z ognia buchają chmury iskier, które opadają wokół nas, rozmigotane w ciemności. Przez chwilę naprawdę przypominają małe, uskrzydlone światełka. Wreszcie giną z powrotem w płomieniach.

– Teraz ciemność jest tylko ciemnością – mówi cicho Falcon. – Nie ma światełek w powietrzu. Żyjemy tu w spokoju.

Jack i ja ściskamy się za ręce.

Z jednej strony rozumiem, symbolika i takie tam, ale tak naprawdę, w głębi ducha wiem, że w Kalifornii nie ma świetlików, bo Falcon

regularnie unicestwia je w płomieniach.

Nikt inny nie czuje dziś potrzeby przemówić, więc przez pewien czas siedzimy w spokojnej ciszy. W górze wirują gwiazdy, a ogień syczy, pochłaniając polana.

Ja sama podczas Ofiarowania nigdy nie wrzuciłam nic do ognia. Niczego nie chcę zmieniać.

Leżę w łóżku i głaszczę Lalkę Jack, a potem wsuwam ją bezpiecznie pod poduszkę. Jack zapala lampkę. Ma kształt gwiazdy i mży różową poświatą. Falcon nie pochwala palenia światła w nocy. Chce, byśmy trzymały się naturalnego rytmu doby. „Nie ma się czego bać. Nie korzystajcie z kul, na których podpierają się inni. Bądźcie śmiałe". Chcemy być śmiałe, naprawdę, ale Jack nie zaśnie bez lampki.

Teraz siada w swoim łóżku po drugiej stronie pokoju.

– Wolisz historię o duchach czy o Bingley Hall?

– Bingley Hall. – Duchów mam po dziurki w nosie.

Jack ostrożnie sięga pod materac. Książka jest tak zaczytana, że prawie rozpada się w dłoniach. Ma spłowiałą, pozaginaną okładkę. Na okładce ciemnowłosa dziewczyna w krótkiej spódniczce biegnie przez murawę. Trzyma rakietę do lacrosse'a w wyciągniętej dłoni, gotowa złapać pędzącą piłkę. Ma zadartą głowę i otwarte czerwone usta. Inne dziewczęta obserwują ją z oddali, a ich wargi układają się w ten sam kształt. Drukowany wielkimi literami tytuł brzmi: *Semestr letni w Bingley Hall*.

Znalazłyśmy książkę po wyjeździe studentów, zaplątaną w pościel w jednej z gościnnych kwater. Nigdy wcześniej nie widziałyśmy czegoś podobnego. W Sundial wszystkie książki są albo pięknie wydane, albo kształcące. Na półkach jedyne powieści to te, które „warto czytać". Patrzyłyśmy na siebie przez chwilę, a potem Jack wsunęła książkę pod bluzę. Falcon i Mia na pewno wyrzuciliby ją do śmieci. Nie po to, żeby zrobić nam przykrość, lecz dlatego, że nie widzieliby w niej sensu. Niemal słyszałam głos Falcona, uniesiony w wyrazie zaskoczenia i rozczarowania. „Mamy tu tysiące książek, dziewczynki. Nie marnujcie swojego potencjału".

Jack i ja zakochałyśmy się w świecie Bingley Hall od pierwszego wejrzenia. To chłodny, brutalny, wesoły, bardzo fizyczny świat, w którym obowiązują surowe zasady i jeszcze surowszy kodeks honorowy. Kiedyś Jack przerwała czytanie w pół zdania i popatrzyła na mnie.

– Czy nie byłoby cudownie mieć zasady? – zapytała tęsknie. – Człowiek zawsze wiedziałby, co jest dobre, a co złe.

Rozumiałam, co ma na myśli.

– Gdyby zasady istniały, nikt nie byłby nami rozczarowany.

Teraz, gdy Jack szuka miejsca, w którym przerwała czytanie, pytam:

– Jak myślisz, jak Marjorie zareaguje na to, że Felicity ściągała?

– Powinna iść z tym do dyrektorki – odpowiada Jack. – Ściąganie to poważna sprawa.

Choć przeczytałyśmy książkę od deski do deski dziesiątki razy, dalej lubimy bawić się w zgadywanki. Mimo to wiem oczywiście, że Marjorie będzie próbowała namówić Felicity do przyznania się. Aby zdobyć jej zaufanie, podzieli się z nią swoją własną wstydliwą tajemnicą, wyzna, że jej także w siódmej klasie zdarzyło się ściągać. Felicity doniesie na nią i Marjorie spotka kara za dawną przewinę. Przyjmie ją jednak z pokorą, ponieważ najważniejsze są zasady.

Jack czyta dalej. W internacie w Bingley jest już po zgaszeniu świateł. Dziewczęta leżą rzędami w łóżkach, ubrane w ciężkie białe koszule nocne. Szeptem wymieniają sekrety. Próbuję to sobie wyobrazić, poczuć, jak by to było, ale sam koncept jest mi obcy. Jack i ja nie mamy przed sobą tajemnic.

Jack czyta, ledwo zerkając na stronice. Zna książkę prawie na pamięć. A jednak za każdym razem chłoniemy tę historię tak, jakbyśmy słyszały ją po raz pierwszy. Pod koniec każdego rozdziału szalejemy z podniecenia, serca biją nam mocno, a zbielałe palce zaciskają się na kołdrze.

– Teraz nie zasnę. Czuję się, jakbym miała w środku mrówki – mówię szeptem do Jack.

– Opowiem ci o mamie – proponuje. Zawsze wie, jak mi pomóc w zaśnięciu.

– Opowiedz o krzaku róży. Opowiedz, skąd się tu wziął.

Jack wślizguje się do mojego łóżka i głaszcze mnie po głowie. Opowiada o Anglii, z której pochodziła nasza matka, Lily. Lily dorastała w wielkim domu otoczonym ogrodami, strumieniami i żywopłotami przyciętymi w zwierzęce kształty. Szkoła, do której chodziła, musiała być podobna do Bingley Hall. Lily uwielbiała róże. Gdy poznała Falcona i opuściła dom, jedyną rzeczą, którą ze sobą wzięła, była pojedyncza sadzonka angielskiej róży. Róża ta rośnie do dziś nad jej grobem, obok zegara słonecznego. Głos Jack i delikatny dotyk jej palców na moich włosach powoli kołyszą mnie do snu.

Jak w każdy wtorkowy poranek idziemy z Jack podlać krzak róży rosnący w niebieskiej donicy w cieniu kurhanu z fontanną, obok zegara. Podlewamy go co tydzień. Kiedy robi się naprawdę gorąco, zabieramy go do domu, gdzie zawsze panuje chłód. Gdy pogoda się stabilizuje, wystawiamy krzak z powrotem, zawsze w to samo miejsce. Kwitnie jak szalony.

Postronnemu obserwatorowi zegar mógłby się wydać zbiorem płaskich kamieni ułożonych w dwa półkola. Falcon nauczył nas z niego korzystać. Pamiętam, jak położył mi ręce na ramionach i zaprowadził na środek, do kamienia z napisem „Luty". „Widzisz? Godzina dziesiąta" – szepnął. Mój cień padał na kamień z wyrytą dziesiątką. Był to dla mnie kolejny dowód na to, że Falcon ma władzę nad wszystkim, nawet nad słońcem. Zegar słoneczny jest wyjątkowy z wielu powodów. Jack mówi, że to było ulubione miejsce mamy. Dlatego jest tu pogrzebana.

Zginęła podczas burzy, gdy miałyśmy cztery lata. Chorowała na serce. W tamtych czasach Mia była asystentką Falcona. Nie pamiętam, kiedy ich relacja się zmieniła. Jack mówi, że nastąpiło to najwyżej dwa miesiące po śmierci mamy. Za szybko. „Obrzydliwie, parszywie szybko" – mówi Jack. „Jego żona ledwo spoczęła w grobie". Lubimy obgadywać Mię, ekscytuje nas to. Ale czasem się zastanawiam, ile właściwie można pamiętać z czasów, gdy miało się cztery lata.

Jack bierze mnie za rękę.

– Mama bardzo nas kochała. Nie wolno ci o tym zapomnieć, Rob. Nie wolno ci zapomnieć, jakie to uczucie, i jak całowała nas na dobranoc, i jak pachniała liliami, i jaka była łagodna. Czujesz ją?

Zamykam oczy. Czuję miękkie usta matki na czole, widmo pocałunku, chłodny zapach lilii. Ale to uścisk dłoni Jack, ciepły i mocny, daje mi poczucie bezpieczeństwa.

Następnego dnia o piątej po południu kojot wciąż leży za oborą. Nie widzę go, ale słyszę, jak szura w zaroślach. Jego wycie przeszło w świdrujący pisk, który wbija się w mózg niczym igła. Słychać, że zwierzak słabnie.

Mia w kuchni rozwiązuje krzyżówkę z „New York Timesa". Włosy ma związane z tyłu czerwoną apaszką. Latem albo je obcina, albo jeździ do Santa Fe i każe zapleść sobie warkoczyki tuż przy głowie. Teraz jednak, gdy jest chłodniej, pozwala włosom rosnąć, jak chcą. Musi już dobiegać czterdziestki, ale w tym momencie wygląda jak nastolatka, jak dziewczyna w naszym wieku.

– Hej. Jak ci mija dzień? – rzuca swobodnym tonem i przygląda mi się uważnie, pilnując, by nie przekroczyć granicy. Zawsze dbała o to, żeby nie wymuszać na nas miłości.

– Kojot wciąż leży w krzakach – odpowiadam. – Falcon powiedział, że jeśli do piątej nie zniknie, możemy go zabrać do domu. Gdzie on jest? I Jack?

– Pojechali z Pawłem do Bone po żarcie dla psów.

Nasze psy jedzą bardzo dużo. Paweł i Falcon co tydzień wracają z rzeźni z paką wyładowaną cuchnącymi podrobami. Zrzucają je po rampie do kubłów, które zabieramy później do chłodni. To paskudna robota. Mimo to irytuje mnie myśl, że Jack pojechała z Falconem do Bone i z powrotem. Czemu nie przyszła mnie zawołać?

– Oni niedługo wrócą – zapewnia mnie Mia.

– Wiem, tylko… – Urywam w pół zdania, bo postanowiłyśmy sobie nigdy o nic jej nie prosić. Nie chcemy jej niczego zawdzięczać. Tylko że kojot może zniknąć przed powrotem Falcona. A Jack o mnie zapomniała. Pojechała beze mnie do Bone.

– Falcon kazał mi czekać do piątej. A on ciągle tam leży. Ten kojot.

– Jak umowa, to umowa – oznajmia Mia i wstaje. – Chodźmy.

– Nie! Lepiej na nich poczekajmy – wołam, nagle wystraszona. Mia i ja, tylko we dwie; Jack by się to nie spodobało.

– Rozumiem – odpowiada Mia. – Jeśli teraz po niego pójdziemy, nie pomożemy im przy wyładunku mięsa. A tego przecież nie chciałabyś przegapić. – Spogląda na mnie z niemal niedostrzegalnym błyskiem w oku. Nigdy wcześniej jej takiej nie widziałam. Mia zawsze traktuje nas z poważną ostrożnością.

Myślę o śmierdzącym strumieniu podrobów przelewanych do metalowych kubłów. O poplamionych krwią fartuchach i maskach, i o tym, że czasem krew jest nawet we włosach.

– Masz rację, źle by się stało – mówię.

Mia się uśmiecha. Wychodzi na korytarz i wyciąga z sejfu pistolet usypiający.

Ma naprawdę świetnego cela. Trafia za pierwszym razem, mimo że powoli zapada zmierzch, a zarośla są bardzo cierniste. Kojot zwisa z jej objęć jak martwy wąż. Jedna z łap wygięła się pod dziwnym kątem.

Będąc na kolacji ze znajomymi, mówię czasem: „Mieliśmy na ranczu trzydzieści psów i oswojonego kojota". Ludzie chętnie słuchają, bo kto nie lubi psów?

Zdarzało mi się zarzucać tę opowieść jak przynętę w rozmowach z mężczyznami. Sądziłam, że wydaję im się dzięki temu bardziej interesująca (choć ta teoria nie sprawdzała się w praktyce). Nie wypróbowałam tego na Irvingu. Nie było takiej potrzeby.

Zanosimy szczeniaka do zagrody adaptacyjnej. To pierwsze miejsce, do którego trafiają nowe psy. Mia nie wie, czy stado przyjmie kojota. Możliwe, że za bardzo się różnią.

– Ale przecież możesz je zmusić.

– Wierz mi, one mają własne zdanie.

Psy w głównej zagrodzie natychmiast wyczuwają zapach przybysza. Stłoczone w rogu siatki merdają ogonami, oczy im błyszczą, a pyski tęsknie przeciskają się przez oczka.

Mia zakłada szynę na uszkodzoną łapę. Potem usuwamy kleszcze. Po kolei odrywamy od skóry ich szare, opite krwią ciała. Część wbiła się tak głęboko, że nie sposób ich chwycić. Mia wyciąga z tylnej kieszeni spodni paczkę papierosów, zapala jednego i zaciąga się szybko.

– Tylko nie mów ojcu.

Dym wypełnia wieczorne powietrze, miesza się z zapachem bylicy. Mia delikatnie przykłada rozżarzony czubek papierosa do kleszczowego odwłoka. Rozlega się skwierczenie, czuć smród, a po chwili kleszcz wychodzi bez trudu. Przy następnym Mia pozwala mi trzymać papierosa.

W pewnym momencie zdaje mi się, że słyszę nadjeżdżający samochód. Z oddali dobiega nawoływanie Pawła i trzask metalowych drzwi chłodni. Lekko uśmiecham się do Mii, która odwzajemnia uśmiech, ale zaraz łapię się na tym, co zrobiłam, marszczę brwi i odwracam wzrok.

– Czas na kąpiel. – W głosie Mii nie słychać cienia urazy, a mimo to ją wyczuwam. Przemywa śpiącego szczeniaka rozwodnionym płynem owadobójczym. Zanurzony w wodzie kojot cicho warczy, ale się nie budzi. Z mokrą sierścią jest strasznie chudziutki. Mia zakłada mu biały kołnierz ochronny, żeby nie wygryzał sobie ran. Na koniec opatruje je środkiem antyseptycznym.

– Kiedy się obudzi, będzie próbował go zlizać – mówi. – Miejmy nadzieję, że nie zdoła ściągnąć kołnierza.

Ze swobodną wprawą wbija igłę w szczenięcy bark. Nosówka, parwowiroza, zapalenie wątroby, wścieklizna. Zwierzak z niepokojem poszczekuje przez sen. Krótko przebywa na tym świecie i pewnie dlatego ból wciąż jest dla niego zaskoczeniem. Kolejne szczeknięcie wyrywa mu się przy pobieraniu krwi.

– Jeśli nie ma odpowiednich genów, do niczego nam się nie przyda. Wiesz o tym, prawda, Rob?

– Wtedy możemy go wypuścić – odpowiadam. – Ale założę się, że ma.

– Wątpię, by był w stanie polować z tą łapą.

Na te słowa przechodzi mnie dreszcz, ale myślę: „Nie, na pewno ma, co trzeba – musi". Jest dziki, ale podszedł blisko domu. To znaczy, że jest odważniejszy niż inne kojoty.

Zostawiamy go śpiącego w baraku w kącie zagrody, z kocem, wodą i jedzeniem.

– Zrobiłyśmy, ile się da – orzeka Mia. – Teraz musi sam się w tym jakoś odnaleźć. Oho, mamy dobry czas. Zdaje się, że skończyli rozładunek.

Nie mogę się doczekać, aż zgasną światła i opowiem Jack o kojocie, a ona mnie o wyprawie do Bone. Super mieć nowe tematy do rozmowy; będziemy je sobie wydzielać pomału, jak smaczne kąski.

– Gdzie byłaś? – pyta Falcon. – Tylko Jack pojawiła się przy rozładunku, i to dopiero, kiedy przyjechaliśmy.

Jack wzdryga się lekko. Spoglądam na nią pytająco, bo myślałam, że pojechała z nimi.

– Musiałyśmy zabrać kojota z krzaków – odpowiadam. – Jest w zagrodzie. Gdzie byłaś? Szukałam cię – dodaję, zwracając się do Jack.

– Nie musimy robić wszystkiego razem, dzieciaku.

– Nie mów tak na mnie. – Denerwuje mnie jej lekceważący ton. Jest tylko cztery minuty starsza. I nie odpowiedziała na moje pytanie. Robi mi się gorąco z irytacji.

Wynosimy pojemniki z mięsem na wybieg. Po drodze chwytam w palce śliski kawałek wątroby. Obrzydlistwo. Jak to jest, zjadać mięso żywej istoty? W Sundial wszyscy oprócz psów są wegetarianami.

Wybieg znajduje się niecałe dwieście metrów od domu, w akacjowym zagajniku. Psy żyją razem, bo Mia bada ich zachowania grupowe. Albo coś.

Większość stada to kundle, ale jest też kilka corgich, rottweilerów, a nawet jeden labradoodle. Psy są w różnym wieku, mają różne charaktery i rozmiary. Jedyne, co je łączy, to to, że gdy przybyły do Sundial, były groźne i złe. Mia jeździ po całym kraju, szukając agresywnych psów. Tak naprawdę zależy jej na bardzo konkretnym zestawie genów.

Szuka „genu szalonego mordercy", choć ta nazwa to oczywiście żart. Istnieje jeszcze drugi gen, ma w nazwie literę C i chyba H? „Gen szalonego mordercy" to inaczej „gen wojownika". Zdaniem Mii posiadanie go ułatwiało ludziom walkę w czasach, gdy tylko walka się liczyła. Tak właśnie chciałabym myśleć o małym kojocie – jak o wojowniku. Falconowi podoba się, gdy zadajemy Mii pytania. Robię to, żeby sprawić mu przyjemność, ale zwykle nie słucham odpowiedzi, które często zawierają długie ciągi liter i cyfr. W każdym razie

kombinacja tych dwóch genów czyni agresywnego psa o wiele bardziej agresywnym.

Gdy tu przyjeżdżają, są złośliwe i groźne. Mają za sobą najróżniejsze przejścia. Niektórym brakuje oka, ucha albo nawet łapy. To właśnie cierpienie przesądza o ich losie. Dlatego mam nadzieję, że kojocie szczenię ma złe geny i że krótkie życie już dało mu w kość. Bo to będzie znaczyło, że może zostać w Sundial.

Czytałam kiedyś o miasteczku, pod którym przez dwadzieścia lat płonął ogień. Wystarczyła niewielka eksplozja w tunelu, żeby rozpętać piekło, które będzie szalało jeszcze przez najbliższe sto lat. Ból i strach działają podobnie, są eksplozją wywołującą pożar genów. Wyobrażam sobie płomienie szalejące w psich mózgach, których kolejne partie błyskawicznie zajmują się ogniem.

To wszystko to oczywiście tylko słowa. Los tutejszych psów nie ma nic wspólnego z wojownikami czy pożarem. Po prostu takie obrazki podsuwa nam umysł, próbując nadać sens temu, co robimy.

Wchodzimy na wybieg. Mia zostaje za płotem, z kontrolerem w dłoni. Chyba stara się jak najmniej rzucać nam w oczy. Tak czy inaczej, oprócz niańczenia nas ma własne obowiązki. Tworzy zapiski z karmienia, czasem nawet filmuje je starą kamerą.

Stado obskakuje nas wesoło, dysząc i szczerząc zęby. Psy kłębią nam się pod nogami. Tylko Kelvin leży sam w kącie i oddycha ciężko.

– Hej, staruszku – wołam go. Podnosi się z uśmiechem. Niby psy się nie uśmiechają, ale każdy, kto poznał Kelvina, byłby innego zdania. Zbliża się powoli, utykając. Sierść wokół jego oczu i nosa jest biała, jak przyprószona śniegiem. Kelvin jest stary. Mieszka tu od dawna. Ma imię. Kiedyś zdarzało się nam wpuszczać go do domu, póki Falcon stanowczo nie zaprotestował i nie wywiesił tabliczki przed drzwiami. Mała cementowa czapeczka wieńcząca jego czaszkę przypomina zabawkowy melonik. Wszystkie psy takie noszą. Mia stoczyła wiele ciężkich walk, by od dziecka nauczyć nas niegłaskania psów po głowach. Czapeczka wygląda dziwacznie, ale psom to chyba nie przeszkadza.

– Dobry piesek.

Kelvin zamyka oczy, kiedy go tulimy. Uśmiecha się i liże nas po twarzach. Zawsze zapominam wołać go numerem, czyli Siódmy. Z Kelvinem jako jedynym wolno nam się bawić.

– Siad – mówi Jack.

Kelvin najwyraźniej był kiedyś domowym psem, bo zna podstawowe komendy: „siad", „zostań" i „do nogi". Potem coś się musiało stać, bo to z pewnością człowiek zrobił mu to, co zrobił, w uszy i łapy.

– Zdechł pies! – wołam, a Kelvin kładzie się ostrożnie. Dla mnie i dla Jack to jak magia. Niewiele tutejszych psów reaguje na komendy. Może przez to, co robią im Mia i Falcon, zapominają wszystkiego, czego je nauczono. A może nikt ich niczego nie uczył.

– Już dobrze, kochamy cię – szepczę, a Kelvin zamiata ziemię ogonem. Gęsta złotobrązowa kita wygląda jak chorągiew.

– Chyba ktoś tu jest głodny – rzuca z rozbawieniem Mia. Psy siedzą stłoczone pośrodku wybiegu, wlepiając w nas wzrok. Skamlą i poszczekują. Są głodne, co do tego nie ma wątpliwości.

– Jezu, Mia, skoro chcą podejść, to im pozwól! – woła zirytowana Jack.

Mia przyciska jakiś guzik na kontrolerze. Psy truchtem zbierają się wokół nas. Wszędzie zieją otwarte pyski z wywieszonymi językami. Czuję w powietrzu ich mięsne oddechy. Dwudziesta Trzecia, mieszanka rottweilera, o muskularnych barkach i zadzie, przepycha się do przodu. Warczy i głośno kłapie zębami w stronę Siedemnastego, wiecznie zaspanego kundla. Dwudziesta Trzecia jest największa w stadzie, potężna nawet jak na swoją rasę. Jack poklepuje psy i ciągnie je za uszy, otoczona morzem merdających ogonów. Ale ja czuję lekkie muśnięcie strachu. Przed oczami staje mi złote oko kojota i jego mordercza szczęka. Nagle psy nie wydają się jakoś specjalnie od niego różnić. Tyle tu rozwartych pysków. Podnoszę ręce nad głowę – to sygnał dla Mii.

– Nie proś jej o pomoc – syczy Jack.

– Dlaczego nie? Podobno jestem tylko głupim dzieciakiem.

Przy Jack próbuję zgrywać bohaterkę, ale oddycham z ulgą, kiedy psy znów siadają grzecznie pośrodku zagrody. Gdy Jack odwraca wzrok, korzystam z okazji i lekko macham palcami do Mii. Ona jednak wciąż

ze ściągniętymi brwiami patrzy na kontroler i nie zauważa tego drobnego gestu wdzięczności.

Jack i ja napełniamy miski. Psy obserwują nas, zbite w drżącą gromadę. Sprawdzamy, czy mają wodę, i zbieramy kupy do żółtego worka z symbolem zagrożenia biologicznego. Nie wiem, czy to nie gorsza robota niż rozładunek mięsa. Wreszcie wychodzimy, zamykając za sobą furtkę.

Mia zwalnia psy, które kilkoma susami dopadają każdy swojej, oznaczonej numerem, miski. Kelvin porusza się wolniej niż reszta, szkoda mi go. Jest takim dobrym psem – to niesprawiedliwe, że musi się starzeć.

Psy rzucają się na mięso. Mokre mlaskanie odbija się echem w powietrzu.

Podaję Mii worek. Odbiera go ode mnie, nie patrząc, wciąż zajęta kontrolerem. Nie mam pojęcia, co robi później z tymi wszystkimi kupami.

Nienawiść do Mii zabiera tyle energii. Czasem chciałabym zrzucić ją z siebie, tak jak zrzuca się ciężki plecak.

W sąsiedniej zagrodzie kojot chwiejnie dźwiga się na nogi. Jest zdezorientowany i senny, a mimo to wstaje i przygląda się nam niczym król gościom podczas audiencji.

Przypominam sobie długą rozmowę, którą Mia odbyła z nami, kiedy miałyśmy siedem lat. Tłumaczyła nam wtedy genetyczne zawiłości odpowiadające za to, że różnimy się od niej kolorem skóry, oraz konsekwencje, jakie by z tego dla nas wszystkich wynikały w świecie poza Sundial. Wtedy nie do końca jeszcze rozumiałyśmy, co znaczy słowo Afroamerykanka. Dziś rozumiem to odrobinę lepiej. I chyba wiem, dlaczego tak ją ciągnęło na samotne połacie pustyni. Odnalazła tu spokój, z dala od brudnego, zepsutego świata.

Przy kolacji nie odzywam się do Jack. Złość wciąż uwiera mnie jak drzazga, ilekroć patrzę na siostrę albo słyszę jej głos. „Dzieciaku". Podczas deseru Jack przekłada swoje truskawki do mojej miseczki. Wiem, jak uwielbia truskawki.

– Nie jestem głodna – mówię.

– Wiesz… Kiedy powiedziałam „dzieciaku”, nie miałam na myśli nic złego. Na Sundance Kida też wołali „dzieciak”.

Gwałtownie wciągam powietrze w płuca. Nie umiem tego powstrzymać – zawsze tak się dzieje, kiedy myślę o Robercie Redfordzie.

Pewnego lata jedna ze studentek zostawiła na ścianie plakat z filmu *Butch Cassidy i Sundance Kid*. Nigdy nie widziałyśmy filmu, a Falcon zaraz potem wyrzucił plakat, bo nie poważa takich rzeczy. Ale było za późno.

– W porządku. – Wiem, że Jack kłamie, że naprawdę chciała mi dokuczyć. Ale wiem też, że próbuje mnie przeprosić. – Dzięki, Cassidy.

Jack sięga po jabłko, odgryza wielki kawał i patrzy na mnie, żując z otwartymi ustami. To tak obrzydliwe, że wybucham głośnym śmiechem, aż Paweł gwałtownie podnosi głowę. Choć z pozoru zabawny, gest Jack wyraża najważniejszy, najtajniejszy komunikat, przekazywany w wyjątkowych momentach. „Zawsze będę cię chronić”. Potem siostra łapie mnie za rękę pod stołem i już naprawdę jest dobrze.

Znów nadszedł ten dzień. Jak co miesiąc, i zawsze czekamy na niego ze strachem. Dzień rezonansu magnetycznego i badania krwi.

Laboratorium rezonansowe to najmniejszy budynek w całym kompleksie. Kaktusy rosną tu wyjątkowo gęsto, wyciągając kolce, które drapią, gdy przeciskamy się wąską ścieżką. Falcon zapala podłużne jarzeniówki pod sufitem i pomieszczenie zalewa przeraźliwie białe światło. Zauważyłam, że naukowcy nie znają się na dobrym oświetleniu. Jakby pragnęli wyłącznie ekstremów: oślepiającej bieli, w której widać każdy szczegół, albo nieprzeniknionej ciemności.

Wkłucie nie boli jak kiedyś, może dlatego, że do niego przywykłyśmy. Póki nie patrzę i myślę o szczeniakach, jest okej. Zimny gadolin dostaje się do żył. Podświetla konkretne części mózgu jak pochodnia, żeby Falcon mógł zobaczyć, co się w nich dzieje.

Wnętrze maszyny jest zimne. Zimne, wąskie i pełne hałasów, jakby duchy dobijały się do trumny. Trudno się tu oddycha, ale gdy wyjeżdżam z tunelu, zawsze pamiętam o uśmiechu, bo po mnie przychodzi kolej na Jack.

– Wskakuj, Jackfruit – mówi Falcon. Jack błądzi palcami po bliźnie w kształcie gwiazdki na szyi, jak zawsze, kiedy czegoś się boi. Myśl o tym, że ktoś zagląda jej do środka, to dla niej coś koszmarnego.

Po skończonym badaniu Falcon przez długie godziny będzie siedział nad mapami naszych mózgów, wpatrując się w jasne plamy na ciemnym tle, przypominające widok nocnego miasta z lotu ptaka. Najbardziej intersujące jesteśmy dla niego wtedy, gdy nie ma nas w pobliżu.

Głośne dudnienie maszyny przerywa ogłuszający łomot. Powtarza się, a za trzecim razem słyszę krzyk mojej siostry. Falcon czym prędzej ją wyciąga, okazuje się jednak, że nie dość szybko. Czoło Jack jest zakrwawione w miejscu, którym kilka razy walnęła o tunel. Zawsze bała się ciemności, ale nigdy nie widziałam jej tak bladej i z takim martwym wzrokiem.

– To koniec rezonansów, słowo – obiecuje nam Mia.

Kakao paruje w kubkach na kuchennym stole. Jack wciąż się trzęsie. Falcon stoi z boku, oparty o blat, z założonymi rękami, i przygląda jej się z przekrzywioną głową.

– Ale nie zrezygnujemy z badań krwi – mówi. – Chodź, Jackfruit – dodaje, delikatnie ujmując ją pod ramię. – Zrobimy sobie spacer pod gwiazdami. Rob, ty nie – zwraca się do mnie. – Nie tym razem.

Falcon i Mia wreszcie wyszli i zgasili światło. Mia chciała przy nas posiedzieć, ale wystarczyło jedno spojrzenie Jack, by zrezygnowała z tego pomysłu.

– Ee… Mamy siedemnaście lat?

Z dołu dobiegają dźwięki adapteru i stłumione głosy. Paweł, Mia, Falcon.

Jack włącza nocną lampkę. W różowym świetle widzę, że tuli do piersi Lalkę Rob. Kiedy byłyśmy małe, Falcon zrobił nam lalki ze słomy – małe szkarady z wypalonymi dziurami zamiast oczu i nastroszonymi słomianymi włosami. Mimo to je kochamy – a może ich potrzebujemy? To się jedno z drugim miesza. Twarze lalek są wytarte, przybrudzone, pozbawione rysów. Jack nazwała swoją Rob, a ja swoją Jack. Gdy

jesteśmy pokłócone, wyżywamy się na lalkach. Kiedy nie chcę podzielić się z siostrą truskawkami, Lalka Rob kończy z wykręconą ręką albo przekłutym okiem. Gdy pewnej nocy Jack obcięła mi długie pasmo włosów, zrobiłam Lalce Jack szramę przez całą twarz. Nie mówimy sobie o tym. Dzięki lalkom możemy odczuwać emocje, ale nie musimy ze sobą walczyć. Bo przecież nam nie wolno. Kogo mamy prócz siebie nawzajem?

– Wszystko okej? Co się stało? – pytam. Zauważam na jej ramieniu kompres z waty. – Falcon wziął cię z powrotem do laboratorium?

Jack głaszcze mnie po ręce.

– Pobrał tylko krew. Martwi się. Przepraszam, że cię nastraszyłam.

– Przynamniej koniec z rezonansami. – Próbuję zgrywać bohaterkę, ale Jack ma rację. Boję się.

Jack bawi się ręką lalki.

– Widziałaś tam kiedyś coś dziwnego?

– Na przykład co? – pytam, czując pod skórą zimne macki strachu.

– Nic! W ciemności wyobrażam sobie różne rzeczy. – Jack wsuwa lalkę pod poduszkę. – Nie bój się, Rob – szepcze do niej. – Wszystko jest w porządku.

Idę w jej ślady. Zagrzebuję Lalkę Jack w pościeli, otulam ciepłem swojego ciała.

– Teraz jesteś bezpieczna – szepczę.

Znajomy dotyk wytartej twarzy lalki pod policzkiem przynosi pocieszenie.

– Myślisz, że mama teraz nas widzi? – pytam.

– Mama zawsze na nas patrzy – odpowiada stanowczo Jack. – Bardzo cię kocha, Rob.

Wiem, że to wszystko jest na niby, ale w ustach Jack wydaje się całkiem realne. Matka. Czasem, leżąc w łóżku, czuję dotyk jej dłoni na włosach.

Trzęsienie ziemi przychodzi nocą, przeszywając ściany serią krótkich drgań. Szczotki do włosów i kremy grzechoczą na komodzie, jak potrząsane ręką chochlika. Z oddali dobiega wycie psa. Uradowana Jack wyskakuje z łóżka.

– Ekstra!

– Dom się wali! – krzyczę, dysząc gwałtownie, gdy nadchodzi kolejny wstrząs.

Na widok mojej przerażonej miny Jack smutnieje. Kładzie się obok i otacza mnie ciepłymi ramionami. Zamykam oczy i wyobrażam sobie, że to ramiona matki. Wciąż jestem pod wrażeniem zeszłego wieczoru – widoku jej zakrwawionej twarzy i rozmowy o duchach. Świat wydaje się nieobliczalny. Nawet ziemia nie jest już oparciem.

– Wszystko dobrze, Sundance – mówi Jack. – Nic złego się nie dzieje.

– Pewnie, Cassidy – odpowiadam. Ale wiem, że to nieprawda. – Nie znoszę, jak tak trzęsie.

– A ja czuję wtedy taki miły dreszczyk. Jakby ziemia tańczyła. Zresztą chyba już po wszystkim. Spróbujesz zasnąć? – Wyciąga z włosów jakiś liść. Nigdy nie czesze ich porządnie na noc.

Kręcę głową. Serce bije mi za szybko, w nierównym, chaotycznym rytmie. Jack głaszcze mnie po głowie.

– Ćśśś – mówi. – Bo przyjdzie Mia i zrobi buch-buch. – Zawsze wymawia te słowa z południowym akcentem Mii, a ja zawsze umieram wtedy ze śmiechu. Nie wiem dlaczego.

Kiedy Jack była mała, tak właśnie nazywała karabin Mii, dwudziestkędwójkę. I choć już dawno wyrosła ze swojego dziecięcego języka, myśląc o karabinie, zawsze mam w głowie te dwa słowa, jak echo: buch-buch.

Mały kojot okazuje się posiadaczem właściwego zestawu genów. Falcon zbadał krew, którą pobrała Mia. Teraz można przyłączyć zwierzaka do stada. Bardzo mi ulżyło i jestem nawet trochę dumna z siebie. Mówiłam! Ale jednocześnie się martwię. Bo teraz pora na klik.

– Chcę przy tym być – mówię do Mii. Ubzdurałam sobie, że zdołam go ochronić, choć wiem, że to nie ma sensu.

Psie laboratorium znajduje się obok tego z rezonansem, w surowym budynku z pustaków ukrytym w zagajniku karnegii olbrzymich. Jest brzydkie, przypomina więzienie albo jakieś pomieszczenia fabryczne. Tu właśnie wszczepia się psom klik, zanim dołączą do stada.

Wnętrze jest chłodne, rozwibrowane i zielone. Powietrze pachnie cierpko, nagrzanymi kablami. Kilkoro studentów w fartuchach gapi się ze znudzonymi minami na wirówki. Pozostali są pewnie w ciemniach. Na pewnym etapie preparat wytwarzany jest w ciemności. Przy jednym ze stanowisk dziewczyna i chłopak szepczą między sobą, pochyleni nad pipetą i zlewką.

– Masz? – pyta chłopak.

– Mam – odpowiada dziewczyna. – Oho, prawie poleciało…

– Jest okej, wszystko gra – rzuca lekko chłopak. Oboje parskają śmiechem. Na widok Mii sztywnieją, ale chłopak nie zdążył stłumić zarozumiałego uśmieszku. Oczy mu błyszczą.

– Hej – rzuca ostro Mia. – Nie powinniście być na zewnątrz?

– Przepraszamy – mówi dziewczyna. Gdy wychodzą, wybucha histerycznym śmiechem, uciszana przez chłopaka. Ależ oni są denerwujący. Studentom się wydaje, że Sundial kręci się wokół nich, a my jesteśmy tylko dzieciakami, które tu po prostu mieszkają.

Wchodzimy do salki na końcu zielonego korytarza, przypominającej więzienną celę. Uśpiony kojot oddycha lekko na stole. Mia wyciąga strzykawkę z żółtego futerału. Oglądany z boku klik to właściwie nic takiego: zastrzyk, w którym znajdują się zakodowane w bakteriach instrukcje. Mia nauczyła bakterie kopiować DNA. Gdy już trafią do organizmu kojota, zaczną wycinać złe fragmenty materiału genetycznego, takie jak gen szalonego mordercy, by zastąpić je tymi, które skopiowały. Wyobrażam sobie miliony maleńkich nożyczek, niewidocznych gołym okiem, pracujących niestrudzenie przy tworzeniu misternej wycinanki. Klik, klik, klik. Gdy proces dobiegnie końca, Mia założy kojotowi cementową czapeczkę i dopuści go do stada. Oczywiście o ile wszystko pójdzie, jak trzeba.

Mia wbija igłę w mięsień na barku kojota – i gotowe. Mikroskopijne nożyczki zabierają się do pracy. Klik, klik, klik, klik. To pozbawi zwierzaka całego strachu i złości. Stanie się dobrym pieskiem. Kiedy się obudzi, świat będzie wyglądał inaczej, a on dołączy do stada. Złote boki kojota unoszą się i opadają. Łapy mu drgają. Śni.

Kiedy wychodzimy z ciemnego laboratorium, słońce razi mnie w oczy. Ruszam dalej za Mią, ale ona się odwraca i dotyka mojego policzka.

– Dość już tych eksperymentów, Rob. Idź teraz pięknie wykorzystać czas.

Ale ja nie mam pomysłu, co robić. Chcę zapomnieć o złych przeczuciach.

Wchodzę do kuchni. W spiżarni trwa rozmowa o mikrobach. Po cichutku przygotowuję kanapkę z dżemem. Zawijam ją w woskowany papier i wychodzę na palcach.

W szklarni unosi się tęczowa mgiełka. Z rury pod sufitem kapią roziskrzone krople wody. Chłodna wilgoć cudownie otula moją skórę.

Po wschodniej stronie rosną warzywa – gąszcze pomidorów i tyczkowate pędy fasolki. Większa część szklarni jest oddzielona płachtą plastiku. Tam uprawia się trujące gatunki i przed wejściem trzeba założyć odzież ochronną. Przez matową zasłonę widzę dwójkę studentów w kombinezonach i maskach, przemieszczających się powoli wzdłuż rzędów wysokich roślin. Wyglądają jak astronauci. To, co tam rośnie, na pierwszy rzut oka nie wygląda groźnie, przypomina zwykłe żyto. Ale cały dowcip z trucizną polega na tym, że jest niewidoczna gołym okiem. Później, gdy złote kłosy sczernieją, Falcon zbierze je i zaniesie do laboratorium, gdzie nastąpi kolejny etap.

Ktoś lekko stuka mnie po głowie. Podskakuję spłoszona.

– Ziemia do Rob.

To tylko Paweł. Obejmuję go na przywitanie.

– Szukałam cię.

– Lepiej pomóż mi kopać marchewkę.

– Albo ty opowiedz mi jakąś historię.

Uwielbiam, jak opowiada.

– Muszę kopać. Nie mam czasu na gadanie. Wiesz, co zrobi Mia, jeśli nie dostanie marchewek?

Parskam śmiechem, bo wiem, że Paweł uwielbia gadać, a Mia nic nie zrobi.

– Opowiedz o tym, jak wzięliśmy psy od Graingerów.

– Marchewka!

– Może teraz zmienisz zdanie – mówię i wyciągam z kieszeni kanapkę.

– O rany, co za dzieci. Człowiek nie ma chwili spokoju. – Paweł przysuwa dwie puste skrzynki i odwraca je do góry dnem. Miło się siedzi w tym chłodnym tunelu wypełnionym wilgotną mgiełką. Paweł odwija kanapkę z papieru i pochłania ją dwoma kęsami.

– Dobra – mówi, przeżuwając. – Dawno temu, gdy w Sundial nie było jeszcze psów ani was, mieszkaliśmy tu tylko Mia, Falcon i ja.

– I Lily – przypominam mu. – Moja matka.

– Jasne. No więc żyliśmy tu we czwórkę. Nocą gdzieś z kanionu dobiegało szczekanie psów. Od strony fermy szczeniąt.

– U podnóża gór Cottonwood – dodaję.

– Właśnie. Lina i Burt Graingerowie trzymali psy w ciemnych klatkach. Nie dawali im jeść i zmuszali do rodzenia kolejnych szczeniaków, żeby mogli je sprzedać. Były tam drogie rasowe psy, ale też tanie, sprzedawane do laboratoriów. Setki szczeniąt wykorzystywanych do produkcji narkotyków. Lina i Burt lubili narkotyki. Zmuszali psy do walki o jedzenie. Jeśli nie mogli ich sprzedać, wieszali je i patrzyli, jak umierają. To była dla nich zabawa. Podobno kilka szczeniaków wolało skoczyć do studni niż dalej tak żyć. Każdej nocy, od zmierzchu do świtu, słyszeliśmy ich wycie, twoja matka, Falcon, Mia i ja, i mówiliśmy sobie: „Nie, to nie w porządku, tak traktować psy". Więc wymyśliliśmy plan. Po zmroku wzięliśmy karabiny i noże i pomalowaliśmy twarze na czarno, żeby nie było nas widać w ciemności. Ruszyliśmy w stronę kanionu. Im bliżej, tym hałas był wyraźniejszy. Małe skomlały. Duże szczekały. Było słychać, że cierpią. Zajrzeliśmy przez okno i zobaczyliśmy straszne rzeczy. Pokój z rzędami klatek. Lina i Burt oglądali telewizję. Falcon wyłamał drzwi kolbą karabinu. Kiedy wbiegliśmy, zerwali się na równe nogi. Oni też mieli broń. I zaczęła się walka! Lina wrzeszczała, próbowała dusić Mię. Bum, bum, bum! Strzelanina. Kiedy opadł dym, zobaczyliśmy, że Lina i Burt niechcący się pozabijali. Otworzyliśmy wszystkie klatki. Psy wyszły powoli, jak starcy. Nigdy wcześniej nie widziały nieba. Ale zaczęły węszyć i oddychać świeżym powietrzem. Powoli podnosiły ogony, a ich oczy nabrały blasku. Lizały nas po rękach. A potem wszyscy razem wróciliśmy do Sundial, psy biegały dookoła, szczekając do księżyca,

tym razem z radości. Hau, hau! A teraz mieszkamy razem w Sundial i wszyscy są szczęśliwi.

Słyszałam wcześniej o tym, jak Mia i Falcon sprowadzili do Sundial psy ze sławetnej fermy szczeniąt. Oczywiście wiem, że Falcon, Mia, Paweł i Lily nie włamali się do Graingerów, nie zabili ich i nie ukradli psów. Ale po dzisiejszym dniu potrzebowałam usłyszeć tę historię. Bo to my jesteśmy w niej pozytywnymi postaciami, dzięki czemu łatwiej mi się myśli o losie naszych psów. Dostają jeść, mają powietrze i słońce. Żyje im się tu lepiej niż w laboratorium albo na jakiejś fermie szczeniąt.

Zabieramy się do kopania. Ja wyrywam z ziemi marchewki, Paweł każdą wyjmuje ostrożnie i powoli. Ma niezbyt sprawne dłonie. Jego palce wciąż pamiętają głód. Mimo to potrafi napełnić kosz marchewką. Pęd fasoli wyrwał się na wolność i odstaje od tyczki. Paweł przywiązuje go delikatnie, uważając, żeby nie zgnieść liści. Używa tej samej pętli co zawsze. Mówi, że jej nazwa to „węzeł ratowniczy". Jack i ja próbowałyśmy nauczyć się go wiązać. „Musicie uwierzyć, że sznurek jest zakochany" – powtarzał Paweł, kiedy piszczałyśmy z frustracji. Coś musiało zaginąć w tłumaczeniu z polskiego, jego ojczystego języka. „Sznurek najbardziej w świecie pragnie tego, by powstała z niego pętla".

– Wciąż bujasz w obłokach, Rob? – pyta teraz, otrząsając marchew z ziemi. Zawsze było trudno go oszukać. W przeciwieństwie do innych ludzi Paweł nie składa się z wielu warstw. Czasem mam wrażenie, że wie, co czuję, nawet kiedy sama nie jestem tego jeszcze świadoma.

– Zastanawiałam się, czemu tak bardzo różnisz się od reszty rodziny. Choć przecież mieszkasz tu, odkąd pamiętam.

– Wielkie dzięki. I jak myślisz?

– Wydajesz się wdzięczny, że możesz tu być. Jakbyś wcale nie uważał, że ci się to należy.

– Mam dużo powodów do wdzięczności – mówi. – Daliście mi dom. Pierwszy, odkąd poszedłem do więzienia.

– To musiało być dziwne uczucie, dostać taki dom.

– Było. Na początku musiałem zdobyć ich zaufanie. Ale zrozumieli, że można na mnie liczyć. Że jestem niegroźny. I dobrze sobie radzę z psami.

Kiedy Paweł odkłada marchewkę do kosza, rzuca mi się w oczy wyblakły niebieski tatuaż wystający z rękawa koszuli.

– Co to?

Paweł zawsze nosi długie rękawy. Nigdy nie przyszło mi do głowy go o to zapytać ani zastanowić się, co pod nimi chowa.

– Przeszłość – odpowiada.

– Mogę zobaczyć?

Spogląda na mnie przez chwilę.

– Dobra. Czemu nie?

Podwija rękaw. Na przedramieniu ma wytatuowanych dziewięć sylwetek, jedna obok drugiej. Tatuaż jest niebieski, ale tusz był kiedyś czarny. W pierwszej chwili sądzę, że widzę ludzi, ale po bliższych oględzinach stwierdzam, że to figury szachowe.

– Musisz naprawdę lubić szachy.

– Rodzice nauczyli mnie grać. Mnie i całe moje rodzeństwo. Kiedy byłem mały, graliśmy w różne gry. To dlatego każda z tych figur przedstawia jedno z nich.

– Gdzie oni teraz są?

– Nigdzie – odpowiada Paweł. – Codziennie za nimi tęsknię. Kiedy tu przyjechałem dziewiętnaście lat temu, Mia mnie przytuliła. Była wtedy asystentką waszego ojca. Ale okazała mi tyle życzliwości. To był pierwszy raz od lat, kiedy ktoś mnie dotknął. Nie licząc bójek i bicia. Byłem bardzo samotny.

– To smutne. Ja nigdy nie jestem samotna, bo mam Jack.

Próbuję sobie wyobrazić, jak by to wyglądało, gdyby jej nie było. Ale widzę tylko dziurę, pustą przestrzeń. Ta rzeczywistość nie istnieje – ta, w której jestem bez siostry.

– Rozumiem Jack. Ona cierpi – mówi Paweł. Głos ma spokojny, więc nie wiem, dlaczego w mojej piersi otwiera się jakaś wąska, zimna szczelina.

– Wcale nie.

– Może nie chcesz tego dostrzec.

– Nikt jej nie rozumie tak jak ja.

Powoli wzbiera we mnie furia. Jak on śmie gadać takie rzeczy? Spoglądam na niego i widzę, że twarz lśni mu od wody ze zraszaczy.

A potem uświadamiam sobie, że to łzy. Zdarza mu się płakać nad przeszłością. Robił kiedyś złe rzeczy i wszyscy bliscy mu ludzie go opuścili. Może umarli, nie wiem. Potem długo siedział w więzieniu, a kiedy wyszedł, był całkiem sam. Jakby się urodził na nowo. Dziś my jesteśmy jego rodziną. Ale choć od dwudziestu lat jest wolny, jakaś część jego duszy zawsze będzie tkwiła w więzieniu.

Wieczorem, gdy leżymy w łóżkach, mocno ściskam rękę Jack. Paweł nie wie, co mówi. Mam Jack, a ona ma mnie. Tak to wygląda. Nikt nas nie zna tak dobrze, jak znamy się nawzajem. A Paweł niech spada. Kretyn.

– Jack.

Siostra nie odpowiada i kolejny raz wyczuwam, że coś zaprząta jej uwagę. Milczy, nie tyle zamyślona, ile na czymś skoncentrowana. Nie, ona na coś patrzy. Podążam za jej spojrzeniem w stronę pustej ściany i zasłoniętego okna.

– Jack – powtarzam.

Odwraca głowę o sekundę za późno.

– Co tam, Sundance?

W oczach ma pustkę. Przez jedną straszną chwilę mam wrażenie, że patrzy na mnie Lalka Jack. Pusta słomiana twarz. Coś jest nie tak.

Muszę być dzielna. Próbuję sobie wyobrazić, co zrobiłaby na moim miejscu.

– Na co patrzysz?

Lekko przekręca się w moją stronę, ale nadal patrzy przed siebie.

– One są wszędzie, Rob – mówi cicho, kątem ust, jakby się bała, że ktoś ją usłyszy. – Wchodzą tu przez ściany.

– Jakie one?

– Psie duchy.

– Dziwna jesteś – mówię, ale to ja czuję się dziwnie. Zimny dreszcz przebiega mi po kręgosłupie.

– Spójrz – szepcze Jack z taką mocą, że spełniam polecenie, ale wciąż widzę tylko zasłonięte okno i ścianę, zadrapaną od dnia, kiedy próbowałyśmy grać tutaj w squasha.

– Tu nic nie ma, Cassidy. Nic a nic.

– Są tuż obok – Jack wyciąga rękę. – Cinnamon, chodź tu, piesku. Do mnie, Jinx, chodź Jethro. Pamiętasz je, Rob? Były malutkie, ale Mia zrobiła im buch-buch, bo powiedziała, że i tak nie przeżyją. O, jest i Artur. Lubiłam go najbardziej ze wszystkich, a przez Mię dostał gorączki kleszczowej. Nie obejrzała go dość dokładnie. One są tu wszystkie, Rob, nawet te, których nie znam. Wszystkie martwe psy. Zabite ręką Mii morderczyni. – Ciałem Jack wstrząsają szlochy.

Wpadam w taką panikę, że zastanawiam się, czy nie zawołać Mii.

– Popatrz na mnie – proszę. – Złap mnie za rękę. Nikogo tutaj nie ma.

– I wszędzie te świetliki.

Jack odwraca się do mnie i teraz widzę, że wcale nie płacze. Oczy ma wielkie, rozszerzone, jakby pozbawione powiek. Bierze mnie za rękę. Myślałam, że przyłoży ją do serca, ale ona zaczyna wykręcać mi skórę.

– Au, to boli.

– Nie chcę tam wracać. – Pochyla się nad moją dłonią i zaczyna ciągnąć za palce, jeden po drugim, jakby chciała mi je wyrwać.

– Boli! – powtarzam z rosnącą paniką.

Jack pochyla się niżej. Z ulgą myślę, że chce pocałować moje palce, żeby nie bolało. Robiła tak zawsze, kiedy byłyśmy małe.

– Nie zmuszajcie mnie. – Zbyt późno dociera do mnie, co się dzieje. Z krzykiem uderzam ją po głowie w chwili, gdy zatapia zęby w moim kciuku.

Nagle przenosi na mnie pusty wzrok i wybucha płaczem. Sięga po Lalkę Rob i przytula ją do piersi. Z kącika jej ust, po brodzie i na głowę lalki spływa strużka krwi. Mojej krwi.

– Dlaczego to zrobiłam? – szepcze do miejsca, w którym lalka miałaby ucho. – Dlaczego?

Callie

Mama cichnie. Wygląda mizernie i pusto – jakby do tej pory wypełniała ją opowiadana historia, a teraz powietrze uszło z niej jak z balonika.

– Muszę zrobić sobie przerwę, Callie.

– Okej. – Zastanawiam się, czym się tu zająć. W domu nie ma telewizora.

Mama podchodzi do lodówki, z której dobiega woń mięsa zamkniętego w plastikowej torbie.

– Wybacz, kochanie – mówi i dotyka mojego policzka. – To wszystko wydaje ci się pewnie bardzo dziwne.

– Ja się nim zajmę. Tym mięsem. – Musi być bardzo zmęczona, inaczej by mi nie pozwoliła.

Założę się, że zobaczę to miejsce, jeśli wejdę na zachodnią grań.

Zachód słońca ma kolor wnętrzności. Przerzucam przez płot garści mięsa. Mielona łopatka, nadpsute fioletowo-brunatne steki. Patrzę, jak lądują na ziemi. Sięgam po wielki kawał mięsa z kością, chyba udziec jagnięcy. Jest tak ciężki, że nie mam siły go przerzucić. W końcu zostawiam udziec pod płotem. Zabiorę go w drodze powrotnej.

Wspinam się na zachodnią grań, z której widać słońce rozświetlające czubki gór Cottonwood. Widać *arroyo*, a w nim fermę szczeniąt. Co za idiotyczne określenie. Wiem wszystko o tym miejscu. Czytałam, co robili tam Lina i Burt.

A może ona chce cię tam zostawić. Na dźwięk głosu Bladej Callie podskakuję z przestrachu. Ostatnio była cicha. Czy ona w ogóle śpi?

Zamknij się. Tam już nie ma żadnej fermy. Wiem to na pewno. Lubię bibliotekę i szelest mikrofiszek.

W drodze powrotnej wyczuwam jakiś ruch za plecami. Odwracam się, ale jedyne, co widzę, to długie cienie rzucane przez krzak jałowca. Mięso za płotem zniknęło. Tak samo jak udziec jagnięcy, który zostawiłam po wewnętrznej stronie.

Ciekawe – odzywa się Blada Callie. *Pewnie gdzieś jest dziura.*

Resztę drogi pokonuję biegiem, jakby coś mnie goniło.

Mama wypatruje mnie przez okno. Marszczy brwi, jakby się martwiła. Pozwalam jej się przytulić. Nie chcę, żeby znów wpadła w gniew.

– Coś tu włazi przez płot – informuję ją. Mama blednie.

– Nigdzie więcej nie wychodź, Callie – mówi i robi obchód po domu, zamykając wszystkie drzwi i okna, zaciągając żaluzje. – Pustynia tylko wydaje się pusta – mówi, kręcąc głową. – Tymczasem przypomina dzielnicę mieszkalną. Tyle że bardzo dużą. Paweł straszył nas historiami o… – Zamyka oczy i przełyka ślinę. – Nieważne.

Wydaje się zmęczona i niegroźna. Ale wciąż pamiętam, jak zrobiła się czerwona, pamiętam otwarte usta i krzyk zawodzącego kota. Przed wyjazdem mnie uderzyła, a tutaj potrząsała mną, krzyczała i zniszczyła mi aparat. Jest niestabilna, to pewne.

Gdy coś ci zagraża, możesz zrobić trzy rzeczy: uciekać, walczyć albo spróbować się z tym czymś zaprzyjaźnić. Nie wiem, co powinnam wybrać.

Otwieram drzwi do jej pokoju. Mama śpi. Przyglądam się, jak oddycha, patrzę na jej usta, policzek, stuloną dłoń przy twarzy i drugą rękę, zarzuconą nad głowę. Oddech mamy też jest zegarem. Wdech, wydech. Przysłuchuję mu się przez dłuższą chwilę.

Telefon na komodzie wibruje od przychodzących wiadomości. Podchodzę na paluszkach i biorę go do ręki. Robi prrr. To znowu tata. Zabieram telefon i schodzę do salonu, stąpając na palcach jak chochlik.

Kiedy wybieram numer, tata odzywa się natychmiast:

– Rob.

Głos ma przerzedzony z furii, prawie nie do poznania. Zwinięty wąż!

– Tato?

– Callie? – Jego ton w sekundę się zmienia. Nabiera ciepła. – Hej, kumpelko, wszystko w porządku?

– Chyba tak.

– Gdzie mama?

– Chrrr. Śpiąca buźka.

– Jak zareagowała? Mów. – Teraz przybiera ostrożny, obojętny ton, jak zawsze, kiedy stara się ukryć, że jest wściekły.

– Potrząsnęła mną, tato. Kiedy wypadły z walizki.

Dlaczego przekonywał mnie, że to będzie zabawne?

– Zrobiłaś zdjęcie, jak prosiłem?

– Tak, tato – odpowiadam szeptem.

– Dobrze.

– Ale wcale nie wyszło tak zabawnie, jak myślałeś. A potem mama rozdeptała aparat.

Tata bierze głęboki wdech.

– To fatalnie. Jesteś już duża, nie mogłaś jej powstrzymać?

Spięty głos. Muszę stąpać ostrożnie. Wiem, jaki czasem bywa. Chce mi się płakać.

– Czemu znów się kłócicie?

– To sprawy dorosłych, kumpelko.

– Mogę pogadać z Annie? – pytam.

– W porządku – rzuca ciężko po dłuższej chwili.

– Callie? – Na dźwięk jej głosu wypowiadającego moje imię zalewa mnie fala czułości.

– Cześć – odpowiadam. – Jak się czujesz?

– W porządku. Swędzi. Dlaczego ty i mama mnie zostawiłyście?

Głos ma taki dziecinny i smutny, że serce ściska mi się niczym wyżymana szmatka.

– Mama i ja musiałyśmy porozmawiać. Mama… Annie, mama jest chora.

– Tak jak ja?

– Powiedzmy.

– Umiesz ją wyleczyć, Callie?

– Spróbuję – zapewniam, ale czuję, że opuszcza mnie nadzieja. Jak się leczy niestabilność? – A na razie będziesz grzeczna dla taty?

– Tak – odpowiada. Mimo to się martwię. Słyszę w jej głosie ten marudny ton, który oznacza, że wzbiera w niej jakieś nieposłuszeństwo. Jeszcze będą z tego kłopoty.

– Tylko pamiętaj, nic mu nie mów. Rozumiesz? Bo inaczej będę musiała cię ukarać.

– Rozumiem, Callie – odpowiada wystraszonym głosikiem. Dobrze wiem, że to jeszcze nic nie znaczy. Annie jest nieobliczalna.

W tle rozlega się słabo czyjś głos.

– Irv? – Potem jakiś zduszony dźwięk i stęknięcie.

– Dobry wieczór, pani Goodwin – mówię. Może tata ją też zaczął ciągnąć za włosy. To by miało sens, prędzej czy później robi to każdemu. – Jak się miewa pan Goodwin? Sam i Nathan?

– Pani Goodwin wpadła sprawdzić, czy wszystko u nas w porządku. – To tata znów przejął telefon.

– Wiesz co, tato, całkiem dobrze mi tu z mamą – oznajmiam do słuchawki. – Ty lepiej zostań w domu. Zostań z Annie.

Tata zaczyna coś jeszcze mówić, ale naciskam czerwony guzik i głos znika. Delikatnie odkładam telefon na blat. Pewnie nie powinnam była przerywać tacie w pół słowa, wiem, że tego nie lubi. Ale nie chcę, żeby tu przyjeżdżał. Nie powinien zostawiać Annie samej. Nie wiem też, czy mama powinna teraz przebywać z Annie.

Może niedługo dostaniemy nową mamę, odzywa się Blada Callie.

Strasznie się martwię, a kiedy się martwię, wszystko wokół zmienia się w gorący dym.

Spokojnie, Ciepła Callie.

Zamknij się. Ale ona ma rację, muszę się uspokoić. Przed oczami znów tańczą mi czerwone punkciki, a w piersi narasta to uczucie, którego nigdy nie potrafię opanować.

Stoję bez ruchu z zamkniętymi oczami i mocno zaciskam pięści, póki powietrze wokół nie przestaje wirować, rozgrzane i czarne.

Lepiej poszukaj czegoś ostrego. Niechaj w oko igłę wbije!

Mama codziennie liczy noże – odpowiadam Bladej Callie.

Na pewno je pochowała.

Blada Callie czasem jest naprawdę bystra. Szuflada z nożami jest pusta. Podobnie stojak na blacie. Wyciągam szufladę do samego końca. *Może któryś spadł za szafkę.*

Dobry pomysł – przyznaje niechętnie Blada Callie. A potem: *Tam coś leży.*

Przedmiot przypomina czarną skrzyneczkę z kolorowymi przyciskami. I antenką, jak w radiu.

Co to?

Nie wiem.

Przebiegam palcami po przyciskach jak po klawiszach pianina. Z tyłu jest panel – otwieram go. Wnętrze pokrywa jakiś biały nalot. Cokolwiek to jest, już nie działa.

Przyciskam jeden z guzików, podobny do cukierka. Nic się nie dzieje. Pewnie urządzenie jest zepsute. Wsuwam je do kieszeni, bo lubię popsute rzeczy, których nikt nie potrzebuje.

Odkładam telefon na komodę, delikatnie, jak żywe stworzenie. Przez chwilę słucham oddechu mamy, a potem na nią spoglądam. Ma otwarte oczy, obserwuje mnie.

– Potrzebujesz czegoś, Callie?

Chyba nie widziała, jak odkładam telefon. A może?

– Opowiesz dalej, mamuśka? – przymilam się słodkim głosem Annie. Mama wygląda na zadowoloną.

– W porządku – mówi.

Nie mam się czym obronić i nie mogę uciec, próbuję się więc zaprzyjaźnić.

Tamta Rob

Jestem ociężała ze zmęczenia, a krojenie mięsa z dnia na dzień napawa mnie coraz większym wstrętem. Zeszłej nocy nie mogłam spać. Kciuk pulsuje lekko pod opatrunkiem z gazy. Powiedziałam Mii, że uderzyłam się młotkiem.

– Wszystko w porządku? – pyta Jack już po raz dwunasty. Nie wiem, co odpowiedzieć. Jest niewyspana, ale poza tym wygląda normalnie. Trudno uwierzyć, że zeszłego wieczoru chciała powyrywać mi palce.

– Co to było wczoraj, Jack?

– Pewnie coś mi się przyśniło.

– Okej. – Nie przekonuje mnie to wyjaśnienie, ale nie chcę się kłócić.

– Obiecuję, że to się nie powtórzy, Sundance. Po prostu tu wariuję. Pora zrealizować nasz plan.

– Okej.

„Pora zrealizować nasz plan" – tak mogłaby powiedzieć któraś z bohaterek *Bingley Hall*. Właściwie nigdy nie brałam tego planu na poważnie. Rozmawiałyśmy o nim, leżąc w łóżkach, tak jak czasem rozmawiamy o naszych ideałach chłopaka. Mój ma gęste jasne włosy i wygląda jak Robert Redford, tylko oczy ma zielone, tak jak ja. Uprawia jakiś artystyczny zawód, powiedzmy, że jest choreografem. I pochodzi z Francji. Chłopak Jack jest natomiast ratownikiem, ciemnowłosym, ale o niebieskich oczach Roberta Redforda. Ani jeden, ani drugi nie interesuje się naukami ścisłymi.

– Poprosisz Falcona, dobrze? – Jack wyciera ręce w fartuch, zostawiając na nim krwawą smugę. – Jest szansa, że ciebie posłucha. W końcu to ty jesteś tą dobrą siostrą.

– Poproszę go. Ale nie jestem dobra.

– Och, Falcon – przedrzeźnia mnie piskliwie Jack. – Opowiedz mi jeszcze raz o mało aktywnej monoaminooksydazie typu A. – Zasłania fartuchem dolną część twarzy i trzepocze rzęsami. – Za to ja jestem zła – dodaje. – I bardziej interesująca.

– Jesteś dokładnie taka, jak Marjorie, kiedy dowiedziała się o ściąganiu na egzaminach.

– Wcale nie!

Kiedy odwraca się tyłem, dla żartu kładę jej na kucyku kawałek wątróbki. Wątróbka ześlizguje się po karku i pod T-shirt, a Jack odskakuje z wrzaskiem. Wszystko wróciło do normy.

Długie ławki przy stole pod jakarandą są prawie puste. Robi się gorąco, większość gości jest już po śniadaniu i zabrała się do pracy. Przy drugim końcu stołu dwójka studentów słucha opowieści Falcona o jego pierwszym roku w MIT. Wlepiają w niego wzrok i z zapałem kiwają głowami. Zdaje się, że to dziewczyna i chłopak, ale mają identyczne fryzury i identyczne, szeroko otwarte oczy. Historię Falcona słyszałam wielokrotnie: opowiada o profesorze filozofii i donucie. Nie zrozumiałam jej za pierwszym razem i nie rozumiem do dziś.

– Przed południem wezmę Dwudziestą Trzecią na zachodni wybieg – mówi Mia, dolewając Falconowi kawy. Para kłębi się wokół niej jak dym z kadzidła.

Na mój talerz pada jakiś cień.

– Hej.

Podnoszę wzrok. Facet jest w miarę młody, dwudziestoparoletni, ubrany w śnieżnobiałą koszulę – nigdy nie widziałam czegoś tak białego. Twarz bez emocji, ciemne włosy, nic ciekawego. Nachyla się odrobinę za blisko. Czuję zapach – czysty, zbyt czysty, zapach jego nagrzanej słońcem skóry.

– Tu jesteś, Rob – mówi Jack. Nie słyszałam, jak podchodzi. Wsuwa się między nas, tak że facet musi się cofnąć.

– O, macie różny kolor oczu – mówi. – Nie zauważyłem tego wcześniej.

– Nie wszystkie bliźnięta są identyczne, kretynie – prycha Jack, łapiąc mnie za rękę. – My jesteśmy dwujajowe. Niewiele was uczą na tych

prestiżowych studiach, co?

– Bystra jesteś. – Jej niemiła odzywka najwyraźniej sprawiła mu przyjemność.

– A ty nie. Ta koszula za dwadzieścia minut będzie cała przepocona. Jesteśmy na pustyni, nie widzisz?

Chłopak rozkłada ręce i odchodzi. Jack i ja wybuchamy śmiechem. Jak dobrze, że się zjawiła. Nie wiedziałabym, jak wyjść z takiej sytuacji.

– Dziewczynki? – Podskakujemy obie, a Jack oblewa się rumieńcem. Mia stoi tuż za nami. – Nie rozmawiamy w ten sposób z gośćmi – mówi.

Jack patrzy na nią bez słowa, ale Mia kiwa głową, jakby uznała, że dotarło, i rusza w stronę kuchni.

Jack sięga po jabłko i odgryza trzy kawałeczki, jeden przy drugim. Ten konkretny wzór oznacza: „Mia to frajerka".

Falcon przygląda się nam z drugiego krańca stołu. Zmieszana, zjadam resztę jabłka. Akurat teraz musieli zwrócić na nas uwagę? „Frajerka". Czuję to słowo w ustach. Czuję, jak spływa mi do gardła, a później do żołądka, skwierczy jak gorący kamyk.

Z pobliskiej kępy krzaków słychać bzyczenie kolibra. Czerwona plamka, rozmazana smuga skrzydeł.

– Jak serce, które biło tak mocno, że wyskoczyło z piersi – mówię i natychmiast robi mi się głupio.

Jack przygląda się ptaszkowi.

– To tak jak my. Jesteśmy swoimi sercami, które biją poza ciałem.

Słysząc to, czuję przypływ ciepła. Zwykle to ja mam skłonności do sentymentalizmu.

– Falcon, Rob chce cię o coś zapytać – mówi Jack.

– Dobrze, porozmawiajmy.

Falcon prowadzi nas do podłużnej drewnianej altany na wzniesieniu. W środku są pieńki do siedzenia, niskie stoły i podest. To tu dorośli odpoczywają, gdy pod wieczór robi się chłodniej. Z altany rozciąga się widok na pustynię po zachodniej stronie i błękitne pasmo gór w oddali.

– Usiądę – mówi Falcon. – Skoro to takie ważne. Łatwiej będzie mi się skupić.

Przysuwa sobie pieniek i siada płynnym, pełnym gracji ruchem. Stajemy przed nim.

– Falcon – zaczynam, po czym milknę i bezsilnie zerkam na Jack.

– Myślałyśmy o tym, że chcemy pójść na studia – kończy za mnie siostra.

– W porządku – odpowiada Falcon, unosząc brwi. – Oczywiście możemy to rozważyć.

– Ale najpierw przez rok chciałybyśmy pochodzić do normalnej szkoły. – Głos Jack łamie się lekko z tęsknoty. Udziela mi się jej zapał, choć sama nie do końca go czuję. – Jeśli mamy iść na studia, musimy najpierw skończyć liceum. Zaliczyć wszystkie przedmioty, pracę w drewnie i tak dalej. – Nie mam pojęcia, skąd bierze te pomysły.

– Drogie dziewczynki – odzywa się Falcon. – Bardzo się cieszę, że do mnie przyszłyście. Możemy zmienić wasz plan zajęć, jak sobie zażyczycie. Więcej lekcji klarnetu? Mniej arabskiego?

– Chcemy iść do prawdziwej szkoły – szepcze Jack. Mam wrażenie, że widzę, co jej chodzi po głowie. Zielone boisko, uniesiona rakieta do lacrosse'a, trzepocząca spódniczka i otwarte z podziwu usta koleżanek z drużyny.

– Ale po co wam to? – pyta Falcon, autentycznie zdumiony. – Sam nauczę was wszystkiego, czego trzeba.

– To nie to samo – mówi Jack. Ostrzegawczo dotykam jej ramienia. Jest twarde jak skała; napięte mięśnie, zaciśnięte pięści. – Chcemy wreszcie zobaczyć świat. Dlaczego nigdy stąd nie wyjeżdżamy? To nie fair! Chcę pójść do zwyczajnej szkoły i mieć zwyczajne życie.

Nie wiem, jak Jack wyobraża sobie zwykłe życie. Nie wiem nawet, co to znaczy dla mnie. Jedyną szkołą, jaką znamy, jest Bingley Hall, a wątpię, czy można by ją nazwać zwyczajną.

Falcon patrzy na nas ze smutkiem.

– Próbowałem dać wam coś lepszego niż szkoła. Zapewnić wam prawdziwe wykształcenie. Przykro mi, że to za mało.

– Lubisz mieć nas wszystkich przy sobie, prawda, Falcon? – mówi Jack cichym, jadowitym głosem. – Wielbimy cię, chwalimy twoją wspaniałomyślność. Jesteśmy twoim małym państwem, a ty naszym prezydentem. Trzymasz nas tu, bo ci to pochlebia. – Sięga po kamień i ciska nim z całej siły. Zamiast w Falcona, trafia w słupek altany. Odprysk drewna szybuje w niebo, pozostawiając jasny ślad.

– Jack! – wołam przerażona.

– Nie, Rob, pozwól jej się wyrazić – powstrzymuje mnie Falcon i zwraca się do Jack: – Jesteś wściekła. Bądź wściekła. Wyrzuć to z siebie.

Jack patrzy na niego, a bijąca od niej furia zawisa w powietrzu niczym miraż. Potem moja siostra wybucha głośnym szlochem, wykrzywiając twarz w grymasie rozpaczy.

Falcon obejmuje ją ramieniem. Jack przytula się do niego.

– Przepraszam – mówi przez łzy.

– Wiem. – Falcon głaszcze ją po włosach. Płacz stopniowo cichnie. – Dziś odpuszczam wam obowiązki. Idźcie pięknie wykorzystać czas. – Oboje z Mią często powtarzają te słowa. Nie wiem nawet, co mają na myśli. – I wiecie co? Spróbujcie być trochę grzeczniejsze dla Mii.

Ulżyło mi, że Falcon nie zgodził się na szkołę. Istniała przecież straszna możliwość, że uszanuje to jako naszą suwerenną decyzję.

Paweł znosi na Ofiarowanie naręcza jałowca. Gałązki trzaskają i skwierczą w ogniu, w powietrzu czuć ich pieprzowy zapach. Paweł nerwowo miętosi w palcach kawałek sznurka, zaplatając i rozplatając węzeł ratowniczy. Już, już ma coś powiedzieć, kiedy wstaje Mia. Światło ognia odbija się na jej poważnej twarzy. Jack niespokojnie ściska mnie za rękę. Mia zabiera głos mniej więcej raz do roku. Zawsze wrzuca do ognia to samo i zawsze psuje nam wieczór. Wszystkim robi jej się szkoda.

– Zostawiłam z nim Alicię, choć wiedziałam, jaki jest. Chciałam porzucić całe swoje dawne życie.

Wyciąga z kieszeni zmiętą białą chustkę przesiąkniętą olejkiem miętowym. Zapach czuć z drugiej strony ogniska. Tłusta szmatka wpada w płomienie, bucha iskrami jak fajerwerk.

– Tak właśnie pachniał – szepcze Mia.

Falcon obejmuje ją ramieniem.

– Dziękujemy. Dziękujemy, że podzieliłaś się swoją prawdą.

Jack prycha w koc, który okrywa nam kolana. Dźwięk jest cichutki jak westchnienie, ale słyszę w nim pogardę. Falcon chyba też, bo spogląda na nas ostro, co mu się bardzo rzadko zdarza. Poczucie

niesprawiedliwości pali mnie od środka. Ja przecież nie zrobiłam nic złego!

– Dzięki, Mia – mamroczę, a Falcon kiwa głową.

Dłoń Jack wsuwa się w moją pod kocem. Po drugiej stronie ognia Mia zaczyna płakać. Paweł kładzie jej rękę na plecach. Nie odzywa się, ale oczy ma mokre od łez.

Wkrótce potem idziemy spać. Po wystąpieniu Mii wieczór nigdy nie trwa długo. Nie zostaje nic do powiedzenia. Odkąd pamiętam, Mia wrzuca do ognia tę chustkę, ale nigdy nie udało jej się spalić jej na dobre.

Później, gdy leżymy otoczone różowym światłem lampki, Jack łapie mnie za rękę. Chwyta ją w obie dłonie i przyciska do serca. Wzdrygam się na wspomnienie poprzedniego wieczoru, ale ona tylko pyta smutno:

– Jak myślisz, czym właściwie jest chustka? Co człowiek wtedy czuje?

Wiemy, jak brzmi prawidłowe określenie tego, co przytrafiło się Mii i jej siostrze. Ale jest krótkie i brutalne, i niewiele dla nas znaczy. Słowo „chustka" kojarzy się z tymi aspektami, które jesteśmy w stanie zrozumieć. Ze smutkiem Mii, z jej cierpieniem.

– Nie wiem – odpowiadam drżącym głosem.

– Zabiłabym każdego, kto by cię skrzywdził. Na pewno bym nie milczała i nie zostawiłabym cię samej. Uciekłybyśmy razem.

– Ja też bym cię nie zostawiła. – Na samą myśl o tym słowa grzęzną mi w gardle.

– Rozumiem, że spotkały ją złe rzeczy, ale to nie znaczy, że musiała tu przyjeżdżać i rządzić się, jakby była naszą matką – ciągnie Jack, a w jej głosie dźwięczy napastliwy ton. Patrzy na ścianę przed sobą, jakby mogła przeniknąć ją wzrokiem.

– Już dobrze, Jack. Jest okej, wszystko gra. – Od dawna czekałam, by móc użyć tych słów w rozmowie, bo w moich uszach wyrażają absolutny szczyt luzu. Problem w tym, że nic nie gra i nic nie jest okej.

Mia opowiadała nam o chustce wiele razy. Dziś jednak rozumiem to na nowo. Odczuwam jej historię całym ciałem, całą skórą, inaczej, niż kiedy byłam młodsza.

Do dziś, gdy spotykam się z tym słowem, umysł podpowiada mi inne: „chustka”. Zdaje mi się wtedy, że czuję delikatny zapach mięty. Może to dlatego tak nienawidzę telewizji i gazet. Bo to słowo jest wszędzie.

– Nie myśl o tym więcej, Sundance – mówi Jack. – Lepiej pomyśl o kolibrze, którego dziś widziałyśmy.

To mnie odrobinę uspokaja i proszę:

– Opowiedz mi o mamie.

– Miała miękkie brązowe włosy. Nasze pewnie ściemnieją i będą miały kiedyś ten sam kolor. Miała niebieskie oczy, jak ja, nie zielone, jak ty. Mówiła z lekką zadyszką, bo chorowała na serce. Jej głos brzmiał dzięki temu tak mrucząco i ciepło. Jak u pluszowego misia, gdyby misie umiały mówić. Kochała róże. To właśnie dlatego Falcon zasadził różę na jej grobie. Miała bzika na punkcie genetyki, chciała pomagać dzieciom z wadami wrodzonymi.

Podejrzewam, że Jack niektóre rzeczy usłyszała od Falcona i Mii, inne pewnie sama pamiętała. W końcu wszystko zmieszało się w jedno wspomnienie. Mimo to naprawdę widzę przed sobą naszą matkę. Łagodną, trochę nieśmiałą kobietę o miękkich włosach i niebieskich oczach Jack, troszczącą się o innych i kochającą nas ponad wszystko. Jej dłoń na moich włosach w środku nocy. Zapach lilii dryfujący w moich snach.

– Lubiła tapiokę. Nie znosiła żółtego koloru, może dlatego, że kojarzył jej się z osami. W dzieciństwie użądliła ją osa.

Powoli odpływam, niesiona głosem siostry, tuląc w ramionach lalkę. Dopiero gdy już prawie śpię, dostrzegam rękę Jack poruszającą się w powietrzu, pieszczącą niewidzialne uszy i mierzwiącą miękką niewidzialną sierść. I mogłabym przysiąc, że przez moment słyszę ciche ziajanie szczęśliwego, zmęczonego psa.

Sen natychmiast mnie opuszcza. Jeszcze długo leżę rozbudzona i patrzę na siostrę, która głaszcze ręką powietrze, jakby było żywą istotą.

Jack trzeci dzień z rzędu nie przychodzi do krów. Doję je sama, ponuro wsparta czołem o bok wierzgającej Elsie. Po odniesieniu mleka do kuchni wracam posiedzieć jeszcze trochę z Nimue. Widać, że mnie lubi,

i zawsze wiem, gdzie ją znaleźć, co nie jest oczywiste w przypadku pewnych osób. Jej oddech pachnie trawą w wiosenne popołudnie. Nimue naprasza się o pieszczoty. Drapię ją w potylicę, bo wiem, że to uwielbia, ale w końcu ona też się mną nudzi i odchodzi w cień akacji, przy akompaniamencie cichego pobrzękiwania dzwonka.

Obchodzę granice rancza, wpatrzona w szare pasmo gór Cottonwood. Krajobraz wokół jest ruchliwy i pełen melodii. Kląskanie, szmery, drgania; kamyki, skały, wiatr. Pustynia nie zwraca na mnie uwagi. A ja nie umiem pięknie wykorzystać czasu. Bez Jack po prostu się nudzę.

Kątem oka zauważam ciemną smugę. Mia stoi wyprostowana przed siatką otaczającą zachodni wybieg. Nieopodal siedzi Dwudziesta Trzecia i drży z rozkoszy. Mia podchodzi do psa. Trzyma kciuk na przycisku „zostań". Spod jej stóp z każdym krokiem wzbijają się obłoczki pyłu. Dwudziesta Trzecia dyszy z wywieszonym językiem. Charakterystyczne dla rottweilerów podpalane plamki na jej czole przypominają drugą parę oczu.

Mia klęka przed nią, krzywiąc się w blasku słońca. Przygląda się burej czapeczce na jej łbie, podobnej do pacyny kitu. Czapeczka jest stopiona z kośćmi czaszki, a wewnątrz kryją się przewody schodzące w głąb przez wywiercone dziurki i zakończone miniaturowymi elektrodami przytwierdzonymi do istotnych ośrodków w psim mózgu.

– Mogę popatrzeć?

Mia z drgnięciem unosi głowę i odwraca się. Wyraz niepokoju na jej twarzy przechodzi w ekscytację, uroczą i trochę żałosną – jak u klasowej frajerki, wdzięcznej, że jedna z popularnych dziewcząt podeszła się przywitać. Taka scena mogłaby się wydarzyć w Bingley Hall. Czuję ukłucie wyrzutów sumienia. Czemu właściwie traktujemy Mię tak podle?

– Jasne, siadaj. Masz miejsce w pierwszym rzędzie.

Otwieram furtkę i wychodzę. Jestem teraz poza granicami Sundial. Wokół rozciąga się pustynia. Dziwne uczucie. Zazwyczaj nie wolno nam wychodzić za płot. W starym *arroyo*, gdzie dawniej stał dom Liny i Burta, mieszkają teraz źli ludzie. Siadam po turecku parę metrów za plecami Mii.

– Czuję twój wzrok na karku.

– Przepraszam – mówię i lekko przesuwam się do tyłu.

– Lepiej. Muszę się teraz skupić.

– Jak to jest nią sterować? – pytam.

– To trochę jak strzelanie. Kobietom rzadko zdarza się poczuć taką władzę.

Dwudziesta Trzecia oddala się truchtem. Kiedy Mia wciska guzik, gwałtownie skręca w lewo. Potem znów. Biega teraz po obwodzie idealnie równego prostokąta. Obserwuję ją, mrużąc oczy w ostrym słońcu.

– Grzeczna sunia – mówi Mia i nagradza ją czule. Jakoś nie mogę w to wszystko uwierzyć i myślę, że może rottweilerka po prostu lubi biegać po obwodzie prostokąta. Albo robi to, bo wie, że w zamian dostanie pieszczoty.

– Jak to w ogóle działa? – pytam, nadając głosowi ton zaciekawienia. Ja też umiem się przypodobać.

– Cóż, pies to nie robot – odpowiada Mia. – To urządzenie przesyła falę o częstotliwości ośmiuset herców do ośrodka przyjemności w mózgu. Dzięki temu bieganie po prostokącie wywołuje prawdziwą rozkosz. Suka chce to robić, żeby dobrze się poczuć. Ale do tego, żeby zaczęła szukać tej przyjemności, żeby czekała na komendy, potrzebna jest tresura. Nie każdy pies się jej poddaje. Zdarzały mi się już porażki.

Kiwam głową, przypominając sobie rok, w którym przestaliśmy nadawać psom imiona. Przez kilka chwil obie milczymy. Cinnamon, Jethro, Jinx.

– Ale uczymy się na błędach – mówi w końcu Mia. – Dziś wszystko wygląda inaczej.

Corpus mamillare, *hypothalamus*, *campi foreli*, *lemniscus*. Te słowa brzmią jak nazwy tajemniczych kwiatów. Czasem wyobrażam sobie elektrody jako świetlne pręciki jarzące się głęboko w psich mózgach.

Dwudziesta Trzecia liże rękę Mii i kładzie się na ziemi.

– Kazałaś jej to zrobić?

– Przesłałam do jej mózgu impuls przyjemności, który kazał jej się położyć. Ale lizanie? To już wyszło od niej. – Mia uśmiecha się do Dwudziestej Trzeciej, a suka patrzy na nią, bijąc ogonem o ziemię

w gorączkowym rytmie uwielbienia. – Niektóre psy są z nami już od bardzo dawna.

To Mia zaprojektowała układ elektrod i czapeczki z cementu stomatologicznego. Próbowała różnych wersji, nie ustając w wysiłkach, póki obiekty jej badań nie przestały umierać od infekcji.

Moja twarz musiała zdradzić jakieś nieuświadomione uczucie, bo Mia wzdycha i gładzi mnie po policzku.

– Świat nie jest idealny, Rob. Przecież wiesz, skąd wzięły się te psy.

– Z fermy szczeniąt – odpowiadam. Opowieść Pawła nie jest całkiem zmyślona. – Zabraliście je stamtąd, kiedy przyjechała policja.

– Te pierwsze owszem – przytakuje Mia. – To nie było dobre miejsce dla psów. Chcieliśmy dać im szansę. Kilka innych przywieźliśmy z Princeton i Langley po tym, jak zlikwidowano oba programy. Tamci ludzie mają sporo na sumieniu, nie umieli właściwie rozmieścić elektrod. Długo pracowaliśmy nad tym, żeby psy znów były bezpieczne i zdrowe. Później doszły kolejne, w tym ona. – Wskazuje na Dwudziestą Trzecią.

Jak zwykle staram się omijać wzrokiem jej ogon. Jego widok mnie przeraża, bo zawsze mimowolnie wyobrażam sobie, co musiało się stać, że tak wygląda. Ogon jest nieprzycięty, dłuższy niż u większości rottweilerów. Ale nosi ślady cięć. Łyse placki wskazują dokładne miejsca. Ktoś musiał próbować wiele razy.

Nikt nigdy nie dotyka ogona Dwudziestej Trzeciej.

– Wiesz – ciągnie Mia po chwili milczenia – jeśli naprawdę cię to interesuje, możesz na coś mi się przydać. Połączylibyśmy cię z nowym psem, wzięłabyś udział w tresurze…

– Może z kojotem? – odpowiadam z wahaniem.

– Chciałabyś? Dobrze. – Obie staramy się trzymać emocje na wodzy. Ale jakaś bariera została przełamana. Mia ociera twarz, jak gdyby kropla potu spłynęła jej do oka.

– Czujesz się tu samotna? – pytam.

Wyraźnie zastanawia się nad odpowiedzią. Nie mówi mi, że gadam głupoty i że przecież wokół jest pełno ludzi. Nie traktuje mnie protekcjonalnie, nie próbuje zwodzić, jak to ma w zwyczaju większość dorosłych.

– Czasem tak – odpowiada. – Ale często jestem bardzo szczęśliwa. Więc to chyba nie najgorszy układ. – Odkłada kontroler na spieczoną ziemię, wyciąga z kieszeni bojówek żółtą piłeczkę i zwraca się do psa: – Chodź, staruszko. Pobawimy się trochę, zasłużyłaś.

Dwudziesta Trzecia siada, strzygąc uszami. Mia ciska piłkę daleko przed siebie. Suka rzuca się w pościg, wyciągnięta jak strzała, a Mia wstaje i biegnie za nią. Wygląda teraz całkiem normalnie, jak kobieta bawiąca się z psem w bezchmurny dzień, tak po prostu, dla przyjemności. Dwudziesta Trzecia wraca galopem z piłką w zębach, radośnie potrząsając łbem. Przywiera przednimi łapami do ziemi i rzuca Mii piłkę do stóp. Mia tarmosi ją po karku, bierze piłkę i cała scena się powtarza. Ja tymczasem przyglądam się Mii, naprawdę uważnie, zamiast ledwie zerknąć w przelocie, jak to robimy z ludźmi i przedmiotami, które mijamy każdego dnia.

Jest wysoką, mocną kobietą. Ma podłużną twarz o delikatnych rysach i wielkich oczach, jak u urodziwej klaczy. Porusza się pewnie i z wprawą, jakby wszędzie była u siebie. Nawet kiedy ma na sobie zwykłe dżinsy i koszulkę, zawsze przemyca jakiś kolorowy akcent – czerwone sznurowadła, srebrną klamrę we włosach albo kolczyki w kształcie papug, jaskrawozielone na tle jej ciemnej skóry. To rodzaj sygnału, próba przypomnienia wszystkim, że Sundial stanowi tylko część jej świata. Od razu widać, że sporo w życiu widziała. Mimo to w wieku dwudziestu lat rzuciła wszystko, by zamieszkać na pustyni i zająć się badaniem psich kup w towarzystwie dwa razy starszego od niej małżeństwa i pary naburmuszonych bliźniaczek.

Kontroler leży obok mojej lewej stopy. Trącam go czubkiem trampka. Ma sześć przycisków odpowiadających za podstawowe komendy. W szkoleniu psów najlepiej sprawdza się prostota. W lewo, w prawo, szukaj, zostań, do nogi i poluj.

Ten ostatni przycisk, w górnym rzędzie po lewej, przypomina cukierek w czerwono-zielone paski. Przez chwilę trzymam nad nim palec. Ten moment zawieszenia przed podjęciem decyzji wystarczy, żeby dać mi poczucie mocy. „Poluj”. Mii nie powiodło się to jeszcze z żadnym psem. Instrukcja jest zbyt skomplikowana.

– Chcesz spróbować? Przyda jej się trochę ruchu – proponuje teraz z uśmiechem.

– Pewnie! – odpowiadam z mimowolnym podekscytowaniem. Zwykle Mia nie pozwala nam się zbliżyć, gdy trenuje z psami polowanie.

Teraz wyciąga z szopy zająca. Nie jest prawdziwy i nawet nie wygląda jak zając. Nie przypomina też kształtem ludzkiej postaci. To po prostu stara koszulka przywiązana do drewnianego stelażu. Mia ustawia zająca w oddali, pośród drzew. Podprowadza do niego sukę i przyciąga jej nos do koszulki. Potem wraca za płot. Suka biegnie za nią z otwartym pyskiem, domagając się uwagi. Mia odpycha ją lekko i zamyka furtkę. Ćwicząc z psami polowanie, zawsze pilnuje, by dzielił ją od nich płot, choć komenda jeszcze nigdy nie zadziałała. Dwudziesta Trzecia wciska nos w oczko siatki i skamle.

– No dalej, staruszko, przecież to lubisz. Gotowa? – Mia zwraca się do mnie.

Wciskam czerwono-zielony guzik. Dwudziesta Trzecia sztywnieje. Teraz cała jest napiętą czujnością. Nagle rusza, ciemna smuga na tle burej ziemi. Zdaje mi się, że czuję woń jej oddechu, tłustego ciała, cieknącej z pyska śliny. Słabo mi, ale jednocześnie czuję łaskoczące podniecenie. Mia chwyta mnie za ramię. Takie samo podniecenie pulsuje w jej zaciśniętej dłoni.

Ale Dwudziesta Trzecia mija zająca i zaczyna obszczekiwać pień akacji. W powietrze wzbija się spłoszony wróbel. Wciskam guzik ponownie, ale suka dalej skacze, usiłując dopaść ptaka, który jest już tylko odległym punkcikiem na boleśnie błękitnym niebie.

– Kretynka – szepczę. Mia zerka na mnie karcąco, ale w jej oczach widać rozbawienie.

– Rzeczywiście nie jest najmądrzejsza – przyznaje. Jej donośny śmiech niesie się w powietrzu, tak zaraźliwy, że po chwili się przyłączam. Nie wiem, co sprawia, że podnoszę wzrok. Jack stoi kilka metrów od nas, w cieniu rozłożystej akacji. Tkwi tam już od jakiegoś czasu. Widziała, jak dobrze mi z Mią. Emocje mieszają się na jej twarzy z drżącym cieniem liści. Czuję własne przyspieszone bicie serca. Mam ochotę krzyknąć, że tylko się wygłupiałam, że nie zrobiłam przecież nic złego. Powiedzieć jej, żeby przestała tak na mnie patrzeć. A potem podbiec,

przeprosić i paść jej w ramiona, spróbować naprawić błąd. Wiem jednak, że nie mogę tego zrobić. Otwieram usta, ale nie potrafię znaleźć odpowiednich słów.

„To nie znaczy wcale, że ją lubię. Dalej uważam, że to frajerka" – myślę, jakby z nadzieją, że Jack mnie usłyszy. Ona jednak obraca się na pięcie i odchodzi. Nie mam pojęcia, czy słyszała, jak mówiłam, że ją kocham.

Spoglądam na zegarek na fioletowym pasku z wizerunkiem psa Snoopy'ego. Dostałam go od Falcona na dwunaste urodziny. Wtedy wszystko musiałam mieć ze Snoopym: koszulki, pudełka śniadaniowe, czapki. Zegarek noszę do dziś, choć plastikowy pasek wrzyna mi się w skórę i zostawia na nadgarstku ślad jak od kajdanków.

Zerkam na okienko, w którym zmieniają się dni tygodnia, i już wiem, że dziś wtorek. Wskazówki pokazują za kwadrans dziewiątą. Powinnyśmy być teraz przy grobie matki. To dlatego Jack mnie szukała.

Gniew powoli, gorącą falą, podchodzi mi do gardła. Przecież Jack nie przyszła dziś do krów. Gdyby nie to, pamiętałabym o wizycie przy grobie. Na pewno. To wszystko jej wina. W oddali Dwudziesta Trzecia jak szalona wyskakuje w powietrze, z furią ujadając na ptaki. Mia patrzy na sukę i z zachwytem bije jej brawo.

Tej nocy Jack nie wyciąga do mnie ręki z łóżka. Boję się, że już nigdy mi nie wybaczy. Zaczynam płakać i choć próbuję być cicho, jestem pewna, że mnie słyszy. Nigdy nie umiałam płakać bezgłośnie. Ona jednak leży nieruchoma, jak kłoda albo coś martwego, a mnie płacz wcale nie pomaga, przeciwnie, czuję się gorzej, jakbym otworzyła jakąś tamę i teraz nie umiała jej zamknąć.

Następnego ranka po przebudzeniu nie opuszcza mnie poczucie grozy. Nie mam chwili wytchnienia, ułamka sekundy, w którym wszystko byłoby w porządku. Ani na moment nie opuszcza mnie świadomość, że zawiodłam siostrę. Gdy jednak niebo za oknem jaśnieje, zapowiadając ciepły i słoneczny dzień, przychodzi myśl, że Jack nie może przecież nienawidzić mnie do końca życia.

– Zrobię, co zechcesz – szepczę, zapatrzona w świt za oknem. – Zabiorę jej ubrania i schowam w norze skunksa. Albo wsadzę ją do

rezonansu. Zrobiłam błąd. Proszę, nie bądź na mnie zła. – Odpowiada mi cisza. – Jack?

Nagle dociera do mnie, że to więcej niż cisza. To nieobecność. Gwałtownie siadam na łóżku. Serce tłucze mi się w piersi, ciężkie i mokre.

Łóżko Jack jest puste. Panuje na nim idealny porządek, a to znak, że stało się coś złego. Moja siostra zawsze zostawia po sobie skotłowaną pościel. Gładkie, zatknięte pod materac prześcieradło i równiutko złożony koc zwiastują jakiś koniec.

Wciąż jeszcze otumaniona snem, prawie wypadam z łóżka. Rzucam się do szafy. Połowa należąca do Jack jest ogołocona, zostały tylko druciane wieszaki. Na półce nie ma jej butów. Wysunięte szuflady zieją pustką. Z nocnego stolika zniknęła różowa lampka, a na poduszce siedzi Lalka Rob. Jack mnie porzuciła.

Spoglądam przez okno na gęstniejący upał. Na pustyni bywa tak gorąco, że już po kilku godzinach skóra pokrywa się oparzeniami. Są tam też węże, skorpiony, niebezpieczne skalne osuwiska i kojoty. Jeśli Jack pokonała w nocy dużą odległość, to nigdy jej nie znajdziemy i na pewno jest już martwa. Zabiłam ją, zabiłam Jack.

Falcon pojechał z Pawłem na zakupy, wrócą za kilka godzin. Pozostaje mi jedno wyjście i Jack, martwa czy nie, znienawidzi mnie za to jeszcze bardziej. Wyobrażam ją sobie przechodzącą w nocy przez ścianę jak psie duchy, bladą i na zawsze pełną furii. Ale nie mam wyboru.

Mia sieka wątróbkę w kuchni. Próbuję coś powiedzieć, ale nie jestem w stanie wykrztusić ani słowa. Wtedy ona kładzie mi rękę na ramieniu i stanowczo zagląda prosto w oczy.

– Co się stało? – pyta, jak zwykle natychmiast przechodząc do sedna.

– Jack zniknęła. Nie ma jej w łóżku. Wściekła się na mnie i… Chyba uciekła na pustynię. Pomyślałam, że może psy ją znajdą?

Ale to przecież żaden prawdziwy pomysł, tylko intryga rodem z Bingley Hall. Nasze psy nie służą do takich zadań.

Mia zamiera, nieruchoma niczym posąg.

– Myśl – szepcze do siebie zesztywniałymi wargami. Potem łapie mnie za rękę i szybko wychodzimy z kuchni, nie w stronę psich zagród, ale

na parking po wschodniej stronie domu, w cieniu tamaryszków. Mia staje w brzęczącym upale i omiata wzrokiem rzędy aut.

– Którego brakuje? Falcon wziął pikapa, tak?

– Nie wiem – odpowiadam. Nie rozumiem, czemu to takie ważne.

– Pomóż mi, Rob. Zastanów się. Kto stąd wyjechał wczoraj późnym wieczorem albo dzisiaj rano?

Mgliście przypominam sobie, że rano miał wyjechać jeden z asystentów, ten w oślepiająco białej koszuli, który tak czysto pachniał. Wczoraj wieczorem głośno żegnał się ze wszystkimi. Miał jakieś rzadko spotykane imię, które kojarzyło mi się ze starymi mężczyznami, zakurzoną biblioteczką i czasami wojny secesyjnej.

– Tamten brunet mówił, że wyjeżdża wcześnie rano. Poza tym nikt.

Mia, ze ściągniętym czołem, jeszcze raz obrzuca wzrokiem rzędy samochodów. Nigdy jej takiej nie widziałam. Nagle wygląda jak kobieta w średnim wieku.

– Miał białego chevroleta, prawda?

– Chyba tak – mówię, choć nie potrafię teraz skupić myśli na tamtym facecie. Nie rozumiem, po co Mia o nim mówi i po co liczy auta, zamiast natychmiast ruszać na poszukiwania Jack w parzącym skwarze pustyni.

– Chevrolet zniknął – stwierdza Mia. – Spróbuję ich dogonić, a ty poczekaj w domu. Kiedy wróci ojciec, powiedz mu, co się stało, ale niech się stąd nie rusza. Ja się wszystkim zajmę. Słyszysz, Rob? Niech Falcon za mną nie jedzie.

Powoli zaczyna docierać do mnie, że Jack nie leży martwa na pustyni. Powinnam się uspokoić, ale teraz przychodzi nowy strach. Do niczego podobnego jeszcze nigdy wcześniej nie doszło.

Kolejne wydarzenia są jak sceny odgrywane w domu dla lalek. Ich wspomnienia, nieme i statyczne, ukazują mi się w pomniejszeniu, jakbym obserwowała wszystko z góry. Szok na twarzy Falcona, ja i Paweł uczepieni jego ramion, pilnujący, by nie pobiegł z powrotem do pikapa. Tylko powtarzane w kółko polecenie Mii sprawiło, że się zatrzymał. Falcon zawsze słucha Mii. Poważne miny gości, zbitych w ciasne grupki, zarazem podnieconych i zlęknionych nadzwyczajnym dramatyzmem sytuacji. Pamiętam, że ktoś pytał, co z lunchem, ale nie

pamiętam twarzy ani brzmienia głosu. Pamiętam siedzenie i czekanie. Siebie i Pawła trzymających ojca za ręce.

Myślę o tym tak często, że wśród wspomnień zaplątały się sceny, w których nawet nie brałam udziału.

Z podniebnych wyżyn patrzę na Mię, która dostrzega ich trzydzieści kilometrów na południe, stojących na poboczu z pękniętą oponą. Biały chevrolet zdążył pokryć się warstewką pyłu. Słysząc ryk pędzącego dżipa, asystent obraca się z kluczem francuskim w dłoni. Jest wściekły, czuje się oszukany. Mia pomaga mu zmienić oponę. Potem wskazuje drogę do Yumy. Zabrania kiedykolwiek pokazywać się w Sundial. Ciągnięta do samochodu Mii Jack krzyczy, zapierając się piętami. Do dziś zastanawiam się czasem, jak zupełnie inaczej wyglądałoby moje życie, gdyby nie tamta pęknięta opona.

Jack wzorowo się przede mną kryła. Musieli się widywać w tajemnicy, wymykać nocami lub umawiać na spacery wśród surowych skał, kiedy byłam zajęta pracą w gospodarstwie. Ani przez chwilę się nie domyślałam. Jej swobodna obojętność, wystudiowana obcesowość, kiedy z nim rozmawiała, były w punkt. „Nie wszystkie bliźnięta są identyczne, kretynie". Nawet gdy już uciekli, to Mia zdołała rozpracować ich plan, nie ja.

Wreszcie auto zatrzymuje się przed domem. Na fotelu pasażera siedzi czerwona, zapuchnięta od płaczu Jack. Kiedy Mia wyskakuje z samochodu, skraj luźnej białej koszulki unosi się na chwilę i zauważam skórzany pas na broń.

Czekam, aż wejdą na górę. Z domu słychać krzyki Jack i błagania Mii. Jakiś przedmiot z hukiem spada na podłogę. Może książka.

Odnajduję Falcona w kuchni.

– Muszę z tobą porozmawiać – mówię. Nie wiem, jak to zrobić, jak zrelacjonować mu wszystko w pojedynkę. Ale staram się, jak mogę.

Opowiadam mu o psich duchach, o tym, że Jack nie przyszła do krów i że ugryzła mnie w rękę. Czuję się jak donosicielka. Ale pocieszam się, że postępuję właściwie. Robię to dla niej i wcale nie próbuję się zemścić za to, że mnie zostawiła. W żadnym wypadku.

Falcon kiwa głową.

– Jack przeżywa teraz trudny okres. To minie – zapewnia, a potem podchodzi do schodów. – Jack, zejdź do nas, proszę. Musimy porozmawiać.

Jack nie dostaje żadnej kary, chociaż podejrzewam, że w głębi ducha o to jej chodziło. A mnie? Falcon zabiera ją do gabinetu. Kiedy chcę wejść tam z nimi, delikatnie powstrzymuje mnie gestem dłoni. Wciąż jeszcze mrugam zdezorientowana, kiedy drzwi zamykają mi się przed nosem.

– Jasne – mruczę do siebie. – Pójdę teraz pięknie wykorzystać czas. – Tyle że nie mam pojęcia, czym się zająć w pojedynkę. Przysuwam ucho do drzwi, ale dobiega mnie tylko niewyraźny szmer głosów.

Siadam na podłodze. Próbuję wyobrazić sobie randkę z moim zmyślonym chłopakiem. Może poszlibyśmy do restauracji. Nigdy w żadnej nie byłam. Czy facet z chevroletem zabrał Jack do restauracji?

Mija godzina. Wreszcie drzwi się otwierają i Jack wychodzi z gabinetu. Natychmiast do niej biegnę i dopiero po chwili zauważam, że znów płacze. Zaczerwieniona od łez wygląda bardzo młodo, a do tego garbi ramiona, czego nigdy wcześniej nie robiła. Wtedy uświadamiam sobie, że pierwszy raz w życiu widzę moją siostrę pokonaną.

Łapię ją za rękę.

– Co ci powiedział?

– Nie mogę. – Jack kręci głową.

– Przepraszam, że doniosłam. Martwiłam się o ciebie.

– To nieważne – odpowiada Jack.

– Ucieknijmy stąd. – Zniżam głos do szeptu. – Wyjedźmy razem, Cassidy. Jeszcze dzisiaj w nocy.

– Nic nie rozumiesz – mówi znużona Jack. – Ja nigdy już stąd nie wyjadę.

– Tym razem będzie inaczej, bo będziemy razem. Może spróbujemy odnaleźć Bingley Hall. Będziemy miały koleżanki i chłopaków…

– Nie słuchasz mnie.

– Ale ja nie żartuję. Zobaczysz, będzie super.

– Ty durny dzieciaku. – Jack uderza mnie w pierś tak mocno, że tracę oddech. Potem chwyta mnie za gardło i ściska. – Nie masz o niczym

pojęcia. Wszystko się zmieniło, a ty jesteś tylko durnym dzieciakiem, który albo jest ślepy, albo nic go nie obchodzi.

– Przestań – proszę ją szeptem. Ma silne palce. Mimo wszystko nie chcę, żeby Falcon nas usłyszał. Nie chcę znów jej narobić kłopotów. – Błagam, Jack.

Kiedy mnie puszcza, w miejscu, gdzie wbiła paznokcie, zostają czerwone ślady. Jej twarz zmienia się nagle w wyrazie żalu.

– Przepraszam, Sundance – mówi i wyciąga do mnie rękę, ale ją odtrącam.

– Mam gdzieś twoje przeprosiny – odpowiadam, cofając się o krok. Spojrzenie Jack twardnieje.

– Oczywiście, że masz gdzieś. W końcu jedyne, co cię obchodzi, to granie roli dobrej córeczki.

Słysząc te słowa, gwałtownie nabieram powietrza i czuję, że mam łzy w oczach.

– Ty jesteś nienormalna. Nienawidzę cię.

Jack porusza się szybko jak wąż. Unieruchamia moją głowę w żelaznym uścisku. Czuję w uchu jej gorący oddech.

– Choćbyś nie wiem jak się starała, choćbyś była najgrzeczniejszą córką świata, i tak wszyscy będą cię uważali za mniej interesującą.

Arrowood

Członkinie bandy Chuliganek z Ósmej przypuściły ostateczny atak na pozycje prefektek ze wschodniej wieży. Podłogę jadalni zaścielały odłamki potłuczonych naczyń, a wokół rozbrzmiewały krzyki. Madame Salaud, nauczycielka francuskiego, złapała Millicent za warkocze. Świsnęła klinga bułata i rozległ się wrzask. Madame Salaud popędziła w stronę skrzydła matematycznego, triumfalnie unosząc nad głową obcięte warkocze.

Skulona Callie szukała Jack. Musiała powiedzieć jej prawdę. Uskakując za kolumnę przed nadlatującym oszczepem, zauważyła drobną dłoń drgającą słabo pod kupką Aniołków z Szóstej powalonych atakiem mdłości.

– Pomocy – wychrypiał zduszony głos. Callie rzuciła się odciągać na bok ciała nieszczęsnych ofiar. Dziewczęta jęczały żałośnie, trzymając się za brzuchy.

– Dziwnie się czuję – wybełkotała Iris Muddle. – Pewnie mleko na śniadanie było zepsute.

Zamachnęła się, by uderzyć Callie, która bez wysiłku uchyliła się przed ciosem. Iris miała fatalnego cela, czy to na boisku do netballa, czy poza nim.

– Pomocy – odezwał się znów głos. – Nie mogę oddychać! – Drobna dłoń machała rozpaczliwie.

Callie odepchnęła jeszcze kilka pojękujących nieszczęśnic i dokopała się do właścicielki ręki, okazała się nią Mała Annie. Dziewczynka łapczywie chwytała ustami powietrze.

– Dziękuję! – zawołała, nie wiedząc jeszcze do kogo.

Callie wyciągnęła rękę, żeby pomóc dziewczynce wstać.

– Nie dotykaj mnie – syknęła Annie, zorientowawszy się, kim jest jej wybawczyni. – Jesteś złodziejką. Boję się ciebie.

– Nie gadaj głupstw – skarciła ją Callie. – Pozbieraj się i wracaj do sypialni, tu jest niebezpiecznie.

Chwyciła Annie za ramię i spróbowała dźwignąć ją do pionu. Mała z wrzaskiem okładała ją pięściami.

– Przestań! – krzyknęła Callie i bez namysłu uderzyła dziewczynkę w twarz. Annie uciekła, szlochając głośno i przyciskając dłoń do czerwonego policzka.

– Poczekaj! – zawołała za nią Callie. – Poczekaj, ja nie chciałam…

Jack stała nieopodal, patrząc na nią z przerażeniem w oczach. Wszystko widziała.

– Nie wiem, co się z tobą dzieje. Najpierw kradzież z mojej szafki, a teraz to.

– Niczego nie ukradłam – zaprotestowała Callie. – Musisz mi uwierzyć, Jack! To panna Grainger jest złodziejką. Kto wie, czy nie szpieguje tu na rzecz innej szkoły. Chciałam powiedzieć jej, że o wszystkim wiem, zeszłam więc na dół wcześniej i wtedy zobaczyłam, jak dolewa dziewczętom do owsianki jakiegoś płynu z niebieskiej buteleczki. Jack, one wszystkie jadły dziś owsiankę! A potem nagle oszalały i zaczęły się nawzajem atakować. Mnie najwyraźniej też jakoś przemyciła ten płyn. Przecież wiesz, że nigdy, przenigdy nie uderzyłabym dziewczynki z szóstej klasy.

Jack wyraźnie przeżywała jakiś wewnętrzny konflikt. Widać było, że chce wierzyć przyjaciółce. Wreszcie jednak pokręciła głową i zarzuciła włócznię na ramię.

– Na korcie do squasha rozgrywa się właśnie mecz bokserski na gołe pięści. Muszę go zakończyć – oznajmiła.

– Jack! – Callie chwyciła ją za rękę i zajrzała jej głęboko w oczy. – Jesteśmy najlepszymi przyjaciółkami. Nigdy bym cię nie okłamała.

– Trudno wierzyć złodziejce – powiedziała Jack. Wyraz rozczarowania w jej oczach był nie do zniesienia.

– Proszę, pozwól mi to przynajmniej udowodnić. Wydaje mi się, że panna Grainger jest w sali obserwacyjnej. Nie możemy pozwolić, żeby jej się to upiekło, Jack. Musimy bronić naszej szkoły.

– Daj spokój, Callie, zostaw mnie.

Callie puściła rękę przyjaciółki. Odprowadziła ją wzrokiem, gdy ta oddalała się przez dogasające pole bitwy. Czuła, jakby i w niej coś zgasło.

Pochyliła się i wytarła brzytwę w skarpetkę. Minę miała ponurą. Wreszcie ruszyła, przepychając się przez grupki walczących, w stronę sali z widokiem na ocean.

Tamta Rob

Sundial pustoszeje. Prymusi i prymuski z elitarnych uczelni wracają, skąd przyjechali. W oczach Mii i Falcona widzę, że czują się zdradzeni. Powitali tę bystrą, głodną wiedzy młodzież z otwartymi ramionami. Tyle że czasem głodna wiedzy młodzież jeździ białymi chevroletami i porywa księżniczki z wież. Wkrótce zostajemy sami. Paweł jest coraz bardziej małomówny. Błąka się po ranczu jak duch, z przerzuconą przez ramię szpulą drutu, z łopatą, strzelbą i sznurem z pętlą ratowniczą na końcu.

Falcon i Mia wołają nas do siebie i przez kilka godzin wypytują o uczucia, próbując nam tłumaczyć dorastanie. To dziwne i nie wiem, co im strzeliło do głowy. Na szczęście przez większość czasu koncentrują uwagę na Jack.

Przez szybę sali operacyjnej obserwujemy leżącego na stole kojota. Jego boki unoszą się i opadają poruszane szybkim oddechem. Jest nieprzytomny, ale wygląda, jakby biegł. W widocznych ponad maseczką oczach Falcona widać skupienie i powagę. Rozlega się bzyczenie piły. Nawet przez szybę czuję woń pyłu z przecinanej kości. Zawsze nienawidziłam tego momentu. Próbuję złapać Jack za rękę, ale ona odsuwa się półprzytomnie, nawet na mnie nie patrząc. Choć stoi tuż obok, równie dobrze mogłyby nas dzielić kilometry.

Mia szykuje cementową czapeczkę, mającą chronić wnętrze czaszki przed kurzem i infekcjami. Falcon przytwierdza elektrody do ośrodków przyjemności w mózgu kojota. Mia przykrywa czaszkę i kable znikają pod czapeczką. Potem oboje okrywają zwierzę kocem, podają mu kroplówkę i witaminy. Falcon tatuuje niebieskie cyfry na dużym,

półprzezroczystym uchu kojota, który od teraz będzie się nazywał Trzydziesty Pierwszy. Wreszcie przewożą go do pokoju wybudzeń.

To jak najbardziej możliwe, by odczuwać grozę czegoś, jednocześnie to akceptując. Inaczej jak radzilibyśmy sobie z życiem?

Tego wieczoru, jedząc kolację w cieniu jakarandy, myślę o małym kojocie. Wyobrażam go sobie leżącego samotnie na zimnym metalowym stole. Jego boki unoszą się w pospiesznym oddechu, jakby uciekał przed własnym przeznaczeniem, które przecież już go dopadło. Obiecuję sobie w duchu, że mu to wynagrodzę. Obiecuję, że będę go chronić.

Tymczasem Mia zwraca się do Jack. Ta nie reaguje, gmerając widelcem w ryżu z fasolą. Odkąd wróciła, prawie przestała jeść. Błąka się po Sundial jak psi duch. Wiem, że Falcon i Mia rozmawiają o niej każdej nocy. Kiedy leżę w łóżku, słyszę szmer ich głosów. Nie udaje mi się wyłapać poszczególnych słów poza tym, że często wypowiadają jej imię.

– Jack – powtarza Mia. – Jutro rano zaczynamy pracę z kojotem. Będziemy go przyłączać do stada.

Przyłączanie psów to specjalność Falcona. Sprawia, że psie mózgi stają się miękkie i chłonne, gotowe na przyjęcie Mii i reszty stada.

– Uważamy, że najwyższa pora, żebyś mocniej się zaangażowała – ciągnie Mia. – Masz ochotę z nami popracować? – pyta z nadzieją w oczach. – Jeśli chcesz, możemy go z tobą połączyć. To będzie tak, jakbyś miała własnego psa.

– W porządku – mówi Jack, wzruszając ramionami.

Poczucie niesprawiedliwości jest jak cios w tchawicę. Kojot miał być mój – moje własne dzikie szczenię.

– Myślałam… – zaczynam, ale nikt mnie nie słucha. Wszyscy patrzą na Jack, przyciągani tą burzową aurą, która od pewnego czasu ją otacza. – Myślałam, że kojot będzie mój. Mia, obiecałaś.

Więź między bliźniaczkami to nie zawsze dobra rzecz. Czasem sprawia, że dowiadujesz się rzeczy, o których wolałabyś nie wiedzieć. Teraz na przykład patrzę na nią i wiem, że Jack cieszy się z mojej krzywdy.

– Daj spokój, Rob. – Mia uśmiecha się do mnie. – Twoja siostra potrzebuje zajęcia.

Ogarnia mnie dojmujące poczucie straty czegoś, z czego wcześniej nie zdawałam sobie sprawy. Skąd miałam wiedzieć, że dotąd to ja byłam ich ulubienicą?

– Gdzie Paweł? – pyta nagle Jack.

– Jest zajęty – odpowiada Falcon swobodnym tonem. Ale czuć w jego głosie jakieś napięcie. Ze zdumieniem odkrywam, że skłamał. Wcale nie wie, gdzie jest Paweł.

Ukradkiem obserwuję Jack spod kołdry. Leży zapatrzona w sufit, tak nieruchomo, że w różowym świetle lampki wygląda jak swoja własna fotografia. Zastanawiam się, czy psie duchy weszły już przez ściany i obwąchują mnie teraz drżącymi widmowymi nosami. Na tę myśl truchleję z przerażenia. Zastygam w całkowitym bezruchu, gdyż jak wie każde dziecko, to najlepszy sposób, żeby ujść uwadze potwora.

Po dłuższej chwili Jack uznaje pewnie, że już śpię, bo zaczyna wymachiwać Lalką Rob, tworząc teatr cieni w mżącym blasku lampki.

– Jack nie dogaduje się ze stadem. – Choć mówi szeptem, to zarazem brzmi to tak, jakby ktoś wyrywał jej słowa z gardła. – Mia będzie musiała wyprowadzić ją za dom i zrobić buch-buch. Smutna sprawa.

Powieki zaczynają jej opadać. Jedna noga wystaje spod kołdry nad krawędzią łóżka. Przez dziurę w skarpetce widać kawałek stopy, wzruszająco różowej i bezbronnej. Przez sekundę mam ochotę pobiec do szuflady i zmienić siostrze skarpetki. Ale potem dotykam szyi, na której wciąż odznaczają się ślady jej paznokci. Jack ściska w dłoniach czerwony zeszyt. Czasem pisze w nim coś, kiedy myśli, że nie widzę. To pewnie jeden z wymysłów Falcona. Żeby mogła dać upust emocjom albo coś w tym stylu.

Wreszcie oczy całkiem jej się zamykają, a oddech staje się głęboki i równy. To znaczy, że pora ruszać w drogę.

Nigdy wcześniej nie byłam sama w nocy poza domem. Kępa kaktusów przypomina gąszcz ludzkich sylwetek wyciągających ramiona ku niebu. Przeciskam się wśród nich, uważając na kolce. Podchodzę do grubych

stalowych drzwi psiego laboratorium i wprowadzam ten sam kod, który setki razy wprowadzała przy mnie Mia: 112263.

Kojot wciąż jest nieprzytomny. Nożyczki Mii pracują pilnie wewnątrz jego mózgu. Przyglądam mu się przez szybę. Śpi, to pewne. Spomiędzy szczęk wystaje koniuszek różowego języka. W wyłożonej zielonymi płytkami sali kojot wydaje się całkiem maleńki. Zieleń ma podobno kojące działanie, tylko na kogo? Psy widzą kolory inaczej niż ludzie. Więc zieleń służy ludziom, którzy robią tutaj to, co robią.

Szafa z preparatami jest zamknięta, ale na szczycie leży klucz. Otwieram ją i przyglądam się rzędom buteleczek. Wielokrotnie widziałam, jak Falcon podawał ich zawartość psom. On używał strzykawki, ale ja nie dość sprawnie posługuję się igłą. Pozostaje mi improwizować.

Nie jestem głupia – wiem, co Falcon hoduje w szklarni. Ten czarny grzyb na kłosach żyta to sporysz. Jest znany z tego, że powoduje obłęd. Młode mieszkanki Salem oskarżono o czary, tymczasem one zatruły się sporyszem. Za jego sprawą człowiek widzi dziwne rzeczy i dociera umysłem w dziwne miejsca. Falcon znalazł sposób, by przerobić go na miksturę wspomagającą proces uczenia się. Dzięki kwasowi lizergowemu mózg staje się bardziej chłonny i łatwiej powstają nowe połączenia nerwowe. Psy, którym go podaje, przeżywają lekki odlot, po czym zaczynają pałać do Mii dozgonną miłością.

Ostrożnie wchodzę do sali obserwacyjnej. W powietrzu wisi ostry smród kojota. Nagle dociera do mnie, że znalazłam się w zamkniętym pomieszczeniu z dzikim zwierzęciem. Podchodzę bliżej. Kojot oddycha równo. Upuszczam mu parę kropli specyfiku na język, a potem przysuwam dłoń do jego nosa. Zwierzak marszczy go lekko, powarkując przez sen. Z drżeniem wyobrażam sobie igiełki zębów zatapiające się w mojej skórze. Oddycham jednak głęboko i nie cofam dłoni. Pozwalam, by mój zapach przeniknął do jego snów, podczas gdy preparat przejmuje władzę nad mózgiem.

– Teraz jesteś mój – mówię szeptem, jak wiedźma rzucająca zaklęcie.

Zamykam za sobą drzwi sypialni, lekko unosząc je w zawiasach, żeby nie skrzypnęły. Jack śpi w tej samej pozycji, w której ją zostawiłam.

Czerwony zeszyt leży teraz na komodzie, jakby się obudziła, żeby coś w nim zapisać, a potem znów zasnęła. W całym pokoju unosi się metaliczna woń. Jedna stopa Jack wystaje spod kołdry. Na ten widok serce podskakuje mi w piersi, a po ciele rozlewa się chłód. Stopa jest bosa, upstrzona ziemią, z grudkami brudu między palcami i podeszwą uwalaną pyłem. Jak mogłam wcześniej tego nie zauważyć? „Może nie było czego" – szepcze wewnętrzny głos. „Może ona też wyszła z domu". Wyobrażam sobie siostrę płynącą w ciemnościach jak duch, z rozszerzonymi źrenicami, ledwie muskającą ziemię koniuszkami palców stóp.

Pochylam się nad nią, wstrzymując oddech. Oddycha równo, jeden kącik ust lekko opada. Odchodzi z niego ciemna smużka, ślad soku z jagód albo cień – trudno powiedzieć. Przez chwilę zastanawiam się, czy nie zajrzeć do zeszytu. Ale nie jestem pewna, czy chcę wiedzieć, co dzieje się w jej głowie.

Jack, Falcon i Mia obserwują kojota przez szybę. Próbuję się do niej zbliżyć, ale żadne z nich mnie nie przepuszcza. Trzydziesty Pierwszy, jak powinnam go teraz nazywać, zdążył się obudzić. Zataczając się, podchodzi do miski z wodą. Upija parę łyków, a potem z jękiem pada na podłogę. Nie wydaje się gotowy na tresurę, a jednak Mia i Falcon twierdzą, że już czas.

Falcon wyjmuje z szafy jakąś buteleczkę i wchodzi do zielonej sali. Ma na sobie rękawice i robocze buty. Robi kojotowi zastrzyk w bark. Zwierzak odwraca się i szczerzy kły, ale bez przekonania. Jest zdezorientowany, pokonany i cierpi. Falcon szybkim krokiem opuszcza salę.

Obserwuję całą scenę przez skrawek szyby ponad ramieniem Jack. Wiem, co się wydarzy, widywałam to już wcześniej. Oczy kojota ciemnieją i nabierają życia. Preparat rozpływa się po żyłach. Mia wysyła mu impuls radości. Zwierzę się prostuje. Jego ogon unosi się wyczekująco, jak u psa gotowego do działania.

Falcon wraca za szybę i konsultuje się z Mią. Rozmawiają tak cicho, że nawet z bliska nie docierają do mnie ich słowa.

– Jak myślisz, Jack, spróbować? – odzywa się Mia takim tonem, jakby opinia mojej siostry miała wielkie znaczenie.

Jack kiwa głową, a Mia naciska guzik. Kojot chodzi po pokoju bez celu. Nagle przypadkiem skręca w lewo. Strzyże uchem. Zasnute czernią oczy patrzą czujnie. Skamle i znów skręca w lewo, potem jeszcze raz, zakreślając coraz mniejsze kółka, karmiony radością przez elektrody w mózgu. Potem Mia zmienia instrukcję. Kojot znów skręca w lewo, ale radość minęła. Z jego pyszczka dobywa się warknięcie. Świat znów jest szary i pełen bólu. Zwierzak błąka się osowiały, aż przypadkiem odkrywa, że teraz położenie się na ziemi sprawia mu tę samą intensywną przyjemność. Leży, dysząc, aż uczucie mija i znów musi sam je odnaleźć.

Trzydziesty Pierwszy okazuje się bystrym zwierzakiem. Powoli, kierowany przez Mię, zaczyna chodzić, kreśląc proste figury – kwadrat, potem romb. Aby tresura się powiodła, nie wolno dopuścić do kontaktu z człowiekiem. Kojot musi być skoncentrowany na własnych doznaniach. Zastanawiam się, czy czuje samotność lub strach. Ale chyba mikstura Falcona pomaga mu o tym zapomnieć.

Przez następną godzinę patrzymy, jak zatacza się, utykając, tam i z powrotem. Wygląda na skołowanego i zmęczonego. Mam ochotę krzyknąć, żeby dali mu spokój. Ale nie mogę, bo w zasadzie nie powinno mnie tutaj być i jeśli się odezwę, prawdopodobnie ktoś każe mi wyjść.

Wreszcie sesja dobiega końca. Trzydziesty Pierwszy się zatrzymuje. Spuszcza łeb i oddycha ciężko.

– Wszystko działa – oznajmia Mia. Robi mi się słabo z ulgi. Kojot okazał się dobrym pieskiem.

Jack wstaje i podchodzi do drzwi zielonej sali. Widzę, że jest wystraszona, i zamierzam jakoś dodać jej otuchy, ale ona rzuca mi takie spojrzenie, jakby dokładnie wiedziała, o czym myślę. Potem wchodzi do sali, a drzwi zamykają się za nią z cichym szczękiem.

Trzydziesty Pierwszy odwraca się do niej.

– Powoli – dyryguje Mia przez interkom. Jack zbliża się ostrożnie. Kojot obnaża zęby i warczy, najpierw cichutko, a potem nieco głośniej.

– Dosyć, wychodź stamtąd.

Jack nie rusza się z miejsca. W pierwszej chwili zdaje mi się, że widzę na jej twarzy uśmiech, ale po chwili uświadamiam sobie, że to jednak coś innego. Jack i kojot stoją naprzeciwko siebie i warczą, odsłaniając zęby.

– Powiedziałam: wychodź. – W głosie Mii słychać napięcie.

Jack kręci głową. Mia chwyta pistolet usypiający i rzuca się do drzwi. Kiedy naciska klamkę, kojot skamle i opuszcza łeb. Zaczyna merdać ogonem. Jack lekko tarmosi go za uszy, a on liże ją po ręce. Mia powoli otwiera drzwi. Palce drżą jej na ryglu.

– Wychodź stąd natychmiast – zwraca się cicho do Jack.

Jack posłusznie wychodzi. Kojot zostaje sam i kwiląc, obwąchuje zamknięte drzwi. Zadziera łeb, a z jego pyska wyrywa się znów ta sama upiorna, przepełniona smutkiem pieśń. Mia chwyta Jack za ramię i wypycha ją do pokoju z szybą.

– Całe szczęście – szepcze do Falcona. – Co za idiotyczny pomysł. Co nam strzeliło do głowy?

Tego wieczoru Paweł znów nie zjawia się na kolacji. W milczeniu grzebię widelcem w tofu. Nawet kojot wybrał moją siostrę.

Nimue wywędrowała z zagrody. Jack i ja krążymy wzdłuż płotu, żeby sprawdzić, czy nie wyszła na pustynię. Wołamy ją, nasłuchując pobrzękiwania dzwonka. Mijamy zegar słoneczny i źródło. Krzak róży już nie kwitnie, przypomina suchy wiecheć z kilkoma sterczącymi listkami. Gdzieś daleko coś wpadło w siatkę ogrodzenia i szarpane wiatrem wydaje metaliczny łoskot. Strasznie irytujący.

Niechęć do Jack kiełkuje we mnie mocniej z każdym dniem, niczym ogniste ziarno. Codziennie patrzę, jak się nad nią trzęsą, notują, co zjadła na śniadanie. Podsuwają ulubione książki i przysmaki, próbując ją rozweselić. Ziarno niechęci pęcznieje, coraz gorętsze, aż zmienia się w płonącą gwiazdę.

– Nie rozumiem, po co tu przyszłaś. Nie potrzebuję twojej pomocy, żeby znaleźć głupią krowę – mówi Jack.

– Mia kazała nam trzymać się razem.

– A ty zawsze robisz, co ci każą. To miejsce jest absurdalne, a Falcon i Mia to para obłudników. Pomyśl, co robią psom. Przecież to okrutne.

– Prowadzą ważne badania – odpowiadam. Słowo „badania” jest w Sundial święte.

– Serio, Rob? Naprawdę w to wierzysz? A wiesz, że ten cały numer z kontrolerem to nawet nie był ich pomysł? CIA jeszcze w latach sześćdziesiątych przeprowadzała takie same eksperymenty na psich mózgach. Kazali psom biegać w kółko, kłaść się, szczekać… Wreszcie dali sobie spokój, bo cały program nie miał żadnego praktycznego zastosowania. Mia i Falcon to po prostu para hipisów, którzy chcą się poczuć ważni.

– Więc po co to robią?

– Ty nie myślisz, po prostu nie myślisz.

Daleki łoskot nie ustaje – coś rytmicznie obija się o siatkę. Jakby specjalnie chciało przyprawić mnie o ból głowy. Wyprowadzam idealny cios.

– To facet od chevroleta nagadał ci tych bzdur?

Jack blednie i nerwowo przygryza dolną wargę. Dotąd żadna z nas ani razu nie wspomniała o jej próbie ucieczki.

– Zamknij się – mówi. Rzuca kamieniem, który z przerażającym świstem przelatuje tuż obok mojej głowy. – Ja przynajmniej odróżniam fikcję od rzeczywistości – dodaje Jack drżącym, piskliwym głosem.

– A ja nie? – Chciałam powiedzieć to zwyczajnie, ale zabrzmiało bardziej jak krzyk. – Dobra, idź sobie. Rób, jak chcesz. Co tak hałasuje, do cholery?

Brzdęk! Brzdęk!

Jack patrzy na płot za moimi plecami. Odwracam się. W oddali stoi zając. Opuszcza przednie łapki i wbiega prosto w siatkę. Brzdęk! Potem wstaje, zatacza się przez chwilę, po czym znów rusza w stronę otwartej pustyni. Najwyraźniej nie rozumie, że dzieli go od niej płot. Brzdęk! Dopiero teraz widzę, że w miejscu zajęczych oczu zieją dwie czerwone dziury.

Szlocham w ramionach Mii.

– Już dobrze, Rob. Przykro mi, że musiałaś to zobaczyć. To mogły być kruki. Albo sroki. Już się wszystkim zajęliśmy.

Gdzieś otwierają się drzwi. Na dole słychać stłumione głosy. Paweł wrócił.

Tego wieczoru Jack patrzy na swoje odbicie w dużym lustrze.

– Nie pasujesz tutaj – mówi do niego.

– To czemu nie wyjedziesz? – wtrącam z urazą. – Ja przynajmniej lubię Sundial. A ty nienawidzisz tu być.

Jack wymierza cios tak szybko, że podskakuję, tłumiąc okrzyk przestrachu. Trafia pięścią w róg lustra. Pęknięcie rozchodzi się pajęczyną po powierzchni starego szkła.

– Przestań – mówię. W tym momencie już wiem, że Jack zamierza mnie zabić. Delikatnie wyciąga z tafli wąską szklaną drzazgę przypominającą lśniący kieł. Potem sięga po leżącą na łóżku Lalkę Rob.

– Ciągle tylko kłamiesz – cedzi, przejeżdżając jej drzazgą po twarzy. Słychać trzask rozdzieranego płótna i z przeciętych ust wychodzi biała wata. – Chcesz mnie zamknąć z powrotem w ciemnicy.

– Przestań – proszę ją, chowając twarz w dłoniach, jakby to mogło pomóc lalce.

– Kłamosie kończą na stosie. Kłamole lądują w dole – odzywa się Jack skrzekliwym głosem starej kobiety. W spoconych dłoniach czuję swoje gorące łzy i gorący oddech. Słyszę, jak Jack wymierza kolejne ciosy. – Kłamczuchy płaczą w poduchy.

Dźwięk przebijanego płótna rozlega się raz za razem. Przyciskam dłonie do oczu i w ciemności rozkwitają jasne plamy. Staram się skoncentrować na nich zamiast na tym, co się dzieje poza mną. Udaje się – odgłosy z zewnątrz cichną. Dlatego nie od razu zauważam, że coś się zmieniło. Dźwięk przebijanego płótna przechodzi w cichutkie kapanie, jak odgłos wiosennego deszczu.

Odsłaniam oczy. Jack trzyma się za nadgarstek. Między palcami wzbiera coś czerwonego. Ścieka na białą kołdrę, spływa w zagłębienia szwów i kapie na drewnianą podłogę. Jest takie czerwone, zbyt czerwone, by mogło być prawdziwe. I piękne, jak sen albo magiczna sztuczka.

– Przynajmniej nie zrobiłam tego tobie – mówi Jack. Jej głos brzmi rzeczowo i słychać w nim ulgę. – To dobrze, prawda?

Z krzykiem rzucam się do drzwi, wołając Mię i Falcona.

Izba przyjęć przypomina piekło rozświetlone porażającą bielą jarzeniówek. Jest sobota wieczór. Na plastikowych krzesłach w kącie śpi jednooki facet z laską. Niedaleko siedzi blade, zlane potem dziecko. I mężczyzna z czymś na głowie – dopiero po dłuższej chwili uświadamiam sobie, że to opaska z króliczymi uszami. Jest tu też masa innych osób. Jakiś student, jeszcze dzieciak, płaczący z powodu złego tripa. Cała scena nie chce złożyć mi się w jedno, docierają do mnie tylko detale.

Jack od razu trafia do gabinetu, bo jest mnóstwo krwi. Krew przyciąga uwagę. Lekarz jest młody i zmęczony. Widać, że pochodzi z tych stron – może z plemienia Mohawów. Ma wygląd mieszkańca pustyni.

Jack leży na szpitalnym łóżku, taka blada, że wygląda jak własny ołówkowy portret.

– Nie martw się, wszystko będzie dobrze. – Mia ujmuje ją za rękę.

Patrzę na nieprzytomną twarz siostry i uświadamiam sobie, że się jej boję. Napotykam wzrok Mii. Uśmiecha się lekko, ale nie ma w tym uśmiechu wesołości. Na jego widok zaczynam czuć się podobnie jak w maszynie do rezonansu. Jakby to, co mam w środku, zostało wystawione na publiczny widok.

– Brakuje nam krwi – oznajmia lekarz. Nie zauważyłam, jak wszedł. – Czy ktoś z państwa ma odpowiednią grupę?

– Ja mam AB Rh+, Jack A Rh+, Rob 0 Rh-… – Falcon brzmi jak dziecko, które recytuje wierszyk. Z korytarza dobiega czyjś urywany szloch.

– Grupa 0 to uniwersalny dawca – przerywa mu lekarz. Nie ma czasu wysłuchiwać pełnych zdań. – Masz siedemnaście lat?

Dopiero po chwili orientuję się, że mówi do mnie.

– Tak – odpowiadam skołowana. – Czy Jack wyzdrowieje?

– Chodź ze mną – rozkazuje lekarz.

– Większość ludzi woli w tym momencie nie patrzeć – mówi pielęgniarka. Ma trądzik i nieświeży oddech. – Jesteśmy w tym podobni

do koni. Nie lubimy widoku krwi. Wiesz, że konie nawet po latach wyczuwają miejsce, w którym odbyła się bitwa? Czują krew. Mój srokaty za nic nie przejdzie trasą obok Graingerów, wiesz, tych od fermy szczeniąt. Z fermy nic już nie zostało, ale koń dalej coś czuje. Mój starszy brat mówi, że widywał ich czasami w Bone. Linę i Burta. Podobno byli cisi, nie rzucali się w oczy. Mnóstwo ludzi znało ich przynajmniej na tyle, żeby powiedzieć „dzień dobry". Skąd mieli wiedzieć, co się tam u nich wyprawiało? To są straszne rzeczy. Ale wracając do tematu: większość pacjentów w tym momencie zamyka oczy.

Pielęgniarka odsuwa się nieznacznie. Nogi stołka zgrzytają o podłogę. Wygląda na lekko zdenerwowaną. Jest we mnie coś, co ją niepokoi.

Nie odrywam spojrzenia od jej nieufnej twarzy. Ale przecież ja nie jestem nawet ta interesująca, mam ochotę powiedzieć. Jestem ta dobra. Ta myśl sprawia, że mam chęć się zaśmiać, ale wychodzi z tego jakby suchy szloch.

Jack nie zostaje w szpitalu. Tłumaczy, że się pośliznęła i rozbiła lustro. Wszyscy potakujemy. Lekarz przygląda się nam dłuższą chwilę, a potem puszcza nas do domu. Człowiek pustyni za dużo już widział, by się przejmować problemami nastolatek.

Mia daje Jack zastrzyk z witaminy B. Jack chyba w ogóle tego nie zauważa.

– Bywa, że to pomaga na depresję – tłumaczy Mia. – Spróbujemy tej kuracji przez kilka tygodni. Gdyby połączyć to z suplementacją witaminy D… – Słyszę, że stara się okazać wesołość. Z jakiegoś powodu przygnębia mnie to jeszcze bardziej.

Postanawiam obserwować Jack na każdym kroku, żeby sprawdzić, czy witaminy zadziałają. Będę uważnie śledzić jej samopoczucie. Zwracać uwagę na wszystko, co robi i mówi.

Jack i ja kopiemy dół na psim cmentarzu.

Kilka tygodni temu Piętnasty dostał choroby odkleszczowej. Zdechł zeszłej nocy. Nie był to wielki wstrząs, bo już od pewnego czasu nie czuł

się najlepiej. Z trudem znalazłyśmy dla niego miejsce na cmentarzu. Tyle tu martwych psów. Zastanawiam się, czy dziś wieczorem Jack zobaczy Piętnastego w naszej sypialni. Jeśli będzie próbowała mi o tym powiedzieć, zasłonię uszy i przykryję głowę poduszką.

Takie kopanie to wyczerpująca praca.

– Biedny piesek – mówi Jack swoim normalnym głosem.

Nigdy nie lubiłam Piętnastego. Cuchnął i miał zwyczaj zjadać własną kupę. Teraz leży obok, w dużej, poobijanej przenośnej lodówce. Nie mogę pozbyć się z pamięci obrazu jego zasnutych bielmem oczu, wpatrzonych nieruchomo w ciemność.

Ponadmetrowej głębokości dół wreszcie jest gotowy. Odkładam łopatę, żeby napić się wody z dzbanka. To woda ze studni, chłodna, o posmaku kamieni. Dostałyśmy od Mii kanapki w naszym ulubionym starym, blaszanym pudełku ze Snoopym. A przynajmniej kiedyś było ulubione. Nie wiem, w czym dziś gustuje Jack. Głaskałyśmy Snoopy'ego tyle razy, że pyszczek mu się zatarł i została tylko para uszu. Ale Snoopy to Snoopy. Wiem, że to głupie, ale gdy mam przy sobie pudełko, robi mi się jakoś lepiej.

Pchnięcie jest delikatne, Jack dotyka mnie samymi koniuszkami palców. Czuję na plecach każdy z osobna. Potykam się, a sekundę później leżę w grobie, spoglądając na prostokąt nieba. Obok wije się rozpaczliwie kawałek przeciętej dżdżownicy. Z trudem dźwigam się na nogi i gramolę do góry, co nie jest wcale takie łatwe, bo ściany dołu zaczynają się osypywać.

Doskakuję do Jack i przewracam ją na ziemię. Jakaś larwa wypada mi z włosów i ląduje jej na twarzy. Jack patrzy na mnie nieruchomo.

– Co ja ci zrobiłam? – wołam zdyszana, połykając łzy. – Co się z tobą dzieje? Czemu się tak zachowujesz?

W pierwszej chwili półświadomie zastanawiam się, co to za dźwięk: głuche zderzenie kości z kością. Mam wrażenie, że najpierw go słyszę, a dopiero potem widzę, jak moja pięść ląduje tuż pod lewym okiem Jack. Czerwona strużka spływa po policzku na podbródek. Uderzam jeszcze raz i dopiero przestaję. Patrzymy na siebie wstrząśnięte. Jack dotyka bolącego miejsca i krzywi się lekko. Schodzę z niej.

Wtedy ona spokojnie siada. Długo świdruje mnie spojrzeniem czarnych oczu.

– W porządku. Powiem ci.

Z kieszeni spodni wyciąga czerwony zeszyt i otwiera go na stronie zapisanej równo jej pochyłym pismem.

– Zawsze się zastanawiałam, czy ci to pokazać. Nie spodoba ci się, Sundance. Ale proszę, weź je sobie. – Wydziera zapisane strony, a ja wyciągam rękę. Wtedy Jack sięga po pudełko ze Snoopym i odwraca je do góry dnem. Kanapki wypadają na ziemię. Czuję zapach masła orzechowego i jabłka. Jack chowa kartki do pudełka, zamyka je szczelnie i ciska do świeżo wykopanej dziury. Błyskawicznie unosi wieko lodówki i wrzuca ciało Piętnastego do grobu. Zwłoki z głuchym łomotem uderzają o ziemię. Snoopy znika mi z oczu. Łapa Piętnastego ląduje tuż obok wijącej się połówki dżdżownicy. Jack chwyta za łopatę i po chwili na zwłoki spada grad ziemi.

– Widzisz, Rob – odzywa się, dysząc ciężko. – Jeśli chcesz się dowiedzieć, co się ze mną dzieje, to tutaj masz odpowiedź. Wystarczy, że rozkopiesz grób. Pogrzebiesz trochę w gnijącym mięsie…

– Ty jesteś jakaś psychiczna. Wszystko powiem Falconowi.

– Nie krępuj się – odpowiada, wciąż machając łopatą i nie patrząc na mnie. – Ale ja też mu powiem co nieco. Uderzyłaś mnie. Zrozumie, jaka naprawdę jesteś.

– Jack – rzucam błagalnie. – Cassidy…

– Straszny z ciebie dzieciak. Kiedy wreszcie dorośniesz? Co, kretynko, zamierzasz zostać tu na zawsze z Mią i Falconem i do końca życia pomagać im w tych ich kretyńskich eksperymentach?

Odwracam się i zaczynam biec – ale nie do domu, w drugą stronę. Biegnę wzdłuż płotu i bezkresnej pustyni, tak długo, że oddech zaczyna sprawiać ból, a skóra piec żywym ogniem. Mijam zegar słoneczny i źródło, mijam niszczejące szopy na obrzeżach rancza. Biegnę, aż kończy się ubita ścieżka i wpadam w niskie, suche zarośla. Prawie nie ma tu drzew, od ziemi bije żar. Myślę o grzechotnikach, ale się nie zatrzymuję, chcę biec tak długo, aż przestanę istnieć.

– Nienawidzę jej, nienawidzę, nienawidzę – powtarzam zdyszana. Sylaby giną na wietrze. Teraz to brzmi, jakbym mówiła: „Nie widzę jej,

nie widzę, nie widzę".

Nagle ziemia osuwa mi się spod stopy i lecę do przodu, trąc dłońmi o żwir. Jest tak gorący, że prawie czuję, jak skwierczy mi skóra. Z dłoni zaczyna lecieć krew. Przyciśnięta policzkiem do nagrzanej ziemi, widzę gałązki cachanilli i słupek ogrodzenia. Po pustyni hula zawodzący wiatr. Gardło wypełnia mi obrzydliwie ciepła słodycz zwietrzałej oranżady.

Obok słupka coś leży. Wyciągam rękę, a gdy muskam palcem rozpalony mosiądz, dzwonek przewraca się na bok z cichym brzękiem. Nimue. Patrzę na niego i już wiem, że jest martwa. Coś ją zabiło. Boję się myśleć, co to było – albo kto. Wszystko, co kochałam w Sundial, umarło.

Dzwonek jest zbyt gorący, żeby go złapać gołą ręką, ale nie mogę dłużej na niego patrzeć. Mocnym kopniakiem posyłam go w zarośla. Potem ruszam z powrotem. Pozdzierane ręce krwawią, mam trociny w gardle i kręci mi się w głowie od upału. Ale czas zdecydować, kim chcę być.

Mia rąbie drzewo przed drewutnią. Z daleka uderzenia siekiery brzmią jak strzały. Na mój widok prostuje się i ociera pot z czoła.

– Co się stało, Rob?

– Potrzebuję pomocy.

Nie jest za późno, by zrealizować własny plan.

Jack zjawia się na kolacji ze spuchniętą, posiniaczoną twarzą. Powieka nabrzmiała tak mocno, że oko prawie się nie otwiera.

Falcon na jej widok świszcze przez zęby.

– Moja Jackfruit – mówi. – Co się stało?

– Biegałam wzdłuż siatki, potknęłam się i uderzyłam twarzą w słupek. Głupota, nie?

Kiedy się postara, brzmi tak normalnie, że to aż niepokojące. Tego martwego, zgrzytliwego głosu używa tylko wtedy, gdy jesteśmy same.

– Musisz bardziej uważać – poucza ją Falcon, ale widać, że jest zadowolony. Myśli, że zaczęła dbać o zdrowie.

Jack zjada kęs sałatki pomidorowej, patrząc mi prosto w oczy. Ktoś, kto jej dobrze nie zna, zastanawiałby się, czy to na pewno uśmiech.

Powinnam się bać, że powie Falconowi prawdę. Ale nie czuję strachu. Tym, co przyjemnie łaskocze mnie w piersi, jest wspomnienie głuchego łupnięcia w chwili, gdy moja pięść zderzyła się z jej kością policzkową.

Callie

Na pustyni zawsze budzę się o świcie. W pierwszej chwili nie wiem, gdzie jestem, ale to mnie nie przeraża. Strasznie robi się dopiero, kiedy sobie przypominam.

Mama jeszcze śpi, czuję to. Dom rozmawia cicho sam ze sobą, tak jak to robią domy, kiedy nikt ich nie słyszy. Mama jest zmęczona – ta opowieść wysysa z niej energię jak wampir. A może to ona jest wampirem?

Tata powiedział, że potrzebuję czegoś do obrony – mówię do Bladej Callie. Ale nie chodzi tylko o niego. Widziałam minę mamy, kiedy mówiła o tym, jak uderzyła siostrę. Znam to spojrzenie. Rozumiem je. Cokolwiek to jest, mama też to w sobie nosi.

Niech wnętrzności mi przegniją, niech mi w oko igłę wbiją – śpiewa Blada Callie.

Zatykam uczy. *Czy mogłabyś chociaż raz się zamknąć?*

Bawię się kontrolerem znalezionym na dnie szuflady. Przyciskam guzik o wyglądzie cukierka. „Poluj” – myślę. „Poluj”. Kto jest myśliwym, ja czy mama?

Łap mnie! Piesek Śmietnikowy przywarł przednimi łapami do podłogi i merda widmowym ogonkiem. Jest tak słodki, że fajnie się za nim biega. On ucieka, a ja próbuję go złapać, skacząc po meblach. Zawsze mi się wymyka, daje susa w powietrze, przebiega po suficie albo znika w lustrze, zmieniając się w srebrzysty odblask. Nie przejmuje się zasadami. Oszust po prostu. Odkąd Blada Callie nauczyła mnie zbierać

kości zwierząt, ani przez chwilę się nie nudzę. Zawsze mam się z kim bawić.

Biegamy po sypialni, aż tracę oddech i robi mi się sucho w ustach. Za to Piesek Śmietnikowy nigdy się nie męczy. Bladym czas płynie inaczej.

Gdybyś była blada, też mogłabyś biegać w nieskończoność i nigdy byś się nie męczyła – mówi Blada Callie. Unosi się pod sufitem, w kącie nad oknem. Rozedrgana na krawędziach, bzyczy niczym stado much.

– Lubię się męczyć – odpowiadam. Zmęczenie to też zegar. Ale zabawa z Pieskiem Śmietnikowym podsunęła mi pewien pomysł. Zdejmuję z komody jego kościany portret. Wcześniej wyciągnęłam go spod łóżka, pod którym schowała go mama.

Co robisz? – dopytuje rozbrykany Piesek. *Hej, Callie! Hej, Callie?* Delikatnie odklejam kość strzałkową.

Hej, Callie, oddaj to, dobrze? Dobrze? Piesek biega teraz wokół mnie, utykając, a w miejscu kości widać ciemną przerwę.

– Przepraszam – szepczę do niego.

Po cichu schodzę do kuchni. Sięgam do szafki po ostrzałkę i stawiam ją na blacie. Ostrożnie odłamuję czubek kości. Przeciągam nią po kamieniu, tam i z powrotem, aż krawędź nabiera ostrości. Teraz mam nóż. Wsuwam go do kieszeni i wracam na górę. Siadam na łóżku i patrzę w ścianę. Nie myślę. Myślenie jest zbyt straszne. A przede wszystkim nie wolno mi zastanawiać się nad tym, że może Blada Callie ma rację i mama naprawdę chce ze mną skończyć. Lubię być ciepła i wcale nie chcę zblednąć. Wyobrażam sobie, jak nożyk z kości zagłębia się w żywą tkankę. I dźwięk towarzyszący przebijaniu skóry. Pyk! – jak odgłos wyciąganego z ust lizaka. W głowie eksploduje mi feeria barw i dźwięków. Oddycham głęboko, żeby ją przytłumić. Ale muszę sprawdzić, czy nóż działa. Wbijam go w poduszkę. Odgłos brzmi dokładnie tak, jak go sobie wyobraziłam. Eksplozja kolorów. Biorę kolejny zamach. Pyk!

Uderzam raz za razem. Oddycham coraz szybciej, wystawiając czubek języka. Pyk, pyk, pyk!

Podnoszę wzrok. Mama stoi w progu. Jej twarz ma barwę owsianki.

– Daj mi to, Callie.

Podaję jej nożyk z kości.

– Zostań tu – mówi cicho, a to gorsze od krzyku. Zamyka drzwi. W pierwszej chwili myślę, że zamknie je na klucz, ale nie.

Długo nie wraca. Robię się głodna, ale nie wiem, czy wolno mi zejść na dół i zrobić sobie kanapkę. W domu jest bardzo cicho, jakby nikogo nie było. Ale nie słyszałam, żeby zapalała silnik, więc nie pojechała po zakupy. Wyglądam przez okno. Mama stoi daleko, tuż pod płotem z siatki, w cieniu dużego drzewa. Wykonuje jakieś szybkie ruchy, słońce odbija się od metalu. Ale nie widzę zbyt dobrze.

Skradam się na dół, zanurzam w ciszy Sundial. Na zewnątrz gwiżdże wiatr. Ale od wschodu dobiega ciche stękanie i odgłos uderzania o ziemię.

Delikatnie rozsuwam drzwi i wychodzę na taras. Blada Callie i Piesek Śmietnikowy przywarli do mnie z obu stron. Boją się, a przez to ja się boję jeszcze bardziej. Po cichutku skradam się wzdłuż ściany domu.

Mama stoi wsparta na łopacie obok dużej góry ziemi. Jest spocona – widocznie tu nawet w chłodnym zimowym słońcu można się nieźle zgrzać. Długo kopała. Dół ma kształt prostokąta, półtora metra na metr.

Hm – rzucam cicho do bladej Callie. *Zobacz, wykopała dziurę.*

To nie dziura – brzmi odpowiedź. *Dobrze wiesz, co to jest.*

Z walącym sercem wracam do pokoju.

Rob

Obracam w dłoniach nożyk. Kość jest sprężysta – zwierzę musiało być młode. Ostrze raczej nie przekłułoby skóry. Zdaje się, że Callie wyciągnęła ją z tego wstrętnego portretu, który się uparła tu ze sobą przywieźć.

Nie mogę zapomnieć widoku jej twarzy. Absolutne skupienie, wysunięty czubek języka. Jak zrobiła ten nożyk? Nieważne.

W powietrzu przede mną wyrastają gałęzie drzewa decyzyjnego.

1. Jak powstrzymać Irvinga przed zatrzymaniem przy sobie jednej albo obu moich córek?
2. Jeśli będę musiała wziąć dodatkową pracę, jak zdołam je upilnować?
3. Jeśli nie będę mogła ich pilnować, jak powstrzymać Callie przed zrobieniem krzywdy Annie?

Cały schemat rysuje się wyraźnie. Emanuje niezbitą logiką. Niezależnie od liczby pytań odpowiedź pozostaje ta sama. Nie mam wyboru. Istnieje tylko jeden sposób, żebym mogła zatrzymać przy sobie chociaż jedną z córek.

Ten najgorszy.

Lśniąca łopata mruga do mnie z szopy. „Cześć, Rob. Czekałam na ciebie".

W Sundial są dwa nagrobki, Falcona i Mii. Ale tego, co pogrzebane, jest tu więcej. To miejsce to jeden wielki cmentarz. Nocami wyobrażam je

sobie jako tort przekładaniec albo średniowieczny obraz piekła. Wszystko, co ukryte, pogrzebane życia ściśnięte w piętrowych warstwach, utwardzone ciężarem czasu i zahartowane płomieniem winy. W ziemi Sundial spoczywają nienaruszalne tajemnice.

Biały płotek wokół psiego cmentarza zszarzał, luźne sztachety postukują na wietrze. To jedno się nie zmienia – tu zawsze wieje wiatr, podmuchy zimna uderzają ze wszystkich stron.

Kiedyś był to cmentarz dla psów, ale pod ziemią znajduje się coś więcej.

Muszę znaleźć konkretne miejsce – konkretny grób. Wykopuję kilka płaskich dołków, ale żaden nie leży we właściwym punkcie. Nie raz, nie dwa trafiam ostrzem łopaty na kość. Czaszka o długich kłach spogląda na mnie pustymi oczodołami. Musiała należeć do dużego psa, może owczarka niemieckiego. Coś mi podpowiada, żeby właśnie tutaj zostawić kościany nożyk. Potem trafiam na parkę szczeniąt leżących tuż obok siebie. I na pojedyncze kawałki szkieletów, rozsypanych ze starości lub rozwleczonych przez amatorów padliny. Kopię dalej, z ponurym zacięciem, czekając, aż mignie coś niebieskiego.

Muszę wydobyć rzecz, którą tu zakopałam, jeszcze zanim wszystko się zdarzyło.

W ziemi połyskuje fragment rozpalonego nieba. Schylam się z walącym sercem. To zmatowiały odłamek lustra. Na jego widok robi mi się zimno. Teraźniejszość miesza się z przeszłością. Ale nie mogę przestać kopać.

Po jakiejś godzinie wreszcie znajduję to, czego szukałam. Rzucam łopatę, klękam i rozgarniam ziemię. Czuć ją tu rozkładem, jest wilgotna i wstrętna. Próbuję nie myśleć o gnijących szczątkach, które mieszają się z glebą.

Futerał leży w centrum wianuszka zakrzywionych kości, całkiem jakby ziemia miała tutaj żebra. Rozdrapuję glebę paznokciami i po chwili trzymam go w dłoniach: plastikowy niebieski futerał.

Poszerzam otwór łopatą i nagle dostrzegam jakiś błysk: to odsłonięty róg starego, przerdzewiałego pudełka z blachy. Z pyszczka Snoopy'ego została brudnobiała plama, ale uszy nadal lśnią czernią.

Nie. Przecież już raz go szukałam. Wtedy go tutaj nie było.

Wydobywam pojemnik drżącymi palcami. Nie ma mowy o pomyłce. To nasze stare pudełko ze Snoopym. Sądziłam, że przepadło. A teraz pustynia mi je zwróciła.

Zmuszam się do cierpliwości. Najpierw trzeba skończyć, co zaczęłam. Kopię dalej, do momentu, gdy dziura ma dwa metry długości i metr głębokości. Powinno wystarczyć.

W kuchni zmywam ziemię z obolałych ramion. Potem zabieram futerał i pudełko do swojej sypialni. Cóż, teraz jest moja. Kiedyś należała do Mii i Falcona.

Mijam pokój Callie. Ten był mój. Nasz. Drzwi są zamknięte. Lekko się różnią od pozostałych drzwi w domu. Rzeźbione brzegi są podobne, ale nie identyczne. Drewno jest bledsze, niepokryte patyną czasu. Ale trzeba uważnie się przyjrzeć, żeby stwierdzić, że te drzwi są nowsze od wszystkich innych.

Pukam.

– Wszystko w porządku, Callie? – pytam swobodnym tonem.

– Uhm.

– Zaraz znów zaczynamy. Za pół godziny czekam na dole.

– Uhm.

Wchodzę ze swoim skarbem do sypialni i zamykam drzwi.

„Kiedy zamykasz drzwi, zamykasz umysł". W uszach rozbrzmiewa mi głos Mii. Zirytowana kręcę głową. Za dużo tu wspomnień. Każdy przedmiot przywołuje duchy. Odkładam niebieski futerał na komodę. Może poczekać.

Drżącymi rękami otwieram blaszane pudełko. W środku są starannie złożone kartki. Wygładzam je na kolanie, odwlekając moment, kiedy na nie spojrzę. Są – zdania skreślone niebieskim długopisem. Jak to możliwe, by tak chaotyczna osoba miała takie staranne pismo?

Mogłabym przysiąc, że czuję w powietrzu jej zapach. Zawsze wydawał się lekko słodki, trochę jak zapach grejpfruta. To było, zanim zaczęła ją otaczać stęchła woń wilgotnej gleby.

Skończyłam czytać i siedzę teraz, wpatrzona w jeden punkt, usiłując pojąć to wszystko. Cały świat wokół się zmienia, miękko i świetliście.

A może to ja się zmieniam. Czuję, że się zacieram, rozpraszam w nicość, aby powstać na nowo, jak poczwarka w kokonie. Te imiona.

Jack jest przy mnie, dotyka mojej dłoni. Jej głos dźwięczy czysto jak dzwon. „Dzieci to lustra odbijające wszystko, co im się przytrafia. Dlatego musisz otaczać się dobrem. Pamiętaj o tym, Sundance".

Gorące łzy spływają mi po policzkach. Zawsze istniał tylko jeden sposób – jeden sposób na ocalenie obu moich córek.

Otwieram niebieski futerał. Z zagłębień wysypuje się ziemia, ale strzykawka w środku jest nienaruszona. Płyn o charakterystycznej fioletowej barwie wygląda tak samo jak kiedyś. Czy mógł się zepsuć? Stracić ważność? Dotykam tłoczka. Wyobrażam sobie, że go przyciskam, wbijając igłę w ciało, głębiej i głębiej.

To zbyt trudne. Nie wiem, czy dam radę.

Mam siedemnaście nieodebranych połączeń od Irvinga. Oddzwaniam.

– Naprawdę mogłabyś nosić ze sobą telefon, Rob – rzuca w słuchawkę, jakby od niechcenia.

Niebezpieczeństwo!

– Po pierwsze powiedz mi, czy z Annie wszystko w porządku – odpowiadam.

– Jesteś dość apodyktyczna jak na kogoś, kto porzucił chorą córkę, żeby gadać z duchami na pustyni.

Biorę głęboki wdech. Niech się dzieje, co chce.

– Nigdy więcej nie zbliżysz się do Callie – mówię. – I Annie też ci odbiorę. Opowiem im o tobie, powiem, jaki naprawdę jesteś.

– Okej, Rob, co się znowu stało? – W jego głosie słychać znużenie. Kolejne starcie z żoną neurotyczką. – Zapomniałem o jakiejś wywiadówce?

– To koniec, Irving. – Złości mnie to, jak bardzo trzęsie mi się głos. I ta mimowolna intonacja, przez którą każde stwierdzenie brzmi jak pytanie.

Irving wzdycha.

– Chyba znów się nakręcasz.

– Jestem stabilna. Stabilna jak skała.

– Może powinienem do was przyjechać.

– Ani się waż do mnie zbliżać.

– Niepokoi mnie twoje zachowanie, Rob. Callie mówi, że nią potrząsałaś.

Wyrzuty sumienia atakują potężną falą. Kiedy rozmawiał z Callie? Biorę długi oddech i powtarzam, najspokojniej jak potrafię:

– Mówię najzupełniej poważnie. Zamierzam się z tobą rozwieść i zabrać ze sobą dzieci.

– Dobrze wiesz, że nie mogę ci na to pozwolić. – Irving przybiera taki ton, jakby chciał przemówić mi do rozsądku.

Rozłączam się najlżejszym dotknięciem palca, jakbym mogła w ten sposób zniwelować ciężar tego, co właśnie zrobiłam. Nie przerywa się rozmowy z Irvingiem.

– Doigrałaś się, Sundance – szepczę do siebie. Świat traci ostre kontury.

Sięgam po telefon i ponownie wybieram numer Irvinga. Tym razem dążę do pojednania. Nie mogę znieść własnego, lekko żałosnego tonu. Płaczę. Karuzela nie przestaje się kręcić.

Potem schodzę na dół, gdzie już czeka na mnie Callie.

Tamta Rob

Spoglądam przez kuchenne okno na wschód, w stronę psiego cmentarza. List mam przy sobie. Czekałam na tę chwilę od miesięcy, a mimo to jestem dziwnie zdenerwowana.

Myślę o Piętnastym, z którego został tylko szkielet. O pudełku w objęciach jego żeber, blaszanym sercu w kościanej klatce. Zastanawiam się, czy na pogrzebanych w nim kartkach jest coś o mojej matce. Lily. A może w ogóle nie zawierają nic istotnego. To byłby znakomity, choć okrutny żart. Wyobrażam sobie tę scenę. Wykradam się z domu w środku nocy, przy świetle latarki rozkopuję grób, grzebię w ropiejących szczątkach i wyciągam pudełko, by na wystrzępionych stronicach znaleźć limeryk albo dowcip. Lub na przykład powtórzone wielokrotnie słowo: „Kretynka”…

Niech tajemnice Sundial pozostaną tam, gdzie są – martwe, zakopane w ziemi.

Czekam do momentu, gdy wszyscy spotykamy się na kolacji. Nadchodzą zimowe wieczory. Wiatr obija się o szyby. Dziś jemy tofucznicę z bakłażanem. Falcon miał dyżur w kuchni, a to jedyne, co kiedykolwiek przyrządza. Bakłażan wygląda jak szara, galaretowata paćka. Tofu jest suche i rozpada się pod dotknięciem widelca.

– Dzisiaj zacznie Rob – oznajmia Falcon. Codziennie przypada kolej jednego z nas, by poruszyć jakiś ciekawy temat. Inaczej jedlibyśmy w ciszy. Falcon i Mia wybierają zwykle muzykę albo sztukę. Nadal próbują nas edukować.

Oddycham głęboko.

– Chciałam wam powiedzieć, że zdałam ostatni egzamin licealny. Korespondencyjnie. Od pewnego czasu rozsyłałam podania do college'ów. I zostałam przyjęta.

Jack spogląda na mnie powoli. Jej oczy są jak dwie ciemne studnie. Ostatnio zachowuje się normalnie, choć rzadko ze sobą rozmawiamy. Większość czasu spędza z Pawłem poza domem. Przesypia noce i jest mocno opalona, aż do rękawów koszulki. Powinna nabrać zdrowego wyglądu, a jednak jest mizerna i wyraźnie zgnębiona.

Składając podania, prawie nie patrzyłam na foldery. Z kilku uczelni, na które się dostałam, wybrałam Cielo, bo zaoferowano mi tam pełne stypendium. To, że ze wszystkich szkół w kraju ta jedna znajduje się niecałe trzy godziny drogi od Sundial, brzmi jak ponury żart.

– Skąd wzięłaś pieniądze? – Falcon zerka na Mię i dodaje chłodno: – Rozumiem.

– To była jej decyzja – tłumaczy Mia obronnym tonem. – I jej wybór. Poradzi sobie. W końcu ma już osiemnaście lat.

– Niezupełnie – poprawia ją Falcon, wyraźnie rozdrażniony. Nasze osiemnaste urodziny przypadają w najbliższą środę.

– Nie mamy ani powodu, ani możliwości jej tu trzymać. – W oficjalnym tonie Mii brak zwykłego ciepła. Przemawia do Falcona jak koleżanka-badaczka, nie partnerka.

Jack zastygła w bezruchu, niczym figura woskowa.

– Dobrze to brzmi. Chciałam… Może wciąż mogłabym… – Urywa, spoglądając na Falcona.

Czuję przypływ złośliwej satysfakcji na myśl, że dostałam coś, czego pragnęła.

– Już za późno, żebyś nadrobiła oceny. Może za rok, Jackfruit – mówi łagodnie Falcon.

– Zapomniałam – odpowiada smutno Jack.

Nagle mój własny plan wydaje mi się głupi, dziecinny. Chyba przez cały czas spodziewałam się, że coś go udaremni. Teraz z przerażeniem uświadamiam sobie, że muszę spełnić swoją zapowiedź. Wyjechać z Sundial, zostawić Falcona, psy, Mię… i Jack. Tylko po co mi to, skoro jej nie będzie obok?

– Nie muszę wyjeżdżać – mówię. – Mogę zostać, a w przyszłym roku spróbujemy razem.

Jack rzuca mi nieprzeniknione spojrzenie. Potem znów zwraca się do Falcona:

– Rob i ja nie musimy cię słuchać, bo nie jesteś naszym prawdziwym ojcem.

Przewracam oczami. Jack znów pragnie awantury. Naprawdę sądziłam, że już z nią lepiej. Falcon zawsze był odporny na jej zaczepki, czekam więc, aż pobłażliwie zaprzeczy. Ale wciąż panuje cisza. Mia wpatruje się w swój talerz.

– Jestem waszym ojcem pod każdym względem, który ma jakiekolwiek znaczenie – odzywa się powoli Falcon.

Nie to miał powiedzieć. Miał ją pogłaskać po głowie i oznajmić, że zaraz napijemy się kakao i wyjdziemy popatrzeć na gwiazdy. Zawsze tak robił i to zawsze działało. Czuję, jak przenika mnie chłód.

– Jack?

Siostra patrzy na mnie nieruchomo zimnym, martwym wzrokiem.

– Nie zauważyłaś tego w szpitalu? Masz grupę krwi 0. Falcon ma AB. Nie możesz być jego córką. Ja bym pewnie mogła, bo mam A. Ale jesteśmy bliźniaczkami, a to znaczy, że mamy jednego ojca. Tyle że nie on nim jest.

– Sama prosiłaś, żebym jej nie mówił, Jack – wtrąca Falcon. – Pamiętaj.

– Nie rozumiem. Czy to znaczy, że… Mama miała innego męża?

– Ależ kretynka z ciebie – mówi Jack. – Jesteśmy adoptowane. Poczułeś się wtedy lepiej ze sobą? – pyta Falcona. – Poczułeś, że ty i twoja dziewczyna jesteście dobrymi ludźmi?

– Ale ty przecież pamiętasz mamę – protestuję. – Była piękna i łagodna.

– Wszystko zmyśliłam.

Nagle ogarnia mnie wrażenie, że spadam na dno głębokiej studni.

– O czym ona mówi?

– Kiedy Jack zaczęła opowiadać o matce imieniem Lily, uznaliśmy, że to nieszkodliwe – odzywa się Mia. – Kto odmówiłby dwójce smutnych

dzieci odrobiny pocieszenia? Ale teraz myślę, że zrobiliśmy błąd. – Patrzy na Jack i uśmiecha się smutno.

– Cóż – odpowiada tamta. – Nareszcie wszystko się wydało. Wszystko, co było do powiedzenia.

– Staraliśmy się – wtrąca Falcon. – Nie mieliśmy doświadczenia z dziećmi.

– Fakt – przytakuje Jack. – Nie jesteście do tego stworzeni.

Twarz Mii jest wykrzywiona i śliska od łez. Zaczynam się bać. Mia nigdy nie płacze.

– Mogłaś załatwić to inaczej, Jack.

– Mówcie – przerywam jej. Wzbiera we mnie jakaś mroczna fala; mam wrażenie, że tonę. – Słucham.

– Przyjechałyście do Sundial jako pięciolatki… – zaczyna Falcon.

– Mia i Falcon adoptowali nas z Nebraski – wtrąca Jack.

Wszyscy przez chwilę spoglądają na siebie. Jakby mieli sekretny klub, do którego zabronili mi wstępu.

– Nienawidzę was. Nienawidzę was wszystkich.

Mia łagodnie kładzie mi ciepłą dłoń na plecach.

– Wiesz, Rob, że to ty wybrałaś wam imiona? Zaczęłyście mówić późno, dopiero jako sześciolatki. Ale ja wiedziałam, że na wszystko przyjdzie pora. Einstein zaczął, kiedy miał pięć lat. Akurat was kąpałam. Wskazałaś na siebie i powiedziałaś: „Rob”. Potem na siostrę i powiedziałaś: „Jack”. To były twoje pierwsze słowa. Wychowywanie dzieci to podobno wspaniałe doświadczenie. – Uśmiecha się. – I wiesz co? Bywało wspaniałe. I wiesz, co jeszcze? Niczego bym nie zmieniła, nawet gdyby nasze życie mogło się potoczyć inaczej. – Jej głos jest pełen miłości, ale i smutku będącego odpowiedzią na pytanie, którego przez własny egoizm nigdy nie próbowałam zadać. Może miałam jakieś mgliste przeświadczenie, że Falcon nie chce więcej dzieci albo że Mia jest ponad to. Może wyszłam z założenia, że my dwie im wystarczamy.

– Przykro mi – mówię bez zastanowienia. Gdy postanowili nas adoptować, Mia była pewnie niewiele starsza niż ja teraz. Po raz kolejny ogarnia mnie ten specyficzny miks wyrzutów sumienia i niechęci. Podejrzenie, że Mia jest lepszym człowiekiem ode mnie.

– Rob – zwraca się do mnie Falcon. – Uwierz, że nie kochalibyśmy was bardziej, gdybyście były naszymi biologicznymi dziećmi. Zresztą spójrz tylko. Obie jesteście zdolne, wykształcone i głodne wiedzy, a do tego każda z was jest inna. – Falcon ma oczy pełne łez; jeszcze chwila i popłyną. – To prawda, że nie wszystko nam wyszło. Ale mamy też mnóstwo powodów do dumy.

Nagle wzbiera we mnie gniew, a usta wypełnia zwietrzała słodycz.

– Oczywiście to wszystko twoja zasługa – rzucam cierpko.

– Rob…

– Nie. Zawsze powtarzasz, że mam sama zdecydować, kim jestem. No to patrz.

Wstaję i odchodzę od stołu.

W pewnym sensie wszystko się zgadza. Ta myśl powoduje dziwną ulgę. Nie jestem człowiekiem pustyni. Urodziłam się na prerii. Więc wyjadę stąd i nigdy nie wrócę. I będę tym, kim zawsze miałam być.

Z powrotem w swoim pokoju zaciskam pięści i staram się oddychać. Kłębi się we mnie za dużo emocji i muszę dać im upust.

Wyciągam spod poduszki Lalkę Jack. Powoli wyrywam jej ręce, potem nogi. W powietrze buchają obłoczki trocin.

– Zawsze musisz być w centrum uwagi – mówię do niej.

Nie wiem nawet, co złości mnie najbardziej – to, że Jack tak długo milczała, czy to, że powiedziała o wszystkim akurat dziś, choć miał to być mój wieczór.

Podnoszę wzrok. Jack stoi w progu.

– Zrobiłam to dla twojego dobra – mówi. – Powinnaś stąd wyjechać.

– Zabrałaś mi matkę – odpowiadam, zwracając się do resztek lalki. Piękna, łagodna Lily z chorym sercem odpływa w mrok nieistnienia. Odrywam lalce głowę. Odchodzi z suchym chrzęstem.

– Chciałam dać ci coś dobrego, miłe wspomnienie. – mówi Jack. W jej głosie dźwięczy skrucha i przez chwilę nawet jej wierzę. – Falcon powiedział mi prawdę tamtego dnia, gdy próbowałam uciec. Zabroniłam mu z tobą o tym rozmawiać. Naprawdę chciałam dobrze, Sundance.

– To chyba zmieniłaś zdanie. Bo dziś chciałaś mnie tylko zranić.

– Nie wiem – odpowiada w zadumie. – Może. Ostatnio sama siebie nie rozumiem.

– Kim są nasi rodzice?

– To była adopcja poufna. Wiemy tylko, że Falcon i Mia wzięli nas z Nebraski.

– Dlaczego nic nie pamiętam?

– Może nie chciałaś.

– To się nie trzyma kupy. Czy państwo nie sprawdza, co się dzieje z adoptowanymi dziećmi? Nie ma od tego jakichś urzędników?

– Pewnie są. Jesteś w stanie stwierdzić, ile się tu przez lata przewinęło osób z notesami, zadających dziwne pytania?

Potrząsam głową jak pies, któremu coś wpadło do ucha.

– Wszystko zepsułaś. Jesteś gorsza niż Falcon i Mia. Zdaje ci się, że jesteś od nich lepsza, ale nie. Jesteś gorsza, bo wiedziałaś, czym jest kłamstwo. Co oznacza dla nas. Dla mnie. – Głos mi drży i nagle uświadamiam sobie, że płaczę. Jestem na siebie zła, bo czuję się jak małe dziecko. Ale nie umiem powstrzymać łez. Jack patrzy na mnie niewzruszona. – Nie mogłaś nawet poczekać, aż wykopię te twoje głupie kartki. Pewnie się na to cieszyłaś, ale znudziło ci się czekanie.

– Dobrze, że ich nie wykopałaś. To był błąd. – Odwraca się i patrzy na mnie. Z bliska dostrzegam jej nienaturalnie ciemne oczy, rozszerzone źrenice i rozproszony wzrok. Ogromna źrenica, wąziutka tęczówka. Coś mi to przypomina, tylko co?

– Masz dziwne oczy. Dobrze się czujesz?

Jack prycha złośliwym śmiechem.

– Dobrze wiem, co ci chodzi po głowie, Rob. Boisz się wyjechać, ale nie używaj mnie jako wymówki.

– Mówiłaś kiedyś, że zawsze będziesz mnie chronić. – Gorycz tych słów nawet na mnie robi wrażenie. – Co za bzdety.

Mia i Falcon sądzili, że postępują właściwie. Staram się o tym pamiętać.

Tamta Rob

Poznaję Irvinga w Cielo, na pierwszym roku licencjatu.

College nie przyniósł spodziewanej wolności. Studiuję literaturę angielską, bo nic dalszego od nauk ścisłych nie przyszło mi do głowy. Profesorowie są przemęczeni i nikt nie chodzi na zajęcia. Akademik tonie w oparach dymu z jointów. Moja współlokatorka jest miła, ale gdy pierwszego wieczoru poprawiłam jej wymowę słowa „pneumatyczny", przestała się do mnie odzywać. Nic wokół nie jest znajome.

Wszyscy tu mają swoje sekretne sposoby na dogadywanie się z innymi. Rozmawiają o szkołach, chłopakach, rodzinach. W pierwszych dwóch kwestiach nie mam doświadczenia, natomiast moja rodzina, jak się wkrótce okazuje, jest niepodobna do żadnej innej. College w niczym nie przypomina Bingley Hall. Próbuję poznawać nowych ludzi, ale zawsze przychodzi moment, gdy wspominam o Sundial, swoim dzieciństwie albo psach, a wtedy w oczach rozmówców pojawia się pustka i rozmowa się kończy.

W pierwszym tygodniu dzwonię do Jack.

– Jak tam Kelvin?

– W porządku.

– Wszyscy tu są jacyś dziwni – mówię po długiej chwili ciszy. Obracam w palcach kabel telefonu. Wyobrażam sobie siostrę przyciskającą oburącz toporną plastikową słuchawkę do chudego policzka. Oddycham głęboko. – Chyba nie podoba mi się college. – Znów cisza. – Jack? Jack?

Nie rozłącza się, więc dopiero po minucie uświadamiam sobie, że skończyła rozmowę. Później uparcie wraca do mnie obraz przestronnego

holu na parterze w zapadającym zmierzchu i zwisającej z kabla trzeszczącej słuchawki, w której mój głos raz po raz powtarza jej imię.

Później cały mój kontakt z Sundial ogranicza się do cotygodniowych uprzejmych pogawędek z Mią i Falconem. Staram się tym nie przejmować. Ale w głębi ducha nie potrafię myśleć o niczym innym.

Na dodatek w kampusie rosną rododendrony, a co za tym idzie, jest tu mnóstwo kolibrów. Unoszą się w powietrzu, maleńkie i czerwone, jak krwawiące serduszka. Przypominam sobie, co powiedziała Jack przed swoją ucieczką z Sundial. „Jesteśmy swoimi sercami, które biją poza ciałem". Mówiąc to, wiedziała już, że pojedzie z tamtym facetem.

Odkrywam piwo. Coraz częściej chodzę sama do barów. W barach ludzie wychodzą z założenia, że zachowuję się dziwacznie, bo jestem pijana. Rzeczywiście bywam. Jestem samotna, choć nie zdaję sobie z tego sprawy. Nigdy wcześniej nie doświadczyłam samotności.

W Purple Shamrock jak co sobotę podają zielone piwo i tequilę za pół ceny. Po siedemnastej zawsze jest tam masa ludzi. Miło znaleźć się w tłumie ciepłych ciał. O siódmej wieczorem jestem już wstawiona, ale nadal próbuję osiągnąć tę fazę, w której zdaje mi się, że jestem na swoim miejscu. W barze panuje tłok, za duży lub w sam raz, w zależności od nastawienia, a w drżącym od upału powietrzu unoszą się rozmowy. Przeciskając się przez tłum, odwzajemniam spojrzenia mijanych ludzi. Tęsknię do czegoś, chociaż nie wiem do czego.

– Jack?

Odwracam się gwałtownie, wysuwając łokieć. Widzę szeroką czarną krechę brwi uniesioną nad ciemnym okiem i posępną twarz, podobną do wizerunków świętych ze starych obrazów, a chwilę potem uderzam go łokciem w żebra. Facet zgina się wpół, bo trafiłam w splot słoneczny. Pochyla się, zesztywniały, jakby zaraz miał się rozpaść.

To imię Jack tak mną wstrząsnęło. Niby jest pospolite, ale wyszeptał mi je do ucha w taki sposób, jakbyśmy dobrze się znali. Jego oddech wibruje w każdej komórce mojego ciała. Wiem, że pomylił mnie z nią, pomylił mnie z moją siostrą.

Zagląda mi w oczy i dopiero zauważa ich kolor, a może odbitego w nich słabszego ducha.

– Ach, to ty – mówi. – Pewnie mnie nie pamiętasz.

– Pamiętam. Próbowałeś uciec z Jack. Wywiozłeś ją z Sundial. Ale Mia was dogoniła. Ja jestem ta druga siostra. Na wypadek gdybyś to ty zapomniał: mam na imię Rob.

Jego nazwisko mi umknęło, równie dobrze mógłby je nosić którykolwiek spośród odwiedzających nas bogatych chłopców w wyprasowanych koszulach. Zlało się z innymi długaśnymi nazwiskami członków elity Wschodniego Wybrzeża, z Franklinami, Jeffersonami i Loganami, którzy pocąc się w pustynnym skwarze, ślinili się na myśl o zyskaniu aprobaty Falcona. Teraz jednak jakimś cudem powraca, wyciągnięte z głębin pamięci, brzęczące w ustach niczym pszczoła.

– Nazywasz się Irving Cussen.

Patrzy na mnie przez chwilę, a potem prycha krótkim, ostrym śmiechem.

– Wydaje się, że to było tak dawno, nie? Zabawne, bo wtedy też was pomyliłem. Sądziłem, że ona to ty.

– Serio? – rzucam, próbując naśladować sarkastyczny ton Jack. „Nie wszystkie bliźnięta są identyczne, kretynie". – To dość niefrasobliwe z twojej strony. A w ogóle, co tu robisz? Myślałam, że jesteś z Harvardu.

– Z Princeton, ale to już nieaktualne.

– Wywalili cię?

– Niezupełnie. W pewnym sensie.

– Za porwania nastolatek?

– Jak zwykle wszystko rozbiło się o politykę. Ukarali mnie dla przykładu. A tu było wolne pół etatu dla wykładowcy, więc…

– To jednak pewna degradacja – stwierdzam, a on uśmiecha się ponuro.

Docinki latają w powietrzu, jeden z drugim. Rzadko zdarza się, by rozmowa szła mi tak swobodnie. A teraz wszystko wokół zniknęło, nie ma baru, hałasu, tłumu, jesteśmy tylko my, zamknięci w naszym własnym świecie, prywatnej szklanej kuli.

Zamawiamy po drinku i znajdujemy wolne miejsce w kącie. Siedząc, stykamy się kolanami. Irving opowiada mi o swoim bogatym ojcu, właścicielu rancza w Montanie i szybów naftowych w Teksasie.

– Typowe. Bogaty tatuś kupił synkowi miejsce w Princeton. A mimo to zdołałeś schrzanić sprawę.

Irving najpierw długo na mnie patrzy, a potem ujmuje w dwa palce kosmyk moich włosów. Ciągnie tak mocno, że łzy podchodzą mi do oczu i mam wrażenie, że wyrwie mi włosy z cebulkami.

– Tak jak mówiłem, pomyliłem was.

Mierzymy się wzrokiem – oczy wciąż łzawią mi z bólu. Wcale nas nie pomylił, ale wie, że taka wizja mi się podoba. Bezbłędnie odnajduje czułe punkty i właśnie tam naciska. Jest w tym coś bardzo intymnego.

Ten niespodziewany akt przemocy powoduje u mnie dziwny dreszcz. Mam ochotę zrobić coś nieodwołalnego, na przykład obciąć sobie palec. I chcę tu zostać na zawsze, żeby Irving już do końca świata patrzył na mnie spod ciemnej, uniesionej brwi.

– Kłamosie kończą na stosie – szepczę, a gdy pyta: „Co?", nachylam się i go całuję.

Na pierwszą randkę zabiera mnie do francuskiej restauracji, prawdopodobnie jedynej w całym Cielo. Na każdym stoliku przykrytym czerwonym obrusem w kratkę stoi srebrny wazonik z różą i liściem paproci. Nigdy wcześniej nie jadłam w restauracji. Irving sięga po kartę.

– Przetłumaczę ci nazwy dań.

– Nie trzeba. Znam francuski.

Po jego twarzy przebiega niemal niedostrzegalny cień irytacji. Zepsułam mu zabawę.

Nie jestem idiotką. Wiem, że to jego stały numer, rodzaj rytuału. Zabiera dziewczynę do jakiegoś francuskiego, hiszpańskiego czy tureckiego lokalu i tłumaczy jej nazwy dań z karty. Niespecjalnie mi to przeszkadza. To, że spotyka się z wieloma kobietami, dodaje mu atrakcyjności, czyni typem światowca. Trochę w stylu Roberta Redforda. Czuję się wyjątkowa – jedyna spośród wielu, która zna francuski. To bardzo ekscytujące.

Właściciel restauracji jest postawnym mężczyzną o smutnych oczach. Na plakietce widnieje imię Pierre, ale on przedstawia się jako Pete.

– To mój lokal – mówi. – W siedemdziesiątym drugim byłem w Paryżu. Nigdy nie zapomnę tej atmosfery. Miłość i wino! Chciałem przywieźć tu

ze sobą część paryskiego ducha.

– Cudownie! – wołam. Kiedy Pete odchodzi, żeby przynieść nam pieczywo, zwracam się do Irvinga: – Chcę zapamiętać wszystko z dzisiejszego wieczoru. – Dotykam róży i paproci w srebrnym wazonie. Są z plastiku.

– To zwykły chwyt marketingowy – stwierdza Irving. – Mamy dać się ponieść emocjom i zamówić *quesadilla de foie gras*, czy cokolwiek tu dają. To nawet nie jest prawdziwa francuska restauracja. Spójrz! „Crock mesieur" – prycha, wskazując na kartę.

– Ale mnie się tu podoba – mówię, bo tak rzeczywiście jest. Zamawiam campari, może nie francuski drink, ale prawie, Irving zaś czerwone wino. W karcie nie ma dań bez mięsa, wybieram więc sałatkę i puchar owoców. Sączę jedno campari przez całą kolację. Nie chcę się upić, bo nie zamierzam uronić ani chwili. Irving wypija całą butelkę wina, ale w końcu jest dorosły – wolno mu.

Wreszcie płaci rachunek i wyjmuje pióro z kieszonki marynarki. Z początku myślę, że rysuje po karcie, co uważam za niezbyt uprzejme. Ale gdy zbieramy się do wyjścia, dostrzegam, że poprawił wszystkie błędy ortograficzne i gramatykę. Czerwonym atramentem, jak nauczyciel.

Gdy się ubieramy, do stolika podchodzi Pete. Zabiera kartę i widzę, jak rzednie mu mina; przez chwilę wygląda bardzo młodo. Menu jest zapewne jego autorstwa. Wyobrażam go sobie, jak zgarbiony nad słownikiem ręcznie wypisuje kartę za kartą.

Wieczór jest ciepły. Odprowadzam Irvinga do samochodu przez tonącą w świetle latarni ulicę.

– Zraniłeś jego uczucia – mówię.

– Lubię, kiedy rzeczy są zrobione dobrze, a jego francuski dobry nie był. Przeciwnie, był obraźliwie zły. Czemu jego uczucia miałyby się liczyć bardziej niż moje?

Przepełnia mnie radosne podniecenie wymieszane z odrobiną niepokoju. Co będzie, kiedy to ja zrobię coś źle? Irving jest absolutnie przekonany o własnej słuszności i pewny swojej pozycji w świecie. Ale to też sprawia, że czuję się przy nim bezpieczna. Wiem, że istnieje wyraźny podział na dobre i złe, właściwe i niewłaściwe.

Później kochamy się w jego mieszkaniu. Seks udaje się lepiej niż kolacja, choć nie opuszcza mnie poczucie, że się nie najadłam.

Zakochujemy się w sobie, a może raczej ja w nim lub on we mnie – to skomplikowane i wciąż nie jestem pewna szczegółów.

Irving lubi przedstawiać nas jako parę od początku zmagającą się z przeciwnościami losu. Podoba mu się myśl, że o mały włos nie wywołał skandalu, wywożąc siedemnastolatkę z jej rodzinnego domu. Później wmówi sobie, że tą dziewczyną byłam ja, a w każdym razie tak będzie o tym opowiadał. Historia o ponownym spotkaniu jest romantyczna. Irvingowi podoba się, że jestem inteligentna i wykształcona, a jednocześnie niewiele wiem o świecie, i lubi mi go pokazywać. Z czasem odkryję, że pociągają go kobiety, które mają własne zdanie. Wiele kobiet z własnym zdaniem na wiele tematów.

Ja natomiast mylę żarliwość z namiętnością, co nie jest rzadkim zjawiskiem. Wreszcie czuję, że naprawdę żyję.

Informuję Mię i Falcona, że się z kimś spotykam. Siedzę w korytarzu, na ławce pod automatem telefonicznym, i obracam w palcach brudny zielony kabel. W kolejce czekają trzy inne dziewczyny, więc się streszczam. Mia wydaje się zadowolona.

– Czy on ci pozwala być sobą? – pyta.

– Wręcz na to nalega.

– To świetnie – wtrąca się Falcon. Mówią do jednej słuchawki. – Nie możemy się doczekać, aż go poznamy.

Oboje czują się coraz swobodniej w konwencjonalnej roli rodziców studentki. Postronny obserwator łatwo by się nabrał.

– Na to chyba jeszcze za wcześnie. – Nie umiem sobie wyobrazić, co by się stało, gdybym przywiozła Irvinga do Sundial. Na samą myśl oczy zasnuwa mi czerwona mgła. – Jest tam gdzieś Jack? – pytam. Nie rozmawiałyśmy od miesięcy.

– Poszła do psów – odpowiada Mia. – Na pewno odezwie się do ciebie w tygodniu. Będzie ciekawa, jak sobie radzisz.

Odkładam słuchawkę i ustępuję miejsca pulchnej dziewczynie w piżamie w dinozaury. Nosi wielki metalowy aparat na zębach

i spogląda na mnie spode łba, choć nie rozmawiałam długo i z pewnością zmieściłam się w przepisowych piętnastu minutach.

Jack nie dzwoni. A ja nie zabieram Irvinga do Sundial.

Spacerujemy razem po kampusie. Jesteśmy parą od dwóch lat. Szare chmury wiszą ciężko nad szarymi budynkami, dodatkowo uwydatniając ich toporne krawędzie. Po ścianach puszczono bluszcz, aby nadać im pozory starości. Ale młode, cienkie pędy ledwo trzymają się cementu.

Irving przystaje na środku dziedzińca.

– Najwyższy czas wziąć ślub.

Śmieję się, zaskoczona, a on natychmiast posępnieje i zamyka się w sobie. Zawsze najbardziej refleksyjny wydaje się, gdy jest wściekły.

– Pochodzę z rodziny, w której wyznaje się tradycyjne wartości. Zawsze tak było. Skoro to dla ciebie żart, możesz po prostu o wszystkim zapomnieć.

Odchodzi zamaszystym krokiem. Wołam za nim, ale się nie odwraca.

Spodziewam się, że zadzwoni tego lub następnego wieczoru. Nie wierzę, że wszystko mogło tak nagle się zmienić tylko dlatego, że się roześmiałam. Uznaję, że pogodzimy się równie szybko, jak się pokłóciliśmy. Ale mijają dni, a on nie dzwoni. Wyrzucił mnie na mróz i zamknął drzwi.

Tydzień później dostrzegam go w oddali z młodą kobietą, jego studentką. Ciemna głowa Irvinga pochyla się nad jej głową, jasną jak złoto. Dziewczyna jest niską blondynką o cerze podobnej do mojej i takiej samej drobnej sylwetce. Nie wołam ich. Tyle przynajmniej zostało mi rozsądku. Ale czuję dokładnie to, co chciał, bym poczuła – ostre ukłucie zazdrości, przekonanie, że coś mi odebrano.

Doskwiera mi straszna samotność, taka jak wtedy, gdy Jack przestała się do mnie odzywać. Wydaje się jasne, że odpycham od siebie ludzi. Co jest ze mną nie tak, że nie umiem przyjąć miłości Irvinga? Dużo płaczę i często myślę o tym, że wszystkich zawiodłam. Ale nie mam pojęcia, jak to naprawić.

Pewnego wieczoru zbieram się na odwagę. Wypijam dwa drinki i ruszam do jego mieszkania po drugiej stronie kampusu. Irving długo

nie reaguje na pukanie. Nawołuję przez szparę na listy. Wreszcie otwiera drzwi, w szlafroku i już nieco podpity.

– Przepraszam – mówię. – Obiecuję, że się poprawię. Będę twoją żoną. Kocham cię.

– Dziękuję – odpowiada Irving i po chwili tonę w objęciach jego silnych ramion. – Wybaczam ci.

W pościeli wciąż wyczuwam ciepło kobiecego ciała i lekki zapach obcych perfum. Wstrzymuję oddech i ukrywam grymas. Jestem szczęśliwa, że mi przebaczył, a zresztą tamto już na pewno skończone. Nie ma sensu wszczynać kolejnej kłótni, zwłaszcza o byle co.

Wiele lat zabiera mi zrozumienie, że bezpośrednim powodem jego furii były właśnie te surowe, ponure budynki, wyłożone linoleum korytarze i zapach zupy w pokoju wykładowców. Wykluczono go ze świata starej cegły i kamienia, czerwonych liści unoszących się w podmuchach jesiennego wiatru, studentów w marynarkach i szalikach w barwach uczelni, śpiewających te same pieśni, które śpiewali ich ojcowie, przekazywane z pokolenia na pokolenie wraz z rodzinną fortuną. To wygnanie głęboko go ubodło.

Nie jestem jeszcze świadoma, że ojciec zapowiedział odcięcie go od pieniędzy i że Irving, by go udobruchać, obiecał znaleźć sobie żonę. Nie mam pojęcia, że jego zdaniem jestem mu coś winna. Że Sundial jest mu coś winne. Że oczekuje rekompensaty za upokarzającą aferę z Jack, za to, że nie wykorzystał własnego potencjału, za to, że zdegradowano go do roli wykładowcy kontraktowego w zapyziałym college'u na pustyni, modlącego się, by kiedyś dostać wreszcie stały etat.

Tego wszystkiego mam dowiedzieć się później, a potem słuchać jeszcze wielokrotnie, podczas każdej kłótni. Dopiero przyjście na świat dzieci daje nam nowy powód do awantur.

Kocham go, więc jestem gotowa zapłacić ten rachunek. Na dodatek w moim sercu nadal tli się gorycz, która sprawia, że nie mogę się doczekać wspólnej wizyty w Sundial i widoku ich min. A konkretnie miny Jack.

Gdy dzwonię, by się umówić, głos Mii drży z przejęcia. Falcon zachowuje się jak uradowany starszy pan. Sądzą, że im wybaczyłam. Nie pytam o Jack. Od początku studiów nie byłam w domu. Chciałam się odciąć, zapomnieć, sprawdzić, kim naprawdę jestem. Ukryć swoje dawne ja pod pozłotą normalności.

Wysiadamy z samochodu. Pustynny wieczór uderza w nas z pełną mocą. Powietrze jest ciepłe jak herbata, ale wraz z zachodem słońca od spodu wkrada się chłód.

Irving wyjmuje bagaże, a ja wołam, że jesteśmy, ale nie dostaję odpowiedzi. Spojrzawszy na zegarek, stwierdzam, że wszyscy muszą być z psami po drugiej stronie rancza. Wiedzą, że miałam przyjechać, ale nie podałam godziny. Wiedzą, że przywiozę gościa, ale nie mają pojęcia kogo.

Okrągłe ściany z suszonej cegły, niegdyś intensywnie czerwone, smagane wiatrem i piachem, zblakły do matowego brązu. Widać na nich ślady ptasich odchodów, a rabaty pod oknami, dawniej porośnięte bakcharisem i bugenwillą, straszą pustką. Pędy kaktusa, pnące się tu i ówdzie po szerokim podjeździe, przypominają złośliwe guzy. Sundial nie wygląda jak dom, lecz jak miejsce, w którym mieszkają obłąkani starzy ludzie. Nie wiem, czy stało się takie pod moją nieobecność, czy po prostu nigdy wcześniej tego nie zauważyłam.

Irving chce z powrotem wsiąść do chevroleta, żeby podjechać na parking za domem.

– Nie. Zostaw go tutaj.

Bez słowa przyznaje mi rację i parkuje na podjeździe przed domem. Wiem, że wracając, zobaczą najpierw samochód. Ciekawe, co na to Jack. „Ona nie ma już na mnie wpływu", powtarzam sobie. To moje nowe życie, moje własne". Ale serce wali mi jak młotem.

Nawet gdy wchodzimy do środka, Irving dalej się trzęsie. Jest wrażliwy na chłod i zapomniał, jak zimne bywają wieczory na pustyni. Podaję mu stary sweter Falcona, który leżał na kuchennym stole. Brązowy ze skórzanymi łatami na pozdzieranych łokciach.

Przyrządzam campari z wodą sodową. Lepiej, żebyśmy się za szybko nie wstawili. Przywieźliśmy składniki w walizce Irvinga. W Sundial są

tylko whisky i piwo, bo Mia nic innego nie pije. Siadamy przed szerokim oknem, żeby obejrzeć zachód słońca. Takiego właśnie Irvinga widzą Mia, Falcon i Jack, gdy wreszcie wchodzą do domu. Siedzi z nogami w górze, ubrany w sweter Falcona, obejmuje mnie ramieniem, drugą ręką wrzucając sobie do ust oliwkę koktajlową.

Wstaję. Boję się, że dostanę ataku serca. Irving nie rusza się z miejsca. W ostatniej chwili dopadły go nerwy i chowa się za mną, mocno ściskając mój nadgarstek kciukiem i palcem wskazującym, jakby chciał wyrwać z niego puls. (Dopiero z perspektywy czasu człowiek się przekonuje, co mogą zapowiadać takie drobne gesty). Twarze moich bliskich majaczą blado w półcieniu kuchni.

– Przedstawiam wam mojego narzeczonego, Irvinga Fitzgeralda Cussena trzeciego.

Specjalnie użyłam słowa „narzeczony" i starannie zaakcentowałam wszystkie człony nazwiska. Wiem, że skojarzy im się to z bogatą elitą, ze wszystkim, czemu są przeciwni.

Falcon czerwieni się aż po koniuszki uszu. Mia nieruchomieje. Ostatnia wchodzi Jack. Przez chwilę jej ciemna sylwetka majaczy w progu. Potem powoli, jak gdyby nigdy nic, opiera się o framugę. Irytujący gest, choć sprawia, że się uspokajam. To znaczy, że nie jest zraniona. Ale wtedy Jack, z cichym stęknięciem, powoli osuwa się w dół ściany. Po chwili leży na podłodze, zwiotczała i biała jak kreda, przypomina raczej kałużę czegoś niż ludzką istotę. Uświadamiam sobie, że zemdlała, i jest to pierwsze omdlenie, jakie widzę na własne oczy. Krzyk Irvinga alarmuje Falcona i Mię i już za moment wszyscy tłoczą się wokół mojej zemdlonej siostry.

Z wściekłości robi mi się ciemno przed oczami. Jack znów mnie przyćmiła.

Kładziemy ją na kanapie. Paweł, który właśnie wszedł, biegnie po wodę, a ja wachluję siostrę. Wkrótce Jack odzyskuje przytomność i zaraz twierdzi, że nic jej nie jest. Nikt nie protestuje. Zauważam, że to Paweł odprowadza ją na górę, to na jego ramieniu się wspiera.

Mia bierze się do szykowania kolacji, a gdy wraca Jack, Falcon pyta, czy mamy ochotę popatrzeć, jak zagania krowy do obory. Jack rusza za

nami bez słowa. Najwyraźniej postanowili robić dobrą minę do złej gry i nikt nie ma zamiaru wspominać o przeszłości.

Krowy przychodzą na gwizdnięcie Falcona. To trzy łagodne stare kriolki, powolne, mało płochliwe, nawykłe do upałów. Gdy prowadzimy je do obory, z psiej zagrody dobiegają poszczekiwanie i odgłosy drapania o siatkę. Zauważyłam, że Falcon lekko się garbi – nie pamiętam go takiego sprzed swojego wyjazdu.

Gdy mijamy zagrodę, potężna psia sylwetka odrywa się od stada i podchodzi pod sam płot. Światła naszych latarek odbijają się w żółtych ślepiach. Trzydziesty Pierwszy urósł. Pod sierścią barwy zmierzchu drgają mięśnie. Zwierzę cicho podąża za nami wzdłuż ogrodzenia.

Jack przekłada smukłe palce przez oczka siatki.

– Co robisz? – protestuję wstrząśnięta. Wpajane w dzieciństwie zasady zakorzeniają się mocno. Ale czasy naszego dzieciństwa, gdy Sundial było szczęśliwym domem, dawno minęły. Jack jest już dorosła i nie jestem w stanie jej chronić.

Trzydziesty Pierwszy opuszcza wielki pysk i długim językiem lekko muska dłoń Jack. Kiedy na niego patrzę, myślę tylko o zębach.

W drodze do domu mijamy kwitnącą jakarandę. Gasnące promienie słońca przeświecają przez gąszcz fioletowych kwiatów. Jak zawsze, gdy tu jestem, ogarnia mnie poczucie, że Sundial jest jedynym prawdziwym miejscem na ziemi, podczas gdy reszta świata to coś w rodzaju snu.

Mia pokazuje nam naszą sypialnię, przestronny apartament w jednym z budynków gospodarczych przerobionych na kwatery dla studentów. W pierwszej chwili mam ochotę się obrazić – czyżby chcieli sprowadzić Irvinga z powrotem do roli zwykłego stażysty? Później myślę: „Nie chcą, żebyśmy spali w jednym domu z Jack; wolą jej tego oszczędzić". Aż wreszcie przypominam sobie, że jedyne podwójne łóżko w całym domu należy do Mii i Falcona. Nigdy wcześniej nie miałam powodu, żeby zwrócić na to uwagę. Jestem odrobinę zawiedziona, że wyjaśnienie okazało się tak logiczne. Uświadamiam sobie, że byłam gotowa do walki.

Irving wchodzi do pokoju za Pawłem, który dźwiga nasze bagaże. Tymczasem Mia zatrzymuje mnie przed progiem.

– Rob – mówi cicho, z jakąś desperacją w głosie. – Wiem, jak to jest, kiedy człowiek myśli, że jest zakochany…

– Do zobaczenia na kolacji – ucinam. Wchodzę do środka, ujmuję twarz Irvinga w dłonie i całuję go na oczach stojącej w progu Mii. Kiedy się odwracam, jej już nie ma. Wiem, że zachowuję się nieznośnie, ale nie potrafię przestać.

Przy kolacji Jack siedzi cicho, przygarbiona, podczas gdy Mia i Falcon gadają jedno przez drugie. Milkną, gdy odzywa się Irving, i słuchają, każde z przekrzywioną głową, jak zawsze, gdy chcą okazać komuś uwagę. Czekam, aż któreś nie wytrzyma i zacznie się awantura. Ale Mia i Falcon siedzą spokojnie niczym dwa cierpiące posągi. Nawet gdy Irving zauważa na głos, że kupili nowy dywan, Mia nie reaguje, choć widzę, że wzdrygnęła się lekko. Wygląda starzej, niż zapamiętałam. W jej włosach odznaczają się szerokie pasemka siwizny.

Nagle uświadamiam sobie, że straciłam do nich szacunek. Mia i Falcon pozowali na bóstwa, tymczasem okazało się, że ich władza jest łatwa do obalenia. Czuję, jak wzbierają we mnie jednocześnie euforia i pogarda, dwa silne fronty, których zetknięcie się może rozpętać burzę.

Po zjedzeniu truskawek wstaję od stołu. Wchodzę na górę, do łazienki bezpośrednio nad kuchnią – mam niejasne przeczucie, że usłyszę, jak o mnie rozmawiają. Szeroko otwieram okno i przyciskam twarz do siatki na owady, żeby pooddychać pustynią. Nie mogę uwierzyć, że ludzie na dole to ten sam Falcon i ta sama Mia, którzy przez całe dzieciństwo wydawali mi się potężni i niezwyciężeni. Może ktoś ich podmienił. Może to jakaś wymyślna sztuczka albo rządowy eksperyment.

W drodze powrotnej mijam naszą dawną sypialnię. Drzwi są zamknięte, co kiedyś było w tym domu niedopuszczalne. Nie mogę się powstrzymać. Przekręcam gałkę, krzywiąc się lekko na dźwięk znajomego skrzypnięcia, i uchylam drzwi.

W pierwszej chwili mam wrażenie, że znalazłam się gdzieś poza światem, w miejscu o zaburzonym porządku. Pokój wypełnia różowa

poświata, tańczące świetlne refleksy zaburzają linie mebli i sprzętów. Przez dziury w ścianach przezierają prostokąty nocnego nieba. „To dla psich duchów, żeby łatwiej im było wejść" – myślę, zanim zdołam się powstrzymać. Stoję bez tchu, w pułapce napierającej różowości, oszałamiającej gry świateł. Mam wrażenie, że znalazłam się w opalizującym brzuchu węża.

Powoli odzyskuję orientację. Światło sprytnie ustawionej różowej lampki odbija się w lusterkach rozmieszczonych w różnych punktach pokoju. Efekt jest zwodniczy, niczym pułapka na intruzów. Część lusterek, ustawionych pod kątem, wygląda jak fragmenty innych światów, zaglądające do pokoju oczy. Na toaletce rożek księżyca prześwieca przez gałęzie jakarandy – kwiaty drżą lekko, martwe i szare w wielokrotnie załamanych księżycowych promieniach. W rękach Jack pokój stał się potrzaskanym koszmarem przenikających się czasu i przestrzeni.

Nagle zauważam, że oba łóżka są identycznie zaścielone. Moje dawne posłanie wciąż na mnie czeka.

Przed przyjazdem zapowiedziałam Mii i Falconowi, że przywiozę ze sobą gościa. Nie podałam szczegółów. Chciałam, żeby się zastanawiali, kim się stałam i jakie dorosłe sekrety skrywam. Może udało mi się to aż za dobrze. Moi bliscy sądzili pewnie, że wymyśliłam sobie chłopaka.

Wyobrażam sobie spanie w tym pokoju, pogrążonym w różowej poświacie i pełnym świetlnych refleksów, obok Jack będącej kolejnym lustrzanym odbiciem mnie samej i całej przeszłości. Powietrze zdaje się zagęszczać, więc cofam się, zamykam drzwi i zbiegam na dół, skąd dochodzi głos Irvinga chwalącego się właśnie swoją ostatnią publikacją. Nigdy wcześniej nie byłam aż tak wdzięczna za to, że w nocy obejmuje mnie silnymi ramionami, że otacza mnie codziennością, chroniąc przed szaleństwem mojego dzieciństwa, że dzięki niemu nie muszę spać z moją zdziwaczałą siostrą w lustrzanym łonie, w którym nie sposób rozróżnić, gdzie kończy się jedna z nas, a zaczyna druga.

– Rozpalmy ognisko – proponuje Mia. Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek wcześniej wypiła tyle whisky. I to również mnie niepokoi: napięcie, które przebija przez tak swobodnie niegdyś utrzymywaną fasadę.

Zamierzam odmówić i pójść spać, jeszcze bardziej zdystansować się od Rob, którą kiedyś znali. Zamiast tego, sama nie wiem kiedy, mówię: „chętnie”.

Irving nigdy nie brał udziału w Ofiarowaniu, rytuale zarezerwowanym dla członków rodziny. Dostrzegam w jego oczach krótki błysk triumfu. I ja też triumfuję. Moi bliscy muszą zaakceptować to, kim teraz jestem, i tym razem to im pozostaje dostosować się do mnie.

Ognisko okazuje się dobrym pomysłem. Nasze twarze giną w migoczącym świetle, a napięta cisza nie przytłacza tak mocno na tle nocnych melodii pustyni i miłego trzaskania ognia. Wszyscy odrobinę się rozluźniają. Falcon puszcza w ruch butelkę, a ja znów zauważam, jak szybko ubywa w niej zawartości. Cieszy mnie to – sztuczny animusz, jakiego dodaje mi alkohol, z powodzeniem zastępuje odwagę.

Zastanawiam się, czy Mia opowie dziś historię o chusteczce. Trochę na to czekam. Ona jednak milczy, nieruchoma i blada, i nie spuszcza ze mnie wzroku. Wreszcie jestem w centrum uwagi, tak jak chciałam. Wstaję więc i wyjmuję z kieszeni jakiś przedmiot. Nie wiem, czemu go ze sobą przywiozłam, ale będzie stanowił idealne zamknięcie. Ze środka sypią się trociny. Przez te wszystkie lata trzymałam go na dnie szuflady z bielizną, owinięty w plastikową folię. Nie potrafiłam się go pozbyć.

Wrzucam oderwaną główkę Lalki Jack między rozżarzone drwa. Z rykiem zajmuje się ogniem.

– To symbol mojego dzieciństwa – mówię. – Rzucam go w płomienie, bo jestem gotowa, by zostawić je za sobą. Chcę mieć własne dzieci – dodaję i nagle z przejęciem uświadamiam sobie, że to prawda.

Oczy Irvinga błyszczą w świetle ognia. Bierze mnie za rękę.

– Ja też tego chcę – mówi. – Więc po prostu to zróbmy. Nie ma na co czekać.

Czuję, że ta chwila zostanie ze mną na zawsze. Dłużej niż nasze zaręczyny czy wspólny przyjazd do Sundial. Właśnie zakładamy sobie uprząż, która złączy nas na całe życie.

Jack milczy. Patrzy, jak główka lalki rozpada się w czerwone okruchy żaru.

Mia wygląda na wstrząśniętą, ale podchodzi i bierze mnie w ramiona. Jej objęcia są silne i pierwszy raz w życiu czuję, że mam prawo przyjąć

jej miłość bez wyrzutów sumienia i bez zastrzeżeń. To, co miało być wymierzoną w nich złośliwością, stało się prawdziwe. Uśmiecham się w przestrzeń w sposób, który – jak mi się zdaje – dodaje mi tajemniczości i macierzyńskiej aury.

– Nie rób tego, proszę – szepcze mi Mia do ucha.

– Co? – Odsuwam się i patrzę na nią z niedowierzaniem.

– Rob.

Kręcę głową i wyciągam rękę do Irvinga.

– Jestem zmęczona – oznajmiam chłodno. – Chyba już pójdziemy.

Dość mam tych męczących gierek. Sama je zaczęłam, ale potem straciłam kontrolę. A przecież pragnę w życiu tylko normalności. Dlaczego nie mogę jej mieć?

Wracamy z Irvingiem piaszczystą ścieżką do naszej kwatery. Z dala od Mii i Falcona odzyskujemy dawną radość, wciąż upojeni whisky, blaskiem ognia i podjętą właśnie decyzją.

Z mroku występuje jakiś cień. Z krzykiem łapię się Irvinga, choć przerażenie jest stępione przez whisky.

– Źle zrobiłaś – mówi Paweł. – Zraniłaś ją.

– Ona ma to w nosie.

Paweł kręci głową, a mnie ściska się żołądek. Z jakiegoś powodu nie mogę znieść myśli o tym, że sprawiłam mu zawód.

– Hej, kolego – wtrąca się Irving. – Chodzi o to, że nie dałem ci napiwku za wniesienie toreb? – Przez chwilę grzebie w kieszeni. – Piątak będzie okej? Nie bądź taki pazerny. – Wyciąga banknot, ale Paweł nie zwraca na niego uwagi.

– To zła decyzja – mówi i wiem, że nie chodzi mu tylko o to, co się zdarzyło przy ognisku. Irving puszcza banknot, który odfruwa na wietrze. Paweł czeka na odpowiedź. Ale ja milczę, wczepiona w ramię Irvinga, więc po chwili odwraca się i znika w ciemności.

– Biegiem, może jeszcze dogonisz tego piątaka! – woła za nim Irving.

Nie zapalając świateł, rozsuwamy zasłony i wpuszczamy do pokoju księżyc. Kochamy się uroczyście, jak ludzie w filmach lub książkach, rzadko w prawdziwym życiu. Ostatnio zdarzało nam się zapomnieć

o zabezpieczeniu – może bezwiednie szykowaliśmy się na tę chwilę? Teraz możemy całkiem z niego zrezygnować. Seks nie sprawia nam radości, ale przecież nie o to chodzi. Po wszystkim szepczemy do siebie, że chyba zrobiliśmy sobie dziecko. Niczego bardziej nie pragnę. Dziecko byłoby tylko moje. Jack zawsze robiła wszystko pierwsza – zawsze była starsza, choćby tylko o cztery minuty. A teraz to ja jako pierwsza zmienię swoje życie. Myśl o tym, że nawet Mia nigdy nie rodziła, przepełnia mnie rozkoszą lekko zabarwioną wyrzutami sumienia. Ale właściwie dlaczego? To nie moja wina, że Mia nie może mieć dzieci. Już teraz czuję się inaczej, jakby moja wewnętrzna równowaga na zawsze się zmieniła, robiąc miejsce na coś nowego.

– Pomyślałem, że moglibyśmy… – odzywa się Irving.

– Co?

– Od razu założyć rodzinę. Przeprowadzić się tu. Ty zajmowałabyś się dziećmi, a ja dojeżdżałbym na uczelnię. Pół tygodnia tu, pół tam.

– Może. Ale co z moimi studiami?

– Co z nimi? Zostaniesz w domu. Po co miałabyś pracować? Może nie będzie biedy, jeśli… Wiesz, oni się starzeją. Będą potrzebowali pomocy. A twoja siostra odpada, to wariatka. – Mówi, że chce pomóc, ale wiem, że chodzi mu o przejęcie rancza.

– Jack nie jest wariatką – protestuję, szturchając go w ramię. – Ale mogłoby być miło, prawda?

– No właśnie, miło – odpowiada z lekką drwiną w głosie.

Zaraz potem zasypiam jak kamień. Dzień był męczący i przyniósł zaskakujące wnioski. Sny mam niespokojne, przesiąknięte alkoholem, pełne półświadomych objawień. W pewnym momencie wyciągam rękę i zdaje mi się, że Irvinga nie ma obok. Ale potem oplata mnie ramieniem i już wiem, że był tu cały czas.

Przed śniadaniem ktoś puka do drzwi.

Jack wygląda jak duch. Jej oczy, otoczone smugami niezmytego od kilku dni tuszu, przypominają dwa duże asteryski. Ma na sobie dobrze mi znany różowy T-shirt. Nosiła go jeszcze jako dwunastolatka. Przykrótki materiał odsłania blady, niemal wklęsły brzuch.

– Chodź pogadać – mówi.

Może nie całkiem świadomie, ale przez całą wizytę czekałam, aż się po mnie zgłosi. Krążymy wokół siebie niczym gwiazdy w układzie podwójnym. Trochę mi przykro, że spaliłam główkę lalki, i myślę, że przecież nic się nie stanie, jeśli poświęcę siostrze trochę czasu.

– Lepiej pójdę – mówię do Irvinga. – Nie na długo, piętnaście minut? Masz coś przeciwko?

Irving wzrusza ramionami, odwraca się i przykrywa głowę poduszką.

– Skoro musisz.

Ten naburmuszony ton brzmi krzywdząco w świetle naszego świeżego porozumienia i nowych planów. Ciekawe, czy Irving czuje się niezręcznie w towarzystwie Jack, czy jej obecność przywołuje wspomnienia niechlubnego wyjazdu z Sundial. Wkładam dres i tenisówki.

– Chodźmy.

Muskularne ciało Dwudziestej Trzeciej lśni czarną sierścią. Są tu też nowe psy, których nigdy nie widziałam. Tłoczą się przy siatce, merdając ogonami. Trzydziesty Pierwszy leży z tyłu, nieruchomo, z pyskiem wspartym na łapach. Ale na gwizdnięcie Jack wstaje i swobodnie przepycha się do przodu. Napiera bokiem na jej dłoń, czule przymykając żółte ślepia. A ja nawet teraz, po wszystkim, co się wydarzyło, czuję ukłucie zazdrości. „Będę miała dziecko, a to dużo lepsze niż jakiś głupi pies" – myślę, ale w szarym świetle poranka ta perspektywa nie wydaje się już realna.

– Nigdy mu tego nie zapomną – odzywa się Jack, nie patrząc na mnie. – Irvingowi. Ale też nie będą cię powstrzymywać. W końcu mamy być sobą, nie? Żadnej dyscypliny, żadnego formowania na siłę. Odpuść, człowieku. – Jej parodia Falcona jest niesamowita. Zawsze miała ten drobny, okrutny dar naśladownictwa.

– Zamknij się, Jack. – Przecież gardzę Mią i Falconem. Czemu więc drażnią mnie jej słowa?

– Sama nie wiesz, kim jesteś, Rob. Więc i nie wiesz, co robisz. Ale oni powinni. Powinni cię powstrzymać. – W jej głosie nie ma wrogości, tylko zmęczenie. – Ty myślisz, że wtedy cię zawiedli, ale tak naprawdę to się dzieje teraz.

Czuję wzbierającą panikę.

– Po prostu mi zazdrościsz – mówię, ale mnie samej te słowa zdają się miałkie jak trociny. Jack patrzy na mnie swoimi zbyt wielkimi, zbyt czarnymi oczami.

– Widzę ten wiatr, Rob, i widzę, co przyniesie. Widzę, że to się dobrze nie skończy.

– Przestań się wygłupiać, proszę.

Jack wyjmuje z kieszeni jabłko. Bierze dwa kęsy, z góry i z dołu, i podaje mi owoc. W naszym dawnym języku oznacza to: „Przepraszam".

Przez chwilę trzymam jabłko w dłoni. Patrzę przez łzy na piękną różowo-żółtą skórkę. Potem odgryzam kawałek ze środka. „Kocham cię".

Gryziemy jabłko. Mam ochotę wziąć ją za rękę, ale tego nie robię.

– Zostawiłaś mnie – mówię wreszcie. – Nie dopuszczałaś do siebie, miałaś przede mną tajemnice. Byłam całkiem sama.

– Nie wyjechałabyś stąd, gdybym cię nie zmusiła – odpowiada Jack z lekkim uśmiechem, jakby mnie przejrzała. – Nawet teraz wróciłabyś, gdyby ci pozwolili. Musisz stąd wyjechać i żyć po swojemu. Byle nie z Irvingiem.

Wyciąga coś z kieszeni wielkiej roboczej kurtki. Lalka Rob. Pocięta twarz jest oklejona odłamkami lustra.

– To nie tak, że spalisz coś i tego nie ma. Oto twoja przyszłość w tym miejscu. Widzisz? Nie masz twarzy. Pokazujesz ludziom tylko to, co chcą zobaczyć.

Dreszcz grozy przebiega mi po kręgosłupie. Jest coś straszliwego w lalczynej twarzy, w której odbijają się fragmenty nieba. Ale myślę: „Nie. Walczyłam, żeby mieć coś swojego, nie pozwolę jej tego zepsuć".

– Jesteś zazdrosna. I naćpana – mówię. Nie wiem, od kiedy czułam, że coś bierze. Teraz ta myśl, wypowiedziana na głos, po raz pierwszy krystalizuje mi się w głowie. Jednocześnie mam wrażenie, jakbym wiedziała od dawna.

– Nie zmieniaj tematu – niecierpliwi się Jack.

– Jestem w college'u. Wiem, jak wygląda ktoś, kto ćpa.

– Masz, czego chciałaś, Rob. Wróciłaś i dałaś im nauczkę. Chyba nawet tobie powinno to wystarczyć? Nie rób tego, nie z nim. To zły człowiek.

Ujmuję jej twarz w dłonie, jak do pocałunku, i zaglądam głęboko w zasnute czernią oczy.

– Co bierzesz? I skąd, na tym pustkowiu?

Jack się nie wyrywa, tylko odwzajemnia spojrzenie.

– Nie zatrać siebie. Nie bądź lustrem.

– Daj spokój, Jack. Jesteśmy zaręczeni.

– On mówił, że tylko dlatego, że ty tego chciałaś.

– Niby kiedy ci to mówił? Prawie wcale nie rozmawialiśmy. – Natychmiast dociera do mnie, że trzeba było raczej powiedzieć: „To niemożliwe, kochamy się".

– Widziałam się z nim wczoraj wieczorem, kiedy spałaś. Sam do mnie przyszedł.

– Błagam cię, Jack, przestań. – Niezupełnie wiem, o co ją proszę, ale strach już podniósł łeb, jak robak.

Jack patrzy na mnie bez słowa. Potem się krzywi, jakby zjadła coś niedobrego.

– Siedzieliśmy razem przy ognisku, Rob.

– Nie – protestuję. – Nie.

– Spytałam, czy chce to zrobić, tak jak kiedyś. Powiedział, że chce, więc mu pozwoliłam.

Dźwięki dookoła cichną.

– Jak mogłaś? – Mój głos brzmi, jakby dobiegał z dna głębokiej studni.

– Chciałam się przekonać, czy to zrobi. Sądziłam, że może się zmienił. Ale nie.

– Kłamiesz. Twierdzisz, że zmusiłaś mnie do wyjazdu dla mojego dobra, ale to też kłamstwo. Dawno straciłaś nad sobą kontrolę. To ty mnie zostawiłaś, nie ja ciebie. I potrzebujesz pomocy. Dobrze ci radzę jej poszukać.

Obracam się na pięcie. Wracam do Irvinga i swojego nowego życia.

– Jedźmy już! – wołam, gwałtownie otwierając drzwi. – Wracajmy do miasta.

Irving siada na łóżku z zaciętą miną.

– Co jest, do cholery?

– Miałeś rację. Co do mojej siostry. Co do nich wszystkich. Banda wariatów.

Twarz Irvinga łagodnieje.

– Dobrze, jedźmy. Jak sobie życzysz, Rob.

Wpycham ubrania do walizek.

– Zanieś je do samochodu. Muszę pogadać z Falconem.

Falcon trąca palcem gałązki krzaków przed domem, mamrocząc pod nosem coś o sekatorze. Po raz kolejny uderza mnie jego wygląd marudnego staruszka.

– Jack bierze narkotyki – mówię. – Zdaje się, że zaczęła jeszcze przed moim wyjazdem na studia. Może wypadałoby zauważyć, że twoja córka ma problem? Czy kim tam dla ciebie jesteśmy.

Falcon nie odpowiada, ale twarz mu szarzeje.

– Wiedziałeś.

– Jack dostaje pomoc. Dwa razy w tygodniu wożę ją na spotkania…

– A oprócz tego? Pozwalasz, żeby brała dalej?

– Staramy się. Przez pewien czas co rano przeszukiwaliśmy jej pokój. Nigdy nic nie znaleźliśmy. Stwierdziłem, że kupuje coś od gangu motocyklistów, który się urządził na starej posesji Graingerów, więc zabrałem jej kluczyki do samochodu. Ale ona dalej bierze. Może zamawia sobie pocztą opiaty? Wiesz, że musi sama chcieć z tym zerwać.

– A wy musicie bardziej się postarać. Przechwytywać pocztę. Zamknąć ją gdzieś.

– Rob, dobrze wiesz, że to na nic.

Próbuję sformułować na to jakąś odpowiedź, gdy zza rogu wychodzi Irving z walizkami.

– Chyba nie wyjeżdżacie? – Falcon robi smutną minę, a ja czuję znajomy niepokój. Znów go rozczarowałam. „Nie” – mówię sobie. „To on mnie rozczarował”.

Wsiadam do samochodu i zamykam drzwi, odgradzam się od głosu Falcona i pustyni, od przeszłości i swoich własnych uczuć.

– Jedźmy.

Gdy cofamy się z podjazdu, dostrzegam wychodzącą z domu Mię. Otwiera usta i biegnie za nami, jakby chciała dogonić samochód.

Obserwuję w lusterku wstecznym, jak ociera piasek z ust. Kurczy się i kurczy, aż znika, i teraz jak okiem sięgnąć rozpościerają się za nami tylko szosa i pustynia.

Droga do Cielo jest długa i upalna. Zerwał się wiatr i słabo widać drogę. Wszędzie szaleją tumany piasku. Klimatyzacja w chevrolecie jest zepsuta, ale gdybyśmy otworzyli okno, w ciągu kilku sekund bylibyśmy cali w pustynnym pyle. A ten, jak wiem z doświadczenia, wchodzi wszędzie – do uszu, majtek, we włosy i pod język. Więc zamiast otworzyć okna, gotujemy się w upale. Na sztucznym pokryciu siedzenia pode mną pot zbiera się w małe, chłodne kałuże.

Przepełnia mnie obezwładniający lęk, dodatkowo wzmocniony podejrzeniem, że sama ściągnęłam na siebie nieszczęście.

Nie mogę przestać wyobrażać sobie Jack siedzącej na tym samym miejscu pasażera, uciekającej z domu z ledwo sobie znanym mężczyzną. Czy bała się, gdy wszystko, co znajome, zniknęło za horyzontem? Czy po drodze zmieniła zdanie? To było zaledwie kilka lat temu, choć wydaje się, że minęła cała wieczność. A Jack była wtedy bardzo młoda, młodsza nawet, niż wskazywałby jej wiek.

„Irving powinien był się nią opiekować. Powinien być mądrzejszy" – myślę. Tymczasem dziś wywiózł z Sundial kolejną siostrę. Czemu nie zostawi nas w spokoju? W głowie dźwięczą mi słowa Jack: „Sądziłam, że może się zmienił. Ale nie". Jak mogło mi się wydawać, że jestem gotowa na dziecko? To pewnie Sundial i pustynia znów pomieszały mi w głowie.

Zatrzymujemy się przed akademikiem. Na schodkach przed wejściem siedzi moja współlokatorka w towarzystwie dwóch nieznanych mi dziewczyn. Wachlują się i popijają zimną dietetyczną colę. Na różowych ściankach puszek zbierają się kropelki wilgoci.

Irving pochyla się nad radiem. Nie chce, żeby go zobaczyły. Ogarnia mnie złość. Skoro tak, to po co przywiózł mnie aż tutaj? Trzaskam drzwiami i wyciągam walizkę z bagażnika. Dziewczyny gapią się na nas. Zapach burbona miesza się z zapachem coli, nieuchwytnie słodki.

Pukam do okna i gestem pokazuję Irvingowi, żeby opuścił szybę. Z samochodu bucha rozgrzane powietrze. Nachylam się i przysuwam

usta tuż do jego ucha.

– Pogadałam sobie z Jack – mówię. Irving nie podnosi wzroku, ale jego ucho robi się ciemnoczerwone. Bez słowa zapala silnik, a ja w ostatniej chwili wysuwam głowę z okna. Chevrolet rusza z kopyta, owiewając mnie strumieniem powietrza.

Stoję bez ruchu, z walizką w ściśniętej dłoni.

– Boże, a więc jednak – mówię. – On to naprawdę zrobił. Jack nie kłamała. Boże.

Wtedy w nocy nie było go w łóżku. Sądziłam, że mi się zdawało. Prawda jest jak cios w tchawicę, choć przecież w głębi ducha musiałam wiedzieć wcześniej, bo inaczej nie czekałabym, aż mnie dowiezie do domu. Gdybym powiedziała mu to samo w drodze, zostawiłby mnie na środku pustyni. Teraz jestem tego pewna.

Oddycham z trudem. „Nie powinnam winić Jack. Ona jest chora" – myślę. Ale rozedrgane emocje nie dają mi spokoju. Czy nie istnieje granica, której Jack nie przekroczy? Sądziłam, że moja wizyta w Sundial i szopka odegrana z Irvingiem przeznaczone były dla Falcona i Mii. Oszukiwałam się. To Jack od samego początku miała być moją widownią. I zawsze będzie ze mną wygrywała.

W dodatku nadal jakiś cichy głosik podpowiada mi, że zrobiła to z miłości.

Mam łzy w oczach – w pierwszej chwili myślę, że z gorąca i od pyłu, bo nie chce mi się płakać. Siedzę na rozgrzanym asfalcie, choć nie pamiętam, żebym na nim usiadła. Nagle wśród rozmazanych smug zawisa coś różowego. Współlokatorka wyciąga do mnie puszkę coli.

– Ten pierwszy facet, który cię rani, wyświadcza ci wielką przysługę – mówi.

– Ładna mi przysługa – odpowiadam, siląc się na swobodny ton. Mam wrażenie, że jeśli okażę swoje prawdziwe uczucia, to mnie zniszczą, pożrą, spalą żywcem, jak iskra przyłożona do suchych liści. – Oby nigdy nie zechciał wyświadczyć mi prawdziwej przysługi.

Dziewczyna wybucha śmiechem. Przyjmuję puszkę i upijam duży łyk. Kofeina działa natychmiast, przyspiesza puls, a od burbona kręci mi się w głowie. Zimny bąbelkowy smak zastępuje mdlącą zwietrzałą słodycz.

– Dzięki – mówię. Po chwili przypominam sobie jej imię. – Dzięki, Asia.

Dziewczyna otacza mnie ramieniem.

– Będzie dobrze. Wstań już z tej ulicy. Chodź do nas.

Delikatnie ciągnie mnie na schodki i sadza między koleżankami. Teraz wszystkie mnie obejmują. Nigdy nie było mi tak miło i nagle się rozklejam – szlocham głośno z głową na kolanach. Najgorsza jest świadomość, że postąpiłam właściwie. Irving to zły człowiek. Lepiej mi będzie bez niego. Ale z jakiegoś powodu cierpię przez to jeszcze bardziej. Zostałam z niczym. Nie ma już Irvinga, nie ma Jack, Sundial, Falcona ani Mii. Wrzuciłam do ognia wszystko, co kochałam.

Arrowood

Callie weszła do zalanej słońcem sali obserwacyjnej. Ławki i krzesła rzucały długie pajęcze cienie. Na suficie tańczyły zajączki światła odbijającego się od fal oceanu. Sala była pusta. Callie westchnęła gorzko. Właśnie się zastanawiała, gdzie szukać dalej, gdy od wschodniej strony rozbrzmiały czyjeś zbliżające się kroki. Powietrze wypełnił zapach bergamotki i cynamonu – uwodzicielski, korzenny zapach perfum panny Grainger. Przerażona dziewczyna wśliznęła się do szafy z tyłu sali i zamknęła za sobą drzwi.

Korzenny zapach przybierał na sile, mieszając się z wonią stęchlizny wewnątrz szafy. Było tam mnóstwo starych gąbek do ścierania tablicy i kredowy pył bezlitośnie łaskotał ją w nozdrza. Kroki oddaliły się nieco i Callie, wstrzymując oddech, spojrzała przez dziurkę od klucza. Bała się, ale musiała udowodnić, kim naprawdę jest panna Grainger.

Nauczycielka stanęła przy tablicy. Zaskrzypiała kreda. Rysowane przez nią symbole drgały niczym smugi światła. Może to jakiś szyfr? Może tablica to narzędzie komunikacji ze szkołą, na rzecz której szpieguje panna Grainger? Pewnie właśnie zdaje im raport ze swojego porannego triumfu z owsianką, od której wszyscy dostali bzika. Callie poczuła, jak krew gotuje jej się w żyłach. Z wściekłości oddychała coraz szybciej…

Wtem panna Grainger przerwała pisanie. Poruszyła nosem jak królik i głęboko wciągnęła powietrze. Pokiwała zagiętym palcem.

– Wyjdź stamtąd. Kimkolwiek jesteś.

Nogi Callie poruszyły się bez udziału woli. Próbowała chwytać się półek, ale jakaś siła ciągnęła ją na zewnątrz. Drzwi szafy otworzyły się gwałtownie i Callie stanęła przed nauczycielką, mrugając w ostrym świetle słońca.

– To ty – odezwała się panna Grainger. – Mogłam się domyślić.

– Wszystko powiem dyrektorce – zagroziła Callie. – Już za późno, nie powstrzyma mnie pani. Wiem, kim pani jest. Złodziejką i trucicielką. Wtyką szpiegującą na rzecz innej szkoły…

– Guzik wiesz. – Panna Grainger z uśmiechem zdjęła kapelusz. Po eleganckim bobie nie było śladu. Po plecach spływała jej teraz gęsta miedziana grzywa, tego samego koloru co włosy Callie. – Naprawdę się nie domyśliłaś, że jestem twoją matką, wiedźmą?

– Nie – szepnęła Callie. – Nie jest pani moją matką. Moja matka nie żyje.

– Przekonałam wszystkich, że tak jest. Połknęłam pannę Grainger wiele lat temu. Nie była mi już potrzebna.

– A mnie… też pani połknie? – Callie starała się być dzielna, ale głos jej drżał.

Panna Grainger spojrzała na nią z namysłem, przekrzywiając głowę. Jej oczy lśniły niczym ognistozłote monety. Jak to możliwe, że Callie kiedykolwiek widziała w niej człowieka?

– Nieee – odparła przeciągle. – Ciebie chyba nie połknę. To może być ciekawe, mieć córkę. Z całą pewnością. Córki są źródłem wielkiej magicznej mocy. To mi się przyda, tak. – Energicznie pokiwała głową. – Pójdziesz ze mną. Niepotrzebna ci ta szkoła. Zostaniesz wiedźmą, będziemy latać razem nad roziskrzonym morzem i tańczyć w blasku księżyca.

Callie wzięła głęboki wdech.

– Nie mogę zostawić Jack. Nie opuszczę jej. Zwłaszcza teraz, kiedy ma mnie za złodziejkę. Poza tym właśnie została prefektką. Sama nie da rady Elegantkom z Jedenastej. One lubią robić prefektkom wredne dowcipy, a Jack jest wrażliwa.

– Zatem odmawiasz – powiedziała panna Grainger i oblizała wargi złotym językiem.

– Zostaw ją – odezwał się czyjś głos. W progu stała pobladła, drżąca Jack. Serce Callie podskoczyło z radości. Chwilę później pojęła, że obie znalazły się w wielkim niebezpieczeństwie.

– Witaj – powiedziała panna Grainger do Jack. – Niech cię powącham. O, tak – dodała rozmarzona. – Mogłabyś być moją córką. W porządku, wezmę ciebie zamiast niej. A tobie – dodała, zwracając się do Callie – jako krewnej wyświadczę specjalną przysługę i nie zjem cię.

– Ale ja nie chcę być twoją córką – zaprotestowała Jack. – Idź sobie z naszej szkoły i nie wracaj.

Panna Grainger spojrzała na nią.

– Dobrze – oznajmiła z aprobatą. – Widać, że masz odpowiednie cechy. W twoich oczach lśni złoto.

Nagle zniknęła z głośnym trzaskiem, przypominającym dźwięk łamanej kości. Na jej miejscu stał teraz duży pies o złocistej sierści. Jednym susem przyskoczył do Jack. Błysnęło i oboje rozpłynęli się w powietrzu. Callie została sama w zalanej słońcem sali. Przegrała i straciła Jack na zawsze.

Tamta Rob

– Ty nie jesteś z Kalifornii – stwierdza stanowczo Asia. Właśnie wyskubuje mi brwi.

– Nie – odpowiadam, zadowolona, że dostrzegła moją inność. – Urodziłam się w Nebrasce. Jestem adoptowana.

Po raz pierwszy wypowiadam te słowa na głos i po raz pierwszy czuję, że pewnego dnia mogą stać się częścią codzienności. Może pojadę do Nebraski i odnajdę tam dom. Może w Nebrasce też są świetliki.

Asia tak naprawdę ma na imię Anne, ale zmieniła je po przyjeździe na studia. Podoba mi się to nonszalanckie założenie, że można ot tak stać się inną osobą.

– A niby od czego jest college? – stwierdziła, gdy ją o to zapytałam. – W liceum było beznadziejnie. Z jakiego innego powodu miałabym się dalej męczyć?

Asia nosi czarny aksamitny choker i regularnie wyskubuje sobie brwi, z których zostały dwie widmowe kreseczki.

– Może być – orzeka z wahaniem.

Spoglądam w lustro. Moje jasne brwi wtopiły się kolorem w skórę, przez co wyglądam jak dorosłe niemowlę.

– Nie martw się, Berto. Odrosną.

Boi się, że się pogniewałam. Przytulam ją. Kiedy jej się przedstawiłam, uznała, że Rob to skrót od Roberty, a ja nie wyprowadziłam jej z błędu. Też chcę mieć nowe imię.

Czasem spotykamy się z jej przyjaciółkami, Betty i Ariel. To także nie są ich prawdziwe imiona. Wszystkie są zdumione moją całkowitą

nieznajomością popkultury i lubią mnie sprawdzać, bombardując nazwiskami aktorów i piłkarzy czy nazwami zespołów.

Ja jednak za każdym razem tylko kręcę głową.

– Jedyny aktor, jakiego znam, to Robert Redford.

– Moja mama chyba go lubi – odpowiada uprzejmie Asia.

– Moja też. To właśnie po nim dostałam imię. – Kiedy tylko wypowiadam te słowa, sama prawie zaczynam w nie wierzyć.

Betty parska śmiechem, zasłaniając usta. Asia rzuca jej groźne spojrzenie.

– Uważam, że to super, sprzeciwiać się komercji i kulturze masowej. Berta jest po prostu retro.

Kiedy to słyszę, robi mi się ciepło na sercu. Za nic nie mogę dać po sobie poznać, że niczemu się nie sprzeciwiam – jestem po prostu ignorantką. Asia każdego ranka domalowuje mi ołówkiem brwi, póki nie odrosną mi własne. Nigdy wcześniej nie miałam przyjaciółki.

Znalazłam pracę w uczelnianej bibliotece. Jest tam cicho i pachnie starymi książkami. Kiedy człowiek zamknie oczy i użyje wyobraźni, woń ta przypomina trochę zapach pustyni o zachodzie słońca. Uczę się gotować parówki. Kupuję sobie tani telefon na kartę, w odcieniu „zieleń gekona". Uwielbiam go. Potrafię się nim bawić godzinami, obserwując, jak zmienia się ekran. Wydaję na niego tyle, ile na jedzenie przez dwa miesiące – niedorzeczna ekstrawagancja, zwłaszcza że nikt nie ma mojego numeru. Podaję go tylko Asii. „Błagam, nie pisz do mnie więcej w czasie zajęć, Berto". Ale wiem, że wcale nie jest zła. Asia to bardzo miła osoba.

Ciężko pracuję i nadrabiam zaległości. Nauka przychodzi mi bez trudu. Zdarza mi się wylegiwać w słońcu na trawniku i rozmawiać z zupełnie obcymi ludźmi.

Raz wybieram się nawet na randkę z chudym okularnikiem poznanym na wykładzie o Jane Austen. Idziemy do kina i całujemy się zatłuszczonymi od popcornu ustami. Z początku wcale nie mam na to ochoty, bo film jest bardzo wciągający. Byłam w kinie zaledwie parę razy w życiu. Irving nie lubi filmów, a Falcon i Mia tylko kilka razy zabrali

nas do kina samochodowego na jakieś stare klasyki, zazwyczaj czarno-białe.

Ten film jest całkiem inny. Eksplozja goni eksplozję, mięśnie lśnią kropelkami potu, a z niedorzecznie wielkich karabinów wylatują tysiące pocisków. „Chodź ze mną, jeśli chcesz żyć". Mam ciarki, tak jak wtedy, kiedy uderzyłam Jack, i nagle pocałunek zdaje się dobrym pomysłem. Po seansie chłopak namawia mnie na pizzę, ale ni stąd, ni zowąd dostaję mdłości i wymiotuję na chodniku przed kinem. Okularnik żegna się pospiesznie. Nie szkodzi, tyle mi wystarczyło. Obiecuje zadzwonić, ale wcale na to nie czekam, a on rzeczywiście więcej się nie odzywa. Ja za to spędzam miły wieczór, obgadując go z dziewczynami. Innymi słowy, wiodę zwykłe studenckie życie, właśnie takie, o jakie mi chodziło.

To nie tak, że nigdy nie widziałam telefonu komórkowego, nie rozmawiałam z ludźmi spoza rodziny ani nie byłam w kinie. Zdarzało się. Tylko rzadko. No i teraz jest inaczej, bo to wszystko jest moje. Powoli i nieśmiało zaczynam planować przyszłość. Lubię książki i lubię o nich rozmawiać. Może nawet mogłabym zostać nauczycielką. Próbuję sobie to wyobrazić: uczę angielskiego w jakimś miłym miasteczku i mam chłopaka, stolarza albo pracownika banku, trochę podobnego do Roberta Redforda. Teraz, gdy otacza mnie prawdziwy świat i ludzie, wiem już, że nie ma sensu życzyć sobie prawdziwego Roberta Redforda.

Ilekroć któraś z dziewczyn woła mnie do telefonu, proszę ją, by przekazała, że wyszłam. Wiem, że to dzwoni Mia. Nie mam ochoty opowiadać jej, co się wydarzyło między mną a Irvingiem, ani przepraszać za moje niegrzeczne zachowanie wobec Falcona. Jeśli chodzi o Jack, sama myśl o niej jest jak przesunięcie płyt tektonicznych zmieniające całkowicie układ mojej rzeczywistości. Nie potrafię już stwierdzić, kto powinien komu przebaczyć. Lepiej o wszystkim zapomnieć. Przecież ostatecznie uwolniłam się z ich macek. Wszystko wokół jest nowe, a ja wreszcie zaczęłam żyć.

Mam też całkiem nową tajemnicę, która płonie jasnym światłem w moim wnętrzu.

Pewnego dnia jadę do kawiarni na obrzeżach miasta. Zamawiam latte, a chuda kasjerka zapisuje na kubku imię, które jej podałam.

Kiedy woła: „Callie! Latte dla Callie!”, nie odpowiadam od razu. Czekam, aż powtórzy imię kilka razy, i napawam się brzmieniem. Po wyjściu wrzucam kawę do śmietnika.

Callie. To właściwe imię.

Listopad. Mała przyjdzie na świat jesienią, gdy powietrze na pustyni się ochłodzi. Towarzyszyła mi już w noc Ofiarowania. Może to właśnie Callie przemawiała przeze mnie, gdy powiedziałam wszystkim, że o niej marzę. Może organizm podszepnął mi coś, czego umysł nie był jeszcze świadomy. Jedyne, co wiem na pewno, to to, że jestem na nią gotowa. Przepełnia mnie niemal żarłoczna tęsknota, gdy wyobrażam sobie, jak trzymam w ramionach drobne ciałko, patrzę jej w oczy i czuję dotyk paluszków zaciskających się na moim kciuku; gdy myślę o tej małej istotce, która już zawsze będzie częścią mnie, tyle że świeżą i niewinną – jak nowy początek.

Nie zastanawiam się, jak skończę studia i znajdę posadę w szkole, jednocześnie zajmując się dzieckiem.

Asia, Betty, Ariel i ja kursujemy między łazienką a holem, chlapiąc wodą na wszystkie strony. Jest sobota, reszta dziewczyn poszła na mecz, a my musimy skończyć, zanim wrócą. Brudne linoleum jest już w połowie zasłonięte białymi kubkami ustawionymi obok siebie jak w matrycy, pełnymi wody z kranu w łazience. Konstrukcję można zdemontować tylko poprzez mozolne usunięcie kubka za kubkiem. Gdy otworzą się drzwi lub gdy ktoś ją kopnie, nastąpi powódź.

Nie możemy się doczekać szoku współmieszkanek, ich mokrych skarpetek i wrzasków. Kubki kilka razy wypadają nam z osłabionych śmiechem palców. Lądują na podłodze, bryzgając zimną wodą o zapachu miedzi. Dziewczyny są pijane – ja nie, ale i tak kręci mi się w głowie z podniecenia. Nigdy wcześniej nie brałam udziału w takim dowcipie.

Wreszcie, kilka minut przed czasem, wszystko jest gotowe. Przez chwilę podziwiamy swoje dzieło: morze białych kubków, a w każdym kółeczko wody połyskujące tajemniczo w świetle jarzeniówek. Wreszcie wchodzimy do mojego pokoju i chowamy nosy w książkach. Planujemy

zwalić winę na chłopców z sąsiedniego akademika, do których takie wybryki pasują w sam raz. Siedzimy na łóżku, zesztywniałe z niecierpliwości, i bezgłośnie trzęsiemy się ze śmiechu, a łzy kapią na kartki podręczników.

Na dźwięk otwieranych drzwi wejściowych zastygamy w bezruchu, przyciskając dłonie do ust. Słychać chlust, a potem dziwny, jakby martwy głos wypowiada pojedyncze słowo: „Woda". Dziewczyny wybuchają śmiechem, odrzucając głowy do tyłu, a ja czuję, jak serce zamiera mi w piersi, ciężkie niczym bryła lodu. Znam ten głos i wiem, że pochodzi z innego świata. Sundial wreszcie mnie odnalazło. Powinnam była się domyślić, że prędzej czy później do tego dojdzie.

Jack stoi pośrodku mokrej katastrofy i z przekrzywioną głową przygląda się kubkom, jakby miała przed sobą skomplikowane równanie matematyczne. Włosy ma krótko przycięte, prawdopodobnie nożem. Podejrzewam, że zrobiła to sama. Jest ubrana w długie szare ponczo i brudne, podarte na kolanach dżinsy. Na policzku ma siniaka. Wygląda pięknie. Podchodzę do niej, brodząc wśród wywróconych kubków. Nie czuję nawet, jak woda zalewa mi kostki.

– Co tu robisz?

Oczy Jack są wielkie i czarne. Pozwala mi się objąć, nieruchoma i obojętna jak kłoda.

– Woda też jest lustrem – mówi.

– Mia i Falcon wiedzą, że tu jesteś? Trzeba do nich zadzwonić. Chodź.

Asia, Ariel i Betty gapią się na nas od progu mojego pokoju.

– Ty masz siostrę? – pyta Ariel. – O rany, ale jesteście podobne. Nie mówiłaś, że masz bliźniaczkę!

– Mały kryzys rodzinny – oznajmiam. – Możecie nas zostawić na chwilę?

Dziewczyny wycofują się gęsiego na korytarz, nie odrywając od nas wzroku. W porównaniu z Jack wydają mi się nagle bardzo pospolite. U Asii, którą zawsze uważałam za ładną, zauważam wystające zęby. Betty ma tłustą, plamistą cerę. Ariel, wychodząc, drapie się w łokieć i teraz uświadamiam sobie, że przecież wiecznie coś ją swędzi.

Wszystkie trzy wciąż się na nas oglądają, gdy stanowczo zamykam drzwi. Jack siada na łóżku i wygładza kołdrę w niebieskie motylki.

– Nie powiedziałaś o mnie koleżankom.

– Nie znamy się aż tak dobrze.

Trochę się wstydzę łatwości, z jaką się ich wyparłam, ale przyjazd Jack wszystko zmienił. O co właściwie chodziło nam z tą wodą?

– Jak się tu dostałaś? – pytam, choć naprawdę znaczy to: „Jak odstawić cię z powrotem do Sundial?".

– Poradzę sobie, Rob – odpowiada z uśmiechem. Jack i ja nadal rozumiemy się bez słów.

Oblewam się rumieńcem i pytam jeszcze raz:

– Jak się tu dostałaś?

– Przywieźli mnie do lekarza. Uciekłam przez okno w łazience. To była łatwizna.

– Pewnie się o ciebie martwią.

Jack wzrusza ramionami.

– Zadzwonię do nich, jak skończymy.

Nie podoba mi się to.

– Skończymy? Co skończymy?

– Chciałam ci powiedzieć osobiście. Zobaczyć twoją minę. Chyba po to, żeby sprawdzić, jak sama się z tym czuję.

Siadam obok niej. Serce bije mi ciężko i nierówno.

– O czym chciałaś mi powiedzieć? – pytam.

– Jestem w ciąży. Będę miała małą Jack. Stąd wizyta u lekarza.

– Jesteś pewna?

Znów robi mi się ciemno przed oczami, a dźwięki dobiegają jakby z daleka. A więc jest nas tu cztery, nie trzy, jak sądziłam. Jack kiwa głową.

Spoglądam na jej wychudłą twarz i poczerniałe oczy i nagle ogarnia mnie strach. Jack przypomina podziemną istotę, która wypełzła na powierzchnię.

– Jesteś za młoda.

– Tak samo jak ty. Ostatnio ci to nie przeszkadzało.

– To było ostatnio. Zmieniłam zdanie.

– Myślisz, że nie dam sobie rady?

– Dlaczego stamtąd nie wyjedziesz, Jack? Nie zaczniesz żyć po swojemu, z dala od Mii i Falcona?

– Używasz dobrych słów, ale w złej kolejności. Potłuczone lustro – mówi Jack. – Jestem ich własnością. Nie mam swojego życia.

– Wcale nie jesteś ich własnością – rzucam zirytowana. Nagle sobie przypominam, że moja siostra bywa bardzo absorbująca i lubi dramatyzować. Przez chwilę siedzimy w ciszy. – Cóż, przynajmniej zerwałam z Irvingiem – mówię wreszcie. – Domyślam się, że to jego dziecko.

– Wiem, czego chcę, Rob. – Jack patrzy na mnie tymi strasznymi oczami, nagle pełnymi łez. – Chcę je zatrzymać.

Nie odpowiadam. Próbuję zrozumieć emocje, które się we mnie kotłują, a jednocześnie ignorować sączącą się bokiem gorycz. Moja siostra znów mnie dogoniła.

– Pomyślałam, że może masz już swój samochód – mówi tymczasem Jack.

Nagle przez głowę przemyka mi okropna myśl.

– To znaczy, że przyszłaś tu, bo potrzebujesz podwózki?

Jack wzrusza ramionami i wstaje.

– Nie ma sprawy, złapię stopa. Nie pierwszy i nie ostatni raz.

– Siadaj. – Wiem, że nie mogę jej na to pozwolić. – Coś wymyślimy.

Z korytarza dobiega wrzask i powietrze wypełnia zapach miedzi. W pierwszej chwili nie rozumiem, co się dzieje. Ale to tylko dziewczyny wróciły z meczu.

Ostatecznie pożyczam samochód od Asii.

– Twoja siostra zostanie u nas na noc? Pewnie musicie się nagadać?

Asia ma na sobie piżamę w króliczki i twarz błyszczącą od balsamu aloesowego. Lubi spędzać czwartkowe wieczory w łóżku, z powieściami o klubach opiekunek do dzieci. Czasem jej towarzyszę. Bardzo mi się to podoba.

– Jack nie może zostać – odpowiadam. – Ale nie ma czym wrócić do domu i trochę panikuje.

– Wpadła w jakieś kłopoty, prawda? Wiesz, ja wyczuwam takie rzeczy, to jak szósty zmysł. Twoja siostra jest smutna.

Nie sądzę, by potrzebny był aż szósty zmysł, żeby stwierdzić, że z Jack nie jest dobrze. Asia robi zatroskaną minę i przypomina teraz zezowatą

mysz. Nagle wzbiera we mnie fala czułości dla tej normalnej, życzliwej dziewczyny.

– Rzeczywiście, Jack ma kłopoty. I koniecznie muszę ją odwieźć do domu. Pomyślałam, że może…

– Weź mój samochód. Mam nadzieję, że wszystko będzie dobrze.

Z tęsknotą myślę o wieczorze w łóżku, z książką i gorącą czekoladą.

– Dzięki. Jesteś najlepsza – mówię.

Gdy ją przytulam, zostaje mi na skórze trochę aloesowej mazi, ale wcale mi to nie przeszkadza. Jej swojski zapach towarzyszy mi, kiedy odjeżdżam w mrok.

Jadąc z Jack u boku przez pustynię, mam wrażenie, że czas wypadł z torów. Widziana z profilu, w słabym świetle tablicy rozdzielczej, twarz mojej siostry traci żarłoczny wyraz. Zdaje mi się, że znów mamy po siedemnaście lat i wracamy do domu – tylko skąd? W tamtych czasach rzadko go opuszczałyśmy.

„Będę się bardziej starać" – obiecuję sobie w duchu. „Częściej przyjeżdżać i się z nią widywać. Pomagać przy dziecku. Znów będziemy szczęśliwą rodziną".

– Wiesz, że musisz skończyć z dragami, prawda? – pytam.

– Wiem – odpowiada. – Ale wiem też, że nie skończę.

Mia wbiega na podjazd w momencie, gdy zamykam za sobą drzwi samochodu. Ma na sobie brudne rękawice, pewnie właśnie była w szklarni.

– Jak mogłaś, Jack?! – woła, a na jej twarzy maluje się udręka. – Wiesz, co robi teraz twój ojciec? Szuka cię.

Jack bez słowa wchodzi do domu. Mia zasłania usta, zamyka oczy i bierze głęboki wdech. Dopiero wtedy mnie zauważa.

– Cześć, Rob. Próbowałam się do ciebie dodzwonić. Nie raz.

– Wiem.

– Jesteś sama?

– Tak. Nie wyszło nam z Irvingiem. Miałaś rację.

– Dobrze – mówi Mia, kiwając głową. Kocham ją za to, że nie dodaje nic więcej. Popycha ciężkie dębowe drzwi, które otwierają się szeroko, uwalniając znajomy zapach.

– Wchodzisz? – pyta z uniesionymi brwiami.

– Nie – odpowiadam, ale nie ruszam się z miejsca.

Spoglądam na samochód Asii, myślę o jej dobroci i wszystkim, co dla mnie zrobiła – to były drobiazgi, ale znaczą tak wiele. Nie sądziłam, że istnieje taki miły i dobry świat. Myślę również o wszystkich swoich próbach wybicia się na niezależność. O zielonym telefonie, randce z chłopakiem. To małe rzeczy, ale moje własne. Myślę o swoich planach, by zostać nauczycielką i może znaleźć sobie miłego chłopaka, trochę podobnego do Roberta Redforda. Myślę o Callie, największej przygodzie mojego życia – tego akurat jestem pewna.

Zerkam na tonące w cieniu wejście do Sundial i przypominam sobie potwora, który mieszka w duszy Jack, jego mroczny, martwy głos w środku nocy. Przy niej nigdy nie będę miała własnego życia. Zmienię się w swojego własnego ducha. Albo wydarzy się coś gorszego, bo Jack jest jak zapałka – wszystko, czego dotknie, staje w płomieniach. Jeśli tu zostanę, mogę nie przeżyć. Mogę spłonąć.

Przypominam sobie, że gdy byłyśmy małe, zawsze mnie pocieszała. Wymyśliła mi nawet matkę, bo uznała, że powinnam jakąś mieć. W tamtych czasach oddałybyśmy za siebie życie. Nawet dziś Jack jest moim sercem, które bije poza ciałem.

Nie słyszę, jak Mia zamyka za mną drzwi, bo biegnę, biegnę przez okrągły hol, potem korytarzem i schodami w górę. Szarpnięciem otwieram drzwi do pokoju. Jack stoi przy łóżku i patrzy na mnie. Czekała. Rzucam jej się na szyję, a ona oplata mnie chudymi ramionami.

– Nigdzie nie jadę, Cassidy – szepczę jej do ucha. Łzy Jack spływają mi po szyi do wgłębienia nad obojczykiem. Cała się trzęsie. Nagle przepełnia mnie hucząca fala miłości, a wraz z nią strach.

– Dobrze się czujesz? Jesteś chora?

– To z ulgi – odpowiada Jack. – Nie byłam pewna, czy kiedykolwiek wrócisz.

– Więc ściągnęłaś mnie z powrotem.

Jack kiwa głową, wykrzywiona od płaczu.

– Bez ciebie nie dam rady, Sundance. – Zakrywa usta i zgina się wpół, jakby miała zwymiotować. Pomagam jej dojść do łazienki. – Ciąża –

rzuca ponuro. – Może nie będę rzygać, ale muszę chwilę posiedzieć. Zresztą tu jest chłodniej.

Siedzimy na podłodze, objęte, aż głowa Jack zaczyna się kiwać. Prowadzę ją do łóżka i czekam, aż zmorzy ją sen.

Potem wchodzę do łazienki i zamykam drzwi. Wymiotując, wyrzucam z siebie wszystko, co zdarzyło się w przeszłości. Wkrótce odkryję, że poranne mdłości codziennie dopadają nas o tej samej porze. Po wszystkim Jack zawsze idzie odpocząć, dzięki czemu łatwiej mi zachować tajemnicę.

Rano moją pierwszą czynnością jest posprzątanie pokoju i zdjęcie tych upiornych lusterek. Wrzucam je do dużego czarnego worka na śmieci, a potem ściągam z okien arkusze ciemnego brystolu. Jack obserwuje mnie z łóżka. W ostrym świetle jej skóra wygląda jak pergamin.

– Nie mogę spać w tym śmietniku – tłumaczę, zirytowana swoim przepraszającym tonem. Jack wzrusza ramionami.

– Już ich nie potrzebuję. Wróciłaś.

Różowa gwiazdka ma nadpalony abażur, ale nie mogę się zdobyć na to, żeby ją wyrzucić. Dziś w nocy Jack będzie jej potrzebować. Przez kilka najbliższych miesięcy będzie potrzebować każdego wsparcia. Muszę pamiętać, żeby wybrać się jutro do sklepu po nowy abażur.

Porządki w sypialni przynoszą więcej niepokojących znalezisk. Niedużą czaszkę, jelonka albo cielęcia, ze lśniącymi kruczymi piórami wetkniętymi w oczodoły. Egzemplarz *Rozważnej i romantycznej*, w którym wszystkie litery R, O i B są zakreślone na czerwono. Stopę manekina w tenisówce pokrytej jakąś lepką, słodko pachnącą substancją. Wącham ją z obawą. Melasa. Gdy biorę stopę do ręki, z pękniętej kostki wybiega chmara mrówek. Z dreszczem obrzydzenia wrzucam plastik do worka.

– Co to ma być, do diabła? – pytam.

– Czary – odpowiada Jack.

– Błagam cię, nie zachowuj się dziwnie.

– Ale przecież podziałały.

Wreszcie wszystko trafia do worków i pokój odzyskuje w miarę normalny wygląd.

– Możemy już iść do psów? – pyta Jack, bawiąc się kosmykiem włosów.

– Idź, jeśli chcesz. Ja jeszcze nie skończyłam.

Wysuwam szufladę i przekopuję się przez stertę bielizny.

– Co robisz?

– Byłoby szybciej, gdybyś po prostu powiedziała, gdzie je trzymasz.

Jack w milczeniu gryzie kosmyk włosów. Jej stulone usta układają się w kształt serca.

Nie odpowiada, ale w końcu je znajduję, przyklejone taśmą do spodu komody. Wysypuję biały proszek do worka na śmieci. Kiedy ląduje na plastikowej stopie, mrówki wpadają w szał. Spodziewam się, że Jack zrobi awanturę, ale ona przygląda mi się ogromnymi oczami, podobnymi do oczu wiewiórki, i milczy jak zaklęta.

Jack i ja leżymy na słońcu, obok wybiegu dla psów. Pod koniec kwietnia na pustyni jest gorąco jak w piecu, a Jack ciągle dokuczają mdłości, przywykłyśmy więc spędzać czas pod rozstawionym przez Pawła za domem starym parasolem plażowym. Popijamy mrożoną herbatę ubrane w stare pasiaste piżamy Falcona i wielkie ciemne okulary. Jest wspaniale. Zupełnie jakby ostatnie dwa lata nigdy się nie wydarzyły.

Psy leżą w cieniu akacji i dyszą, wywieszając języki.

– Gdzie Kelvin? – pytam nagle.

– Zdechł – odpowiada Jack. Czy mi się zdaje, czy w jej głosie pobrzmiewa satysfakcja?

Na wieść o śmierci Kelvina czuję ukłucie żalu. Był takim dobrym psem. Przypominam sobie jego uśmiechnięty pysk i puszysty ogon.

– Cóż, był już stary – oznajmiam stanowczo, próbując odgonić smutek.

– Jasne. – W głosie Jack dźwięczy jakaś mroczna nuta. Spoglądam na nią nieufnie. Jej oczy odzyskały już dawny bladoniebieski kolor, nieprzysłonięty przez monstrualne źrenice. Codziennie rano przeszukuję cały pokój, ale dotąd niczego nie znalazłam.

Jack może jeszcze o tym nie wie, ale moim zadaniem nie jest być dla niej miłą. Muszę stać się osobą, którą znienawidzi, która jako jedyna jej

odmawia. Zamierzam chronić ją i dziecko, i nawet jeśli jeszcze długo mi nie podziękuje, to kiedyś zrozumie. Albo nie. Jestem na to gotowa, bo głęboko w sercu noszę własny skarb – połyskującą niczym kamyk tajemnicę. Czasem mam wrażenie, że Jack wie. Widzę, jak przygląda mi się z cienia.

Teraz mówi:

– Daj mi to.

Ostatnio ma obsesję na punkcie mojej pomadki do ust. Na etykiecie widnieje obrazek przedstawiający różowego hipopotama, a obok słowa: „Hipcio Oranżadka". Pomadka jest jednym z trzech przedmiotów, z którymi trzy tygodnie temu wyjechałam z akademika. Wiem, że powinnam dzielić się nią z siostrą, a mimo to wzbiera we mnie znajoma uraza. Choćbym miała nie wiem jak mało, Jack zawsze żądała połowy.

Całe szczęście, że upodobała sobie pomadkę zamiast samochodu albo zielonego telefonu. Ten ostatni zaczął wściekle bzyczeć następnego ranka po moim wyjeździe z Cielo. „Mały kryzys rodzinny" – odpisałam Asii. „Oddam ci samochód najszybciej, jak się da". Później wyłączyłam telefon i schowałam go na dnie szuflady razem z kluczykami.

– Posmaruj się kremem – mówię do Jack. – Bo się spalisz.

– Dla ciebie to chyba bez różnicy? Dziecku słońce nie zaszkodzi.

Oblewam się gwałtownym rumieńcem. Myślałam, że jestem taka sprytna, niby od niechcenia wmuszając w nią owoce i dodatkową szklankę mleka, przypominając o witaminach i pilnując popołudniowych drzemek. Powtarzałam przy tym: „Twój organizm wiele przeszedł" albo „Powoli, rozluźnij się". Powinnam była się domyślić, że już dawno przejrzała podstęp.

Teraz mówię więc tylko:

– Pójdę po krem.

– Leży na komodzie Mii – informuje mnie Jack, układając się wygodnie na leżaku i podciągając ciemne okulary.

Kremu na komodzie nie ma, wchodzę więc do naszego pokoju. Machinalnie przesuwam tubki z kosmetykami na nocnym stoliku Jack. Sięgam po niebieski tusz do rzęs i rozchylając usta, nakładam go przed lusterkiem nad jej łóżkiem. Kolor pasuje idealnie. Podkreśla zieleń moich oczu. Niechcący zahaczam łokciem o różową lampkę, która

spada na podłogę, ale na szczęście się nie tłucze. Ogarniają mnie wyrzuty sumienia. Miałam kupić nowy abażur, ale zupełnie wyleciało mi to z głowy.

Kiedy podnoszę lampkę, w zagłębieniu ceramicznej podstawki odkrywam zapas folii aluminiowej i torebkę z białym proszkiem, szczelnie zasupłaną w węzeł ratowniczy.

Mia wrzuca torebkę do ognia. Załatwiamy sprawę szybko, bez ceremoniału. Z daleka dobiegają krzyki Jack i walenie pięściami w drzwi sypialni, w której ją zamknęłyśmy. Mogłam się domyślić, że odnaleziony pierwszego dnia zapas to była zmyłka, ale dałam się przechytrzyć. Jack potrafi zwodzić lepiej niż ktokolwiek inny.

Paweł kupował prochy od ludzi, którzy ulokowali się w *arroyo*, na dawnej posesji Graingerów. Kto normalny chciałby tam mieszkać? Ale takich ludzi nie obchodzi, co zdarzyło się kiedyś.

Teraz płacze, gdy Falcon wyrzuca go z domu. Podsłuchuję ich z zadowoleniem. Kiedy wychodzi z rzeczami, czekam na niego przy drzwiach. Zamierzam dopilnować, żeby zniknął.

– Wynoś się i nigdy nie wracaj.

– Ja ją rozumiem – mówi Paweł. – Nie masz pojęcia, jaka ona jest.

– Mam nadzieję, że zdechniesz sam w jakimś rowie, z bebechami na wierzchu. Mam nadzieję, że sępy zaczną je pożerać, kiedy ty wciąż jeszcze będziesz żył.

Paweł przestaje płakać, a gdy na mnie spogląda, widzę nowego, obcego człowieka.

– Może ty też jednak trochę ją rozumiesz – mówi, a potem rusza w stronę szosy. Jest już prawie ciemno, ale mam to gdzieś. Życzę mu, żeby szedł całą noc, zanim znajdzie kogoś, kto zgodzi się go podwieźć. Życzę mu, żeby nikogo nie znalazł i żeby pochłonęła go pustynia.

Wieczorem zaglądam do Jack. Przestała już walić w drzwi i liczę, że się zmęczyła. Mimo to przekręcam klucz z duszą na ramieniu. Ku mojemu zdziwieniu Jack leży w łóżku, a obok niej spoczywa zaczytany

egzemplarz *Rozważnej i romantycznej*. Jest okryta kołdrą po samą brodę.

– W którym miejscu skończyłaś? – zagajam niepewnie.

Sięgam po otwartą książkę. Wszystkie litery R, O i B są zaczernione markerem, spod którego wyzierają czerwone obwódki. Jack odwróciła magiczne zaklęcie, które sprowadziło mnie do domu. Zimne ciarki chodzą mi po plecach. Wiem, że to wszystko bzdury. Mimo to strasznie jest zobaczyć, że ktoś wykreślił cię z rzeczywistości.

– Wiesz, że czytaliśmy tę książkę na zajęciach z angielskiego? To historia o siostrach.

Jack milczy. Na wszelki wypadek potrząsam książką i przerzucam kartki. Nic.

– Uwierz mi, że wcale nie chcę cię szpiegować. To okropne. Proszę, dopiero się pogodziłyśmy.

Klękam przy niej i biorę ją za rękę. Jack obejmuje mnie delikatnie, jakby próbowała sobie przypomnieć, jak to się robi. Wdycham jej zapach. W dzieciństwie zawsze pachniała grejpfrutem i nawet dziś wyczuwam jego ślad na jej skórze i włosach. Chce mi się płakać.

Wtedy Jack chwyta mnie za gardło i przewraca na łóżko. Klęka na mojej piersi. Jest zdumiewająco silna. Bije mnie w żebra, wymierza ciosy w żołądek i niżej, w dół brzucha. Próbuję oddać, ale trzyma mocno. Płaczę i błagam ją, żeby przestała. Bez skutku. Ból narasta, a ja wiem, że właśnie ją tracę.

– Przestań – stękam zdyszana. – Jack, błagam cię, dziecko.

Nie przestaje, dopóki nie pojawia się krew. Dysząc ciężko, czołgam się do drzwi.

– Mia! Muszę jechać do szpitala! – krzyczę.

Chwile nakładają się na siebie. Która z nas krwawi właśnie na podłodze? Mia zjawia się w progu, przypada do mnie, ale wszystko dzieje się w zwolnionym tempie i nie docierają do mnie żadne dźwięki. Słyszę tylko własny krzyk: „Callie, Callie, Callie". W moim ciele dzieje się coś złego.

A zaraz potem jest po wszystkim i Callie już nie ma.

Kopię powoli, każdy ruch sprawia ból. Składam Callie do grobu pod zegarem słonecznym. Moja mała dziewczynka. Właściwie nie ma czego pochować, zakopuję więc ciuchy, które tego dnia miałam na sobie, w tym ulubiony T-shirt, i pomadkę z Hipciem Oranżadką. Nic więcej nie mam do oddania.

Ziemia sypie się na małe zawiniątko. Wreszcie odkładam kamień na miejsce, układam go na przewróconej ziemi. Prostuję się i podpieram ręką obolałe plecy. Mam wrażenie, że dotąd spajała mnie pajęcza nić, a teraz ciało pragnie tylko się rozsypać.

Jack obserwuje mnie, siedząc na kamieniu

– Wiedziałaś, że jestem w ciąży? – pytam.

– Nie. Urodziłoby się w grudniu, tak jak moje?

– Wcześniej. Jakoś w listopadzie.

Raz w życiu byłabym pierwsza. Może właśnie to się jej nie podobało. Jack wstaje i drżąc w ciepłym słońcu, powoli zbliża się do kamiennego półkola. Jej cień przecina wąską smugą mnie, kamień i grób. Dziś jest dzień śmierci Callie. Nigdy nie będzie miała dnia urodzin. Nagle przestają mnie obchodzić motywy Jack i nie dbam już o to, czy wiedziała.

– Idź stąd – mówię. – Nie zasługujesz na to, żeby być blisko niej.

– Nawet nie wiesz, czy to była jakaś „ona".

Gdy to słyszę, krew tężeje mi w żyłach. Prostuję się i otrzepuję ręce. Potem podchodzę do Jack i zaglądam jej głęboko w oczy. Coś porusza się w tej pustce, jakieś mgnienie uczucia. Biorę zamach powoli, dając jej czas, by się cofnęła. Ale ona tylko na mnie patrzy. Kiedy moja pięść ląduje na jej policzku, mam wrażenie, że w oczach Jack pojawia się błysk wdzięczności.

– Idź stąd.

Jack odchodzi. Dłoń pulsuje mi z bólu. Zastanawiam się, czy coś złamałam. Ale to bez znaczenia.

Patrzę na grób i zlizuję z warg resztkę syntetycznej słodyczy. Pomadka do dziś jest w sprzedaży i czasem w centrum handlowym, przebieralni czy restauracji dobiega mnie landrynkowy zapach różowej oranżady; wtedy natychmiast przenoszę się do Sundial i czuję woń nagrzanej słońcem, świeżo rozkopanej ziemi.

– Może doszłoby do tego tak czy inaczej – szepczę, jakby pustynia mogła mi odpowiedzieć.

Ukrywałam ciążę przed siostrą, bo chciałam mieć swoją tajemnicę. Nie zrobiłaby tego, gdyby wiedziała. Nie zrobiłaby, prawda? Sama nie wiem, która z odpowiedzi byłaby gorsza.

Po pustyni hula wiatr, dmuchając mi w twarz pyłem, który miesza się ze łzami. Pocieram język kciukiem, potem szoruję ostrym piaskiem. Bezskutecznie, bo wciąż mam wrażenie, że ten smak jest wszędzie, że mam go pełne nozdrza. Kaszlę, dławiąc się ciepłą syntetyczną słodyczą zwietrzałej oranżady.

Przez następnych kilka dni rozmyślam o tym, jak zabiję Jack. Wyobrażam sobie, jak przyciskam jej do twarzy poduszkę albo przejeżdżam po gardle ostrzem noża. Jak owijam jej drut wokół szyi i ciągnę aż do zatrzymania oddechu. Ale oczywiście nie mogę jej zabić, bo przy okazji zabiłabym dziecko.

Zamiast tego staję nad nią dwa razy dziennie, kiedy łyka buprenorfinę.

Zabieram z gabinetu Falcona egzemplarz *Paragrafu 22*. Zamazuję czerwonym długopisem wszystkie litery P, A, W, E i Ł, J, A, C i K, strona po stronie, aż słabną mi palce i łapie mnie skurcz.

To oczywiście żadne czary, bo czary nie istnieją. Ale chwytam się wszelkich sposobów, żeby zadać jej ból.

Tu muszę przerwać. Potrzebna mi chwila oddechu.

Callie

Mama wychodzi do kuchni.

– Zostań tu, Callie. Potrzebna mi chwila oddechu.

Chętnie zostaję w salonie, bo jej twarz przypomina kartkę papieru z wyciętymi otworami. Jest straszna.

Kiedy mama wychodzi, Blada Callie mówi: *Wydaje mi się, że stan twojej mamy eskaluje. Wydaje mi się, że zabiła swoją siostrę.*

Może. Sama nie wiem, co mam myśleć. To taka smutna, smutna historia. Smutna buźka.

Ponieważ ze smutku zawsze robię się głodna, zaglądam do torebki mamy na stole w okrągłym holu. Czasem trzyma w niej cynamonowe cukierki. Torebka jest duża, mieści masę różnych rzeczy. Zaczytany do niemożliwości egzemplarz *Dumy i uprzedzenia*. Chusteczki, klucze, portfel, aspirynę. Na widok buteleczki aż mnie skręca, bo przypominam sobie inne tabletki i usteczka Annie. Zerkam na ekran telefonu. Czternaście nieodebranych połączeń, wszystkie od taty. Odczytuję kilka ostatnich wiadomości.

„Jesteś tyranem i kłamcą. Przestań mi grozić".

„Przesadziłaś, Rob".

„W kółko to powtarzasz".

Czy ona zwariowała? – pyta Blada Callie. *Przecież to go tylko jeszcze bardziej wkurzy.*

Tak. Ja też się martwię, ale nie chcę przyznać tego na głos.

Prawie jakby właśnie o to jej chodziło – mówi Blada Callie.

Oni zawsze się kłócą.

Tym razem jest inaczej i dobrze o tym wiesz. Wyjrzyj przez okno. Blada Callie od dłuższej chwili próbuje umalować się szminką mamy i mogłabym przysiąc, że jej martwe, przezroczyste usta nabrały odrobiny różowości.

Z kuchni płynie miły zapach. Ciastka. Głodna buźka! Mama często piecze, kiedy jest zdenerwowana.

Wyjmuję z jej torebki *Dumę i uprzedzenie*. Okładka jest tak wytarta i powyginana, że ledwo widać tytuł. Sięgam po cukierka i kartkuję książkę, trochę z ciekawości, a trochę dlatego, że razem z Bladą Callie postanowiłyśmy mieć oko na mamę. I rzeczywiście, coś znajduję. Część liter jest zamazana czarnym długopisem. Tekst przypomina przez to jakiś szyfr kosmitów. Czy to naprawdę szyfr? Dobrze mi idzie rozwiązywanie zagadek. Patrzę na litery i próbuję się skupić. Tylko niektóre są zaczernione. I, G, R, N, V. Dopiero po dłuższej chwili pojmuję, że one wszystkie tworzą słowo IRVING. Nie, to jednak nie szyfr, tylko jakieś złe czary. Boję się.

W powietrzu unosi się zapach ciastek. Myślę o wiedźmach i piecach. O dziwnych opowiadaniach mamy. Wyciągam z kieszeni kontroler. Teraz już wiem, czym jest i do czego służy. Albo raczej służył. Naciskam guzik, który wygląda jak ciągutka.

– Poluj – szepczę. – Do mnie. Poluj.

Wyobrażam je sobie gdzieś tam, w świetle księżyca. Dobrze by było mieć własne stado psów! W końcu potrzebuję ochrony. Przez chwilę zdaje się, że świat wstrzymał oddech. Mam wrażenie, że słyszę groźne ziajanie, czuję smród psiego ciała.

W progu coś się porusza. Podskakuję z krzykiem. To mama. Patrzy na mnie i na przedmiot, który trzymam w dłoniach.

– Oddaj mi to. – Głos ma nieprzyjemny, skrzekliwy. – Callie, oddaj mi to natychmiast.

Próbuje zabrać mi kontroler, a ja krzyczę i biję ją po rękach. Muszę go mieć. Nawet zepsuty sprawia, że czuję się bezpieczniej. Oczy mamy robią się wielkie, ściska mnie mocno, jakby chciała udusić. Wpadam

w panikę i szarpię ją za włosy, jak tata, choć nienawidzę, kiedy jej to robi. Wtedy mama mnie odpycha i jest strasznie. Czerwona wściekła buźka!

Umykam do pokoju i z trzaskiem zamykam za sobą drzwi. Sądzę, że poradzę sobie w więzieniu, bo lubię samotność i małe, zamknięte przestrzenie. Poza tym raczej nie miewam wyrzutów sumienia, takich jakie mają zwykli ludzie. No i jestem zdrowa. Zdrowa jak koń, powtarza mama, spoglądając na mnie tak, jakby wcale nie była tego pewna. Annie uwielbia bajki o księżniczkach i inne dziewczyńskie rzeczy. Jest mała jak na swój wiek i chorowita. Nie wytrzymałaby ani minuty w takim miejscu – zakładzie poprawczym, czy jak to się nazywa. To coś jak szkoła, tylko zła, bo niczego w niej nie uczą. Musisz sobie w nim przypomnieć, że jesteś zwierzęciem. Czytałam trochę na ten temat.

Czytam na różne tematy, bo wiedza to broń. Dzięki niej jesteśmy bezpieczniejsi. Więc lubię czytać o morderstwach, żeby zrozumieć sprawców i ich motywacje, ale też po to, żeby zrozumieć, co dzieje się z nimi dalej. Wiem, że jeśli zabijasz zwierzęta, twój stan może eskalować na tyle, żebyś zaczął zabijać ludzi. Blada Callie się ze mnie śmieje, bo lubię słowo „eskalować". Kojarzy mi się z piękną kołnierzastą jaszczurką albo z tańcem na lodzie. Tylko że oczywiście eskalacja to nic dobrego. Powstaje więc pytanie, co dzieje się z ludźmi, których dotyczy? Przeczytałam na ten temat wszystkie książki, które zdołałam znaleźć w bibliotece. Sądziłam, że znajdę w nich odpowiedź.

Dziś już wiem, że odpowiedź brzmi: jeśli są sprytni, to nic się nie dzieje. Bo nie dają się złapać. Czasem, jak już wpadną, popełniają samobójstwo. Osobiście nie widzę w tym sensu. Gdybym trafiła do więzienia dla dzieci, poradziłabym sobie pod warunkiem, że daliby mi papier i kredki, no i pojedynczy pokój. Właściwie czasem nawet lubię sobie to wyobrażać. O tak, byłabym szczęśliwa w oszczędnie urządzonym pokoju, sam na sam ze swoimi myślami i z Bladą Callie. Trafiłaby tam ze mną – nie sądzę, by miała inny wybór. Zawsze chodzi ze mną wszędzie.

Bardzo to ciekawe – mówi teraz. Bywa czasem bardzo sarkastyczna.

Nie wtrącaj się, to moje myśli.

Blada Callie zmienia się nagle w lodowatą mgłę z oczami. Wie, że tego nie znoszę. Obejmuje mnie tak długo, aż zaczynam się trząść.

Przestań – wołam. *Sina buźka!*

Wyjrzyj przez okno.

I rzeczywiście, widzę go w oddali, za płotkiem z białych sztachet. Dół w ziemi, półtora metra na metr.

Czemu jest pusty?

Nie wiem. Może mama się zmęczyła. Może zrobiło się ciemno. Nie wiem!

To grób, który na kogoś czeka – mówi Blada Callie. *I nie będzie już czekał długo. Myślę, że powinnaś stąd uciec.*

– Kochanie? – Mama jest za drzwiami. – Przepraszam, że cię wystraszyłam. Zejdź na dół, proszę.

Lepiej jej posłuchaj – mówi Blada Callie. *Przeproś.*

Przeprosiny bardzo mi się udają. Kiedy schodzimy po schodach, ściskam nawet lekko mamę za rękę. Na dole tak ładnie pachnie, że naprawdę odrobinę się rozchmurzam. Na stoliku stoi talerz jeszcze ciepłych ciasteczek, a obok szklanka mleka. A przecież mama nie lubi, gdy za dużo jem.

Na stoliku leży coś jeszcze. Niebieski plastikowy futerał.

– Siadaj, Callie. – Mama przyklepuje miejsce obok siebie. Ostrożnie siadam na brzeżku kanapy. Podaje mi talerz, a ja bez namysłu biorę ciastko. Potem wręcza mi szklankę i odstawia talerz na stolik, obok futerału. Jest dość przybrudzony.

Znów dzwoni telefon. To tata, widzę na ekranie jego imię: Irving, a obok literka iks, czyli buziak.

Mama odrzuca połączenie.

Z literą iks jest tak, że oznacza buziaka, ale służy też do tego, żeby coś wykreślić, odrzucić. Mama nie chce, żeby tata wiedział, co robimy. Odrzuca połączenia. Czasem mi się wydaje, że to samo chce zrobić ze mną: wykreślić mnie z czasu i z pamięci, tak żebym nigdy nie istniała.

– Co to? – pytam, wskazując na futerał. – To takie niebieskie.

– Wkrótce się dowiesz. Nie martw się, Callie. To już nie potrwa długo.

Rob

Próbuję upolować rękawice kuchenne. Poparzyłam sobie palce przez szmatkę, sprawdzając, czy ciastka się upiekły. Cała się trzęsę. Próbowałam opowiedzieć wszystko tak, jak było. Próbowałam pokazać jej prawdę. To jest jak krwawienie.

Słyszę, jak za drzwiami gada do siebie po cichu.

W domu unosi się zapach ciastek – cynamon i bergamotka. Dodałam do ciasta łyżeczkę herbaty earl grey. Dzięki temu ciastka są wyjątkowe.

– Poluj. – Głos Callie brzmi tak wyraźnie, że omal nie upuszczam blachy. Szybko odstawiam ją na blat i biegnę do salonu. Callie trzyma pod lampką jakiś przedmiot, przyglądając mu się bacznie wielkimi zielonymi oczami.

To stary kontroler Mii. Zielony przycisk znaczy „do mnie". Czerwony „zostań". I jest jeszcze ten w czerwono-zielone paski, podobny do cukierka albo pszczoły narysowanej niewprawnie znikopisem.

– Do mnie. Poluj – szepcze Callie, naciskając guziki.

– Oddaj mi to – odzywam się drżącym głosem. – Gdzie go znalazłaś?

Callie rzuca mi ostre spojrzenie. Twarz ma pustą, jak księżyc w pełni. Obronnym ruchem chowa kontroler za plecami.

– Nie.

– Natychmiast. Nie żartuję – mówię, ale w jej oczach odbija się tylko większa pustka.

Wreszcie podchodzi, a ja oddycham z ulgą. Unikniemy zażartej bitwy. Może kruche zaufanie, które od pewnego czasu próbujemy budować, wystarczyło, żeby jej zapobiec.

Otwieram ramiona, a Callie zbliża się do mnie, ale mnie nie obejmuje. Sięga do karku, gdzie kilka pasemek włosów wysunęło się z kucyka. Ujmuje jedno pasmo między kciuk a palec wskazujący. Właśnie dociera do mnie, co się dzieje, gdy ona pociąga, mocno i bezlitośnie.

Otacza mnie czerwona mgła, a oczy zachodzą łzami. Nie mogę oddychać.

– Puszczaj! Puszczaj! – wrzeszczę i popycham ją.

Callie leci do tyłu. Przez chwilę patrzy na mnie nieruchomo, a potem biegnie na górę. Słyszę trzaśnięcie drzwi.

Stoję, gwałtownie łapiąc powietrze. Wszystko wiruje. Oto kolejna z nauk Irvinga. Czego jeszcze się od niego nauczyła? Ale najbardziej jestem przerażona samą sobą. Właśnie po raz trzeci podniosłam rękę na córkę.

Na ekranie telefonu jarzy się złośliwą zielenią fragment korespondencji z Irvingiem:

„Nie zostawiaj mnie. Przepraszam. Nie mówiłam serio".

„Za daleko zabrnęłaś, Rob. Już tego nie cofniesz".

„Proszę, nie zostawiaj mnie".

Odkładam telefon. Zimno mi. W łazience spluwam do zlewu i szczotkuję zęby tak długo, że zaczynają mi krwawić dziąsła. Ale słodki, metaliczny smak ciepłej oranżady nadal klei się do warg, do języka, do zębów.

Zbliżam usta do dziurki od klucza.

– Przepraszam, Callie. Źle zrobiłam. Ale ten przedmiot to nie zabawka. Pozwól mi go obejrzeć, sprawdzić, czy jest bezpieczny. Jeśli tak, jeśli będę całkiem pewna, dostaniesz go z powrotem, dobrze? Proszę, wyjdź stamtąd, kochanie.

Drzwi się uchylają.

– Tylko bez popychania. I bez wrzasków.

– Oczywiście. – Ściskam jej dłoń. Odpowiada mi niemal niewyczuwalne widmo uścisku. – Chodź na dół – mówię.

Callie spełnia polecenie. Nadal jest posłuszna, to dobrze. Idąc po schodach, wsuwam do kieszeni klucz do jej pokoju. Będę go potrzebować.

Uchylam pokrywę, odsłaniając przegniłe obwody i zardzewiałe miedziane druciki. Widać, że urządzenie nie działa od lat, więc zgodnie z umową oddaję je Callie. Mała przyciska kontroler do piersi, ale jej oczy nie straciły oskarżycielskiego wyrazu. Potem przenosi wzrok na stolik.

Podążam za jej spojrzeniem do plastikowego futerału, który wykopałam na psim cmentarzu. Położyłam go na środku stolika. Nagle wygląda to jak najżałośniejsza pokazówka świata. Trudno – najważniejsze, żeby Callie zdołała połączyć moją opowieść ze swoją teraźniejszością. Najważniejsze, żeby zrozumiała.

– Mamo, co to jest? – pyta. – To takie niebieskie.

– Nie martw się, Callie. To już niedługo potrwa.

Patrzę na futerał i mogłabym przysiąc, że w pewnej chwili lekko drgnął. Jak gdyby w środku zagnieździł się jakiś mały gryzoń albo larwy. Mam nadzieję, że wiem, co robię.

Tamta Rob

Jack ma coraz większy brzuch. Mimo to odmawia wizyty u lekarza.

– Niepotrzebne mi to. Urodzę w domu. Kobiety od tysięcy lat radzą sobie same.

– I umierają – wtrąca posępnie Mia, ocierając pot z górnej wargi. Upał z każdym dniem przybiera na sile. Gdy stąpam po kamieniach, słyszę syk topiących się podeszew.

– Pozostaje tylko mieć nadzieję – mówię.

W dużym centrum handlowym przy drodze numer czterdzieści kupuję skarpetki, pieluchy, czapeczki, koszulki, butelki, zabawki i karuzelę do powieszenia nad łóżeczkiem. Kupuję mleko modyfikowane, koce, balsamy i wanienkę. Ładuję zakupy na pakę pikapa Mii, na tylne siedzenia i fotel pasażera. Leżą ciasno upchnięte, przyciśnięte do szyb. Wszystko dla dziecka Jack. Wiem, że moja siostra nie myślała jeszcze o imieniu. Mówi o dziecku „ono".

Zapomniałam o witaminach, więc w drodze powrotnej skręcam z głównej szosy do Bone.

– Halo, stop – woła farmaceuta. Kulę się odruchowo, jakbym miała coś na sumieniu. Mężczyzna ma łagodne rysy i łysinę. Wyglądałby jak poczciwy tatuś, gdyby nie jedno: bladoniebieskie, prawie białe tęczówki. Ciekawe, czy pustynia dostaje się ludziom do oczu. – Wiesz, że nie wolno ci podchodzić do lady – mówi stanowczo, ale bez wrogości. – Dziesięć kroków w tył i wołaj, czego ci trzeba.

– O, dzień dobry. – Przychodzi mi do głowy, że mogłabym udawać. Ale rola Jack to ostatnia, w jaką chciałabym się wcielić. Nic przyjemnego. –

Właściwie to chyba pomylił mnie pan z siostrą.

Mężczyzna przygląda mi się bacznie.

– Głos inny. Aha! No i oczy. Ale najbardziej sposób bycia. Gdzieś się podziewała?

– W college'u. Ale już wróciłam. Teraz to ona wyjechała na jakiś czas. W odwiedziny do krewnych w Nebrasce.

– Hm. – Mężczyzna zagina starannie krawędź papierowej torebki z witaminami. – Faktycznie wyglądała na kogoś, kto potrzebuje zmiany. – Kiwa głową w stronę zaparkowanego przed sklepem pikapa. – Widzę, że byłaś na zakupach. No i chyba gratulacje? – Uśmiecha się, podając mi torebkę z witaminami.

Odwzajemniam uśmiech.

– W grudniu termin – odpowiadam, gładząc się po brzuchu czułym, opiekuńczym gestem. – Na szczęście będzie już trochę chłodniej. – Zagnieżdżony głęboko w środku ból na moment ustaje i znów ją w sobie czuję, moją Callie.

– W życiu bym się nie domyślił. Jak brzuch wolno rośnie, to pewnie będzie chłopak.

– Nie, dziewczynka – odpowiadam z uśmiechem. Pozwalam sobie na mały flirt, ośmielona poczuciem bezpieczeństwa, jakie często towarzyszy ciężarnym kobietom.

– To się okaże – odpowiada sprzedawca. – A ta druga kiedy wraca?

– Jeszcze nie wie. Właściwie to zastanawia się nad przeprowadzką. Właśnie stamtąd pochodzimy, z Nebraski.

– Za to zostawiła nam ciebie – mówi sprzedawca. – Na zastępstwo.

– Sporo nas różni.

– Jasne, jasne. Ale jednak – omiata mnie gestem dłoni – to wygląda jak magiczna sztuczka.

Dygam, co jest może trochę dziwne, ale w tej chwili wydaje mi się naturalne. Idąc do wyjścia, czuję na plecach spojrzenie jego bladych oczu.

Przez resztę drogi nucę pod nosem. Pustynia jest piękna o tej porze roku. Roziskrzona, rozgrzana do białości. Ciekawe, czy Jack zdecyduje się zostać w Nebrasce. Może się tam przeprowadzi – dla śniegu i zieleni. A może wróci tu dla dziecka. Callie powinna urodzić się w Sundial.

Zaciskam palce na kierownicy. Smutek powraca, odbija się echem w przestrzeniach, które kiedyś zajmowała – moja mała Callie. Wyje niczym wiatr w pustej skorupie ciała. Przez szum silnika dobiega mnie mój własny ochrypły szept: „Weź się w garść, Rob". Złoty krajobraz traci ostrość, a ja zwalniam i zjeżdżam na pobocze. Szlocham, oparta policzkiem o rozgrzaną kierownicę, bo tak bardzo nie chcę wracać do siebie. To było najcudowniejsze pięć minut, jakie przeżyłam od miesięcy. Tęsknię za ciepłą, pulsującą czerwienią miłości, którą czułam przez tę chwilę, gdy Callie znów była we mnie. Przez wąską wyrwę ujrzałam nowy świat, a teraz zniknął i jest to straszna kara.

Ale to nie było nic więcej, jak tylko tania sztuczka, której nie zamierzam powtarzać. Bo potem przychodzi poczucie straty, a to dla mnie za wiele.

Z drugiej strony, może na następną wyprawę do miasta włożę kolorowe soczewki.

Psy dyszą pośrodku wybiegu, trzymane w ryzach przez uzbrojoną w kontroler Mię. Uwolnione, podbiegają przyjacielskim truchtem i tłoczą się przy płocie. Kilka rezygnuje z posiłku, żeby się przywitać. Jack pochyla się i wsuwa palce w oczka siatki na spotkanie ich różowych języków. Dwunasty, kundel z klapniętymi uszami, przysiada na przednich łapach i rozciąga pysk w uśmiechu. To nieduży, krępy piesek, mieszaniec teriera. Jack odwzajemnia uśmiech. Ostatnio uśmiecha się tylko do psów. Osiemnasta, owczarek niemiecki o migdałowych ślepiach, po cichu okrąża stado, jakby pilnowała porządku. Nadstawia uszu i nie spuszcza wzroku z Mii. Jest tu też Dwudziesty Piąty, krzyżówka doga z husky. I – rzecz jasna – przyczajona w swoim boksie na tyłach Dwudziesta Trzecia, o złowrogo lśniącej w słońcu czarnej sierści.

Jeszcze raz liczę obecne na wybiegu psy. Dziesięć podskakujących łbów, dziesięć merdających ogonów. Czy wczoraj nie było ich przypadkiem jedenaście?

Czterdziesta z cichym skomleniem wpycha łapę w oczko siatki. Domaga się pieszczot. Jest małą kundelką z czubem zmierzwionej sierści, która sterczy niczym kępka suchej trawy.

Mia wchodzi do boksu Dwudziestej Trzeciej i przystaje, marszcząc brwi nad kontrolerem. Nam nie wolno już tam wchodzić, nawet po to, żeby pomóc przy karmieniu. Uśmiecham się na widok znajomej zmarszczki między brwiami Mii. Pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają.

– Trzymaj.

Podaję Jack pomarańczę i napój w termosie. Przyjmuje je otępiałym ruchem. Obiera pomarańczę, zjada cząstkę, a resztę wyrzuca w krzaki. Pociągnąwszy łyk napoju, wypluwa go z grymasem obrzydzenia. Strumień jasnozielonego płynu ląduje na ziemi obok pistoletu usypiającego.

– Co to ma być? Smakuje jak stopy.

– Szpinak, a to drugie to jarmuż. W mieście za nim szaleją, bo ma masę witamin… – „I kwasu foliowego dla dziecka", mam ochotę dodać, ale boję się przesadzić. Poświęcam dużo czasu na wciskanie jej podstępem zdrowych rzeczy do jedzenia.

Jack odwraca termos i wylewa sok, który rzeczywiście śmierdzi trochę jak stopy. Potem nagle kieruje wzrok na jakiś punkt za moimi plecami.

– Weź pistolet – mówi.

W pierwszej chwili zdaje mi się, że Mia i Dwudziesta Trzecia tańczą. Rottweilerka stoi na tylnych łapach, opierając się przednimi o pierś Mii, i wyciąga pysk ku jej twarzy. Palce Mii oplatają psią szyję. Długa nitka śliny błyszczy w popołudniowym słońcu. Czyżby Mia zamontowała na kontrolerze przycisk z komendą „tańcz"?

Sięgam po pistolet, ale nagle czas zwalnia i mam wrażenie, że znalazłam się pod wodą. Zęby Dwudziestej Trzeciej muskają gardło Mii, która zaciska zbielałe palce, usiłując ją powstrzymać. W piskliwym psim skowycie nie słychać złości, lecz strach. Suka kręci głową, uchylając się przed niewidzialnymi ciosami.

– Strzelaj, Rob! – woła Mia, ale ja nie mogę się ruszyć.

– Rob – odzywa się Jack.

Mia próbuje strząsnąć z barków ciężkie łapy, ściska tchawicę suki, która jazgocze rozdzierająco, odsłaniając aż po dziąsła stalaktyty zębów. Obie zataczają się w rozpaczliwym walcu. „Mia wreszcie nauczyła ją polować" – myślę. Stoję w ociężałym bezruchu, z pistoletem w dłoni,

a do ściśniętego gardła podchodzi mi mdląca słodycz. Mia raz po raz odpycha wyszczerzony pysk od swojej delikatnej szyi.

– Dawaj. – Jack wyrywa mi pistolet i trafia Dwudziestą Trzecią w płat mięśnia przy zadzie. Przeładowuje i strzela ponownie, tym razem w kark. Dwudziesta Trzecia skamle, podwijając pod siebie okaleczony ogon, i wydaje z siebie długi, płynny warkot. Różowe końcówki strzałek tańczą w podskokach, gdy Mia, wykorzystując ból zwierzęcia, odpycha je i rzuca się do furtki. Nie wiem, kiedy zaczęłam krzyczeć, ale jeszcze długo nie przestaję.

– Co się dzieje, do cholery? – Z trudem wydobywam z siebie głos, a serce wali szybko i nierówno.

Dwudziesta Trzecia leży na ziemi w boksie izolacyjnym niczym smolista smuga w półmroku. Suka oddycha ciężko i powoli, spomiędzy zębów sterczy czubek języka. Na horyzoncie kłębią się gęste chmury. Chyba będzie burza.

– Opanuj się, Rob. – Falcon ostatnio rzadko rusza się z fotela, teraz jednak wyszedł z domu, słysząc moje krzyki. – Dobrze wiesz, że w przypadku testowania na żywych obiektach muszą się pojawić komplikacje. Porażki są tak samo pouczające jak sukcesy. Mia zawsze się zabezpiecza.

– Chyba niezbyt skutecznie – stwierdzam z przekąsem. – Wyjaśnij, proszę, co się stało.

– Klik zawiódł – odpowiada zwięźle Mia.

– Ale to się przecież nie zdarza – protestuję. – Klik zmienia je na zawsze. Jak to możliwe, że przestał działać?

Mia wyciąga strzykawkę z żółtego futerału przy pasku.

– Tego nie wiemy. Może nigdy nie przestaje ciąć. Wstawia do kodu niewłaściwy materiał. – Po chwili milczenia dodaje: – To najwyraźniej nie pozwala mózgowi odpowiednio przetwarzać strachu. Kora przedczołowa, ciało migdałowate i hipokamp rozświetlają się jak Manhattan nocą. – Kiwa głową w stronę nieprzytomnej suki. – Gdy walczyłyśmy, ona mnie nie widziała. Nawiedziła ją jakaś trauma. Wspomnienie, wytwór wyobraźni. Podkula ogon, bo próbuje go

schować. Myślę, że przypomina sobie, co jej kiedyś zrobiono. I tego, kto jej to zrobił.

– Psychoza.

– W pewnym sensie. Zareagowała skrajną agresją, ale w jej postrzeganiu to była samoobrona.

– Skąd wiesz?

– Spędziłam z psami, i z tym konkretnym psem, wiele lat. Potrafię rozpoznać strach.

– Trzeba ją zastrzelić.

– Nie ma mowy, Rob.

Jej niezrozumiała miłość do tego wstrętnego, groźnego psiska napełnia mnie furią. Mia kładzie rękę na skoblu furtki.

– Chyba nie zamierzasz tam wejść?

– Muszę jej to podać. Opracowaliśmy środek zaradczy, kolejny sposób na regulację działania genu MAOA. I naprawdę myślę, że tym razem się powiedzie…

– Tym razem? Ile razy już próbowałaś?

– Zaczęło się chyba, kiedy Dwudziesta Trzecia zabiła Kelvina – odpowiada Mia bez ogródek. – Na początku nie skojarzyłam, o co chodzi. Takie rzeczy się zdarzają wśród dzikich psów, gdy członek stada się starzeje i zaczyna spowalniać resztę. – Mia odwraca się gwałtownie i wchodzi do boksu. Jej ciało wygląda nagle bardzo krucho, skóra wydaje się niezmiernie delikatna. – Wszystko w porządku, Rob. Ona się jeszcze długo nie obudzi. – Podnosi ucho rottweilerki i dmucha w nie. – Widzisz? Jack trochę przesadziła z usypiaczem.

Igła wchodzi w mięsień, a wraz z nią miliony maleńkich nożyczek, niewidocznych gołym okiem. Mia wychodzi z boksu i myje ręce pod kranem.

– To nie koniec tej historii, prawda? – Z biegiem lat nauczyłam się rozpoznawać, kiedy ktoś nie mówi mi wszystkiego.

– Rob…

– Wyduś to wreszcie.

– Ona zaczęła zjadać Kelvina – mówi Mia. – Kiedy jeszcze żył.

Od teraz karmimy psy, wyłącznie przerzucając mięso przez płot. Ziemia wewnątrz wybiegu jest poplamiona krwią.

– To niezdrowe. One potrzebują ruchu. – Mia kręci głową.

– Nie wygłupiaj się, nie możesz ich wypuścić.

Zza budy wychodzi kojot. Stado rozstępuje się niczym podczas królewskiego przemarszu. Kojot nie zwraca uwagi na Mię. Je łapczywie, mlaszcząc głośno.

– Ostatnio próbował się przekopać, widziałam dziury wzdłuż całego tylnego płotu – mówi Mia. – Sprytny jest. Myśli, że za barakiem go nie widać. – Na widok mojej miny dodaje: – Płot jest wpuszczony w beton półtora metra pod ziemią. Zbudowaliśmy tu fortecę, Rob.

Przykręcam tłumik do dwudziestkidwójki. Obiecuję sobie trafić za pierwszym razem. Nawet to wstrętne psisko nie zasłużyło na cierpienie. Ale ktoś musi coś zrobić. Podchodzę do boksu Dwudziestej Trzeciej i wieszam na siatce kawałek mięsa. Suka zbliża się i chwyta go zębami. Dziś wydaje się całkiem normalna, może działam zbyt pochopnie? Ale na wspomnienie jej tańca z Mią przechodzi mnie dreszcz.

Celuję w lewe oko.

– Rob! – krzyczy ktoś z domu. Mia. Kręcę głową i próbuję opanować drżenie dłoni. Zawsze kiedy chodzi o te przeklęte psy, Mia zachowuje się irracjonalnie. Dwudziesta Trzecia krąży po boksie, potrząsając trzymanym w zębach mięsem. Trzymam ją na celowniku.

Nagle wyczuwam za plecami jakiś ruch.

– Nie rób tego. Pod żadnym pozorem. – Mia, kiedy chce, potrafi być szybka.

– Wybacz, ale ktoś musi.

Dwudziesta Trzecia przystanęła i wpatruje się we mnie oczami jak dwa czarne guziki. To moja szansa.

– Żegnaj – szepczę i odbezpieczam broń.

– Nie, Rob, ona może być w ciąży! – W głosie Mii dźwięczy przerażenie. Wielka mi rzecz. Ostatnie, czego nam tu trzeba, to więcej psów.

– Wybacz – powtarzam i ponownie ustawiam cel. Ale nagle dopada mnie wahanie. Myślę o szczeniakach i o innych istotach przedwcześnie

zabranych z tego świata. To daje Mii wystarczająco dużo czasu. Nagle widzę przed sobą jej napiętą twarz, a sekundę później pada cios.

Ich twarze wirują przede mną. Falcon, Mia, Jack. Mam na głowie okład z lodu. Wszystko pulsuje, gorące i czarne. Kuchnia kołysze się niczym statek.

– Puszczajcie – mówię, ale ledwo mnie słychać. Próbuję wstać, chwieję się, ale Mia mnie podtrzymuje.

– Ostrożnie, Rob. Siadaj.

Lekko popycha mnie na krzesło i wkłada mi do ręki szklankę mrożonej herbaty. Płyn jest tak słodki, że prawie go wypluwam, ale Mia znów przysuwa mi szklankę do ust.

– Wypij.

– Co ci strzeliło do głowy, żeby mnie uderzyć? – Próbowałam przybrać surowy ton, ale pytanie zabrzmiało płaczliwie.

– Ten pies jest dla nas bardzo ważny – mówi Mia. – Chciałam ci powiedzieć wcześniej, ale Jack…

– Powiedzieć o czym? Że zamierzasz przeprowadzić jakiś chory eksperyment na ciężarnej suce? – Odwracam się do Jack, która siedzi w kącie, cicha i blada, zapatrzona w pustkę. – Co się dzieje?

Jack wzrusza ramionami.

– Mówiłam, żebyś stąd wyjechała. Niepotrzebny ci kolejny powód, żeby zostać.

– Za późno już na tę rozmowę – wtrąca Mia. Mówi zduszonym głosem, jakby wykasływała żabę, która przez te wszystkie lata tkwiła jej w gardle. – Już czas. – Bierze głęboki wdech, wyraźnie próbując panować nad emocjami. Ogarnia mnie strach, bo nigdy wcześniej jej takiej nie widziałam. Wygląda, jakby zaraz miało pęknąć jej serce.

– Gdy was znaleźliśmy, miałyście około czterech lat, ale nie sposób stwierdzić tego na pewno. Byłyście małe na swój wiek, niedożywione. Kiedy odkryli te klatki w piwnicy… Podejrzewamy, że spędzałyście w nich większość czasu. Klatek było pięć. I dzieci musiało być więcej. Ale zostałyście tylko wy dwie. W domu znaleziono dwa ciała. Mężczyzny i kobiety. Nie chcę ich nazywać rodzicami. Mężczyzna przedawkował. Kobietę uduszono drutem. Wyglądało na to, że to on ją zabił, celowo

albo przypadkiem. Śledztwo nie trwało długo, bo przebieg zdarzeń wydawał się jasny. Jeżeli istnieją na świecie potwory, to ci ludzie właśnie nimi byli. Nigdy w życiu nie widziałam tak skrzywdzonych dzieci. Do dnia, w którym ty, Rob, wybrałaś wam imiona, żadna z was nie mówiła. Wasze oczy długo nie mogły przywyknąć do światła, bo dotąd widziały tylko ciemność i klatkę. Mięśnie były niedorozwinięte, w zaniku. Prawdopodobnie nigdy nie przebywałyście na świeżym powietrzu. Dokładnie po roku, dwóch miesiącach i jednym dniu po raz pierwszy wyszłyście na spacer w słońcu. Zapisałam tę datę w kalendarzu. Jeszcze dłużej zajęła wam nauka mówienia, samodzielnego ubierania się i mycia. Latami próbowaliśmy skłonić was do noszenia ubrań i spania w łóżkach zamiast na podłodze pod nimi. Odkryliśmy też uszkodzenia innego rodzaju. Pokaż jej, Jack.

Jack unosi włosy, odsłaniając bliznę w kształcie gwiazdki na chudej, białej szyi.

– Zawsze ją miałaś. To nie ma ze mną nic wspólnego – mówię.

– Wbiłaś mi śrubokręt w szyję. Wszędzie było pełno krwi.

– To nie była twoja wina, Rob. – Mia już prawie płacze. – Nie rozumiałaś, że jesteście wolne. Tak zaciekle walczyłaś – dodaje, przecierając oczy. – Gdy po raz pierwszy próbowałaś mnie zabić, obudziłam się z kawałkiem drutu wokół szyi. Trzymałaś oba końce i ciągnęłaś. Uwolniłam się tylko dlatego, że nie byłam pod wpływem alkoholu ani narkotyków. Nie odezwałaś się, ale widziałam twoje oczy. Policjanci wyszli z założenia, że tamci dwoje pozabijali się nawzajem, ale ja wiedziałam. Zrobiłaś to, co musiałaś, żeby się uwolnić. Nie mam do ciebie pretensji i nigdy nie miałam. Tamci ludzie zasłużyli na śmierć. Ale wiedziałam, że nie zawsze będziesz miała pięć lat, a ja nie zawsze będę mogła cię chronić.

– Nie wierzę ci. Tu się nic nie zgadza. Przecież to ja jestem ta dobra. – Odpycham ich i wypadam na dwór, gwałtownie łapiąc powietrze. Promienie zachodzącego słońca malują góry na czerwono. Czerwona, czerwona krew. Pustynia dobrze wie, kim jestem.

To musi, musi być kłamstwo. A jednak coś porusza się w otchłani pamięci, jakieś wstrętne, larwopodobne macki. Moje ręce, a w nich drut. Ciemność, klatka.

Wyczuwam za plecami obecność Mii. Kładzie mi rękę na ramieniu, strząsam ją.

– Nie musisz tego wysłuchać, jeśli nie chcesz, Rob.

Oczywiście, że chcę. Mijam ją i wracam do kuchni.

– Dobrze, po prostu dokończ.

– Wiedzieliśmy, że musimy coś zrobić. To nie była łatwa decyzja. Ale jaki mieliśmy wybór? Ludzie zaczęli zauważać twoje… tendencje. To był pomysł Falcona. Wystarczyło dokonać drobnej zmiany w strukturze genu MAOA, delikatnie go zmodyfikować…

– Boże – powtarzam. – Boże, Boże…

– Już rozumiesz? Jesteśmy złymi psami – mówi Jack.

– Procedura była bezpieczna.

– Owszem, przetestowana na szympansach – prycha Jack i wybucha straszliwym śmiechem. – Wyobrażasz sobie, Rob? Dobrze wiedzieć, że ktoś chociaż trochę to przemyślał.

– Nie masz racji, Jack – protestuje urażony Falcon. – Mieliśmy już wtedy duże sukcesy w pracy z naszym pierwszym ludzkim ochotnikiem.

– Byłyście takie bystre – mówi Mia. – Widziałam to od samego początku. Byłam pewna, że mając zapewnioną odpowiednią opiekę i edukację, zrobicie wielkie postępy. Nie mogliśmy zostawić was na łasce urzędników. To by było okrucieństwo.

– Okrucieństwo – rzuca Jack. – Ha!

– Ale udało się, klik zadziałał! – woła Mia łamiącym się głosem. – Wyrosłyście na normalne młode kobiety. Tylko Jack w pewnym momencie…

– Mogłaś mi powiedzieć – zwracam się bezradnie do siostry.

Jack kręci głową i wiem, co ma na myśli. Niektóre rzeczy są zbyt wielkie, żeby dało się o nich mówić.

Przytulam ją najmocniej, jak potrafię. Z całych sił staram się powstrzymać łzy, ale płyną mimo to. Jack pozwala mi się objąć, czuję jednak, że jest nieobecna. Od tak dawna nie jest sobą, ile to już lat? Myślę o kolibrach. Serce mojej siostry opuściło ciało, a ja nawet tego nie zauważyłam.

– Obsmarkałaś mi włosy – mówi Jack.

– Wiem. Przepraszam. – Głaszczę ją po głowie, nie zważając na smarki. – Czemu tylko u mnie efekt się utrzymał? – pytam Mię i Falcona.

– Nie wiemy.

Chciwe nożyczki buszujące w głowie mojej siostry, pożerające ją żywcem. Klik, klik, klik. Teraz rozumiem, czemu Mia trwała tu przez te wszystkie lata, doglądając nas i pokornie przyjmując złośliwości. Poświęciła dla nas młodość, oddała nam życie. Jesteśmy jej pokutą.

– Nie patrz tak na mnie – mówi nagle, wściekła, z taką mocą, jakiej nigdy u niej nie widziałam. Nachyla się tak blisko, że nasze nosy prawie się stykają. – Postąpiłabyś tak samo, żeby ocalić swoje dziecko – mówi.

Zastanawiam się, czy to naprawdę nas chciała ocalić, czy może dawno porzuconą małą siostrę? Przypominam sobie zapach mięty. I chusteczkę.

– No a psy? – pytam. – Dlaczego one…

– Lepiej się ciesz, że to nie nam przyspawali meloniki – odzywa się Jack.

– Musieliśmy się dowiedzieć, co będzie dalej – tłumaczy Mia. – Potrzebowaliśmy grupy kontrolnej. To ja wpadłam na pomysł odtworzenia eksperymentów z Langley i użycia pilota. Technologia była bardzo przestarzała, ale pozwoliła nam ukryć przed obcymi to, że obserwujemy psy i działanie klika dla was.

Wspomnienia wirują wokół mnie, tworząc rozpadające się helisy. Nic nie jest tak, jak mi się dotąd zdawało.

– Więc to wszystko: kontroler, badanie psich mózgów, co to było? Przykrywka? – Myślę o Kelvinie rozerwanym na strzępy przez Dwudziestą Trzecią. O kojocim szczenięciu zataczającym się po okręgu, sterowanym ręką Mii. Myślę o wszystkich psach, które nie przeżyły, umarły na sepsę albo przez powikłania po wszczepieniu elektrod.

Delikatnie odkładam broń na blat i zginam się wpół. Próbuję zwymiotować, ale nie mam czym.

– Kiedyś myślałaś, że są tu psie duchy – mówię do Jack. – Może miałaś rację. Sama na ich miejscu bym tu straszyła. Chciałabym zemsty.

– Przysięgłam, że nigdy stąd nie wyjadę – ciągnie Mia. Czy możliwe, że prosi mnie o przebaczenie? – Przysięgłam, że będę was chronić. – W jej szeroko otwartych oczach lśni błaganie o to, żebym postarała się zrozumieć. Mam ochotę zrobić jej krzywdę.

– Nie ochroniłaś Jack – mówię.

– Jest z nią coraz lepiej…

Jack unosi brwi.

– Kłamosie kończą na stosie – rzuca w zamyśleniu.

– Nie zaczynaj, błagam – mówię, choć stos wydaje mi się teraz znakomitym rozwiązaniem. Z przyjemnością patrzyłabym, jak Mia i Falcon płoną, jak ich skóra skwierczy, gałki oczne eksplodują, wargi kurczą się w płomieniach, aż zostają tylko zęby wyszczerzone w beznamiętnym uśmiechu.

– Rob. – Na dźwięk głosu Mii wzdrygam się i wracam do rzeczywistości. Trzymam ręce na kolbie karabinu. Buch-buch. – Jeszcze nie daliśmy za wygraną. Próbujemy to odwrócić. Wystarczy precyzyjne nacięcie…

– Spadamy stąd – przerywam jej i wyciągam rękę do siostry. – Mam samochód. Chodź, Jack.

Tylko dokąd pojechać?

– Jestem złym psem. Nie wolno mi opuścić Sundial, bo mogłabym, no wiesz, kogoś pogryźć. Falcon wyjaśnił mi wszystko tamtego dnia, kiedy uciekłam. – Jack przemawia sennym, rozmarzonym głosem. – Hej, Rob, bardzo się cieszę, że nie pamiętasz pierwszych lat. Tego, co nam zrobili. I tego, co ty im zrobiłaś. To były ciężkie czasy, a ty nie masz zbyt twardego charakteru.

– Ona stąd nie wyjedzie, Rob – dodaje smutno Mia. – Nie może. Ze względu na dziecko.

– Jak to? – pytam, choć już się domyślam, o co chodzi. Ogarnia mnie strach.

– Czasem modyfikacja genu działa przez jedno pokolenie. Ale czasem może być dziedziczna. To się nazywa edycja genomu w linii germinalnej i z etycznego punktu widzenia jest dość… Nieważne. Rzecz w tym, że Jack musi tu zostać.

– Ty chyba żartujesz? – Podnoszę karabin. – Zamierzam skrócić mękę tego psa, a zaraz potem stąd znikam. Jack, jedziesz ze mną.

Jack odbiera mi broń.

– Nie możemy jej zastrzelić, kretynko. Pomyśl trochę. Po co Mia chce ją zapłodnić? Musimy sprawdzić, czy szczeniaki też będą złe.

Fala przerażenia uderza z taką mocą, że w głowie mam zupełną pustkę.

– Zrobiliśmy to, bo was kochamy. – Słowa Falcona są szczere. Wierzy w to, co mówi. Spogląda na mnie ciepło, bez poczucia winy. Mam wrażenie, że patrzę na obcego człowieka.

– Powiedz, masz gdzieś dokumentację badań, które na nas prowadziłeś przez te lata? Wszystkie dane? Wyniki rezonansów? Próbki krwi?

Falcon milczy.

– Tak myślałam. Ty po prostu nie umiałeś się powstrzymać. Niestety tylko jedna wersja jest prawdziwa. Albo nas kochałeś, albo byłyśmy obiektami badawczymi. Nie można mieć wszystkiego.

Oddycham głęboko. Nie będę płakać, nie teraz, nie przy nich.

– Pozwól, że zgadnę. Nie planowaliście tego, ale potem zjawiłyśmy się my. Potrzebowałyśmy dokładnie tej kuracji, którą wy mogliście nam zapewnić. Co za szczęście! Może nie umiecie przyznać tego sami przed sobą, ale wy nas po prostu odłowiliście, tak jak odławiacie bezdomne psy.

– Nieprawda – protestuje Mia. Widzę, że się trzęsie, od stóp do głów, jak młode drzewko na wietrze. – Nie wolno ci tak myśleć, Rob.

Patrzę, jak dygocze. Ma wilgotne czoło, zapadnięte policzki i pobladłe wargi. Zastanawiam się, czy nadszedł właśnie moment, w którym Mia nareszcie pęknie. Myśli tej nie towarzyszą żadne uczucia poza chłodnym zainteresowaniem.

– Próbowałam cię skłonić do wyjazdu – wtrąca smutno Jack.

– Po czym natychmiast ściągnęłaś mnie z powrotem.

Jack opuszcza wzrok i kręci głową, jakby to wszystko było poza jej kontrolą.

Mogłabym zawlec ją do samochodu i odjechać w noc. Może nawet by mi się udało. Ale przypominam sobie jej zasnute czernią oczy, szeroki

uśmiech i straszliwy głos. Czy na pewno dam radę się nią zaopiekować, pomóc przy porodzie, a potem zająć się nią i dzieckiem? Nagle ogarnia mnie poczucie rezygnacji. Garbię się i opuszczam głowę.

– W porządku – mówię. – Wygraliście.

Na kogo wyrośnie jej dziecko?

Wydobywam z szuflady zielony telefon. Wychodzę na dwór i potykając się w półmroku, ruszam w stronę otwartej pustyni. Gasnące słońce czerwienieje za górami. Sądziłam, że bateria w telefonie padła, ale ekran rozbłyskuje jak stary przyjaciel. Wybieram numer.

– Gdzie się podziewasz, do cholery? – Głos Asii jest wysoki i kipi złością. – I co zrobiłaś z moim samochodem? Minęły dwa miesiące!

– Przepraszam. – Choć próbuję się powstrzymać, wybucham okropnym, spazmatycznym szlochem.

– Masz mi go, kurwa, natychmiast przyprowadzić.

– Nie mogę stąd wyjechać. Wszystko strasznie się skomplikowało. Boję się.

Asia bierze głęboki wdech.

– Rob, znalazłam w twojej szufladzie test ciążowy.

– Asia… – Chrząkam, żeby pozbyć się gorzkiej żółci, która zebrała mi się w gardle. – Rzeczywiście, jestem w ciąży.

– O cholera. Dobrze się czujesz?

– Nie bardzo.

– Ale chyba… Chyba cię nie porwali?

– Nie. – Nie mam pojęcia, jak opisać jej swoje położenie.

– Rob, czy ty jesteś w jakiejś sekcie? To, co mówiłaś o rodzinie, brzmiało dosyć ekscentrycznie. Zawsze się zastanawiałam…

Rozłączam się. Nie powinnam była w ogóle do niej dzwonić. Teraz wiem, że z tej rozmowy nie mogło wyniknąć nic dobrego. Sundial mnie dopadło i już nie wypuści. W pewnym sensie chyba zawsze było mi to pisane. Próbowałam zbudować sobie własne życie w wielkim świecie, ale okazało się, że to zbyt trudne. Stado mnie odrzuciło.

Mimo wszystko gdzieś głęboko znów zatliła się iskierka. Mówiąc Asii, że jestem w ciąży, na krótką chwilę przywróciłam Callie życie.

Jack siedzi na podłodze w sypialni. Mocno pobladła. Wygląda na bardzo chorą.

– Biedna Rob – mówi. – Znów zamknęli ją w ciemnościach. Biedna Rob żyła w mroku tajemnic…

– Źle wyglądasz.

– Nie użalaj się nade mną. Może jesteś dobrym psem, ale nadal tylko psem.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś? – Mój gniew aż iskrzy w powietrzu. Sama nie wiem, kiedy łapię Jack za ramiona i mocno ściskam.

– Choć jedna z nas zasługiwała na szansę.

Puszczam ją i siadam na podłodze. Ogarnia mnie bezwład, czuję się jak marionetka, której ktoś uciął sznurki.

– To dziwne – mówi Jack. – Dziwne, tak nie wiedzieć. Czuję radość, ale czy jestem szczęśliwa? Czuję gniew. Ale czy prawdziwy? A może to tylko ubytek w drabince, mały wycięty fragmencik? – Układa palce w kształt nożyczek i tnie, postukując językiem o podniebienie. – Klik, klik, klik. Paweł pierwszy zauważył, że mój stan się pogarsza. Powiedziałam mu o martwych psach. Sądziłam, że to duchy. Jemu też zdarzało się widzieć rzeczy, których nie ma. To z powodu klika. Wspomnienia emocji nie są odpowiednio przetwarzane i zmieniają się, nie wiem, w halucynacje? W każdym razie Paweł mi pomógł.

– Uzależnił cię od narkotyków – przypominam jej,

– Dzięki nim nie robię ludziom krzywdy. To Paweł odkrył tę sztuczkę. Jemu pierwszemu Mia i Falcon to zrobili. To on był ochotnikiem. Wiedziałaś, że w Polsce jest sławny? Pewnego roku, w Boże Narodzenie, zamordował całą swoją rodzinę. Matkę, ojca, babcię. Chyba ciotkę. Oraz żonę i czwórkę dzieci. Związał ich, a potem zabijał po kolei, jedno po drugim, przez tydzień. Później długo siedział w więzieniu, ale nawet długo kiedyś się kończy. To się zdarzyło jakoś w latach sześćdziesiątych.

Myślę o nieustannych napadach płaczu Pawła, o jego niekończącej się żałobie i rządku figur szachowych wytatuowanym na przedramieniu. Może klik, nawet gdy działa, bywa formą kary. Robi w mózgu miejsce na żal.

– Nie powinni byli go wyrzucać – ciągnie Jack. – Próbował tylko mi pomóc. Sundial to jego dom. Klik przestał na niego działać wiele lat

temu, a mimo to Paweł dochował tajemnicy. W każdym razie lepiej niż ja. Znaleźliśmy sobie różne ujścia. On krzywdził zwierzęta. Ja się bałam, że skrzywdzę ciebie.

– To Paweł zabił Nimue? – pytam nagle. – I wyłupił oczy zającowi?

– Naprawdę interesują cię teraz krowy i zające? – Jack uśmiecha się tym słabym uśmiechem, w którym nie ma krzty radości. Myślę o Nimue i jej wielkich, przyjaznych oczach, o tym, jak lubiła drapanie po głowie i jak spokojnie stała, kiedy ją doiłam. Nagle czuję, że wszystko mnie przerasta. Z całej siły uderzam siostrę w twarz.

Jack zatacza się lekko do tyłu, przyglądając mi się z zainteresowaniem. Dotyka różowego miejsca na policzku.

– Może działanie klika u nikogo nie trwa wiecznie. Może to tylko kwestia czasu. A ty jak się miewasz, Rob? Ostatnio jesteś jakaś nieswoja. Bijesz ludzi, próbujesz strzelać do psów. Dobrze się czujesz? – Jack uśmiecha się bezkrwistymi wargami. – Czy ty także jesteś złym psem?

Rob

Spoglądam na siedzącą naprzeciw mnie Callie.

– Nawet wtedy nie powiedzieli mi wszystkiego. Naukowcy i ich tajemnice. Za to Jack mi powiedziała. Zostawiła wiadomość. I w końcu udało mi się ją znaleźć.

Sundial oddycha wokół nas. Już prawie dotarłyśmy na miejsce, do punktu, z którego nie ma powrotu.

Wyciągam z kieszeni list. Pogrzebaną wiadomość od Jack, sekret Snoopy'ego. Papier na zgięciach jest wilgotny i miękki, ale pismo mojej siostry pozostało wyraźne, słowa skreślone niebieskim długopisem. „Co się z tobą dzieje? Czemu się tak zachowujesz?" – powiedziałam, a raczej wrzasnęłam. Tamtego dnia ją uderzyłam.

Każda bajka ci to powie: znając czyjeś prawdziwe imię, zyskujesz nad tym kimś władzę. Ale nikt nigdy nie wspomina, że to działa i w przeciwną stronę: to coś może zyskać władzę nad tobą.

Nie pozwolę Callie przeczytać listu. Nie jest przeznaczony dla dzieci.

Biorę głęboki oddech.

– Okazuje się, że wcale nie pochodzimy z Nebraski.

Tamta Jack

Sundance!

Wiele razy próbowałam napisać ten list. Nie wiem, czy powinnam Ci go dać. Prawda nie zawsze wyzwala.

To Lina i Burt, nie dziennikarze, pierwsi używali tej nazwy. Dziś nikt już o tym nie pamięta. Mieszkańcy Bone sądzili, że to żart, że pewnie mają tam dużo psów. Lina i Burt powtarzali: „Pora wracać na fermę szczeniąt", „Kiedy zamieszkaliśmy na fermie szczeniąt". I tak dalej. Ale tam nie było żadnych szczeniąt. Tylko my.

Na początku dzieci było więcej. Część urodzonych przez Linę, część zgarniętych z ulicy w różnych większych miastach. Do której grupy należałyśmy? Nie wiem. Po co im w ogóle były dzieci, skoro trzymali je w klatkach? Na to pytanie istnieją tylko złe odpowiedzi. Czasem przyjeżdżały samochody i ludzie patrzyli na dzieci w klatkach. Czasem pakowali je do samochodów i wywozili. Zastanawiałam się, co gorsze: zostać wybraną czy nie? Ale nikt nas nigdy nie wybrał. Gryzłyśmy, gdy nas dotykali.

Nigdy nie starczało nam wody i jedzenia, ale wszystkim się dzieliłyśmy. Walczyłyśmy z innymi dziećmi o posiłek – to śmieszyło Burta. Co jeszcze? Pamiętam podwórze na tyłach i schnące w słońcu wyprawione skóry. Coś zwisającego z haka w stodole, zawiniętego w płótno. Tak się wiesza szynkę, ale to nie była szynka. Obracało się i obracało w prążkowanym świetle.

W opowieściach Pawła nie wszystko było zmyślone.

Lina i Burt przestali sypiać w nocy. Chyba produkowali już wtedy własną metamfetaminę. Przestali nas karmić. Dzieci było coraz mniej. Jedno, próbując uciec, wskoczyło do studni. Tak, pamiętam to.

W końcu zostałyśmy tylko my. W jednej z klatek leżał stary pluszowy miś. Nie miał oczu. Bardzo o nim marzyłaś – nigdy nie miałyśmy misia. Ale nie mogłam go dosięgnąć.

Burt umarł. Z przedawkowania. Lina zostawiła go na podłodze. Miała czerwone, nieruchome oczy. Nie spała od wielu dni i rozmawiała z ludźmi, których nie było. Wiedziałyśmy, że nie mamy wiele czasu. Kiedy przyszła otworzyć klatkę, zarzuciłaś jej drut na szyję. Bałyśmy się, że chce nas zjeść. Może chciała.

Wyjście na słońce było jak znalezienie się w centrum wybuchu. Nigdy wcześniej nie widziałyśmy nic tak jasnego i gorącego. Od kilku dni nie jadłyśmy ani nie piłyśmy, ale ze studni cuchnęło, a gdy podniosłyśmy pokrywę, wyleciały z niej chmary much. W pobliżu czułam zapach kojota.

Wyszłyśmy na pustynię. Nic nie widziałyśmy – miałyśmy chore oczy. Ale w oddali lśniło coś srebrnego. Płoty. Wyglądały trochę jak klatki, a my nie znałyśmy nic innego, więc poszłyśmy w tamtą stronę.

Mia znalazła nas pod siatką od zachodniej strony. Całe czerwone, spalone słońcem. Nasza skóra nigdy go nie widziała. Chorowałyśmy. Zdaje się, że bardzo długo.

Kilka dni później jakiś kierowca ciężarówki natknął się na fermę szczeniąt. Przyjechała policja. Znaleźli pozostałe dzieci tam, gdzie trzymali je Lina i Burt. Żadne nie przeżyło. Nikt się nigdy nie domyślił, że udało nam się uciec. Zresztą czy na pewno nam się udało? Dzieci to lustra odbijające wszystko, co im się przytrafia. Dlatego trzeba otaczać je dobrem. Pamiętaj o tym, Sundance, jeśli pewnego dnia będziesz miała własne dzieci.

Falcon i Mia domyślili się, czym jesteśmy. Niezależnie od tego, co zrobili poza tym – uratowali nas. Pamiętaj o tym, Rob. Ja pamiętam. Ale ty wciąż miałaś w głowie fermę szczeniąt. Próbowałaś zabić Mię drutem, a mnie śrubokrętem. Więc podali nam klik. Zrobili z ciebie dobrego psa.

Cieszyłam się, że będziesz bezpieczna. Już wtedy wiedziałam, co spotyka złe psy.

Gdy wyzdrowiałyśmy, niczego nie pamiętałaś. Próbowałam dać Ci nowe wspomnienia, w miejsce tamtych złych. Próbowałam dać Ci matkę. Czasem sama prawie wierzyłam, że istniała. Falcon, Mia i Paweł ukrywali prawdę po swojemu. Wiem, jak uwielbiasz tę głupią historyjkę o ratowaniu psów.

Boją się, że ktoś stąd lub z miasteczka się wygada – wspomni, czym naprawdę była ferma szczeniąt. Albo że znajdziesz gdzieś starą gazetę. Na razie do tego nie doszło. Tajemnice tutaj często pozostają w ukryciu. Ale oni są pewni, że w końcu się dowiesz.

Ja myślę, że nie chcesz wiedzieć. Codziennie spychasz to głębiej w mrok. I dobrze.

Gdy klik zaczął szwankować i Falcon powiedział, że nie wolno mi nigdy opuścić Sundial, przyznałam mu rację. Obiecałam zawsze Cię chronić, a najlepszym sposobem jest skłonić Cię do wyjazdu. Wiem, że nie pojedziesz beze mnie. Będę musiała wyjawić tyle prawdy, ile potrzeba, żebyś mnie znienawidziła.

Tamten dom nadal stoi. Widać go z kamiennego ogrodu, na zachodzie, u podnóża gór Cottonwood. Drogi nie mają tam nazw ani numerów. Zabawna rzecz: jacyś ludzie założyli tam obozowisko. Sprzedają Pawłowi to, co nam potrzebne, by przeżyć – kontrolować złe działanie klika. Nie sądzisz, że to śmieszne? Czas zatoczył koło, nastąpił pełen obrót po tarczy.

Tutejsi mówili o nich Lina i Burt, ale naprawdę nazywali się Jacqueline i Robert Graingerowie. Wiem, że to pamiętasz, choćbyś bardzo nie chciała, bo nadałaś nam imiona po nich – Rob i Jack.

Głowa do góry, Sundance.

Cassidy

Rob

Pojedyncze sceny przeskakują mi w pamięci. Lśniący drut wokół plamistej, zsiniałej szyi. Smak zwietrzałej, ciepłej oranżady, mdląco słodkiej. Dzieliłyśmy się każdą puszką, teraz pamiętam, upijając po łyczku, by starczyła na kilka dni. Smród pleśni i niemytych ciał. Przez moment wyglądam na świat przez zardzewiałe pręty klatki, takiej, w jakiej trzymałoby się psa. I dotyk drobnej dłoni, jej mocny uścisk.

Przypiekający w głowę żar, wyschnięte, spragnione gardła. I głos. Dłoń na moich włosach. Mia, ciemny kształt na tle światła. Woda, chłodny kolisty hol i krąg światła pośrodku, jak arena w cyrku.

Czy to prawdziwe wspomnienia? Umysł czasem kłamie.

Ale myślę o pannie Grainger, skradającej się z płonącymi oczami przez korytarze Arrowood. O naszych imionach, Rob i Jack. Może te wspomnienia zawsze czaiły się w zakamarkach umysłu i wiły niczym larwy, gotowe się obudzić.

W jaki sposób Mia i Falcon wyjaśnili naszą nagłą obecność? Ludzie tu nie wtrącają się w cudze sprawy. To dlatego tylu ich przyjeżdża na pustynię Mojave.

Muszę się skupić. Jeżeli czegoś nie zrobię, moja córka nie ma szans. Kładę list Jack na stole, obok niebieskiego futerału. Jestem w końcu nauczycielką. Umiem korzystać z pomocy wizualnych.

– Te dwie rzeczy cię definiują – mówię do Callie. – Jest w nich nasza historia, która kończy się na tobie. Każdy człowiek nosi w sobie opowieść, która go określa. Ty jesteś wyjątkowa, bo masz dwie. Kiedyś były moje, a później przekazałam je tobie. Ten futerał i ferma szczeniąt.

Callie drga. Ucieka oczami na bok, jakby ktoś właśnie szepnął jej coś do ucha. Ale kto?

– Jestem morderczynią – ciągnę. – To odkrycie namieszało mi w głowie i w życiu. Bardziej, niż byłam tego wówczas świadoma. Obiecuję więc, że nie pozwolę, aby tobie przydarzyło się to samo. Jesteś, kim jesteś, ale mogę cię przed tym ocalić.

Callie spogląda na mnie tymi płytkimi zielonymi oczami i przez sekundę myślę: „Wie, co zamierzam". Ale skąd miałaby wiedzieć?

– Wszystko w porządku? – pytam. – Zrozumiałaś, co powiedziałam?

– Ferma szczeniąt jest sławna, a to prawie tak, jakbyś ty była sławna. – Przeraża mnie jej rzeczowy ton.

Po chwili wyciągam rękę.

– To w porządku, że nie wiesz, co masz czuć. Spróbujmy dojść do tego razem.

Callie lekko ujmuje moją rękę w swoją wilgotną dłoń, a ja staram się zachować kamienną twarz. Zawsze miała mokre dłonie, jak ropuchy.

Zerkam na telefon, ale ekran jest ciemny. Irving ucichł.

Tamta Rob

Nabieram zwyczaju przesiadywania w ciągu dnia przed boksem Dwudziestej Trzeciej. Czasem wydaje mi się całkiem normalnym psem. Podobnie jak Jack, z każdym dniem mocniej się zaokrągla. Biega tam i z powrotem, węsząc, albo merda do Mii okaleczonym ogonem. Kiedy indziej z przerażeniem w oczach rzuca się na płot, atakując niewidzialnych wrogów, i ujada aż do ochrypnięcia. Nienawidzę tego dźwięku, nienawidzę jej smrodu, krępej, umięśnionej sylwetki i dwóch par oczu. Ale nie potrafię odejść. Ta suka jest lustrem.

W sierpniu, najgorętszym miesiącu w roku, Jack budzi się i nie chce mówić, ale to nie wszystko. W oczach ma zupełną pustkę.

Zajmuję się powłoką, którą po sobie zostawiła. Zmuszam ją do jedzenia i brania witamin. Codziennie prowadzę ją na spacer, aż do granic posesji. Na początku mówię o przeszłości, o naszych wspomnieniach. Po pewnym czasie przestaję, bo tak wiele z nich to kłamstwo. Prawdziwe jest tylko to, co działo się między nami. Ale też nie wszystko. Jack patrzy przed siebie bez słowa. Nie stawia oporu, ale lekkie drgnienie w kąciku ust, które czasem u niej obserwuję, zdradza jakąś wewnętrzną walkę. Z czym się zmaga i która strona w niej wygrywa?

Z Falconem też dzieje się coś niedobrego. Oddycha z trudem i bywa, że nie ma siły wstać z łóżka. Wszyscy się tu sypiemy. Nie umiem zdusić w sobie przeczucia, że Sundial pożera nas jak klik i wkrótce zostanie po nas tylko pył unoszony gorącym wiatrem.

Mia chce sprowadzić do Falcona kogoś z Bone, ale on odmawia. Jego oczy nabierają dzikiego wyrazu, widać pożółkłe białka. Serce bije mu nierówno, a oddech jest niepokojąco ciężki. Ostatecznie Mia uznaje, że lepiej go nie denerwować. To pewnie jakiś wirus, może grypa. Naukowcy i lekarze to najgorsi pacjenci.

W południe zanoszę Falconowi zupę z puszki i grzankę z masłem. Kiedy patrzę na jego twarz, mam w sobie sprzeczne uczucia. Oto mężczyzna, którego przez tyle lat kochałam najbardziej na świecie. Znakomicie pamiętam tę miłość i pragnienie, żeby zdobyć jego aprobatę, tę bolesną, pulsującą potrzebę. Ale teraz już nie umiem ich w sobie odnaleźć. W ich miejscu zionie pustka.

– Rob. – Nawet głos ma słaby, cień swojego dawnego głosu.

– Słucham.

– Posiedzisz ze mną?

Zastanawiam się. W pokoju jest chłodno, szumi wiatrak, a ja nie mam ochoty schodzić na dół i pomagać Mii w obieraniu ziemniaków.

– Dobrze.

Falcon leży z oczami zamglonymi chorobą i przeszłością.

– Mój ojciec walczył na wojnie – mówi. – Nie znałem go wcześniej, ale matka twierdziła, że jeszcze zanim przyszedłem na świat, stał się innym człowiekiem. Może nie chciała wierzyć, że zawsze taki był. – Na jego przystojnej twarzy odbija się niepokój. Na opalone czoło opada pasmo siwych włosów. Ostatnio bardzo się postarzał. Wydaje się mniejszy. Albo to ja urosłam.

– Bałem się ojca. I nienawidziłem go. Strach był zły, ale wściekłość jeszcze gorsza. Nie chciałem, żebyś kiedykolwiek poczuła taką wściekłość albo taki strach. Staraliśmy się, Rob. Naprawdę się staraliśmy. – Spogląda na mnie błagalnie, stary człowiek proszący o rozgrzeszenie.

– Zupa ci stygnie – mówię.

Falcon je z trudem, dłoń mu drży. Zabieram mu więc łyżkę i karmię go cierpliwie, powoli, łyk za łykiem. Później ocieram mu usta. Być może wkrótce umrze. Nawet ta myśl powoduje u mnie jedynie lekki przebłysk zainteresowania.

– Powinno zadziałać – mówi Mia. Jesteśmy w psim laboratorium. W żółtym futerale leży strzykawka z charakterystyczną żółtą naklejką.

– Mam nadzieję – odpowiadam. – Jeśli znów się pomyliłaś, chyba cię zabiję. – Te słowa wymykają się niechcący. Jestem tak zmęczona, że nie wywołuje to we mnie żadnych emocji, może poza konstatacją, że byłaby to stosowna reakcja.

Mia blednie.

– Nie pomyliłam się. Jestem tego pewna. W ten sposób klik naprawi wyrządzone szkody.

Gdy Mia wbija jej strzykawkę, Dwudziesta Trzecia śpi, odurzona środkiem uspokajającym. Ostatnio tyle czasu spędza nieprzytomna, że zaczynam się martwić, jak to wpłynie na wyniki leczenia. Po drodze do domu zerkam ukradkiem na Mię. Odwraca wzrok, ale nie dość szybko. Zdołałam dostrzec to w jej oczach. Boi się mnie.

– Gdy klik zaczyna działać wadliwie, na początku pojawia się strach – mówię. – Ale chyba nawet ty rozumiesz, że ostatecznie ten strach pożera je żywcem. Nic nie zostawia.

Mia nie protestuje.

– Tak właśnie działa strach – odpowiada znużona.

Lampka w kształcie gwiazdy rzuca różową poświatę. Kiedyś jej światło mnie uspokajało, ale teraz wszystko kojarzy się z krwią.

W łóżku obok Jack patrzy w sufit. Co wieczór czeszę ją, potem ubieram w stary T-shirt i bokserki służące za dół od piżamy, delikatnie naciągając je na wystający brzuch. Myję jej nawet zęby. „Wypluj” – rozkazuję, a ona pluje posłusznie. Ma świadomość tego, co robię i co dzieje się wokół. Po prostu jej to nie obchodzi.

Wyciągam spod poduszki książkę. Szukałam jej kilka dni. Nie sądziłam, by Jack ją zniszczyła. Wreszcie znalazłam zgubę w jednym z nieużywanych pokojów, pod stertą starych numerów „National Geographic”. Wyobrażam sobie Jack w lepszych czasach, wymykającą się cichcem, by poczytać w samotności, tonącą w zdrowym, radosnym świecie Bingley Hall. Igła żalu wchodzi pod skórę. Tęsknię za siostrą.

– Poczytać ci?

Nie daje żadnego znaku, że mnie usłyszała. Zaczynam czytać.

Gdy się budzę, Jack stoi przy oknie, zapatrzona w noc. W dłoni trzyma nóż o długim, lśniącym ostrzu. Zdawało mi się, że usunęłam z kuchni wszystkie noże, ale ten jeden musiałam przeoczyć. A może ukryła go dawno temu, jeszcze przed moim powrotem? Czubek ostrza niemal dotyka jej brzucha. Twarz Jack tonie w księżycowym blasku.

– Nie dostaniecie jej. Wszystko, tylko nie to – szepcze.

Cicho zachodzę ją od tyłu i oplatam przedramieniem szyję, drugą ręką chwytając nóż. Nie zważając na krzyki, popycham ją na łóżko, ostrożnie, żeby zbytnio nie potrząsać dzieckiem. Przywiązuję ją do łóżka opaskami zaciskowymi używanymi do krępowania pysków agresywnych psów. Już od pewnego czasu trzymałam je pod materacem. Zdaje się, że jestem tu jedyną osobą, która myśli perspektywicznie.

Następnego dnia Dwudziesta Trzecia spokojnie podchodzi do siatki, merdając okaleczonym ogonem. Uśmiecha się do Mii jak gdyby nigdy nic, jakby to nie między jej zębami kości Kelvina pękały niczym gałązki.

– Chyba tym razem naprawdę się udało – stwierdza Mia. – Teraz pozostaje sprawdzić, jak się będą zachowywać młode.

Żadna z nas nie mówi na głos tego, co z pewnością myśli. Że terapia okazała się skuteczna – na razie. Ile trzeba czasu, by i nowy klik stał się zachłanny i zaczął ciąć, zastępując dawne DNA? Przekonamy się o tym dopiero po fakcie. Kiedy Dwudziesta Trzecia już kogoś zabije.

– Chodź ze mną – mówi Mia. Prowadzi mnie do laboratorium i otwiera szafkę oznaczoną symbolami zagrożenia biologicznego. Ze środka bucha zimny biały dym. W lodówce znajduje się tylko jeden przedmiot: plastikowy futerał. Nie żółty, jak zwykle, lecz jaskrawo, rażąco niebieski.

– To ostatnia dawka – mówi Mia. – Dla szczeniaków. Ostatnia, jaką kiedykolwiek przygotowałam. Mam nadzieję, że nie będzie im potrzebna. Być może urodzą się zdrowe. Ale staram się myśleć perspektywicznie.

Nic więcej nie musi dodawać. Chce, żebym o tym wiedziała, na wypadek gdyby coś jej się stało. Ciekawe, kogo bardziej się obawia: Dwudziestej Trzeciej, Jack czy mnie?

– Udało się – informuję siostrę. – Dwudziesta Trzecia znów jest dobrym psem.

Przecinam plastikowe opaski. Związuję Jack oczywiście tylko wtedy, kiedy wychodzę z pokoju. Teraz leży bez ruchu, z rozrzuconymi kończynami, które tworzą kształt gwiazdy, i milcząco patrzy w sufit.

– Udało się, Jack. Wszystko będzie dobrze.

Siadam obok niej. Jestem bardzo zmęczona. Czuję, jak z wahaniem oplata mnie ramionami, i szykuję się na atak. Ale ona tylko tuli mnie delikatnie, póki nie przestaję płakać.

Dwudziesta Trzecia szczeni się we wrześniu. Od rana ciężko dyszy. Spanikowana wołam Mię, która trafia ją strzałką ze środkiem usypiającym. Kiedy środek zaczyna działać, zanosimy sukę do laboratorium. Cesarka przebiega gładko, bez zakłóceń.

Piątka szczeniąt przypomina ruchliwe czarne kiełbaski. Przystawiamy je do uśpionego ciała suki. Później chowamy się za szybą i czekamy. Myślę o potężnych szczękach na drobnych szczenięcych szyjach. Ale musimy się przekonać, jak rottweilerka zachowa się wobec młodych. Musimy się przekonać, jakie one są. Póki nie dorosną, nie wolno nam podać Jack nowej wersji klika. A to znaczy, że do tego czasu muszę tu zostać.

Dwudziesta Trzecia rozbudza się powoli z głębokich odmętów snu. Na widok szczeniąt skamle i ostrożnie wylizuje każde po kolei. Maluchy kręcą się i piszczą. Po chwili wyczerpana suka zwala się na bok.

Szczenięta rosną. Uczą się chodzić. Urządzają sobie zapasy, powarkując niczym małe lewki. Odzwyczajamy je od piersi, podając mielonkę i preparat mlekozastępczy. Choć są urocze, nie nadajemy im imion ani numerów. Noce robią się chłodniejsze, więc Dwudziesta Trzecia sypia w swoim baraczku, a szczenięta wtulają się w nią, kwiląc i przebierając łapami przez sen, jakby kogoś albo coś ścigały.

Pozwalam sobie na odrobinę nadziei.

Gdy Jack zaczyna rodzić, czuję to razem z nią.

Dzień jest chłodny. Wchodzę do szklarni, by nazbierać pomidorów i papryczek na kolację. Myślami jestem gdzie indziej, ale leniwe tempo i rozproszone myśli do tego akurat zadania pasują jak ulał. Mój nieobecny umysł z przyjemnością rejestruje szelest odrywanych od łodyg warzyw i ciche pacnięcia, gdy miękko lądują w koszyku. Jack zbliża się od strony psich zagród.

– Na kolację będzie chili! – wołam, schylona nad krzaczkiem pomidorów, siląc się na wesołość. Nagle dreszcz przebiega mi w dół kręgosłupa niczym strużka zimnego potu. – Jak się uwolniłaś? – Nie spodziewam się odpowiedzi, więc na dźwięk jej głosu znów czuję dotyk zimnego palca.

– Przegryzłam opaski. – Głos Jack łamie się od nieużywania. – Mam coś do załatwienia.

– Ty mówisz! – Wszystko jest lepsze od tej martwej ciszy. – Zaraz, przegryzłaś opaski?

W tym momencie podskakuję, wystraszona jakby odległym grzmotem lub wystrzałem. Coś kapie mi na sandał. Spoglądam w dół i dostrzegam na palcach stóp lśniące czerwone plamki. Ściskam w ręku pomidora jak imadłem. Nasiona i miąższ kapią powoli na cement, tworząc makabryczne rozbryzgi. A potem przychodzi ból. Właśnie się zaczęło.

– Do domu, Jack.

Światło słońca wlewa się przez szklaną kopułę i spływa na Jack, która ściska falujący brzuch. Musiała ukrywać to przez kilka godzin. Mia prowadzi ją za łokieć.

– Mówiłam, że masz iść do lekarza! – krzyczę. – Natychmiast jedziemy do szpitala!

– Żadnych szpitali – jęczy Jack i odpycha mnie słabą dłonią. – Co, znów przywiążesz mnie do łóżka?

– Idiotka – prycham, ale wtedy czyjeś silne ramiona odstawiają mnie na bok.

– Nie teraz, Rob – odzywa się Mia. – Idź do kuchni. Wróć, kiedy się uspokoisz.

W jej oczach nie brakuje zrozumienia. Wie, że atakuję tych, o których najbardziej się boję. Może to dotyczy każdego z nas.

Ostatecznie wszystko dzieje się beze mnie. Szukam w kuchni olejku lawendowego, który według Mii ma uśmierzyć ból, choć zdaje się, że już na to za późno.

– Nie mogę znaleźć! – wołam płaczliwie. Z korytarza za mną dobiega krzyk. Gdy się odwracam, ona jest już na świecie. Biegnę.

Zakochuję się w córce Jack od momentu, w którym otwiera oczy. Macha drobnymi piąstkami, jakby wygrażała całemu światu.

– I bardzo dobrze – mówię do niej. – Bardzo dobrze. Jest masa powodów do gniewu.

Mia próbuje ułożyć dziecko w ramionach Jack. Ta jednak leży bez ruchu, wpatrzona w przestrzeń.

– Jesteś zmęczona. Na wszystko przyjdzie czas – mówi Mia, choć widać, że nie sądzi, by mojej siostrze zostało dużo czasu.

Jack karmi bezimienne niemowlę. To Mia przytrzymuje małą przy jej piersi. Myślę o Dwudziestej Trzeciej, nieprzytomnej na szpitalnym stole, i o czarnych kiełbaskach przyssanych mocno do jej ogromnego ciała.

– Chcesz ją potrzymać?

Biorę od Mii zawiniątko. Spoglądam na małą, a ona zwraca ku mnie główkę z buzią jak zgnieciony pomidor i ciemnymi włosami. Jest cudowna. Wzbiera we mnie fala miłości. Mia się uśmiecha.

– Jak będzie miała na imię? – pytam.

– Jak będzie miała na imię? – powtarza szeptem Jack. Jej oczy wyglądają jak dwie szklane kulki. – Jak będzie miała na imię, Rob?

– Callie – odpowiadam. – Wszystko będzie dobrze – dodaję z przekonaniem, zwracając się do dziecka. Powoli przesuwam się w kierunku drzwi. Samochód czeka w cieniu tamaryszków, zatankowany do pełna. W bagażniku są pieluchy, mleko modyfikowane, ubranka, mokre chusteczki i butelki. Przygotowałam się.

– Dokąd idziesz? – Mia uśmiecha się, ale nie patrzy na mnie, pochylona nad nicią chirurgiczną. – Może dałabyś siostrze potrzymać dziecko, Rob?

– Właśnie, co robisz? – wtóruje jej cicho Jack.

– Zabieram ją stąd – odpowiadam stanowczo, patrząc jej prosto w oczy w nagłym przypływie odwagi. – Tak trzeba.

Mia podnosi głowę.

– Rob, nie.

– Dlaczego? Ze mną będzie bezpieczniejsza. Dam jej dobry dom.

– To niebezpieczne. Nie wiemy wystarczająco dużo…

– To lepsze niż zostać tutaj.

– Rob, ja wiem, jak to jest porzucić siostrę. Sądzisz, że nie będzie cię to kosztowało, ale się mylisz.

– Nie próbuję ocalić Callie tylko przed Jack. Chodzi też o ciebie.

– Od dawna to planowała – zwraca się Jack do Mii z powagą. Bliźniacza więź wciąż działa. – Callie. – Uśmiecha się i nagle pod zbielałą maską przez sekundę dostrzegam moją siostrę. – Ładne imię. Ale nie możesz jej zabrać. Nie pozwolę ci na to, Rob.

Mia drży. Ostrożnie odkłada igłę.

– Gotowe – mówi do Jack. Podchodzi zdecydowanym krokiem i mocno uderza mnie w twarz. Przed oczami tańczą mi złote iskierki. Dziecko płoszy się w moich ramionach. Trzymam je mocno. – Miejże trochę rozsądku! – Nigdy wcześniej nie słyszałam, jak Mia na kogoś krzyczy.

„Wreszcie. Wreszcie ją złamałyśmy" – myślę. Co dziwne, nie daje mi to satysfakcji.

– Dotąd przyjmowałam spokojnie wszystkie upokorzenia. – Twarz Mii jest bardzo blisko mojej. Czuję na policzku każde słowo. – Te wszystkie lata, gdy nie dopuszczałyście mnie do siebie, wszystkie zerknięcia i uwagi, wszystkie złośliwości. Za każdym razem, gdy czułam, że umrę tu samotnie, nie zaznawszy życia, musiałam wziąć się w garść. Oddałam wam każdy swój oddech. Żadna matka nie zrobiłaby więcej dla swoich dzieci. Ale wiecie co? Jesteście potworami. I z tym akurat nie mam nic wspólnego. – Mia garbi się, zrezygnowana. – Mam dość. Wygrałaś, Rob. Zabierz dziecko. Rozstańcie się i zapomnijcie o sobie. Mam to gdzieś.

– Mia. – Nie wiem, co robić, więc lekko dotykam jej pleców.

– Rob – mówi Jack.

– Przepraszam – ciągnę, głaszcząc plecy Mii.

Kręci głową, nie patrząc na mnie.

– Kiedy was znalazłam, byłam taka szczęśliwa. Ale wyrosłyście na zupełnie inne osoby, niż się spodziewałam.

– Wiem. Jack wciąż walczy, nie mogę jej winić. Ale mnie nic nie usprawiedliwia. Mogę tylko poprosić, żebyś mi wybaczyła.

Dziecko zaczyna kwilić. Mia spogląda na nie, potem na mnie, i w jej oku zapala się błysk.

– Jest wspaniała. Może wszystko jeszcze będzie dobrze – mówi.

– Rob – odzywa się znowu Jack. Coś w jej głosie sprawia, że zamiera mi serce. Wbija wzrok w jakiś punkt za moimi plecami. – W domu jest pies.

Dwudziesta Trzecia stoi w progu otwartych drzwi i przygląda nam się bystro. Na zwisających faflach widać krew. „Szczeniaki" – myślę i w moim sercu budzi się jakiś rzewny, słodko-gorzki smutek. Ale zaraz potem przychodzi strach. Suka znów kręci głową i skamle, uchylając się przed ciosami niewidzialnego napastnika.

Mia rzuca się do kuchni, w której trzyma broń. Ale już wiem, że nie zdąży. Suka wyskakuje w powietrze eleganckim łukiem i opada, zaciskając zęby na jej gardle. Szarpie nią na prawo i lewo. Mia wiotczeje, zmienia się w Lalkę Mię.

Mocno przyciskam do siebie niemowlę i ciągnę Jack w stronę schodów. Zatacza się, ciężko wsparta na moim ramieniu. Krew cieknie jej po nogach, zostawiając na podłodze szlak kleksów. Potykam się i upadam, i teraz czekam już tylko, aż szyję owionie mi gorący oddech, a kły przebiją skórę. Ale nic się nie dzieje. Dziecko, jakimś cudem całe i zdrowe, zaczyna płakać. Zarzucam sobie rękę Jack na barki i wciągam ją po schodach, przez galerię, prawie pod sam próg sypialni, gdy znudzona Dwudziesta Trzecia porzuca ciało Mii. Z trzaskiem zamykam drzwi. Suka jest szybka. Schody skrzypią z każdym susem.

Stukot pazurów o podłogę jest coraz bliżej. Przytulam Jack i zamykam oczy. Ale suka mija drzwi i po chwili jakiś dźwięk dobiega z jednego z sąsiednich pokoi. Wiem, z którego.

– Falcon – szepczę. – Zostawiłam otwarte drzwi. Jack, zostawiłam…

Dźwięki są stłumione, trudno je rozróżnić. Co kilka chwil rozbrzmiewa piskliwy warkot.

– Jak się wydostała? – szepczę, właściwie do siebie, bo nie spodziewam się odpowiedzi. – Poza tym było z nią lepiej. Mia ją wyleczyła…

– Mia trzymała ją w bezpiecznym miejscu, z jedzeniem i wodą – mówi Jack. – Gdy poczułam, że zaczynam rodzić, wiedziałam, że muszę zrobić prawdziwy test. Że suka musi poczuć strach i ból. Jak w życiu.

– Coś ty zrobiła? – pytam, chociaż przecież wiem.

– Spała przy płocie. Złapałam ją za ogon i przeciągnęłam go przez siatkę. Zrobiłam to, co robił jej poprzedni właściciel. Musiałam zadać jej ból. Sprawić, żeby się bała. U mnie to się zaczęło w maszynie do rezonansu, pamiętasz? Boję się ciemnych, ciasnych przestrzeni, bo w takich nas kiedyś trzymali. A ciemnością tej suki jest jej ogon. Kiedy go puściłam, zaczęła skamleć i biegać w kółko. Szczeniaki biegały za nią. Uśpiłam ją i otworzyłam furtkę. Zostawiłam ją tam śpiącą, wyglądała jak wielki pomrów.

Oczy Jack są wielkie i pełne bólu. U jej stóp zbiera się rdzawa kałuża krwi. Brzeg koszuli nocnej jest nią przesiąknięty. Przepocone włosy skleiły się w strąki.

– Dlaczego to zrobiłaś? – pytam. Nie mogę oddychać, powietrze zmieniło się w gęstą masę.

– Musiałam – odpowiada Jack. – Musiałam przeprowadzić prawdziwy test. Gdyby obudziła się i mimo strachu nie przyszła tu za nami, to by znaczyło, że ma szansę, i my też. Ale zwyciężył w niej mrok, a to znaczy, że my również jesteśmy złe. Albo będziemy. Ze mną to już się stało. Z tobą też się stanie, i z dzieckiem. Może nie dziś, ale stanie się na pewno, gdy strach będzie nie do zniesienia. Trzeba z nami skończyć. Uwierz mi, Sundance, tak będzie lepiej. Nie chcesz żyć w ten sposób.

Jej uścisk staje się silniejszy, dłoń jest jak szpon, paznokcie wbijają mi się w skórę.

– Zrobiłaś coś strasznego, Jack – szepczę głosem cichym jak westchnienie. Te słowa nie wystarczą, by opisać, do czego doprowadziła. Nie da się tego opisać. Wyrywam ramię, a Jack cichutko stęka. Najgorsze, że po miesiącach nieobecności moja siostra wróciła. To ona podjęła decyzję, nie klik.

Ostrożnie kładę niemowlę na łóżku. Rozbijam lustro na toaletce i wyciągam drzazgę. Ile to będzie lat pecha? Owijam nasadę skarpetką i chwytam drzazgę jak nóż. Jest nieporęczna, śliska – równie dobrze mogę sama sobie zrobić nią krzywdę.

Przesuwam skrzypiącą komodę pod drzwi. Jest ciężka, sięga mi do pasa.

Telefon. Wyciągam szufladę, szarpiąc na boki i klnąc, kiedy się zacina. Nigdy nie chodziła gładko. Prosiłam Pawła, żeby ją naprawił, ale oczywiście się do tego nie zabrał. Gwałtownie wyrzucam ze środka garście skarpetek, majtek i staników, aż zostaje tylko gołe wnętrze z cedrowego drewna. Ani śladu telefonu.

– Wyniosłam go na dwór i rzuciłam w kaktusy – odzywa się martwy głos za moimi plecami. Gdy się odwracam, widzę, że Jack się uśmiecha.

Chwytam ją za ramiona. W jej oczach skrzą się gwiazdy. Twarz jaśnieje, szeroko uśmiechnięta, martwa.

– Wróć do mnie, błagam. Musisz mi pomóc, Jack, bo inaczej ona tu wejdzie i rozerwie nas na strzępy. Umrę. Obie umrzemy. I twoje dziecko też. Pomóż mi, błagam. Wróć.

Odgłosy z sąsiedniego pokoju cichną i są coraz rzadsze. Nie chcę sobie wyobrażać, co się tam dzieje.

– Kto łga, tego ciągnie do zła – mówi Jack. – Kłamony palą opony.

Z całej siły uderzam ją w twarz, ale ona dalej się uśmiecha. Wiem, że to nie jej wina. Coś ją pożera od środka. Rzucam się związywać prześcieradła. Jeśli uda mi się dotrzeć do przesuwanych drzwi na taras, może zdołam uwięzić Dwudziestą Trzecią w domu. I co wtedy? Myśl o wydostaniu się po sznurze z prześcieradeł dwa piętra niżej, z Jack i dzieckiem, napełnia mnie przerażeniem. Wezmę samochód, pikapa Mii? Kluczyki zostały w kuchni. Może zdołam dobiec do szosy, zatrzymać kogoś, wezwać pomoc. Albo wśliznąć się z powrotem do domu i dopaść do telefonu w holu? Ale nie chcę zostawiać Jack i małej. Dobrze, postanawiam, wezmę dziecko ze sobą i…

Moje myśli przerywa cisza. Bardzo dziwna cisza. Nie miałam pojęcia, że przez ścianę i zamknięte drzwi można usłyszeć śmierć. Okazuje się, że to możliwe. Falcon nie żyje.

Może suka się zmęczyła. Może zaśnie.

I znów rozlega się ten dźwięk, klik-klik-klik, stukot pazurów o drewno. Wciśnięty w szparę pod drzwiami pysk sapie przyjaźnie. Suka znalazła nas, idąc po śladach krwi. Teraz wydaje z siebie skowyt, krótki i żałosny.

Po chwili namysłu ściągam Jack z posłania.

– Właź tam.

Pomagam jej wejść na moje łóżko i podsadzam ją na szczyt dużej szafy. Potem podnoszę Callie i delikatnie składam ją w ramionach Jack. Wreszcie odciągam łóżko od szafy z głośnym zgrzytem i dopycham do komody, zastawiając drzwi.

– Nie ruszaj się – przykazuję siostrze. – Rozumiesz? Siedź tam, cokolwiek by się działo. I trzymaj ją mocno, dobrze?

Jack patrzy na mnie z góry wzrokiem bez wyrazu. Ale ważne, że się nie rusza. Są dwa i pół metra nad podłogą. Czy to wystarczy?

Ujmuję w dłoń szklaną drzazgę i staję przodem do drzwi. Suka węszy w górę i w dół, chłonąc nasz zapach. Piszczy i drapie drzwi.

– Zły pies! Idź, szukaj! – wołam. Wtedy zaczyna szczekać, nie, nie szczekać, wyć długo i przenikliwie niczym pies myśliwski. Potem całym ciężarem rzuca się na drzwi. Drewno trzeszczy w proteście, ale trzyma. Tyle że drzwi w Sundial są lekkie i cienkie, zaprojektowane tak, by przepuszczały chłodne powietrze. Nie zostały stworzone do tego, by wytrzymać napór sześćdziesięciu kilogramów mięśni.

Suka znów z morderczą siłą rzuca się na drzwi. Czyżby waliła w nie głową? Ponad szczytem komody lakierowane drewno pęka i wybrzusza się do środka. Dwudziesta Trzecia podskakuje i uderza w górną część drzwi. Na drewnie pojawiają się blade rysy po odłamkach. Jeszcze jedno łupnięcie i powstaje długa pionowa szczelina. Wewnątrz lśniący czarny nos i oko. Suka rozpycha drzazgi, aż cały łeb mieści się w otworze. Nie mogę patrzeć na jej pysk i zęby, śliskie, pokryte czymś, co nie mieści mi się w głowie. Wciska się dalej, kręcąc tułowiem, aż przepycha barki przez otwór. Chcę uciekać, ale nie mam dokąd. Rzucam się do przodu i wbijam odłamek szkła w psie oko. Suka atakuje błyskawicznie jak wąż, szarpnięciem łba, i muska zębami mój nadgarstek. Odskakuję, szkło wyfruwa mi z dłoni i ląduje gdzieś za plecami.

Nie sądziłam, że psy potrafią krzyczeć, ale suka wydaje z siebie właśnie taki dźwięk, wpadając do środka, roztrzaskując w drzazgi górną część drzwi. Odskakuję, przez chwilę rozważam wspięcie się na szafę obok Jack, ale oczywiście odsunęłam łóżko i schronienie jest za

wysoko, rozpaczliwie poza zasięgiem. Dwudziesta Trzecia skacze po pokoju, ujadając i kłapiąc zębami w powietrzu. Co widzi? Albo kogo? Czy człowieka, który wiele lat temu okaleczył jej ogon? Zastanawiam się, czy nie przemknąć obok niej do drzwi, ale w tym samym momencie suka podnosi łeb i uszy stają jej dęba. Klik, klik, klik, stuka pazurami po podłodze, skradając się w stronę szafy. Cofam się powoli, z gmatwaniną myśli w głowie, bezskutecznie usiłując podjąć jakąś decyzję. Do okna jest za daleko, a prowizoryczny sznur leży bezużyteczny na podłodze. Jeśli skoczę, potłukę się tak mocno, że nie będę w stanie biec. Jeszcze krok i trafiam plecami na drzwi dębowej szafy. Macam dłonią, szukając uchwytu. Czuję, że suka zbiera się do skoku. Podpowiada mi to jakaś zmiana w jej oczach, ruchach, postawie. Odwieczna więź między myśliwym a ofiarą.

Wsuwam rękę za plecy i otwieram szafę. Wślizguję się do środka i w ostatniej chwili zamykam drzwi. Psie cielsko z głośnym stęknięciem odbija się od starego dębu. Szafa drży lekko, ale stoi. Najbardziej się bałam, że runie, a suka natychmiast dopadnie Jack i małą. Ale mebel jest stabilny, przynajmniej na razie.

Tak czy inaczej, to był mój ostatni ruch. Dębowe drzwi nie są wiele wytrzymalsze od tych prowadzących do sypialni. Dwudziesta Trzecia sforsuje je w kilka chwil.

– Jack – wołam, stukając w deski nad głową. Z góry dobiega jakiś szelest. – Ona zaraz tu wpadnie, żeby mnie rozszarpać. Powiem ci teraz, co masz robić, więc słuchaj mnie uważnie. Kiedy się na mnie rzuci, ty łap małą i skacz. Musisz działać szybko. U góry drzwi do pokoju jest wielka dziura. Zmieścisz się. Nie próbuj przesuwać komody ani łóżka, to za długo potrwa. Potem leć do kuchni i weź kluczyki Mii, wiszą obok telefonu. Wyjdź na zewnątrz i zamknij za sobą szklane drzwi. A potem wsiądź do samochodu i ruszaj. Nie oglądaj się za siebie i w żadnym wypadku nie zatrzymuj.

Odpowiada mi cisza.

– Słyszałaś? – Nie mam pojęcia, co Jack w tej chwili myśli ani czy spełni polecenie. Pozostaje mi mieć nadzieję. – Tylko nie zapomnij małej, okej? Nie zapomnij. – Teraz już płaczę, zlizuję z warg płynące ciurkiem łzy. Staram się, żeby nie było ich słychać w moim głosie.

Będzie źle i będzie bolało. Boję się. Nie chcę umierać.

W górze rozlega się płacz dziecka, długie, żałosne zawodzenie, w którym brzmi bezbrzeżna rozpacz. Odpowiada mu ryk z psiego gardła i drzwi szafy znów drżą z przeraźliwym hukiem. Nie zostało wiele czasu.

„Hej, Sundance" – brzmi mi w uszach szept siostry. „Lepiej się schowaj, bo przyjdzie Mia i zrobi buch-buch". Ciepły dotyk jej dłoni otula mi palce.

Ale Jack już nie ma. To tylko mój zmęczony umył posłał w niebo ostatnią salwę. Mimo to czuję się odrobinę lepiej. Nawet tyle mi wystarczyło. Raz po raz powtarzam szeptem imię siostry. Nie słyszę własnego głosu, bo suka znów zaczyna wyć – i zdaje się, że jest tuż obok, zionie mi w ucho, rozwiera szczęki i…

Łup. Światło w ciemności. Drzwi szafy rozpadają się w drzazgi. Czuję zapach krwi. Krwi Falcona. Światłość przysłania potężna sylwetka. Już czas. Zamykam oczy, wdycham jej smród. Cierpki psi oddech wypełnia wnętrze szafy. To koniec.

Głuchy łomot, czy to już? Może umieranie jest łatwiejsze, niż mi się zdawało. Ale nie, chyba nadal żyję. Dziecko płacze. Przez moje zaciśnięte powieki prześwieca jasność.

„Sundance".

Jej głos jest tuż obok, dźwięczy w moim uchu, młodzieńczy i czujny. Z moich ust wyrywa się zduszony krzyk i otwieram oczy. Potrzaskane drzwi szafy kołyszą się w zawiasach. Pokój wydaje się pusty. Wychodzę powoli, gotowa na atak, na smród oddechu i prędkie szczęki. I nic.

– Jack? – szepczę. Nie słychać odpowiedzi. Mała rączka kiwa do mnie bezsilnie ze szczytu szafy. Podskakuję i chwytam Callie w ramiona. Gdzie jest Jack? Ona i rottweilerka jakby rozpłynęły się w powietrzu. Z prawej strony dobiega jakieś gulgotanie. Spoglądam w tamtym kierunku.

Leżą na ziemi, splątane w niemym uścisku. Suka przygniata Jack, ostre kły wbijają się w jej szyję. Z tętnicy tryska czerwień, spływa lepkimi strużkami na pierś, ramiona, dłonie, a potem zbiera się w kałużę na podłodze. Jack unosi drżący palec. Jej oczy wpatrzone są we mnie. Widzą mnie. W drugiej ręce ściska odłamek lustra. Jego

czubek tkwi głęboko w odsłoniętym psim mózgu. Jack udało się zerwać cementową czapeczkę okrywającą czaszkę. Suka nie żyje.

Spycham z Jack jej wielkie czarne cielsko. Przyciskam dłonie do ran siostry, ale ciepła krew przecieka mi przez palce. Suka rozerwała gardło Jack na strzępy.

– Zaraz wezwę pomoc – mówię. – Trzymaj się. Wszystko będzie dobrze.

Chcę wstać, ale Jack chwyta mnie za rękę i nie puszcza. Tuląc dziecko do piersi, delikatnie osuwam się na podłogę i otaczam ją ramieniem.

– Cassidy. – Całe życie próbowała mnie chronić. W końcu jej się udało. – Wszystko będzie dobrze.

Próbuje coś powiedzieć, ale słowo tonie we krwi. Brzmi strasznie. Brzmi jak „kłamstw". Jack próbuje jeszcze raz. Tym razem brzmi jak „dance".

– Cicho, nic nie mów.

Głaszczę ją po włosach. Światło spływa na odległe szczyty gór, skąpana w zmierzchu pustynia rozciąga się pod ciemniejącym niebem niczym brudna skóra kojota. Jack oddycha płytko, czuję przy sobie ciepło jej ciała. Chyba zawsze wiedziałam, że jedna z nas tu umrze. A może umrzemy obie. Gdy okrywa nas ciemność, zastanawiam się, czy to już się stało.

Wspomnienia przemykają obok, wszystkie chwile, w których tuliłyśmy się do siebie jak teraz. Kurczymy się, młodniejemy, aż znów lądujemy w ciemności i patrzymy na zardzewiałe pręty klatki, a usta wypełnia nam smak zwietrzałej oranżady. Wracam do początku, do czasów, gdy miałyśmy tylko siebie. Wykonałyśmy pełen obrót po tarczy, bo początek jest zarazem końcem. Jack i ja. Obok siebie.

Jack podnosi rękę i dotyka mojej twarzy. Zostawia na policzku smugę krwi, ciepłą, potem zimną. Jack patrzy na dziecko, a ono patrzy na nią, zezując lekko ciemnoniebieskimi niemowlęcymi oczami.

– Pięknie wykorzystałaś czas – mówię do Jack. Odpowiada mi uśmiechem, choć może to grymas bólu. – Ja tu sobie poradzę. Możesz odejść.

Niemal widzę, jak to się dzieje: jak unosi się nad skrwawioną ruiną ciała, srebrna poświata na tle zapadającej nocy, rozbrzęczana niczym

rój much. Jak odwraca się i odchodzi, przenikając przez ścianę, ku ciemnemu przestworowi pustyni. Myślę o mojej własnej małej Callie, która odeszła za wcześnie. Mam nadzieję, że Jack ją znajdzie. Pociesza mnie ta myśl, obraz Jack trzymającej w ramionach świetliste niemowlę. A bardzo potrzebuję teraz pocieszenia.

Całuję siostrę w zimny policzek. Potem delikatnie okrywam ją prześcieradłem. Jednak nie mogę odejść za nią w mrok. Dziecko porusza się i kwili.

Odsuwam od drzwi łóżko i komodę. Jestem tak zmęczona, że mogłabym umrzeć. Ale mam dużo do zrobienia. Kusi mnie, żeby po drodze kopnąć nieruchome cielsko, ale się powstrzymuję. To nie była jej wina.

Idąc, nie rozglądam się na boki. Nie patrzę na rdzawe ślady łap na lśniącej cedrowej podłodze. Ani na poszarpany bezwładny kształt pod ścianą w holu. Mimo to zdaje się podążać za mną, widoczny kątem oka, jak burzowa chmura.

O świcie szykuję mleko i stojąc przy kuchennym oknie, próbuję nakarmić dziecko. Ale ono ciągle płacze. Mleko cieknie z jej otwartych, wykrzywionych grymasem ust. Próbuję ją pocieszyć. Czy istnieje w ogóle dla nas jakieś pocieszenie? „Postaraj się tego nie zapamiętać. Nie pozwól, by zagnieździło się w ciemnych kątach umysłu". Co z nią będzie?

Oczywiście wiem.

– Teraz jesteś Callie – mówię. – Jesteś moją córką i nigdy nie pozwolę nikomu cię skrzywdzić.

Niemowlę patrzy na mnie. Coś drzemie w tym spojrzeniu, coś niepokojącego. Ale to tylko dziecko. Moje dziecko i od dziś będę je chronić.

Zakopuję Jack przy zegarze słonecznym, pod krzakiem róży, w miejscu, o którym kiedyś sądziłam, że leży tam moja matka. Teraz to prawdziwy grób. Obok mojej utraconej dziewczynki. Kiedy kopię, Callie gaworzy w koszyku. Ciekawe, czy wyczuwa obecność przyrodniej siostry, kuzynki, pod ziemią nieopodal? Dwie Callie, jedna żywa, jedna martwa.

Otwieram furtkę w płocie po zachodniej stronie. Potem podchodzę do psich zagród.

Patrzę przez siatkę na dziewiątkę pozostałych psów. Leżą w cieniu i dyszą w rosnącym upale. Karabin ciąży mi w dłoni. Callie jest w drewutni, leży w swoim koszyku. Zamknęłam drzwi na klucz. Mam nadzieję, że dobrze się czuje. Mam nadzieję, że przeżyję i będę mogła ją stąd zabrać.

Podchodzę do furtki. Zastygam z ręką na klamce. Ciekawe, co czuła Jack. Długie kły wbijające się w ciało. Przypominam sobie, że psy nie dostały dzisiaj jeść. Ale już podjęłam decyzję. To koniec zmuszania żywych istot, by stały się kimś innym. Koniec karania ich za to, jakie są.

Psy zerkają na mnie pytająco. Czekają na Mię.

– Wychodźcie. Odtąd jesteście zdane na siebie.

Przyciskam guzik kontrolera odpowiadający komendzie „szukaj". Pozornie nic się nie zmienia, ale gdy otwieram furtkę, psy zbliżają się do niej, strzygąc uszami. Przez cały czas opieram karabin na ramieniu.

Jeden po drugim mijają mnie truchtem i przechodzą przez furtkę. Ostatni idzie kojot. Na moment przystaje i spogląda na mnie żółtymi ślepiami. Rozdyma nozdrza i robi niepewny ruch w moim kierunku.

– Nie. Czas, żebyś zaczął podejmować własne decyzje.

Psy węszą i rozpraszają się w poszukiwaniu Mii. Kilka obwąchuje płot, wyraźnie ciągnąc w stronę domu. Ale znów przyciskam guzik „szukaj" i zmieniają kierunek. W końcu ruszają truchtem ku otwartej furtce. Wychodzą na pustynię i znikają w oddali.

Czasem wyobrażam je sobie, błąkające się latami wśród dziczy w poszukiwaniu kobiety, która od dawna nie żyje. Ale to tylko fantazja. Psy poumierały ze starości, z gorąca, pragnienia lub głodu albo pożarte przez większego drapieżnika. Ale przynajmniej mogły o sobie decydować.

Mimo to przy każdej wizycie w Sundial rozrzucam mięso wzdłuż płotu. Nie wiem, czy to podarek, czy próba przebłagania duchów. Mięso

zawsze znika po godzinie. Nie próbuję wyśledzić sprawcy – jeśli którekolwiek z psów jeszcze żyją, zasługują na prywatność.

Wlokę ciała Falcona i Mii do opustoszałej psiej zagrody. Są ciężkie. Jakim cudem aż tak? Delikatnie układam je na ziemi. Ciała, puste boksy, huśtające się w zawiasach furtki – to wszystko tworzy opowieść. Falcon i Mia zginęli zagryzieni przez psy, na których prowadzili swoje eksperymenty.

Obok nich kładę zwłoki Dwudziestej Trzeciej. Kiedy ciągnę ją po ziemi, język zwisa jej z pyska. Na zębach wciąż widać ślady krwi.

Czyszczenie domu zabiera wiele godzin. Ścieram krew z podłogi i blatów. Usuwam wszelkie ślady porodu. Jeśli zdołam odwrócić uwagę od domu, mam szansę wyjść z tego cało.

Została jeszcze jedna rzecz do zrobienia. Muszę ukryć klik pod ziemią. Postanawiam zakopać go na psim cmentarzu. Kilka metrów dalej, w cieniu drzewa, Callie leży w swoim koszyku. Cicho gada do siebie o jakichś tajemniczych sprawach.

Ale nie tylko po to tu przyszłam. Tu pod ziemią leży coś, co jest mi potrzebne. Wiadomość zakopana przez Jack pod psimi zwłokami, w pudełku ze Snoopym. Mam nadzieję, że to właściwe miejsce. Łopata uderza w coś ze zgrzytem. Trafiam na żebra. Ale nie ma wśród nich blaszanego serca. Odsuwam kości ostrzem łopaty.

Kopię dalej, ale wciąż nie mogę znaleźć pudełka.

– No dalej – mówię szeptem, jakby ziemia mogła mnie usłyszeć. – Gdzie ono się podziało?

W końcu daję za wygraną. Stronice zapisane przez moją nieżyjącą siostrę wsiąkły w glebę, zniknęły tak jak ona. Może rozrzucił je padlinożerca. Może Jack wykopała je sama którejś samotnej nocy. Zdaje się, że to ostatni z długiej serii ciosów. Nie ocieram już nawet łez. Pozwalam im płynąć.

– Cokolwiek tam było, już zawsze pozostanie twoją tajemnicą.

W wykopanej dziurze składam niebieski futerał z ostatnią wersją klika, stworzoną dla szczeniąt Dwudziestej Trzeciej. Ostatnia dawka, jedyna, która została. Wyjęłam ją z szafki, a niosąc, miałam wrażenie, że porusza mi się w dłoniach. Jakby wewnątrz coś żyło, coś bardzo

zdeterminowanego. Unoszę ostrze łopaty, szykując się do zabójczego ciosu. Zakopać go w całości czy zniszczyć?

– Założę się, że w ogóle nie działa – mówię na głos. – Zabawne, gdyby się okazało, że to wszystko było na nic. Kto to wie? Może Hipcio Oranżadka wie?

Czuję, że bredzę. Poczucie rzeczywistości wymyka mi się z rąk, śliskie niczym jedwab.

Szybko zasypuję futerał ziemią. Nie chcę go więcej widzieć. Powinnam go zniszczyć, ale tego nie zrobię. Nie wiem, co nas czeka, mnie i Callie. Wiem za to, że dostanie ode mnie wszystko, czego będzie jej potrzeba. Nawet klik? Macham łopatą, dygocząc, zlana potem. Czy pewnego dnia przyjdzie mi rozkopać ten dół, kiedy moja córka zacznie mamrotać coś pod nosem o kłamczuchach i poduchach?

Gotowe. Prostuję się, śmiertelnie zmęczona. Nagle jakiś cień pada na świeżo zakopany grób. Ktoś stoi za mną, przysłaniając słońce.

– Co tu się stało, do diabła? – odzywa się Irving. Pobladły, przyciska do ust chusteczkę.

– Psy uciekły – odpowiadam. Nie mam słów, by opisać, co się naprawdę wydarzyło.

– Czemu nie wezwałaś policji? – pyta, ale już nie muszę odpowiadać, bo w tym momencie dostrzega Callie w falującym cieniu drzewa. Podchodzi do niej cicho, delikatnie wyjmuje z koszyka i unosi do góry. Gołe niemowlęce nóżki wyglądają tak bezbronnie.

– Moja córka – stwierdza. To nie jest pytanie. – Cześć – mówi do niej. – Cześć.

Callie dotyka paluszkiem jego nosa. Twarz Irvinga promienieje z dumy. A ja wiem, że już nigdy się go nie pozbędę. Nigdy jej nie zostawi. Jeśli chcę być dla niej matką, muszę zrobić mu miejsce.

To Asia go wezwała, nie mogło być inaczej. Po naszej rozmowie obdzwoniła wszystkich, którzy mogli wiedzieć, gdzie jestem. W końcu pomyślała o Irvingu i odnalazła go w spisie pracowników uczelni. Była zdenerwowana, więc nie od razu zrozumiał, o co jej chodzi. Powiedziała mu, że jestem w ciąży i że więzi mnie sekta, w której dorastałam. Przyjechał więc tu, zgłosić się po swoje. Zgłosić się po Callie.

Wiem, że Asia chciała tylko pomóc. Ech, ci ludzie i ich nienasycona potrzeba niesienia pomocy.

Rozmawiamy na tarasie, w cieniu starego parasola plażowego. Zadowolona Callie leży na kolanach Irvinga, który wolną ręką przyciska do nosa chusteczkę. Powietrze zdążyło już przesiąknąć wonią śmierci.

Irving siedzi, a ja stoję przed nim jak nieposłuszna uczennica. Po namyśle uznałam, że to mu się spodoba. Chwieję się na nogach, jest mi niedobrze z gorąca i zmęczenia.

– Ona nie jest twoim dzieckiem – mówi Irving. – Tyle wiemy. Nie urodziłaś jej.

– Jest moja pod każdym względem, który ma jakiekolwiek znaczenie.

– Nie dam jej sobie odebrać. Zabieram ją ze sobą. Jeśli spróbujesz mi przeszkadzać, nie pozostanę ci dłużny. Pójdę do sądu. O tym, co wiem o tobie i tym miejscu, można by napisać książkę.

– Jestem jej matką – mówię.

– Nie jesteś. Jesteś jej ciotką. Twierdzisz, że twoje dziecko umarło. Na pewno mu w tym nie pomogłaś? I gdzie jest ciało? To się może dla ciebie bardzo źle skończyć. – Wyciąga telefon. – Dzwonię na policję, powinienem był zrobić to od razu. To w końcu mój obywatelski obowiązek.

Nagle robi mi się ciemno przed oczami. Oddycham głęboko. „Wytrzymaj jeszcze troszkę" – powtarzam sobie w duchu. Muszę rozegrać to właściwie.

– Nie sądzisz, że lepiej, żeby miała pełną rodzinę? – pytam. – Kto się nią zajmie, kiedy ty będziesz w pracy?

– Zatrudnię gosposię – stwierdza Irving, ale widzę, że zaczyna się wahać. Coś mi mówi, że tatuś znów zagroził odcięciem go od zysków z pól naftowych.

– Lepiej, żeby miała matkę. Żeby dorastała według tradycyjnych wartości.

– Co konkretnie chcesz przez to powiedzieć?

– Myślę, że powinniśmy się pobrać. – Im mocniej go uwiążę, tym lepiej. – Twoim krewnym to się spodoba.

Przez twarz Irvinga przemyka wyraz niepewności.

– Myślałem, że uwierzyłaś w kłamstwa, które opowiadała o mnie twoja siostra.

– Ona była chora. Oboje to wiemy.

Postanawiam nie wytykać mu, że jeśli Jack kłamała, to Callie nie jest jego córką. Wolę zachować tę amunicję na przyszłość. Będzie mi potrzebna.

– Proszę – mówię, bo wiem, że lubi, jak go błagam. – Oboje chcemy dla niej jak najlepiej. A takie rozwiązanie ma dużo sensu. Będę naprawdę dobrą żoną. – Mam wrażenie, że widzę zębatki obracające się w jego głowie.

– Czyli co, zostajemy razem dla dobra dzieci? – rzuca drwiąco Irving.

– Tak. Callie będzie naszą córką. Będzie miała normalne dzieciństwo. Z małą ligą, balem maturalnym, spotkaniami z przyjaciółmi w centrum handlowym, może nawet z kucykiem.

„Byle nie chciała psa" – myślę z drżeniem. Nagle wszystko się rozmazuje. Twarz Irvinga wygląda, jakby rozpuszczała się w powietrzu.

– Chyba zaraz zemdleję.

Wtedy czuję wokół siebie jego ramiona.

– W porządku – mówi. – Będzie dobrze. Wszystkim się zajmę.

I choć wiem, jakim jest człowiekiem, to dobrze usłyszeć takie słowa, dobrze móc zrzucić z pleców choćby część ciężaru. Osunąć się w czyjeś objęcia i usłyszeć, że wszystko jakoś się ułoży. A przede wszystkim dobrze w to uwierzyć, choćby nawet i przez chwilę.

– Wygląda na to, że jesteśmy zaręczeni. – W głosie Irvinga brzmi niedowierzanie, a ja parskam śmiechem przez łzy.

– Dziękuję. – Dzieci zmieniają bieg spraw. Może jeśli będę wystarczająco dobrze udawać, to, co jest między nami, stanie się prawdziwe. – Wracajmy do Cielo.

Przed wyjazdem podnoszę wszystkie żaluzje i szeroko otwieram ciężkie drzwi wejściowe. W pustych kątach Sundial gwiżdże wiatr.

Odbieram telefon późnym popołudniem, na niewielkim ocienionym balkonie w mieszkaniu Irvinga. Callie śpi obok mnie. Nie lubię spuszczać jej z oka.

Trzymam w ręku pachnący bukiet kapryfolium i pomarańczowych lilii. Dziś rano jeździliśmy po florystach i oglądaliśmy wiązanki ślubne. Ceremonia będzie mała, ale Irving się uparł. Bukiet już teraz więdnie od upału.

Listonosz znalazł Mię i Falcona, szukając kogoś, kto pokwituje odbiór paczki. To się stało kilka miesięcy temu, nie wiedzą, ile dokładnie – pustynia zmumifikowała zwłoki. Mimo to ślady obrażeń pozwoliły stwierdzić przyczynę zgonu: pogryzienie przez psa.

Callie budzi się akurat wtedy, gdy kończę rozmowę. Odkładam bukiet i pochylam się nad nią. Szybko się uspokaja. Wpatruję się w jej idealną buzię, muskam palcem gładki policzek.

– Wybacz, maleńka – mówię do niej. – Wybacz.

Niespodziewany dźwięk sprawia, że odwracam głowę. Tuż nad bukietem wisi w powietrzu koliber i zanurza dziób w bladej trąbce kielicha.

Dwóch policjantów przyjeżdża do Cielo, żeby ze mną porozmawiać. Pierwszy wygląda jak goblin. Drugi jest przystojnym brunetem.

Irving siedzi obok, mocno obejmując mnie w pasie. Ubrany w śnieżnobiałą koszulę, kilka razy niby od niechcenia wspomina nazwisko ojca. Widzę, że dobrze się bawi. Ja jestem sztywna ze strachu.

Policjanci próbują mnie pocieszyć. Niedawno urodziłam, wkrótce biorę ślub, po którym czeka nas przeprowadzka do nowego domu. To okropne, dostać takie nowiny.

– Widziałam się z nimi zaledwie parę miesięcy temu. Trudno w to uwierzyć. Ostatnio niewiele rozmawialiśmy, no ale oni byli ekscentryczni.

Policjanci kiwają głowami. Tak, to słowo obiło im się o uszy. Widzieli laboratoria.

– W domu jest niezły bałagan – odzywa się brunet. – Buszowało tam sporo dzikich zwierząt. Jakiś drapieżnik urządził sobie w nim norę, może puma albo kojot. Są też ślady mniejszych ssaków, wiewiórek albo szopów. Wszystkie drzwi były otwarte.

Już mają wychodzić, gdy ten o wyglądzie życzliwego goblina przystaje w progu.

– Te ich eksperymenty… Wie pani, sam mam psy. Jak można zrobić coś takiego zwierzęciu?

Kręci głową, a potem wychodzą.

Składam ich ciała obok siebie, w cieniu jakarandy. Mia i Falcon żyli i umarli w Sundial – a teraz zostaną tu na zawsze. Trudno stwierdzić, czy to z mojej strony akt zemsty, czy przebaczenia. Zamawiam w Ojai dwa duże nagrobki.

Czasem się zastanawiam, czemu nie sprzedałam domu przesiąkniętego krwią moich najbliższych. Ale to właśnie dlatego nie wolno mi nigdy się go pozbyć.

Opowiadamy ludziom w Bone, że Jack wyjechała do Nebraski. Zdaniem tamtejszych mieszkańców zawsze były z nią kłopoty, a takimi dziewczynami nikt się zbytnio nie przejmuje. Ale ja często o niej myślę, spoczywającej w ziemi przy zegarze słonecznym, dotrzymującej towarzystwa mojej małej córeczce.

Rob

Przerywam opowieść. Nie chcę, żeby Callie wiedziała, co nastąpiło później. Powolna, stopniowa zdrada. W ciągu następnych miesięcy i lat przekonałam się, jak wyniszczającym uczuciem jest strach przed mężczyzną, którego poślubiłam. A później także przed córką.

– To znaczy, że nie jestem twoim dzieckiem. – Callie siedzi z otwartą buzią. Na jej gładkiej, nijakiej twarzy taka mina może oznaczać dezorientację albo coś w rodzaju zachwytu. Czy zrozumiała to, co powiedziałam? Musimy się zrozumieć, bo nie zamierzam dalej udawać.

– Nigdy tak nie mów. Jesteś moją córką.

I to prawda. Kocham Callie. Powinnam była odejść od Irvinga dawno temu. Ale zdawało mi się, że normalność jest zbroją. Sądziłam, że pomoże mi chronić moje dzieci.

– Powinnaś napisać do taty – szepcze Callie, jakby się bała, że Irving nas usłyszy. – On do ciebie pisał, mamo. Wiesz, że powinnaś odpowiedzieć.

– Grzebałaś mi w torebce? – Panuję nad głosem. Nie chcę jej teraz wystraszyć.

Co dziwne, że choć wokół jest pełno duchów, w uszach rozbrzmiewa mi akurat głos Mii. Niemal widzę, jak stoi przede mną z poważną miną i strzykawką w dłoni.

Zrobiłabyś to samo, by ocalić swoje dziecko.

Przepowiadam sobie swoje motywacje. Rysuję w głowie drzewo. Jak będzie wyglądało życie Callie? Przecież nigdy nie wyzdrowieje. Jak poradzi sobie w świecie? Spoglądam na jej pozbawioną wyrazu twarz, obojętne zielone oczy i chyba po raz pierwszy dostrzegam, co się w nich

kryje. Niewinność. Callie patrzy na leżące na stoliku przedmioty, świeżo wydobyte z czerwonej ziemi Sundial. Niebieski futerał i wydarte z zeszytu kartki, a na nich historia naszych imion i miejsca, którego nie pamiętam, choć zalega gdzieś w najmroczniejszych zakamarkach mózgu. Historia fermy szczeniąt. Moja córka od początku nie miała szans.

Przyrzekłam że będę chronić je obie, i zamierzam dotrzymać przyrzeczenia.

Każdy z nas nosi w sobie opowieść, która go definiuje. Sądziłam, że znam swoją. Myliłam się – przeżywam ją teraz. Teraz właśnie muszę podjąć najważniejszą decyzję w życiu. Przed oczami wyrasta mi drzewo, a z każdej gałęzi zwisa straszny owoc.

Poklepuję kieszeń dżinsów, żeby sprawdzić, czy klucz do pokoju Callie wciąż tam jest. Wszystko gotowe. Oddycham głęboko.

– Hej, kochanie, pójdziemy policzyć gwiazdy z twojego okna? Bardzo chciałabym popatrzeć na coś pięknego.

Callie

Opowieść mamy w pewnym sensie dała efekt, bo teraz rozumiem. Rozumiem piosenkę Bladej Callie. To we mnie mama zamierza wbić igłę – żeby zmienić mnie w inną córkę. Między nami leży niebieski futerał. Lekko błyszczy w resztkach słońca, jakby chciał powiedzieć: „Hej, nie jestem wcale taki zły".

– Walczyłam o ciebie z całych sił, Callie – mówi mama. – I zamierzam walczyć dalej. Nie pozwolę, żebyś stała się taka jak ona.

Mama przygryza wargę, całkiem jak Annie. Wygląda bardzo młodo. Dotyka oka, jakby poprawiała soczewkę – ale przecież nie nosi soczewek. Ma smutną, smutną buźkę i lśniące, mokre oczy. W pierwszej chwili prawie się nabieram. Mam ochotę ją przytulić. Już dobrze, mamuśka. Ale jej wzrok znów prześlizguje się w stronę futerału.

– Hej, kochanie, pójdziemy policzyć gwiazdy z twojego okna?

Mama czy nie mama?

Wchodzimy na górę, jak gdyby nigdy nic. Serce mi wali.

– Zapal światło, skarbie – mówi mama, zatrzymując się przy drzwiach. Jedną rękę trzyma w kieszeni. Wiem, że ma tam klucz do pokoju.

Wchodzę do środka. Kiedy sięgam do włącznika, drzwi zaczynają się zamykać. Ale ja jestem gotowa i rzucam się na nie z całej siły. Z hukiem uderzają ją w głowę, mama się zatacza. Wyrywam jej klucz i wpycham ją do pokoju. A potem zamykam drzwi. Całe szczęście, że wypiła wcześniej kilka kieliszków wina.

Zbiegam na dół, w stronę wyjścia i ciemności. Gdy mijamy salon, Blada Callie szepcze: *Weź go*.

Chwytam futerał ze stolika i biegnę, a Blada Callie krzyczy mi do ucha: *Szybciej, szybciej*! Zasuwka w frontowych drzwiach jest lepka. Z góry słychać łomotanie mamy.

Otula mnie chłodny pustynny zmierzch. Z tyłu dobiegają mnie jej krzyki:

– Callie? Callie, wypuść mnie!

Wiatr się wzmaga, dmucha piaskiem. Kucam za kępą kaktusów. Światło ma kolor siniaków, kolor burzowych chmur. W górze świecą wczesne, zimne gwiazdy. Gdybym tak się nie bała, byłabym szczęśliwa. Jest pięknie. Z całej siły ciskam klucz w ciemność.

Jak myślisz, czy to Jack, czy Rob? – szepcze mi do ucha Blada Callie. *Zastanawiałaś się nad tym? Może to wszystko były kłamstwa.*

Kiwam głową, bo tak, zastanawiałam się.

Wsuwam niebieski futerał do rękawa swetra i ruszam poprzez ciemność, skradając się powoli na tyły domu. Z jego wnętrza dobiegają stłumione krzyki mamy nie mamy. Brzmi, jakby była obłąkana. Nie, ona jest obłąkana.

Muszę przeczekać noc w ukryciu, a kiedy wzejdzie słońce, dojdę do szosy, znajdę telefon i złapię stopa. Pewnie porwie mnie jakiś psychopata. Ale z pewnością nie będzie gorszy od psychopatki, przed którą uciekam. Może schować się w laboratorium? Serce zamiera mi na myśl o spotkaniu z duchami, które tam mieszkają. Z psami bez czubków głów. Zresztą budynki są obwiązane łańcuchem i zamknięte na kłódkę.

Czemu nie ukradłam mamie telefonu, kiedy była okazja? Ale jestem głupia. Ciemno się robi.

Nagle coś wyrasta przede mną w półmroku. Cicho krzyczę z przestrachu, ale to tylko wielka jakaranda rozczapierza gałęzie na tle nieba. Dziwnie pomyśleć, że to właśnie tu, pod tym drzewem, wiele lat temu mama poznała tatę. Tylko nie wiem, która mama.

Tata próbował mnie ostrzec, ale nie słuchałam. Głupia, ale jestem głupia.

Już nie słyszę jej krzyków. Czy to kroki? Mama nadchodzi. A może to wiatr? Przecież nie mogła się wydostać. Serce bije mi tak mocno, że na pewno słychać je z daleka. Wskakuję w rozwidlenie pnia i krzywię się, gdy drzewo odpowiada głośnym szelestem. Na chwilę wstrzymuję oddech, ale nie słychać nic prócz odgłosów nocy, więc może to jednak był wiatr. Najciszej, jak potrafię, wdrapuję się na gałęzie. Miło tu. Drzewo kołysze się lekko na wietrze. Czuję, że jestem blisko nieba.

Dobrze, zostań. To jeszcze nie czas – mówi Blada Callie.

Świetnie, wielkie dzięki za pomoc. Nie tylko ona ma cięty język.

Wspinam się wyżej, do miejsca, w którym gałęzie tworzą rodzaj krzesełka. Ostrożnie odchylam się do tyłu. Trzymają mocno. Plastikowy futerał wbija mi się w przedramię. Wysuwam go z rękawa. Rękaw swetra jest teraz cały porozciągany. Nienawidzę tego.

Otwórz go – mówi Blada Callie.

Pora wyrzucić klik. Rozwalić strzykawkę o pień, pozwolić, by wsiąkł w ziemię Sundial i zniknął na zawsze.

Powoli otwieram futerał. Boję się, ale jednocześnie mam wielką ochotę sprawdzić, co jest w środku, tak jak ma się ochotę patrzeć na rekiny i jadowite węże, na istoty, które chcą nas skrzywdzić.

Wewnątrz leży strzykawka. Igła połyskuje upiornie w resztkach dziennego światła.

Cylinder jest pusty. Ostrożnie wyciągam strzykawkę. Potrząsam nią lekko, żeby się upewnić, że to nie złudzenie. Ale tłok z całą pewnością jest pusty. Czy kiedykolwiek nie był? Coś się dzieje, coś innego, niż myślałam.

Z oddali dobiega niewyraźny szum silnika. Na odległej szosie pojawiają się dwa światełka. Patrzę, jak rosną, zmieniają się w bliźniacze gwiazdy. Ktoś nadjeżdża od strony Cielo i może to być tylko jedna osoba. Tak jak sądziłam, skręca ku Sundial.

Odkładam strzykawkę do futerału i wsuwam z powrotem do rękawa. Nawet pusta jest moją jedyną bronią. Ześlizguję się po pniu, zdzierając sobie skórę z rąk.

Blada Callie jest teraz srebrnym żuczkiem wczepionym w płatek mojego ucha.

Nie idź tam.

Nie słucham. Gdybym tylko zdołała dobiec do samochodu, zanim mama go usłyszy…

Potykając się, mijam masyw domu. Światło sączy się przez żaluzje i okiennice. Biegnę ku reflektorom, ku bezpieczeństwu, obijając sobie golenie o niewidzialne przeszkody. Gdzie jest mama? Oddycham szybko. Wpadam na środek podjazdu i prawie się przewracam, dziko wymachując rękami w smudze oślepiającego światła. Zbyt późno uświadamiam sobie, z jaką prędkością jedzie ten samochód.

Za plecami słyszę odgłos szybkich kroków. Ktoś wybiega z ciemności i chwyta mnie w ramiona. Ściąga mnie z trasy samochodu, który z piskiem opon ślizga się po podjeździe.

– Mogłaś zginąć – mówi mama ostrym szeptem. – Co ty wyprawiasz?

Szarpię się w jej objęciach, tymczasem samochód się zatrzymuje. Osłaniamy oczy przed białym blaskiem reflektorów. Ze środka wychodzi jakaś wysoka postać.

– Tato? Tato! – Jestem taka szczęśliwa, że go widzę.

– Irving – mówi mama.

– Nie spodziewałaś się mnie, prawda? – W głosie taty słychać zadowolenie.

Czuję, jak mama kręci głową.

– Trzeba było mi pozwolić cię tam zamknąć – szepcze mi do ucha. – Dobrze, że prześcieradła są mocne.

Powinnam była pamiętać, że mama od lat miała przemyślaną drogę ucieczki z tamtego pokoju.

– Chodź do mnie, Callie – mówi tata.

– Zostań. – Mama jest spokojna, ale w jej głosie czai się strach. Obejmuje mnie mocniej.

– Przyjechałem po swoją córkę.

– Ona nigdzie z tobą nie pojedzie.

Tata swobodnie przysiada na masce.

– Nie nadajesz się na opiekunkę. Callie, skarbie?

Wiem, co chce usłyszeć.

– Boję się mamy – szepczę. – Potrząsała mną. I chce wbić mi igłę.

– Callie, proszę. – W głosie mamy słychać łzy. – Callie…

– Puść mnie – mówię, a ona, ku mojemu zaskoczeniu, spełnia prośbę.

– Wskakuj do tyłu i zapnij pas, dobrze, Callie? – odzywa się tata.

Spoglądam na tylne siedzenie – jest puste. Moje serce zmienia się w lodowatą bryłę.

– Nie przywiozłeś Annie, tato?

– Nie, kochanie. Wkrótce ją zobaczysz.

– Ale gdzie ona jest? – Serce pompuje teraz chłód do całego ciała. To strach.

– Została z Hannah. Z panią Goodwin. Nie martw się, kochanie. Wszystko jest w porządku.

– A pan Goodwin i chłopcy?

Tata rzuca mi szybkie, zniecierpliwione spojrzenie. Widzę, że ma dość moich pytań.

– Wyjechali pod namiot. Pani Goodwin się nią dobrze zajmuje. – Potem zwraca się do mamy: – Annie tak się ucieszyła, kiedy zobaczyła Hannah. Własna matka porzuciła ją w chorobie. Teraz ma traumę. Wiedziałaś, że twoja młodsza córka nigdzie się nie rusza bez tej swojej różowej lampki? Jest przerażona. To nienaturalne.

– Tato! – wołam. – Tato, nie powinieneś jej tam zostawiać!

– Uspokój się, dobrze? – Jesteśmy z tatą kumplami, oczywiście, że tak. Ale teraz mówi tym samym tonem co podczas ciągnięcia za włosy. – Ostatni raz powtarzam, Rob. Callie jedzie ze mną. – Odwraca się do mnie. Znów ten głos. Nienawidzę go i nagle zaczynam się wahać. – Wsiadaj, natychmiast.

Zbliża się do nas, a wtedy mama zastępuje mu drogę.

– Nie.

Ich ciemne sylwetki o płonących krawędziach czernieją w świetle reflektorów. Tata wyciąga rękę, a mama robi krok do przodu i cienie się stykają. „Całują się” – myślę z zaskoczeniem, ale zaraz dociera do mnie, że tata trzyma mamę za włosy. Drugą ręką robi jakiś szybki ruch i słychać chrupnięcie. Mama zgina się wpół. Dotyka dłonią twarzy, spomiędzy palców spływa jej coś ciemnego.

– Callie. – Wydaje się spokojna, ale mówi przez nos, jakby miała katar. Kiedy spluwa, na ziemi zostaje czerwony kleks. – Wracaj do domu. Zaraz do ciebie przyjdę.

Tata znów cofa pięść. Mama wyciąga rękę, jakby grzecznie odmawiała bułki przy śniadaniu. Jej głowa pod wpływem ciosu odskakuje niczym pchnięta kijem kula bilardowa. Szyja wiotczeje. Próbuję krzyczeć do mamy, żeby uciekała, ale wargi odmawiają mi posłuszeństwa, otwierają się tylko i zamykają jak u ryby. Mama leży na ziemi, dziwnie podświetlona łuną reflektorów. Ostre cienie padające na jej twarz wyglądają jak głębokie dziury. Nagle zwija się kurczowo od kopniaka w brzuch. Tata stoi nad nią, nagle bardzo wysoki. Czemu nigdy wcześniej tego nie zauważyłam?

Wsuwam rękę do kieszeni i wyciągam kontroler. Gwałtownie przyciskam guziki.

Do nogi.

Poluj.

Do nogi.

Wiem, że to na nic. Czego się spodziewałam? Że na ratunek przyjdą nam psie duchy? Równie dobrze mogłabym walić pięścią w ziemię. Ale kontroler to wszystko, co mam. Widzę tatę i mamę sczepionych w potwornym uścisku, ciałem mamy coś targa na prawo i lewo, bezwładne ramiona szorują po ziemi. PRZERAŻONA BUŹKA.

Mama powtarza moje imię, a tata bierze zamach i widzę, że zaraz kopnie ją w głowę. Mama już tylko leży, a mnie chce się krzyczeć, sama chętnie bym ją uderzyła, bo dlaczego nie wstaje, dlaczego nie ucieka?

Ruszam biegiem i wpadam na tatę. Słyszę „uff", a zaraz potem leci pięść. Gdy zderza się z moim bokiem, wylatuję do góry i z łomotem spadam na ziemię. Przed oczami wybucha mi chmura migoczących drobinek, a kiedy się rozprasza, mama klęczy obok, zasłaniając mnie własnym ciałem.

– Zostaw ją – mówi do taty. Słowa zlewają się w gęstą maź. Krew.

– Uderzyłaś naszą córkę, Rob. – W głosie taty słychać szok. – Chodź do mnie, Callie. Mama nie jest stabilna.

Nie rozumiem, bo to przecież on mnie uderzył. On, prawda?

Blada Callie szepcze do mnie: *To już czas, Ciepła Callie. Ruszaj.*

Wywijam się mamie, wstaję i biegnę, z dala od domu i podjazdu, w stronę pustyni, wśród zwalonych szop i kaktusów, potykając się

o kamienie. Blada Callie mknie przede mną niczym srebrna strzała, oświetlając mi drogę.

Biegnij za moim światłem – mówi. *W kierunku zachodniego płotu.* Krzaczki bylicy tworzą pajęcze kształty w zapadającej nocy. Resztka słońca kładzie się czerwoną smugą na szczytach pasma Cottonwood. Z tyłu ktoś woła. Oglądam się. To mama szarpie się na ziemi.

– Callie! – krzyczy.

Słychać ryk silnika i gwiazdy reflektorów jarzą się jeszcze mocniej. Tata wjeżdża samochodem w zarośla, podskakuje na wybojach. Pędzi mamę przed sobą jak owcę. Ale potem ją mija, zostawia w ciemności i teraz światła chcą dopaść mnie.

Szybciej. Blada Callie mknie naprzód.

Na mojej drodze wyrasta płot, czarne romby na tle granatowego zmierzchu. Wpadam na niego zdyszana. Boję się. *Co teraz? Co tu robimy?*

Już czas.

Rozglądam się, ale nie ma innej drogi. Otaczają mnie siatka i gęste kępy cachanilli. W nocnym powietrzu unosi się mdlący zapach kamfory. Zbliżające się światła omiatają ziemię. Tata i mama już nadchodzą. *Oszukałaś mnie. To pułapka! Mam być blada, jak ty!*

Blada Callie milczy. To daje nura za płot, to wraca, przenikając przez oczka siatki. Chyba sprawia jej to przyjemność. Płaczę. Białe reflektory są coraz bliżej, silnik ryczy jak potwór. Czy tata się zatrzyma? A może nas rozjedzie?

Powódź światła zalewa ziemię. Osłaniam oczy, a tata hamuje z rykiem. Wysiada i otwiera tylne drzwi.

– To niebezpieczne, tak biegać po nocy. Jedziemy, kumpelko. Wskakuj.

Dotykam obolałej skóry w miejscu, gdzie wylądowała jego pięść. I z drugiej strony, tej, którą walnęłam o ziemię.

– Ja nie chcę, tato – odzywam się szeptem. – Uderzyłeś mnie.

– Nie zmyślaj – rzuca zniecierpliwiony. Podchodzi i bez trudu unosi mnie w powietrze. W college'u był członkiem drużyny wioślarskiej. Jest wielki i potężny jak dom. Pachnie czystością. Próbuję się wyszarpnąć,

ale on trzyma mocno, za mocno, zaciskając ramię na moim piekącym boku. Boli.

Mama chwiejnym krokiem wbiega w białą łunę. Jest pokryta krwią, która wygląda jak czarna farba. Coś jej się stało w nogę. Dopada nas i chwyta tatę za pasek. On odpycha ją kopniakiem. Mama stęka głośno i mam wrażenie, że słyszę, jak w jej ciele pęka jakaś ważna kość. Bije od niej woń strachu. Tata znów popycha ją na ziemię, ale ona dalej go trzyma. Wyciąga do mnie rękę, spodem do góry.

– Callie – szepcze bezgłośnie, zakrwawionymi wargami.

Jeśli oddam jej strzykawkę, to będzie znaczyło, że zdecydowałam.

Które wybrać? – pytam Bladą Callie.

Sylwetka Bladej Callie pęcznieje na tle nieba, unosi się nad pustynią, bezkresna jak gwiazdy. *Niech mu w oko igłę wbiją.* Jej głos jest wszędzie, dobiega ze wszystkich stron.

Potrząsam ręką i klik wysuwa się z rękawa. Rzucam go mamie. Mama łapie tatę za nogi i lecimy. Tata wydaje z siebie przeraźliwy orli krzyk. Uderzam o ziemię i wyrywam się z jego osłabłych ramion. Tata obraca się na plecy, a mama wpełza mu na pierś jak jaszczurka.

Odgłos pięści uderzającej w kość policzkową jest donośny jak wystrzał. Trach! Mama chwieje się, ale go nie puszcza.

– Nie patrz, Callie! – woła. Nad głową trzyma lśniącą igłę. Opuszcza ją, a z ust taty wyrywa się wrzask.

– Zasłoń oczy! Zasłoń i nie odsłaniaj! – krzyczy mama.

Ale ja nie jestem w stanie tego zrobić. Tata pełznie ku niej jak robak. W jego oku widzę srebrny błysk. Mama się cofa, za wolno. Tata wyciąga rękę. Zaciska palce na jej kostce.

Za tobą – mówi Blada Callie. *Cofnij się.*

Nie trzeba mi dwa razy powtarzać. Odsuwam się od tej strasznej, pełzającej rzeczy. Ziemia osuwa mi się spod nóg i wpadam w dziurę, zagłębienie w twardym gruncie. Jakieś zwierzę tu kopało. Teraz widzę dlaczego. Pod cienką warstwą ziemi rysują się kontury szkieletu. Na wierzchu leży kość udowa i czaszka opleciona jakimś pnączem, wypełzającym z oczodołów niczym żmija. Znam się na kościach zwierząt

i wiem, że to krowa, jeszcze zanim mój wzrok pada na dzwonek połyskujący w księżycowym świetle.

Podnieś ją. Dasz radę – mówi Blada Callie.

Biorę do ręki krowią kość.

A teraz rzuć jej to. Już czas.

Blada Callie skrzy się jaśniej niż reflektory. Nasze cienie rysują się ostro na pylistej ziemi.

– Mamo! – wołam i rzucam jej kość. Ląduje przy niej z głuchym łomotem, a mama spogląda na mnie z zaskoczeniem. Tata wyciąga rękę. Twarz spływa mu krwią.

Zatykam uszy. Ostatnie, co widzę przed zamknięciem oczu, to mama klęcząca w świetle księżyca, unosząca oburącz kość.

Wreszcie zapada cisza. Podnoszę powieki. Mama leży koło mnie z zamkniętymi oczami. Chyba jest nieprzytomna, ale oddycha. Całe szczęście.

Nie patrzę na to, co leży nieopodal, w białej łunie reflektorów.

WIELKI. CZERWONY. IKS.

Niech mu w oko igłę wbiją – mówi zadowolona Blada Callie. Ale ja jestem cała upiorną, przerażoną buźką. Nie umiem poradzić sobie z tym, co się zdarzyło. Mam dreszcze na całym ciele, a do gardła podchodzi jakaś gorąca ciecz. Krztuszę się.

Bladej Callie jest smutno, że się denerwuję. Rozprasza się w chłodną srebrno-złotą mgiełkę i otula mi skronie jak korona. Już mi lepiej i serce nie wali tak mocno. To, co na skraju pola widzenia, przestaje tańczyć i dygotać.

Zawsze myślałam, że nie jesteś prawdziwa – mówię do Bladej Callie. *Zdawało mi się, że cię wymyśliłam. Kiedy mama opowiedziała mi o kliku, pomyślałam: to ma sens. Odziedziczyłam jakiś defekt w mózgu. Kim jesteś, Blada Callie?*

Przecież wiesz.

Nic na świecie nie ma sensu, a wszystko, w co wierzyłam, okazało się nieprawdą. Postanawiam pójść za podpowiedzią serca, choć przecież nie ma to sensu. *Chyba jesteś moją siostrą.*

Zgadza się – odpowiada zadumanym głosem.

Strasznie piecze mnie bok.

Wiem. A mimo to się nie poddajesz.

Tak się cieszę, że tu jesteś.

Blada Callie wzdycha i rozciąga się, otulając srebrno-złotą poświatą całe moje ciało. *Ja też.*

Powoli zaczyna tracić kontury. *Tutaj moja droga się kończy. Udało się, w ostatniej chwili, udało się, prawda? Pomogłam. Czasem łosie mylą mi się z łososiami…*

Byłaś wspaniała. Oświetliłaś mi drogę. No i to ty znalazłaś kość.

Łosie, łososie. Łoboda, łąka, Łotwa. Blada Callie rozprasza się w powietrzu, aż zostaje z niej garść srebrnego pyłku. Głos cichnie, staje się szeptem. *Łopata, łania, łobuz…*

Zaczekaj, Blada Callie, nie odchodź! – krzyczę, bo jej potrzebuję. Zawsze przy mnie była.

O, już tu są. Jak dobrze – szepcze cichutko. A potem ostatnie srebrne iskierki rozpływają się w ciemności i zostaje tylko wiatr. Blada Callie odeszła. Tak mi smutno, tak ciężko. Dopiero co pojęłam, kim była.

– Callie?

Mama jest przytomna. Wpatruje się w przestrzeń w oddali, w ciemność poza łuną reflektorów. Coś tam się porusza, na obrzeżach światła.

– Boże – mówi. – Przyszły.

Rob

Wchodzi w świetlną łunę jak do siebie. Bo faktycznie tu jest jego dom. Zestarzał się, posiwiałe futro tworzy rzadkie kępki. Ale cementowa czapeczka pozostała nietknięta. Nawet bez niej poznałabym go wszędzie. Odwraca się, jakby słyszał moje myśli, i uśmiecha się szeroko, a ja widzę, że w potężnym pysku brakuje kilku zębów. Zastygam w bezruchu pod spojrzeniem złotych ślepi. Odbija się w nich cała pustynia, a on nadal jest jej królem.

– Nie ruszaj się – mówię cicho do Callie. Nie mogę kazać jej zasłonić oczu, na wypadek gdybyśmy musiały uciekać.

Z tyłu zbliża się reszta, dotąd wtopiona w cień gęstych krzaczków cachanilli. Musiały się przekopać pod płotem gdzieś w pobliżu. Jest ich pięć, może sześć. Mają te same żółte ślepia, ale nie są w pełni kojotami. Z głowy jednego wesoło sterczy zmierzwiony czubek. Inny ma podpalaną sierść owczarka niemieckiego. Kojot podchodzi do Irvinga. Przystaje na moment. Potem opuszcza łeb i chwyta potężnymi zębami skraj nogawki. Pociąga delikatnie, badawczo.

Irving porusza się. Palce drgają mu lekko. Jęczy cicho, jakby posmakował czegoś niedobrego. Kojot nieruchomieje, a potem jeszcze raz pociąga za nogawkę. Niemal uprzejmie, jakby prosił: „Pobaw się ze mną". Palce Irvinga znów drgają, szukając innej dłoni, której mogłyby się złapać.

Kość leży nieopodal, śliska od krwi. Mogłabym ją chwycić, z krzykiem rozpędzić psy. Kto wie, może by się udało. Oddycham głęboko i myślę o drzewie decyzyjnym. Myślę o Annie, o jej delikatnych kończynach, tak podatnych na sińce, o jej wielkich oczach i wewnętrznym przekonaniu,

że świat to dobre miejsce. Odwracam się i napotykam spojrzenie Callie. Moja dziwna, mądra córka, wiecznie skłócona ze światem.

Nie ruszam się.

Reszta psów powoli wychodzi z zarośli. Zbierają się wokół Irvinga i przeciągają go w cień olbrzymiego kaktusa. Wzdycham głęboko i rzucam za nimi okrwawioną kość. Nimue. Leżała tu tyle lat. Mam nadzieję, że śmierć dopadła ją szybko. Mam nadzieję, że nie cierpiała. Nieduży, krępy piesek odrywa się od stada, chwyta kość i dumnie wywleka ją w mrok.

Nie ma w tym nic dziwnego. Potomkowie psów z Sundial nauczyli się przez lata, że właśnie tu, pod płotem, zawsze zostawiam im jedzenie.

– Chodź, kochanie. Mamy coś do zrobienia.

Delikatnie podnoszę Callie z ziemi. Jej ciało, zwykle sztywne i niechętne, poddaje się mojemu dotykowi. Czy skrzywdziłam ją dziś bardziej, niż Irving zdołałby ją kiedykolwiek skrzywdzić? Nie ma sensu się nad tym zastanawiać. Dokonałam wyboru. Teraz musimy z nim żyć.

Fotel kierowcy wciąż jest ciepły. W samochodzie unosi się czysty, zbyt czysty zapach Irvinga. Na tablicy rozdzielczej leży telefon. Obok, w uchwycie na kubek, tkwią równiutko bateria i karta SIM.

– Nie musiał tego robić – odzywa się Callie, pierwszy raz od tamtego. – Jak nie chcesz, żeby namierzyła cię policja, wystarczy wyłączyć telefon.

– Jesteś taka bystra, Callie.

Nie odpowiada. Obie rozumiemy już, jakie miał zamiary. Powinnam poczuć się lepiej z tym, co zrobiłam, ale nie czuję się lepiej.

Zapalam silnik i ruszamy. Samochód trzęsie się na wybojach, szoruje podwoziem o kamienie i krzaczki. Coś pęka z trzaskiem pod podłogą. Nieważne. Skręcamy z podjazdu na szosę. Callie nie pyta, dokąd jedziemy. Może wie. Reflektory oświetlają jezdnię widmowym blaskiem. Poruszamy się jak statek kosmiczny albo podwodny stwór. Uświadamiam sobie, że mocno dostałam w głowę. Tymczasem z ciemności wyłaniają się czarne kształty Honesty.

Skręcam z drogi i wjeżdżam w labirynt pogiętego metalu i skruszałej cegły. Gdy docieramy do wielkiego szybu, zatrzymuję się i otwieram

drzwi. Światła reflektorów padają wprost na portal. Uświadomiwszy sobie, co chcę zrobić, Callie krzyczy:

– Nie! Nie tutaj! To ich dom!

Teraz, gdy to powiedziała, też je słyszę. Skomlenia i poszczekiwanie odbijają się upiornym echem od ścian tunelu. A więc nie całe stado wyszło dzisiaj na łowy. Nagle ciemność przenika długi, rozwibrowany dźwięk: przeciągły, wysoki zew kojociego szczenięcia. Muzyka nocy, muzyka pustyni, podzwaniająca głęboko w podziemnych otchłaniach.

Zamykam drzwi i ruszamy skosem w lewą stronę. Zatrzymujemy się przy drugim szybie – ten jest szerszy i wygląda na starszy. Oby był również głębszy.

Wyłączam silnik. Reflektory dalej świecą, nie gaśnie też światło w kabinie. Mechanizm zabezpieczający. Wysiadamy i popychamy samochód. Maszyna toczy się powoli w dół osypiska, światła gasną niczym spadające gwiazdy. Nagle słychać potężny łoskot. Brzmi jak odgłos końca świata. W głębi tunelu błyska straszliwa łuna, jakby lawy albo podziemnego demona.

– Teraz będę bardzo samotna – mówi Callie, zapatrzona w portal.

Te słowa są jak cios nożem w serce. Głaszczę ją po głowie.

– Och, kochanie. Ja zawsze będę obok. Będę dla ciebie mamą i tatą.

– Nie o to chodzi. Tęsknię za Callie.

Nagle otwierają się we mnie jakieś straszliwe, ciemne otchłanie. Czyżbym ostatecznie zmąciła umysł mojego dziecka?

W pobliżu ktoś cicho płacze. To ja. Callie lekko klepie mnie po ręce.

– Już dobrze, mamo. Musiałaś. Wiem, że nie miałaś wyjścia.

Oddycham głęboko. Muszę się trzymać, muszę to zrobić dla niej. Delikatnie ujmuję jej dłoń.

– Chodź – mówię zachrypniętym, piskliwym głosem. – Chodźmy stąd, kochanie.

Jeszcze przez chwilę w głębi szybu mżą światła reflektorów. Potem gasną i zapada ciemność.

Arrowood

Callie, schylona w mglistym świetle poranka, biegła tropem śladów odciśniętych w miękkiej ziemi. Tak jak się spodziewała, ślady urwały się przy wejściu do zachodniej wieży, w której mieszkały Chuliganki z Ósmej. Pewnie wszystkie odsypiały właśnie wieczorne zajęcia, bezbronne wobec panny Grainger i jej złotych oczu.

Drzwi ustąpiły z cichym skrzypnięciem i Callie wśliznęła się w mrok klatki schodowej. Powietrze było ciepłe od oddechów czterdziestki śpiących dziewcząt. Czy jej się zdawało, czy usłyszała stukot pazurów o kamienną posadzkę, jakby między łóżkami skradał się wielki złocisty pies?

Na dłoniach Callie wciąż widniały lekkie fioletowe smugi. Pomyślała o tym, co ją czeka, i zmarszczyła brwi. Ale Arrowood nauczyło ją, że czasem właściwa decyzja to ta najtrudniejsza.

– Zawsze musisz zgrywać bohaterkę?

Callie odwróciła się powoli. Z mgły wyszła ciemna sylwetka. Callie podbiegła do Jack i rzuciła się jej na szyję.

– Wróciłaś – wyszeptała. – Teraz wszystko na pewno się ułoży.

– Przestań. – Jack ją odepchnęła i Callie nagle spostrzegła, że zamiast oczu ma dwie złote monety.

– Odmieniła cię.

– Owszem – powiedziała Jack. – I bardzo się z tego cieszę. Nie obchodzą mnie już lekcje gry na mandolinie, oceny, szkolne odznaki czy awans na prefektkę. Teraz panna Grainger i ja latamy pod nocnym

niebem. Zakradamy się ludziom do sypialni i zjadamy ich sny. Wspomnienia smakują jak ciepła oranżada, wiedziałaś o tym, Callie?

– Wcale nie musi tak być – zaprotestowała Callie.

– Zdaje ci się, że jesteś taka bystra. Wiem, że paliłaś szałwię, żeby nas sprowadzić, zwabić w pułapkę. Wciąż cuchną ci nią ręce. Ale nic z tego. Panna Grainger już tu jest. Wszystkie dziewczęta zginą, a ty razem z nimi.

Z głębi wieży dobiegł cichy odgłos jakby dartego płótna.

– Nie pokonasz jej – oznajmiła Jack.

– Masz rację. Ja jej nie pokonam, ale możemy zrobić to razem.

– Nie licz na to. – Jack podeszła bliżej i chwyciła Callie za ramiona, ścisnęła mocno jak imadłem. – Zaraz zjem twoje wspomnienia.

Callie błyskawicznym ruchem wydobyła z rękawa brzytwę. Przejechała ostrzem po oczach Jack. Ta cofnęła się gwałtownie, tłumiąc okrzyk i zasłaniając twarz rękami. Za późno. Callie wyłupiła jej oczy. Złote monety wystrzeliły w powietrze, spadły i bezgłośnie zniknęły w wilgotnej trawie.

Jack powoli opuściła ręce i spojrzała na Callie zdumiona. Jej tęczówki odzyskały zwykły niebieski kolor.

– Szybka jesteś.

– Mam znakomity refleks – stwierdziła Callie. Pani Oolong od zajęć sportowych zawsze jej to powtarzała.

Z góry, z wnętrza wieży, wciąż dobiegały ciche odgłosy. Jakiś szmer, jakby coś zostało na zawsze rozdarte.

– Za późno – stwierdziła Jack.

– Zdążymy jeszcze kogoś uratować – powiedziała Callie.

– Wykorzystałaś je.

– Musiałam ją tu zwabić za pomocą szałwii, bo wiedziałam, że cię przyprowadzi. I musiałam odwrócić jej uwagę, żeby cię odzyskać.

– Postarałaś się – powiedziała Jack i Callie zdawało się, że jest na nią zła. Ale wtedy Jack uściskała ją mocno. – Naprawdę sądzisz, że ją pokonamy?

– Mam nadzieję. Jestem jej rodzoną córką, a ty przybraną, pamiętasz? Córki są źródłem wielkiej magicznej mocy, tak nam powiedziała. Ale teraz jesteśmy siostrami, a to też wielka magia. – Callie z kliknięciem otworzyła brzytwę. Poczuła ciepłą dłoń Jack w swojej dłoni.

– Za Arrowood – szepnęła Jack.

– Za Arrowood – odszepnęła Callie.

I razem, trzymając się za ręce, zaczęły skradać się na górę.

Rob

Wracamy piechotą wzdłuż szosy do Sundial. Oglądam swoje dłonie w świetle księżyca. Są oblepione krwią i ziemią.

Nie powinnam się dziwić, że Irving przyjechał mnie zabić. W końcu sama tego chciałam. Moja siostra podpowiedziała mi to rozwiązanie. Gdy tylko przeczytałam jej list, zrozumiałam, że nigdy nie podam Callie klika. Jack pokazała mi inną drogę. „Dzieci to lustra odbijające wszystko, co im się przytrafia. Dlatego trzeba otaczać je dobrem. Pamiętaj o tym, Sundance".

Irving nie miał w sobie nic z dobra. Nie mogłam znieść myśli o tym, że zaczął odbijać się w Callie.

Wiedziałam, jak skłonić go do przyjazdu. Siedemnaście razy z rzędu nie odbierać telefonu. Drażnić go drobnymi gestami to sprzeciwu, to kapitulacji. To napinać, to popuszczać linę, ignorować go, by po chwili znów zaogniać sytuację. Miałam to wszystko w małym palcu – nauczył mnie tego sam i nauczyło nasze małżeństwo. Wiedziałam, jak się wścieknie, zepchnięty na boczny tor. Wiedziałam, ile okazać cierpienia, żeby nie wytrzymał i przyjechał popatrzeć na nie z bliska. Wiedziałam, jak sprawić, by się zagotował, jak wywabić na wierzch robaki, skłonić go, by tu przyjechał i spróbował wszystko zakończyć. Zwłaszcza ostatnich kilka wiadomości stanowiło pokaz skomplikowanej ekwilibrystyki.

Irving: „Nie myśl sobie, że odejdziesz. To ja cię zostawię. Hannah da mi o wiele więcej".

Ja: „Mam nadzieję, że będziecie szczęśliwi". I, po namyśle: „Będziesz musiał zdejmować buty w progu. Wiesz, że tego pilnuje". Irving

nienawidził zdejmowania butów w domu.

„Nikt mnie do niczego nie zmusi". Kłócili się. Czułam to. Może Hannah już odkryła, w co się wpakowała.

„Prawda jest taka, że boisz się zostać bez kobiety". Sądzę, że to rzeczywiście była prawda.

„Uważaj, Rob. Bo wezmę dziewczynki i wrócę na wschód".

„Hannah nigdy się nie zgodzi rozdzielić mnie z dziewczynkami".

„To pojadę sam. Nigdy mnie nie rozumiałaś, Rob".

Odczekałam chwilę, a potem odpisałam: „Pieprz się".

Odpowiedział po godzinie. Zawsze umiał trzymać mnie w napięciu. „Nie bądź wulgarna. Wszystko już postanowione. Może kiedy wrócisz, porozmawiamy jak cywilizowani ludzie".

„Jestem lepszą żoną niż ona".

Ostatnia wiadomość już nie doszła. Musiał wyłączyć telefon. Domyślałam się, że jest w drodze. Przez te wszystkie lata zrozumiałam, że mój mąż z całego serca kocha robić mi niespodzianki.

Wszystko zaplanowałam. Próbowałam zamknąć Callie bezpiecznie w pokoju, ale uciekła. Zamierzałam wypuścić robaki. Wiedziałam, że tylko na to czekają. Irving miał mnie gonić w ciemności przez dobrze mi znany teren aż do grobu, który wykopałam dla niego pod płotkiem z białych sztachet, w otoczeniu ciał zmarłych psów.

Opróżniłam strzykawkę – przycisnęłam tłok i patrzyłam, jak fioletowa ciecz znika w odpływie. Miałam plan, by zatrzymać pracę serca, wstrzykując Irvingowi powietrze. Ta przypadłość nosi nazwę „zatorowość płucna". Pomysł podsunęła mi Callie. Zacięła się na tych słowach kiedyś przy śniadaniu. „Za… torowość. Zatortowość? Nie, zatorowość".

Strzykawka po kliku pasowała mi do tego zadania. Był to również akt wiary. Pozbycie się zawartości stanowiło gwarancję, że nigdy, przenigdy nie podam jej mojej córce.

Wiedziałam, że się uda, jeśli zdołam podejść wystarczająco blisko. Co dziwne, chciałam dać mu szansę – ten jeden raz stoczyć z nim sprawiedliwą walkę.

Z drżeniem przypominam sobie jego opór, widok wbijanej w oko igły. Odgłosy kości czaszki pękających pod ciosami moich pięści. Znów

jestem morderczynią. Może to zawsze było moje przeznaczenie. Wszystko prędzej czy później wykonuje pełen obrót po tarczy. Zrobiłam to dla córek. I dla wszystkich, którzy spoczywają tu, w piasku pustyni. Gałęzie drzewa decyzyjnego zawsze wskażą ci właściwą drogę, choć czasami wcale nie chcesz nią iść. A jednak coś poszło nie tak. Wielka szkoda, że Callie uciekła. Próbowałam ją nastraszyć i udało mi się aż za dobrze. Najbardziej ze wszystkiego żałuję, że musiała to zobaczyć. I że Irving zdołał zadać jej ból.

Oto ona: opowieść, która mnie definiuje. Teraz bolą mnie nogi i mam zawroty głowy. Jest zimno. Byłoby zabawnie, gdyby po tym wszystkim, przez co przeszłyśmy, pustynia jednak mnie dopadła.

Wciąż mam wiele do przemyślenia. Co powiedzieć. Jak zbudować historię, cegła po cegle. Ale wszystko się ułoży, jestem tego pewna. Pustynia potrafi dochować tajemnicy. Irving zamierzał wrócić na wschód. Pokłócił się z Hannah i postanowił zostawić nas obie – to wynika z jego wiadomości. Jeśli, jak podejrzewam, Hannah zdążyła dostrzec kotłujące się w nim robaki, to z pewnością mi uwierzy.

Na psim cmentarzu zasypuję grób, który przeznaczyłam dla Irvinga. Jestem śmiertelnie zmęczona. Callie kuca obok, przyświecając mi latarką. Nie zaproponowałam, żeby weszła do domu. Została przy mnie bez żadnej sugestii z mojej strony. Potrzebujemy się nawzajem. W końcu tkwimy w tym razem.

– Myślisz, że twoja siostra wciąż gdzieś tu jest? – pyta, rozglądając się po tonących w ciemności barakach i szopach. – Widujesz ją czasem?

– Nie. – Lekko jej dotykam. Czy to ją chcę pocieszyć, czy siebie? – Jack już nie ma. – Po raz pierwszy czuję, że te słowa są prawdziwe.

– Te psy przyszły, kiedy nacisnęłam guzik – szepcze Callie. – Przyszły zapolować.

– One często tu przychodzą, kochanie. Słyszysz mnie? Kontroler jest stary i zepsuty. To nie była twoja wina.

Wreszcie kończę i opieram się o łopatę. Przez chwilę mam wrażenie, że noc pachnie krwią i pustynnym skwarem. Przez chwilę widzę obok koszyk, a w nim machającą piąstkami małą Callie. Uwielbiałam jej dłonie, kiedy była niemowlęciem. Były takie zmyślne i zwinne. Często

łapała mnie za rękę, rozpaczliwie pragnąc bliskości. Jak mogłam o tym zapomnieć?

Jakby słysząc moje myśli, Callie wyciąga rękę. Sztywno, bo nie nawykła domagać się pieszczot. Biorę ją w ramiona i całuję w głowę, zostawiając na jej włosach plamę krwi. Ten ząb w końcu wypadnie. Nieważne.

– Kocham cię – Tulę ją mocno, uważając na posiniaczone boki. Jakimś cudem mi się udało. Ocaliłam obie córki.

– Strzykawka była pusta – mówi cicho Callie. Z trudem wydobywa z siebie głos.

– Opróżniłam ją. Klik nie jest nam potrzebny. Poradzimy sobie bez niego. Ty i Annie jesteście bezpieczne. – Ściskam jej dłoń. – Callie, możesz mi powiedzieć prawdę. Te martwe zwierzęta, czy to była sprawka taty? Nie bój się, już nic ci nie zrobi.

– Ja im nic nie zrobiłam – mówi.

Z ulgi robi mi się słabo. Sama nie zdawałam sobie sprawy z napięcia, w jakim żyłam przez ostatnich kilka lat, może nawet dekadę. Tak bardzo marzę o śnie.

– Mamo, musimy zaraz jechać po Annie. – Callie patrzy na mnie wzrokiem dorosłej osoby.

Coś jest nie tak. Tu powinien nastąpić koniec opowieści. Ale to nie koniec, teraz to rozumiem. Kolejna myśl jest tak straszna, że przesłania umysł mrocznym cieniem.

Callie

Mama dotyka mojego policzka i czuję na głowie jej pocałunek. Teraz mam krew we włosach. Myślę o tym, jak próbowała mnie chronić. Matki też są czasem jak pustynia. Nie powstrzymasz ich, choćbyś chciała.

Muszę jej zaufać. Powierzyć największą z tajemnic, tę, która kieruje moim życiem. Biorę głęboki wdech.

– Mamo, musimy zaraz pojechać po Annie.

– Jak to? – pyta, ale już wie, poznaję to po głosie. Próbuje to odsunąć, ale wie. W ciemności stała się bardziej przejrzysta i już dokładnie wiem, co czuje. Przychodzi mi do głowy, że czasem miłość jest równie bolesna jak cierpienie. To interesująca myśl, ale nie mam teraz na nią czasu. Muszę sprawić, żeby zrozumiała.

– Jedźmy po nią, mamo – powtarzam, ciągnąc ją za rękaw. Mama chwieje się na nogach. W świetle księżyca widzę poziomą kreskę jej podpuchniętego oka.

– Zaczekaj, Callie. Trochę źle się czuję.

– Nie! – wołam. – Musimy jechać teraz, teraz, już. Annie nie może zostać sama z panią Goodwin.

– Słucham?

Dorośli czasem strasznie wolno myślą. Ale chyba zaczyna to do niej docierać. Zrozumienie przeszywa ją dreszczem jak choroba. Mama stęka i garbi się lekko. Szkoda mi jej. Wolałabym jej tego oszczędzić, ale nie mogę.

– Annie wcale nie zjadła tych tabletek – mówię. – Są schowane w lampce nocnej. Tej w kształcie gwiazdy. Tata powiedział, że wzięła ją

ze sobą do Goodwinów…

Biegniemy w stronę domu. Żółte światło wylewa się z otwartych drzwi na schodek i drewnianą tabliczkę. „Nie wpuszczać psów do domu". Wskakuję na tylne siedzenie samochodu, a mama z jękiem osuwa się na fotel kierowcy. Roztrzęsiona próbuje trafić kluczykiem w stacyjkę.

– Nie zamykasz drzwi?

– Nieważne, na szczęście to tylko dom – rzuca zniecierpliwiona.

Przekręca kluczyk i silnik z warkotem budzi się do życia. Gdy ruszamy, żwir pryska nam spod opon. Mimo strachu o Annie odwracam się, żeby ostatni raz spojrzeć na Sundial. Gdzieś tu spoczywa Blada Callie. Nigdy się nie zastanawiałam, jak tu ze mną przyszła, chociaż nie miałam jej kości. Teraz już wiem, że jej kości to ja. Żyje we mnie – a raczej żyła. Wiem, że nigdy jej już nie zobaczę.

Starsze siostry powinny opiekować się młodszymi. To jedna z pierwszych rzeczy, jakich nauczyłam się w życiu. Mama mi ją wpoiła. Annie jest taka mała i słodka. Wiedziałam, że nigdy nie poradziłaby sobie w miejscu, do którego trafiają złe dzieci. Więc gdy tamtego dnia przyłapałam ją z Pieskiem Śmietnikowym, kazałam jej przysiąc, że dochowa tajemnicy, i sama też jej dochowałam. Biedny Piesek Śmietnikowy. Kazałam jej z nim szybko skończyć, bo dość się już nacierpiał. To było widać.

Próbowałam ją powstrzymać, ale była nie do powstrzymania. Po prostu jest jaka jest.

Zawsze umiałam pomagać bladym. Nie boją się mnie tak, jak większości ludzi. Nie wymagam, by były czymkolwiek innym, niż są. Moje pierwsze wspomnienie to widok uschniętego kwiatka przy krawężniku. Nie pamiętam, gdzie to było ani kiedy. Musiałam być bardzo mała. Ale widziałam, jak maleńki, srebrzysty duch kwiatka odrywa się od suchego kikuta i rozpływa w powietrzu. Odkryłam, że jeśli zatrzymam sobie kości czy łodyżkę, to, co umarło, zostanie ze mną i będę mogła się nim opiekować. Więc gdy Annie kończy robić swoje, ja zabieram kości. Jeśli martwa istota chce odejść, pozwalam jej na to. Tym, które wolą zostać, dotrzymuję towarzystwa, żeby nie były smutne. To wszystko, co mogę dla nich zrobić.

Rodzicom się zdaje, że dzieci nie słyszą kłótni, ale to nieprawda. Annie i ja leżałyśmy w świetle różowej lampki, słuchając, jak syczą na siebie. Czasem po zgaszeniu światła wślizgiwałam się do jej pokoju, bo nie lubi ciemności. Chyba nawiedzają ją wtedy złe myśli, ma zbyt wiele czasu na zastanawianie się nad sobą. Tej nocy trzymałam ją za rękę. Była upalna wczesna jesień, okna były otwarte. Czasem jakiś owad z głośnym pacnięciem odbijał się od siatki.

– Rodzice się rozwiodą – powiedziała Annie.

– Wcale nie – zaprotestowałam.

– A właśnie tak. Tata i Hannah robią ze sobą brzydkie rzeczy.

– Masz ją nazywać panią Goodwin. Zresztą to nieprawda.

– Widziałam ich. Myśleli, że jestem u Marii, ale jej mama odwołała wizytę. Tata nigdy nie sprawdza kalendarza.

– Ćśś. Nie przejmuj się tym. – Dobrze wiedziałam, co robią tata i pani Goodwin. – Tak się po prostu zdarza.

Tata regularnie co kilka miesięcy robił brzydkie rzeczy z jakąś nową kobietą, a potem z nią zrywał i wszystko wracało do normy. Przynajmniej do następnego razu.

– Bóg chce, żeby ona umarła – powiedziała Annie. – Mogłabyś powiesić jej kości na ścianie.

– Nie wolno ci tego zrobić, Annie. Poważnie. Złapią cię i co wtedy?

– Więzienie dla dzieci. Wiem, Callie. Jesteś taka denerwująca. Załatwiłabym wszystko tak, żeby wyglądało, jakby sama to zrobiła. Dorosłym to się zdarza.

Wyciągnęła palec i pogładziła różowy abażur w kształcie gwiazdy.

– Tu jest skrytka, wiesz, Callie? Najlepiej poczekać, aż mamy nie będzie w domu. – W głosie Annie słychać było zadumę. – Mama ciągle mnie obserwuje, bo jestem jej ulubienicą.

– Daj spokój. Wymyślmy lepiej jakąś historię o księżniczkach. Przecież je uwielbiasz – powiedziałam, próbując odwrócić jej uwagę.

Kiedy Annie coś sobie postanowi, nie sposób jej od tego odwieść. Wścieka się, kiedy ktoś próbuje, a to się może źle skończyć. Kilka razy próbowałam odebrać jej różową lampkę, ale nic z tego nie wyszło. Mama za każdym razem kazała mi ją oddać.

Przez pewien czas miałam wrażenie, że Annie o wszystkim zapomniała. Oddała się ulubionemu zajęciu, które zdawało się ją uszczęśliwiać. Raz padło na bezdomnego kociaka, kiedy indziej na goffera czy parę wiewiórek. Wykradała się z domu i włóczyła po okolicy, szukając chorych albo rannych zwierząt. Część sąsiadów używała pestycydu, który sprawiał, że mniejsze zwierzęta poruszały się z trudem. Czytałam o tym. Gdy tylko mogłam, pomagałam jej ukrywać ciała. Zabierałam kości, żeby ulżyć im w osamotnieniu.

– I tak by umarły – powtarzała Annie. – Po prostu trochę wcześniej odesłałam je do Boga.

Myślę, że zaraziła się ospą, próbując wykonać swój plan. Jednak najwyraźniej coś jej się wtedy nie powiodło.

Gdy przyłapałam ją bez rękawiczek, z powrotem przykleiłam je taśmą do jej rękawów.

– Będziesz się drapać, Annie. I na zawsze zostaną ci blizny. – Trochę się na nią zdenerwowałam. Wiedziała, że nie wolno jej zdejmować rękawiczek. – Poza tym mama się wścieknie i na pewno zwali winę na mnie.

Annie podstępem skłoniła mnie do tego, żebym pomogła jej mnie wrobić. Nie byłam tego świadoma, póki mama nie znalazła nakrętki w tajnej skrytce pod podłogą. Nie miałam pojęcia, że Annie o niej wie.

Później zakradłam się do jej pokoju.

– Annie. Przez ciebie mama myśli, że ukradłam lekarstwo taty. Że próbowałam cię otruć. I w dodatku jest przekonana, że to ja zabijam zwierzęta.

– Sprytnie to wymyśliłam, prawda? Najadłam się niebieskich tiktaków, żeby zwymiotować i żeby wyglądało jak tabletki. Ale tak naprawdę schowałam je dla Hannah.

Była sprytna, to prawda. Wszystko starannie zaplanowała.

– Nie Hannah, tylko pani Goodwin. Daj spokój, Annie. Nie mówisz poważnie.

– A właśnie że tak – upierała się.

– Powiem mamie – zagroziłam. Zastanawiałam się, jak ją ukarać. Ale żaden sposób nie wydawał mi się stosowny. Sprawa stała się nagle

o wiele poważniejsza i bardzo chciałam, żeby ktoś dorosły powiedział mi, co mam robić.

– Jeśli naskarżysz, to dam tabletki mamie, zobaczysz. Zresztą i tak ci nie uwierzy.

Ostatecznie, po zważeniu wszystkich za i przeciw, pozwoliłam mamie myśleć, że to wszystko moja wina. Nawet zwierzęta. Uznałam, że dzięki temu Annie zdąży ochłonąć. Niekiedy wystarczy zostawić ją w spokoju. Sądziłam, że póki leży chora w łóżku, w domu jest ktoś dorosły, a pani Goodwin jest u siebie z mężem i chłopcami, Annie nie zdziała wiele. Teraz jednak myślę, że się pomyliłam.

Przerażona buźka.

Mama jeszcze nigdy nie jechała tak szybko.

– Jak mogłam się nie domyślić? Jak? – powtarza w kółko.

Piesek Śmietnikowy zrobił się malutki i schował w moim rękawie. Sądziłam, że może odszedł razem z Bladą Callie, ale przybiegł, utykając na trzech łapach, kiedy wsiadałyśmy do samochodu. Jest tu zakopana jedna z jego kości, podejrzewam więc, że nigdy do końca nie opuści Sundial.

– Boję się, że będzie za późno. Że Annie podała już Hannah lekarstwo – mówię. Jestem tego prawie pewna.

– Nie Hannah, tylko pani Goodwin – poprawia mnie odruchowo mama. Raz po raz mocno mruga, jakby uwierała ją soczewka. – Poza tym zdążymy. Annie nie wie, co robi. Jest bystra, taka bystra … – Mama często sama sobie przeczy. Każde zdanie unieważnia poprzednie.

Myślę o tym, co widziałam w świetle Bladej Callie. Dwie walczące sylwetki, sczepione ciała. Szybko odganiam ten obraz. WIELKI CZERWONY IKS.

– Mamo?

– Słucham, Callie?

– Było naprawdę fajnie. Cieszę się, że pobyłyśmy trochę tylko we dwie.

Mama prycha śmiechem przez łzy.

– Dziwny z ciebie dzieciak – mówi. – Taki dziwny, jak twoja matka. – Oczy ma wielkie i błyszczące. Ociera łzę z policzka i dodaje: – Ja też się cieszę.

– Co z nią będzie, jeśli się spóźnimy? Co będzie z Annie? – pytam.

– Będziemy ją chronić – odpowiada mama. Zaciska usta w niewidzialną kreskę.

– Jak?

– Nie wiem. Coś wymyślimy.

Mama ma rację, musimy coś wymyślić. W przeciwnym wypadku Annie wyląduje w więzieniu dla dzieci, a ja będę za nią bardzo tęsknić. Już teraz czuję ból rozłąki. Jeżeli ją tam zamkną, może umrzeć. Na pewno będzie dużo płakała. Kiedy myślę o płaczącej siostrze, sama czuję, że mam ochotę się rozpłakać. Annie pod żadnym pozorem nie może trafić do więzienia.

Będziemy musiały chronić ją do końca życia. Nie mogę przestać myśleć o tym, ile takie życie trwa. Pewnego dnia mama umrze i zostanę ze wszystkim sama. Jak długo będę musiała martwić się o Annie, opiekować się nią i pilnować, żeby nikomu nie zrobiła krzywdy? Już teraz jestem strasznie zmęczona, a mam dopiero dwanaście lat. Nie umiem całkiem zapomnieć o kliku. Trochę żałuję, że mama się go pozbyła. Może pomógłby Annie. Wychodzi na to, że jestem złym człowiekiem, bo powinnam zaakceptować ją taką, jaka jest.

Sama nie wiem, na co właściwie liczę. Wiem tylko, że cokolwiek się stanie, Annie jest zegarem, który odtąd będzie odmierzał moje życie.

Jest po drugiej w nocy, kiedy z rykiem silnika wjeżdżamy do Cielo. Mama drży, spocone ręce ślizgają jej się po kierownicy. Oddycha głośno i nierówno. Skręcamy w naszą ulicę i obie wychylamy się do przodu, napinając pasy bezpieczeństwa, jakby to miało sprawić, że samochód jeszcze bardziej przyspieszy.

Na naszej ulicy jest ciemno. To porządna okolica, ludzie wcześnie chodzą spać. Pali się tylko jedno światło. Na piętrze, w oknie sypialni Hannah, różowa lampka świeci jak prawdziwa gwiazda, wskazując nam drogę do domu.

Podziękowania

Jestem ogromnie wdzięczna cudownemu, dobremu, zabawnemu Edowi McDonaldowi. Od początku rozumiałeś tę książkę i kibicowałeś jej, gdy powstawała. Ponadto urządzasz najlepsze imprezy niespodzianki, opowiadasz najlepsze dowcipy i piszesz najlepsze książki – jestem ogromną szczęściarą, że Cię mam.

Po raz kolejny z całego serca dziękuję mojej niezrównanej agentce, Jenny Savill, osobie równie genialnej, co życzliwej. Dziękuję wspaniałemu Michaelowi Deanowi za niestrudzoną pracę nad adaptacjami moich książek. A także Andrew Nurnbergowi i całej jego ekipie, zwłaszcza: Barbarze Barbieri, Rory'emu Clarke'owi, Lucy Flynn, Julianie Galvis, Halinie Koscii i Sabine Pfannenstiel – ogromnie doceniam wszystko, co robicie.

Jestem także głęboko wdzięczna mojej fantastycznej amerykańskiej agentce, Robin Straus. Gdyby nie Ty, wiele rzeczy nigdy by się nie wydarzyło. Razem z Danielle Mattą robicie świetną robotę.

Dziękuję mojej utalentowanej brytyjskiej redaktorce, Mirandzie Jewess, za wielką uwagę i staranność, jakie włożyła w tekst. Kocham Twoją niesamowitą energię i mam szczęście, że mogę z Tobą pracować. Drew Jerrison i Niamh Murray, jesteście najwspanialsze. Graeme'owi Hallowi i Hayley Shepherd dziękuję za bystre redaktorskie oko. Jestem też bardzo wdzięczna wspaniałym ekipom z Viper i Profile. Oraz Andrew Franklinowi za niestrudzone wsparcie.

Dziękuję też równie wspaniałej redaktorce wersji amerykańskiej, KellyO'Connor Lonesome – pracowałaś nad tą książką dzień i noc i żadna pochwała nie będzie wystarczająca. Dziękuję Anneliese Merz

i Alexis Saareli za wszystko, co zrobiły, aby powieść znalazła odbiorców – nie mam pojęcia, kiedy Wy właściwie śpicie. Dziękuję Devi Pillai, Michaelowi Duddingowi, Jordanowi Hanleyowi, Sarah Pannenberg, Kristin Temple i reszcie cudownej ekipy Tor Nightfire i Tom Doherty Associates. Jestem bardzo szczęśliwa, że mogę wydawać u Was książki.

Przepiękna grafika na okładce wydania amerykańskiego to dzieło Corey Brickley i Katie Klimowicz, wspaniałą okładkę wydania brytyjskiego stworzył zaś Steve Pantona. Każda z nich w inny, lecz równie poruszający sposób uchwyciła ducha książki.

Jak zawsze dziękuję moim rodzicom, Isabelle i Christopherowi, za to, że zawsze byli dla mnie wsparciem. Ukochanej siostrze, Antonii Ward, i Samowi Enochowi dziękuję za wsparcie, kibicowanie, piękne kwiaty i mądre rady. Nie macie pojęcia, ile dla mnie znaczą. Cudowni Wolf i River pozostają zaś dla mnie nieustającym źródłem radości.

Dziękuję Emily Cavendish, Kate Burdette, Orianie Elii, Andrew Fingretowi, Lydii Leonard, Craigowi Leyenaarowi, Andy'emu Morwoodowi, Natashy Pulley, Alice Slater, Dei Vanagan, Holly Watt, Belindzie Stewart-Wilson, Rachel Winterbottom i Annie Wood – za długie rozmowy, wsparcie i akty sympatii, zbyt liczne, by można było je wymienić.

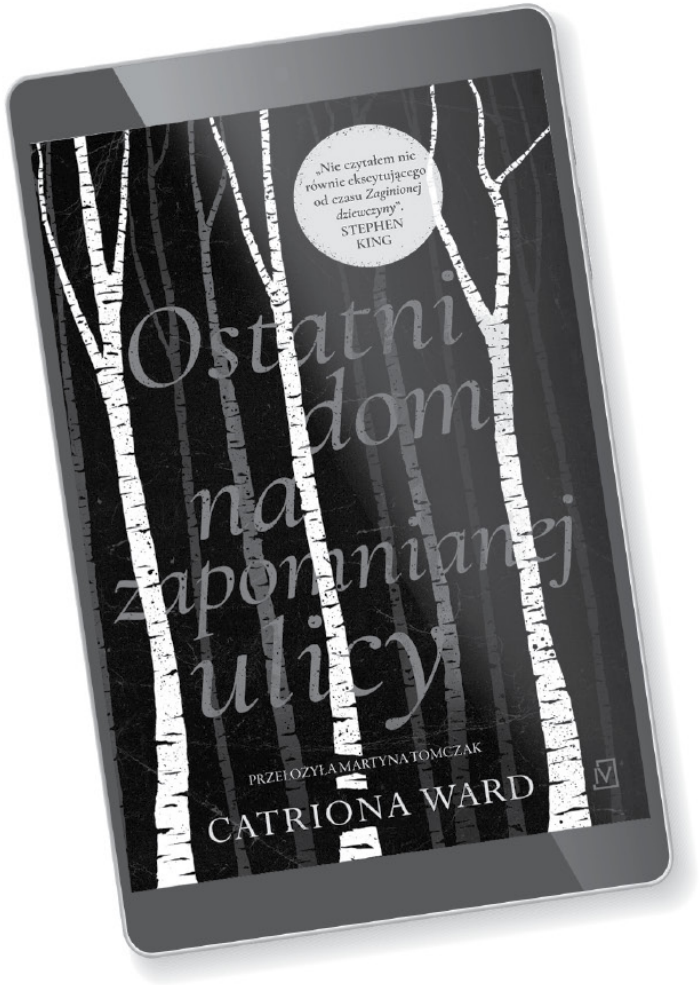

KSIĄŻKI, E-BOOKI, GADŻETY
I MNÓSTWO OKAZJI ZNAJDZIESZ NA:

WWW.WYDAJENAMSIE.PL

Wydaje nam się

Spis treści

Rob

Arrowood

Rob

Callie

Rob

Callie

Rob

Callie

Rob

Arrowood

Callie

Rob

Callie

Tamta Rob

Callie

Tamta Rob

Arrowood

Tamta Rob

Callie

Rob

Tamta Rob

Tamta Rob
Arrowood
Tamta Rob
Callie
Rob
Tamta Rob
Rob
Tamta Jack
Rob
Tamta Rob
Rob
Callie
Rob
Arrowood
Rob
Callie
Podziękowania